

P. 9786 chr. Arch.

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/478 - 8/479 1987



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

PAMIĘCI KOTA JELEŃSKIEGO :

**FR. BONDY, R. GOMBROWICZ, W. KARPIŃSKI,
CZ. MIŁOSZ, K. POMIAN**

ANKIETA "KULTURY" :

**GORBACZOW Z PERSPEKTYWY POLSKIEJ
(ST. GOMUŁKA, J. KARPIŃSKI, L. KOŁAKOWSKI,
W. KUCZYŃSKI, J. NOWAK, R. PIŁSUDSKI,
A. SMOLAR, L. UNGER, B. WIERZBIAŃSKI,
J. ZIELONKA)**

SPIS RZECZY

Konstanty A. Jeleński:	<i>Jak żołnierze w okopach</i>	3
Krzysztof Pomian:	<i>Konstanty Jeleński: szkice do portretu</i>	14
Czesław Miłosz:	<i>Konstanty: polskie tło</i>	25
Wojciech Karpiński:	<i>Spotkanie z Kotem Jeleńskim</i>	32
François Bondy:	<i>K o t</i>	36
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	41
	W I E R S Z E	
Bogdan Czaykowski:	<i>Wiatr z innej strony</i>	55
Anna Frajlich:	<i>Wiedza ezoteryczna</i>	55
Ryszard Krynicki:	<i>Przekreślony początek. — Epitafium tyrana</i>	56
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Alain Besançon:	<i>Papież, Polska, polityka</i>	57
Wiktor Grotowicz:	<i>Austria</i>	59
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (13)</i>	65
	ANKIETA « KULTURY » :	
	GORBACZOW Z PERSPEKTYWY POLSKIEJ	
Biorą udział: Stanisław Gomułka (70), Jakub Karpiński (72), Leszek Kołakowski (75), Waldemar Kuczyński (77), Jan Nowak (82), Rowmund Piłsudski (88), Aleksander Smolar (90), Leopold Unger (94), Bolesław Wierzbianski (100), Jan Zielenka (103).		
Krzysztof Pomian:	<i>Omówienie Ankiety</i>	109
„Komsomolska Prawda”:	<i>„Bez prawdy nie zwyciężysz”</i>	112
	K R A J	
Grzegorz Nawrocki:	<i>Żeby nie zapadło milczenie</i>	114
Witold Chałcamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	125
Zet:	<i>Kilka uwag o wywiadzie płk. Kuklińskiego</i>	134
—	<i>List 63-ch</i>	142
Marek Abramowicz:	<i>R E M</i>	145
—	<i>Deklaracja opozycji niepodległościowej</i>	145
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	147
Józef Darski:	<i>Kronika ukraińska</i>	154
Andrzej J. Chillecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	159
	SPRAWY I TROSKI	
—	<i>Endowment for democracy</i>	163
Irena Lasota:	<i>Nowe fundusze dla opozycji</i>	165
Zbigniew Byrski:	<i>Opozycja w kraju a emigracja</i>	166
B. Wildstein — M. Chojecki:	<i>Konflikt w „Kontakcie”</i>	168
	KRONIKA KULTURALNA	
Jerzy P. Horzelski:	<i>Przygodne uwagi o mowie</i>	172
Agnieszka Wójcik:	<i>Przekraczając granice</i>	184
Lech Raczak:	<i>Teatr 8-go Dnia zagranicą</i>	189
Krzysztof Rutkowski:	<i>Wschodnie Kresy RP na Uniw. w Lille</i>	190
	K S I Ą Ż K I	
Renata Gorczyńska:	<i>Rymkiewicz, Mickiewicz i Żmūt</i>	194
Tomasz Łomża:	<i>Odejskie z dworskich salonów</i>	200
Antoni Pospieszalski:	<i>Skrawek czasu</i>	204
Marek Zieliński:	<i>Lęk przed światłem</i>	206
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	209
—	Wydarzenia miesiąca	212
	P. Lida, J. Mondry, E. Ne-	
kanda-Trepka, P. Szewczuk,		
J. Ulatowski, T. Wyrwa,		
Wł. Zeleniński:	<i>Listy do Redakcji</i>	216
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	223

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1987

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dom Polski w Seattle, WA (USA) — \$ 55,00	F. 325,00
Józef Handelsman, Paryż, po raz 2-gi	F. 500,00
Prof. dr Stanisław Judek, Ottawa, ON (Kanada), po raz 9-ty	F. 100,00
Andrzej Korboński, Los Angeles, CA (USA), po raz 3-ci — \$ 150,00	F. 900,00
J. Kościółkowska, Francja — zamiast kwiatów na grób Konstantego A. Jeleńskiego	F. 100,00
Ł.M. z Paryża — zamiast kwiatów na grób Kota Jeleńskiego	F. 200,00
R.G., Paryż — zamiast kwiatów na grób Konstantego A. Jeleńskiego	F. 100,00
Zofia i Kazimierz Romanowiczowie, Paryż — zamiast kwiatów na grób Kota Jeleńskiego na fundusz nagrody Kultury im. Zygmunta Herta	F. 250,00
— zamiast kwiatów na grób Adama Rudzkiego	F. 250,00
Edward L. Salamoński, Marlton, NJ (USA), po raz 2-gi — \$ 20,00	F. 120,00
Grzegorz Stachowiak, Rochester, N.Y. (USA) — \$ 50,00	F. 300,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym w Kraju z przemocą komunistyczną — DM 10,00	F. 33,00
B. Edelhajt, Soisy	F. 275,00
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Mieczysław Grudziński, Versailles — zamiast kwiatów na grób Rodziołów w rocznicę Ich śmierci — na Fundusz grzywnien ..	F. 200,00
Koło Polskie w Lucernie (Szwajcaria) — nadesłał E. Dybka	F. 550,00
Suma z loterii książkowej i licytacji leżaka (dary Kiermaszu Książki Polskiej) na majówce Koła Polskiego w Lucernie	F. 553,65
Stowarzyszenie Wolność, Demokracja, Solidarność, Frankfurt (RFN) — na Fundusz interwencyjny	F. 166,56
Zamiast kwiatów dla uczczenia uzyskania dyplomu magisterskiego (w maju 1987 r.) przez Krystynę Dietrich — na niezależną prasę podziemną przekazuje A.S., Arlington (USA) — \$ 30,00	F. 180,00
Zamiast kwiatów na trumnę Jana Ptaszyńskiego — Renata Frach i Helena Ejsner	F. 330,00

Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — 2 razy à DM 100,00 = DM 200,00	F. 660,00
Dr Wojciech Szczygalski, Markham, ON (Kanada) — na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — 2 razy à \$ c. 30,00 = \$ c. 60,00	F. 240,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 224)

Jak żołnierze w okopach...

Konstanty Jeleński udzielił mi wywiadu o Gombrowiczu w czerwcu 1984 roku, kiedy zaczynałam pracę nad zbiorem „Gombrowicz w Europie”. Był pierwszą osobą, do której się zwróciłam o rozmowę, bo dzieje książek Gombrowicza w Europie zaczęły się od niego. To Jeleński doprowadził do przełożenia na francuski — i na inne języki — utworów, które Gombrowicz pisał „tam, daleko”, w swym pokoiku przy ulicy Wenezuelskiej w Buenos Aires. To on dyrygował czarodziejską różdżką. Przyzwyczaił nas do uważania za naturalne, że niezmordowanie walczy o Gombrowicza, bo walczył z miłości. Wojciech Karpiński nazwał go „pełnym energii sobowtórem”. Jeleński był także jednym z ostatnich świadków przedwojennego świata Gombrowicza, świata, który bezpowrotnie zginął. Był jego tłumaczem, *alter ego*, świadkiem, wtajemniczonym. Wraz z Jeleńskim Gombrowicz w pewnym sensie umiera po raz drugi.

Rita GOMBROWICZ

Paryż, 15 czerwca 1987

Poniedziałek

Jeleński... kto to? Pojawił się na moim horyzoncie, *hen*, w Paryżu, i walczy o mnie... od dawna, może nigdy, nie zdarzyła mi się afirmacja tak zdecydowana i zarazem bezinteresowna tego, czym jestem, tego, co piszę. Tu nie wystarcza sama tylko chłonność, chwytność, takie współbrzmienie może się wydarzyć tylko na gruncie pokrewieństwa natur. Użera się o mnie z polską emigracją. Wykorzystuje wszystkie atuty swojej sytuacji paryskiej i rosnącego osobistego prestiżu w intelektualnym *beau-mondzie*, żeby mnie popchnąć. Biega do wydawców z moimi tekstami. Zdobył mi już kilku popleczników, wcale nie tanich. Uznanie,



P. 9786 Chr. Arch.

zgoda, podziw nawet... to ostatecznie rozumiem (homo sum)... ale ta pracowitość? to że podziw nie ogranicza się do podziwu?...

Nie uważam za dziwne, że on z taką łatwością wchłania i przyswaja sobie moją łatwość... on cały jest łatwy, nie piętzy się, jak rzeka na przeszkodzie, płynie wartko w tajnym porozumieniu ze swoim łożyskiem, nie druzgocze, przenika, przecieka, modeluje się wedle przeszkód... on nieomal tańczy z trudnościami. Otóż ja po trosze też jestem tancerzem i mnie ta perwersja (żeby „łatwo” podejść do tego, co „trudne”) jest bardzo właściwa, mniemam, że to jeden z fundamentów mego literackiego uzdolnienia. Ale co mnie dziwi, to iż Jeleński przedostał się także do mojej trudności, ostrości, nasze stosunki na pewno nie sprowadzają się do tańca jedynie i on rozumie mnie, jak bardzo niewiele, właśnie w tym gdzie jestem najboleśniej. Mój kontakt z nim, to wyłącznie listy, nigdy na oczy go nie widziałem, i nawet te listy są przeważnie pośpieszne, rzeczowe — a jednak wiem na pewno, że w naszym stosunku nie ma nic z cikliwego cackania się duchowego, że to stosunek surowy, ostry, napięty, i w samym rdzeniu swoim śmiertelnie poważny.

Nieraz kojarzę Jeleńskiego (który jest podobno gładkim salonowcem) z proletariacką prostotą żołnierza... to jest, mam wrażenie, że w nim łatwość jest łatwością w obliczu walki, śmierci... Że obaj jesteśmy, jak żołnierze w okopach, zarazem lekkomyślni i tragiczni.

Witold GOMBROWICZ*

Żaden mój portret nie sprawił mi nigdy takiej przyjemności. Pewno to narcyzm z mojej strony. Każdy ma jakiś obraz samego siebie, być może fałszywy, ja w każdym razie nie cierpię tego obrazu gładkiego salonowca. Odebrałem rzeczywiście światowe wychowanie, pozostały mi z niego odruchy, nie myślę jednak, bym był salonowcem. Zgadza się natomiast na proletariacką prostotę żołnierza. Brandys mi powiedział, że w Warszawie mówi o mnie: „Biedny Kot, ma trzy powody, żeby być nieszczęśliwym: nie jest Żydem, nigdy nie był komunistą i nie pochodzi z ludu”. Tak jakbym czuł się winny z powodu mego pochodzenia i chciał je zatrzeć snobizmem *à rebours*. Większość moich przyjaciół uwierzyła w ten goszystowski snobizm, natomiast Witold świetnie wyczuł, że proletariackość fascynuje mnie — podobnie jak jego — z powodów psychologicznych. Doskonale rozumiał te dwie strony mojej osobowości, chociaż mnie wówczas nie znał. Wydało mi się to dowodem wielkiej przenikliwości. Była to

* Ten tekst nie figuruje w wydanych przez nas „Dziennikach”, gdyż Gombrowicz napisał go 25 czerwca 1963 specjalnie do wydania francuskiego z poleceniem dla tłumacza, aby umieścić go pod koniec 1956 roku.

na pewno kwestia jego intuicji, ale i lektury moich tekstów. Ludzie się jednak odsłaniają w tym, co piszą.

Mój podziw nie ograniczył się do podziwu, bo książki Witolda nie ograniczały się do sprawiania mi przyjemności estetycznej. To, co dla niego zrobiłem, zrobiłem przede wszystkim dla siebie, bo spotkałem kogoś, kto był mi duchowo pokrewny. U źródła było prawdziwe, rzeczywiste zainteresowanie. Z wiekiem zainteresowanie dla innych staje się coraz trudniejsze, bo są często entą wersją tej samej postaci. Uwagę przykuwa niepowtarzalność, ludzie o silnej osobowości, którzy nie mogliby być nikim innym niż są. Witold nie mógł. Poza tym zawsze bardzo bałem się nudy. Kiedy coś wnosi do mojego życia dodatkowe ożywienie, kiedy mogę się tym bawić, rzucam się oczywiście na taką okazję. Witold wniósł do mojego życia szalenie dużo przyjemności, zaciekał mnie, rzucił nowe światło na mnie samego i na świat. Był jakby projekcją mnie samego, tylko bardziej udaną, lepiej zarysowaną, doskonalszą, a zarazem znacznie bardziej nieszczęśliwą. Ale wiedziałem też, że taka była cena tej doskonałości. Przychodzi mi w tej chwili na myśl Miłosz, dla którego też dużo zrobiłem. Naprawdę lubię jego poezję, ale to co zrobiłem robiłem dla niego, dla innego człowieka, dla kogoś zewnętrznego wobec mnie, dla przyjaciela różnego ode mnie, który nazywa się Czesław Miłosz i którego podziwiam. Natomiast z Witoldem miałem uczucie, że poprzez lektury jego książek i poprzez naszą korespondencję obcuje ze wspaiałym, podziwu godnym sobowtorem. Nie chodziło o to, że sam chciałbym być pisarzem. Pisałem zawsze tylko na prośbę przyjaciół lub na zamówienie. Nigdy nie cierpiałem nad tym, że nie jestem twórczy. Zresztą nie wiem dlaczego.

Lektura „Ferdynandurke”

Po raz pierwszy przeczytałem „Ferdynandurke” po jej ukazaniu się w Warszawie, w 1938 roku. Miałem szesnaście lat. Nie znałem Witolda, ale słyszałem o nim w domu. Moja ulubiona ciotka, Magda Skarżyńska, była rówieśnicą i bliską przyjaciółką Reny, siostry Witolda. Obie były wiceprezeskami Związku Młodych Ziemianek. Jedyne moje wspomnienie o Renie Gombrowicz, to jak gra w tenisa z moją ciotką Magdą pod rozłożystymi drzewami pięknego starego parku na wsi. Obie noszą plisowane spódniczki i białe opaski na głowach, jak Suzanne Langlin¹. W rodzinie uchodziłem za pożeracza książek i któregoś dnia ciotka powiedziała mi: „Chciałabym, żebyś przeczytał tę książkę i powiedział mi, co o niej myślisz. Napisał ją Witold, brat Reny.

1. Znana francuska tenisistka z lat dwudziestych.

Boją się, że zwariował". Przeczytałem i byłem wstrząśnięty. Po raz pierwszy czytałem książkę jak list, i to list nie tylko zaadresowany do mnie, ale mówiący o mnie. Jakby ktoś wprost do mnie mówił. Był to wierny opis mojego życia. Przygody bohatera tej podróży inicjacyjnej, jaką jest „Ferdydurke” toczyły się w tym samym środowisku co moje. Rozpoznałem w nich samego siebie, moją rodzinę, moją szkołę, moje środowisko, mój kraj, i wszystko zostało naświetlone i zinterpretowane. Weźmy szkołę. Witold dojrzywał w Polsce liberalniejszej, ale podział na nacjonalistów i antykonformistów nadal istniał. Począwszy od 1935, od śmierci Piłsudskiego, narastał polski nacjonalizm i antysemicka partia endeków. Większość „patriotów” mojego pokolenia to byli okropni nacjonaści. Uświadomiłem to sobie już na jakie dwa-trzy lata przed przeczytaniem „Ferdydurke”. Mój najlepszy przyjaciel w szkole był Żydem. Któregoś dnia ktoś mu ubliżył podczas lekcji matematyki. Wynikła z tego straszna bójka. Połała się krew. Tylko jedna trzecia klasy stanęła w obronie mojego przyjaciela. Linia podziału była wyraźna: albo było się za antysemicką partią narodową, albo przeciw niej. W tzw. sferach wypadało być w harcerstwie, wielbić bohaterów narodowych, zwalczać Żydów, masonów, zdrajców i w ogóle wszelkich podejrzanych. A ja zawsze byłem podejrzany. Witold doskonale opisał tę szkolną wojnę między podejrzany antykonformistami a nacjonalistami, którzy chcieli sobie przywłaszczyć całą kulturę narodową i idealizowali naszą historię. W „Ferdydurke” odnalazłem rzeczy, które znałem. Otworzyło mi to oczy i równocześnie dodało pewności siebie. Po „Ferdydurke” naprawdę żyłem inaczej. Zrozumiałem, że należy zajmować stanowisko. Przedtem byłem raczej miękki i zamknięty w sobie. Nie uciekałem od życia, bynajmniej, uczestniczyłem we wszystkim. Byłem nawet raczej lubiany, ale kiedy ludzi coś bawiło, ja miałem zawsze uczucie, że udaję, że mnie to bawi. Byłem trochę zgubiony. Nie rozumiałem ani w ząb absurdalnych wydarzeń, jakie się wokół mnie rozgrywały. Ludzie widać mieli jakiś klucz. Mnie klucza dostarczyła „Ferdydurke”. Myślę, że łączyło mnie z Witoldem jakieś pokrewieństwo duchowe i że pokrewieństwo to zwielokrotnił fakt, że pochodziliśmy z tej samej sfery. Wrodzone pokrewieństwo rozwinęło się na tej samej pożywce, *in vitro*. Ta sfera to było przede wszystkim ziemianstwo z jego absurdalnością, jego pozorną poczciwością, jego niesłychanym zadowoleniem z siebie. Poza tym istniało postępowe, lewicujące mieszczaństwo, ów świat literacki w którym obracał się Witold w Warszawie i który był też częściowo środowiskiem moich rodziców. W Paryżu liczyli do swoich przyjaciół wellsowskich postępowców w rodzaju rodziny Lejeune z „Ferdydurke”. Nasze rodziny miały podobne odruchy, podobne przesady i ten sam nieubłagany sno-

bizm, często skryty pod maską antysnobizmu. Wszystko w „Ferdydurke” było odbiciem mojego własnego świata. Jednak na to, by książka odmieniła życie szesnastoletniego chłopca, musi ona przekształcić jego świat w dzieło sztuki. „Ferdydurke” była zarazem wspaniałą powiastką filozoficzną i powieścią sowizdrzańską, w której wszystko zostało ośmieszone z absolutnie szaleńczym humorem, radością, złośliwością i pomysłowością. „Ferdydurke” odmieniła moje życie i byłem za to Gombrowiczowi zawsze wdzięczny.

S n o b i z m

Snobizm Witolda — czy jego kompleksy wobec arystokracji — tłumaczę sobie jego sferą. Trudno sobie wprost wyobrazić snobizm ludzi, którzy należeli do *beau monde*'u, ale nie byli arystokracją. We Francji i Niemczech nie rozróżniano między szlachtą a arystokracją. „Szlachectwo” już było „arystokracją”. Polacy natomiast uznają nie więcej niż dziesięć rodów arystokratycznych. Istnieją nawet rody utytułowane i bardzo stare, jak Czapscy — hrabiowie od wiek wieków — które nie uchodzą za prawdziwą arystokrację. Arystokracja ogranicza się do rodów magnackich, tzn. bardzo bogatej szlachty, która przez wieki rządziła Polską, posiadała pałace w Warszawie, ogromne dobra na wsi, upudrowaną i z francuska ubraną służbę. Arystokracja to byli ci wielmoże, którzy podejmowali księcia d'Albę² na polowaniach, jeździli na Boże Narodzenie do Malborough, zapraszali Windsorów po ich ślubie. Szlachta, nawet z najlepszych rodzin, wiodła spokojny prowincjonalny żywot, bo była uboższa.

Snobistyczni Polacy, którzy patrzyli na te rzeczy od wewnątrz, mierzyli wartość rodziny wedle liczby senatorów, jakich w ciągu wieków wydała. Przed rozbiorami senatorami byli wielcy dygnitarze Korony, wielki kanclerz, hetman, odpowiednik konetabla, i zarządcy prowincji. Na przykład Jeleńscy wydali trzech senatorów, co już było niezłe, ale Czapscy mają koło dwudziestu, a Radziwiłłowie pewnie z sześćdziesięciu. Gombrowiczowie nie mieli ani jednego, ale byli spowinowaceni z rodzinami „senatorskimi”. Snobizm Polaków jest legendarny. Pod tym względem mój ojciec przypominał Witolda. Znał na pamięć almanach gotajski i nigdy się z nim nie rozstawał. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności jak powiedzieć: „Mówił mi Jimmy d'Alba...” albo „Jimmy d'Alba nigdy by się na to nie zgodził”. Jak wielu ludzi z jego sfery, czuł na sobie zawsze oko pewnych arystokratów. Miał stałe uczucie, że zdaje egzamin. Budziło to w nim

2. Wielki grand hiszpański.

równocześnie bunt, podobnie jak w Witoldzie, który przedstawił archetypiczny obraz arystokratów w „Biesiadzie u hrabiny Kotłubaj”. Witold bardzo słusznie powiedział o arystokracji, że jest szanowana nawet kiedy jest głupia, brzydka i wulgarna.

Inny aspekt polskiego snobizmu polegał na tym, że *beau monde* sprowadzał się do środowiska bardzo nielicznego, ale bardzo przemieszanego, zupełnie jak u Prousta, w przeciwieństwie na przykład do arystokracji niemieckiej, która jest bardzo prowincjonalna i zhierarchizowana. Nie było wiadomo, dlaczego ktoś należy do salonów. Nie decydowały o tym koligacje rodzinne. Pewna fortuna była konieczna, przede wszystkim jednak trzeba było być zarażonym wirusem snobizmu. Wtedy zaczynało się tę społeczno-salonową wspinaczkę. Decydującym kryterium była przynależność do Klubu. Istniał w Warszawie Klub Myśliwski, odpowiednik Jockey Clubu. Kto tam został przyjęty, należał do salonów. Zarazem jednak ten, kto został przyjęty do arystokracji musiał żyć ponad stan, co było niepokojące. Zapraszano go na wszystkie bale. Wchodziło się do swojego rodzaju kasty.

Tu zrobię małą dygresję, która może się wydać błaha, ale która wiele mówi o regułach, jakich należało przestrzegać. Otóż Polak musiał zwracać się do księcia i księżnej per „księżę” i „księżna”, natomiast pod żadnym pozorem nie wolno mu było do nikogo powiedzieć „hrabio, hrabino lub baronie, baronowo”. To byłoby w najgorszym guście. Do hrabiów, baronów i wszystkich utytułowanych osób poza książętami zwracano się per „pan”. Zwrócić się np. do Potockiej per „hrabino” byłoby taką samą gafą co powiedzieć do Radziwiłłowej „pani”. O hrabinie Potockiej nie mówiono nigdy „hrabina Helena”, lecz „pani Helena”, natomiast mówiono „księżna Bichetta”. Dla Witolda to nie były żarty!

Pierwsze spotkanie

W 1963 roku zwrócono się do Nabokowa³, który był wówczas radcą artystycznym senatu berlińskiego, aby sporządził listę artystów, których w pierwszej kolejności należało zaprosić do Berlina. Nabokow poprosił mnie o zaproponowanie kandydatów. Sporządziłem listę, na której figurowali Borges, Beckett, Masson i kilku innych, młodszych. Nie w czółwce rzecz jasna, ale gdzieś pośrodku, pod literą G, umieściłem Gombrowicza. Pamiętam doskonale reakcję Nabokowa: „Ach, Polacy, Polacy!

Zawsze tacy sami! Zawsze chcecie wepchnąć kogoś ze swoich! Kto to jest, ten pan Gombrowicz?”. Nie wiedział. Powiedziałem mu, że w Niemczech Gombrowicz jest już znany. Kilka dni później Nabokow wrócił do Paryża i oświadczył mi, że rozmawiał z Günterem Grassem i Uwe Johnsonem, którzy obaj z entuzjazmem zareagowali na zaproszenie Gombrowicza. Wówczas napisałem do Gombrowicza do Argentyny. List ten do niego nie dotarł — wsunięty pod drzwi, przeleżał tam przez całe jego wakacje. Wreszcie w ostatniej chwili udało mi się go złapać telegraficznie. Potem ukradziono mu pieniądze na statku, tak że przez całą podróż był bez grosza. Pech za pechem! Wreszcie przyjechał. Zatelefonował: „No jestem. Tylko proszę Cię, żadnych wylewności. Udajmy, że się znamy od dawna i że widzieliśmy się wczoraj”. Poszedłem do niego do hotelu Helder⁴. Jego nosowy głos trochę mnie zaskoczył. Mówił naturalnie tak, jak ludzie z jego sfery, cicho i śpiewnie, przeciągając trochę samogłoski. Mam bardzo złą pamięć. Nie przypominam sobie szczegółów tego spotkania, raczej tylko rodzaj gry, która się natychmiast ustaliła między nami. Witold uważał, że spontaniczność jest niemożliwa. A ponieważ „naturalność” była dla niego największym horrendum — naiwnym pastiszem spontaniczności — myślał, że łatwiej osiągnąć porozumienie poprzez stylizację. Wystarczy znaleźć swój styl, a wtedy wszystko może ujść. Wystylizowaliśmy więc nasz stosunek na znajomość dwóch polskich szlachciurów, sąsiadów przez miedzę, z których jeden jest starszy i ważniejszy od drugiego. Ja na przykład od czasu do czasu cmokałem go — cium! — w przedramię, w okolicę łokcia. Witolda trochę to irytowało, ale też bawiło. Ten polski obyczaj sięga XIX wieku. Chłop całował pana w rękę, natomiast ludzie z podobnej sfery całowali na znak wielkiego szacunku w przedramię. Dla mnie Witold był bardzo polski, był Polakiem z mojej sfery, jak jakiś mój wujek czy kuzyn po kądzieli. W sztucznych konwenansach czuł się absolutnie naturalnie. Był jedną z najbardziej naturalnych osób, jakie spotkałem. Właśnie wskutek nieufności, jaką żywił do spontaniczności. Kiedy ktoś stanowi do tego stopnia jedno ze swoim wyglądem i swoją psychiką, trudno sobie wyobrazić, by mógł być inny. Nie mogłem sobie wyobrazić innego Witolda.

Paryż

Teorie Witolda o Paryżu irytowały mnie i żenowały. Miałem wrażenie, że wyda się wszystkim szalenie prowincjonalny. Z jego

3. Mikołaj Nabokow, kuzyn pisarza, kompozytor, jeden z założycieli Kongresu Wolności Kultury, którego sekretariat mieścił się w Paryżu.

4. W pobliżu opery, na rogu rue Helder i Boulevard des Italiens.

strony była to prowokacja. Paryż był symbolem czego innego niż Paryża. Pod karykaturą Paryża istniało coś autentycznego. Na przykład powiedzieć Nadeau⁵ albo Geneviève Serreau⁶, że Paryż jest salonowy... Toż oni byli niemal anarchistami! Chodzili do małych knajpek przez swoistą ascezę, która należała wtedy do kanonu elegancji intelektualistów paryskich. Tymczasem Witold, opisując w „Dzienniku” obiad z nimi, wymyślił jakieś wystawne menu. Uznali to oczywiście za skandaliczne. Witold nie zdawał sobie sprawy, że przypisywał im styl, który nie był ich i że ich prawdziwy styl był bez wątpienia bardziej „elegancki”. A opis koktajlu, jaki rzekomo wydała na jego cześć Leonor⁷! Leonor, która nigdy w życiu nie wydała koktajlu! Sam pomysł koktajlu...! Niektórzy Polacy, przeczytawszy ten fragment „Dziennika”, też chcieli być zaproszeni na koktajl! Leonor żywiła dla Witolda szacunek i podziw, ale nie przenikała tak w jego twórczość jak ja. Witold był dla niej kimś fascynującym, oryginalnym, dziwacznym — Leonor uwielbiała dziwactwo — ale za mocnym i zbyt zamkniętym. Oboje zresztą są ludźmi wyciosanymi z jednej bryły i nie mogą być inni niż są. Leonor żyje w świecie zamkniętym. W każdym razie doskonale się rozumieli. Przypominam sobie, że razem bardzo się ze mną przekomarzali. Wracając do ataków Witolda na Paryż, mówiłem mu: „Słuchaj, nie mów takich rzeczy, to nikogo nie szokuje”. Ale naprawdę byłem zażenowany, bo „obnażał”. Robił dokładnie to, co robi z erotyzmem w swoich książkach. Nie znajdzie się w nich ani jednej sceny dosłownie seksualnej, ale trudno o większą obsceniczność. W Paryżu wszystko obnażał. Dla Francuzów był całkowicie inny od wszystkich. Ja — nad czym może należy ubolewać — zawsze przestrzegałem wszystkich konwenansów. Witold był ich zdecydowanym wrogiem. Podziwiałem Nathalie Sarraute i nadal ją podziwiam. W jej „Tropizmach”, w tej masie drobnych incydentów jest jakieś pokrewieństwo z podskórną rzeczywistością Gombrowicza. Mówiłem Nathalie Sarraute o Witoldzie. Podeszła do niego, mówiąc, że jest szczęśliwa, iż może go poznać, że czytała jego książkę, którą uważa za wspaniałą, prawdziwe arcydzieło. Na to Witold: „Tak, dziękuję Pani. Pani Nathalie Sarraute? Ach tak, słyszałem o Pani książkach...”. I ani słowa więcej.

Witold doskonale umiał zachowywać się jak człowiek światowy, ale też, jak sam mówił, jak naddunajski chłop. Bądźmy szczerzy: jak wielu twórców, nie interesował się zbytnio twórczością innych. Nathalie Sarraute nigdy nie czytała.

5. Redaktor działu „Les Lettres Nouvelles” u Julliarda. Maurice Nadeau był pierwszym zagranicznym wydawcą Gombrowicza.

6. Pisarka i tłumaczka, przełożyła wraz z Jeleńskim „Operetkę”, „Iwo-nę księżniczkę Burgunda” i „Trans-Atlantyk”. Zmarła w 1981.

7. Leonor Fini, malarka, z którą K. A. Jeleński mieszkał od 1950 roku.

Anachronizm

Kiedy Witold przysłał do *Kultury* pierwsze strony swojego „Dziennika”, powiedziałem do Giedroycia: „To szalenie ciekawe i kiedy będzie tego więcej, trzeba to będzie naturalnie wydać jako książkę, ale na razie, dla pisma, lepiej wybrać najciekawsze fragmenty”. Uważałem „Dziennik” za nierówny! Nie rozumiałem, że fragmenty „nierówne” były integralną częścią dzieła sztuki, jakim jest „Dziennik”. Kiedy byłem młody, wyobrażałem sobie, że jeśli człowiek nie oscyluje między marksizmem, psychoanalizą i egzystencjalizmem, to jest prowincjuszem. Tymczasem książki Witolda, jak każde wielkie dzieło, są powiązane tysiącem nici z najrozmaitszymi ideami, które wisiały w powietrzu. Ja czepiałem się kurczowo tego, co w nich było najnowocześniejsze, najbardziej paryskie, co mogłem pokazać przyjaciółom i powiedzieć: patrzcie, kogo my tu mamy! Kiedy przechodziły jego teksty z Argentyny, wydawały mi się czasem niezgodne z duchem czasu, podczas kiedy były sto razy bardziej „na fali” niż wszystko, co w Paryżu było „na fali”. Człowiek dopiero wtedy rozumie, jak małe znaczenie mają teorie, kiedy kilka ich serii predefiluje mu przed oczyma. Teorie obumierają. Ładują na śmietniku historii. Anachronizm Witolda wynikał nie tylko z faktu, że żył z dala od wszystkiego, ale i z tego, że rozumiał jego wartość. Kultura była dla niego środkiem wyrazu, sposobem lepszego zrozumienia siebie i innych. Nie uważał jej za obszar „piękną” ani nie przypisywał jej żadnej wartości użytecznej. Wstyd mi dziś, że za wszelką cenę chciałem wciągnąć Witolda do nowoczesności. Być może była to rozsądna taktyka. Być może oddałem mu tym przysługę. Działiałem w dobrej wierze. Byłem naprawdę olśniony zetknięciem tego anachronicznego dzieła z duchem czasu. Z całych sił windowałem go na wyżyny Zachodu, gdy tymczasem jego uniwersalność — jeden z powodów, dla których interesuje Zachód — polegała właśnie na tym, że był równie anty-zachodni. Na przykład zawsze broniłem Witolda, ilekroć go gdzieś atakowano. Broniełem go z tym większą łatwością, że spontanicznie zawsze się z nim zgadzałem. Kiedy „Trans-Atlantyk” zaczął ukazywać się w *Kulturze*⁸, jakiś londyński Polak napisał, że to nic nie warte, że awangarda polega na czymś zupełnie innym. Odpowiedziałem mu bardzo ostro. A Witold potem napisał w „Dzienniku”, że wolałby, gdybym nie bronił go tym, że jest podobny do Sartre’a albo do Pirandello... Inny przykład: po przeczytaniu rękopisu „Pornografii” napisałem Witoldowi, żeby zatarł trochę swoje ślady. Napisałem tak z myślą

8. „Trans-Atlantyk” ukazywał się w odcinkach w *Kulturze*.

o Robbe-Grilletcie i Nathalie Sarraute. Pomyślałem sobie: jest to *nouveau roman* zbudowany z sensacyjnych tropizmów, po co tak staromodnie wykladać kawę na łące?

Tymczasem w „Pornografii” właśnie o to chodzi, żeby „najświeższe trucizny przewozić na starej prowincjonalnej bryczce”, jak napisał Gombrowicz w przedmowie do francuskiego wydania. Nie rozumiałem tego. A jeśli rozumiałem, to w każdym razie nie zgadzałem się z tym tak całkowicie, jak się zgadzam dzisiaj. Teraz wiemy, że na tym właśnie polega siła i wielkość Gombrowicza. Choć być może to duch czasu uznał regionalizmy, tradycje itd., a ja znowu idę krok w krok za modą... Byłoby to okropne. Miejmy nadzieję, że tak nie jest.

Vence

Witold wrócił z Berlina. Wydał mi się zmieniony. Odwiedziłem go kilka razy w Royaumont. Często uczestniczyłem w obiadach ze starym panem d'Hormon. Witold świetnie opisał w „Dzienniku” swój pobyt w Royaumont. Kręcono tam film z „Les Amitiés particulières”⁹. Kręciło się dużo młodych studentów. Kiedy myślę o Witoldzie w Royaumont, widzę go głównie w parku, który mi przypominał „Pornografię”: labirynt stawów, rozłożyste drzewa, cały ten aspekt voyeuryzmu, który zdarza się w parkach. Witold nie miał z paryskimi intelektualistami niczego wspólnego. Stał zupełnie z boku. Nudzili go. Musieli mu się wydawać jeszcze bardziej prowincjonalni niż w Warszawie, bo uważali się za uniwersalnych. Trzeba przyznać, że Royaumont było miejscem trochę groteskowym, niewygodną i pretensjonalną mieszkanką bogatego domostwa i zabytkowego klasztoru, trochę jak angielski *college*. To było wtedy, kiedy Witold chciał, żebym się dowiedział u jakiegoś lekarza o najlepszy sposób na samobójstwo (nie istniał jeszcze podręcznik samobójcy doskonałego). Byłem szczęśliwy, że pojedzie do Vence. Myślę, że mógłby być podobnie żyć w jakimś małym polskim miasteczku, na przykład w Kazimierzu: małe mieszkanko w domu z początku wieku, małe potrzeby, małe przyzwyczajenia, mały samochód, przyjęcia dla przyjaciół (był bardzo gościnny). Vence było idealne. Ktoś powiedział, że mieszczańskie. Czyż on w ogóle mógł mieszczańskie? Tak samo nigdy nie mógłby należeć do cyganerii. Witold był taki sam w Argentynie śpiąc na gołej ziemi w Mauron czy mieszkając u poczciwej pani Elzy przy ulicy Wenezuelskiej co w Vence, przy placu du Grand Jardin: ślimak był nieskoń-

9. Jean Delannoy kręcił adaptację filmową tej książki Roger-Peyrefitte'a w 1964 roku.

czenie mocniejszy od skorupy. Myślę, że przedmioty były mu obojętne. Mieszkanie meblował wyobraźnią. Tu strzałka: do lasu, tam: do zamku, trochę jak w teatrze szekspirowskim. Mam kilka fotografii Witolda: Witold w sypialni, na łóżku. Witold idący do stołu. Witold na balkonie. Z lornetą. Byłem przekonany, że jeszcze będzie pisał. Powiedział mi, że chciałby napisać sztukę o musze. Pod koniec „Rozmów z Dominikiem de Roux” napisał, że chciałby się wyzwolić z własnej postaci, ale że jest już za późno. Mimo wszystko myślę, że było go jeszcze na to stać. Gdyby nie był tak chory, spłatałby nam jeszcze figla, jestem o tym przekonany. Nie spodziewałem się zupełnie jego śmierci, która się dziwnie wiąże ze śmiercią mojej matki¹⁰, kiedy miałem czterdzieści siedem lat i zamknął się rozdział mojego życia.

Konstanty A. JELEŃSKI

(Rozmawiała Rita Gombrowicz)

Paryż, 15 i 22 czerwca 1984

(Z francuskiego przełożyła Julia Jurys)

10. Matka Konstantego Jeleńskiego umarła kilka tygodni przed Gombrowiczem.

Jeleński: Szkic do portretu

Był pełnoprawnym obywatelem wielu światów. Polszczyzny przede wszystkim, ale nadto co najmniej czterech innych języków. Eseju, w którym spełniał się jako pisarz, oraz rozprawy krytycznej, artykułu publicystycznego, recenzji, noty polemicznej, przykładu. Literatury polskiej i powszechnej; malarstwa, historii i polityki. Polskiego ziemiaństwa i liberalno-lewicowej inteligencji. Międzynarodowego środowiska intelektualistów, artystów i pisarzy, emigracji żołnierskiej i kręgów, których uczestnicy w różnych okresach opuścili PRL. Przeszłości, z którą czuł się związany i czasu teraźniejszego, który go fascynował. Paryża jako jednej ze stolic kultury polskiej i Paryża jako centrum kultury francuskiej, a w jakiejś mierze też — europejskiej i światowej. Zresztą traktowano go jak swego w wielu miejscach, w wielu krajach, w wielu metropoliach. On jednak nigdzie nie czuł się chyba w pełni u siebie. Gdzieś w latach sześćdziesiątych, podczas PRL-owskiej nagonki na Gombrowicza, odpowiedział jakiemuś wolontariuszowi oszczerstwa z warszawskiej „Kultury”, który usiłował unaocznić swym czytelnikom pogardę paryskiego światowca dla literatury narodowej: „Nigdy nie mówię: «U nas w Paryżu»”. Jakoż nigdy bodaj nie użył tego zwrotu. Co więcej, choć Polskę opuścił mając lat siedemnaście, a w Paryżu mieszkał od 1951 roku, nigdy nie wystąpił o obywatelstwo francuskie i do końca legitymował się dokumentem uchodźcy politycznego.

Znaliśmy się zaledwie trzynaście lat. Po raz pierwszy spotkał się u Pallotynów po moim tam odczycie, jesienią 1974 roku, i tamże, w mieszkaniu niezapomnianego ks. Józefa Sadzika, odbyliśmy pierwszą, długą, wieczorną rozmowę. Na pozór różniło nas niemal wszystko: pochodzenie społeczne, rodowód ideo-

wy, życiorys, staż emigracyjny, nawet temperament, w moim przypadku znacznie bardziej gwałtowny. Jeśli jednak po tej rozmowie nastąpiło wiele innych, jeśli Konstanty Jeleński wkrótce stał się dla mnie Kotem, jeśli nasza znajomość szybko i najzupełniej naturalnie zaowocowała przyjaźnią — to chyba dlatego, że zachodziło tu jakieś, stopniowo przez nas obu odkrywane powinowactwo duchowe zakorzenione we wspólnocie zainteresowań i wartości. Widywali się, jak na paryski tryb życia, względnie często. Niekiedy wpadałem do jego biura i szliśmy na obiad z czerwonym winem do jednej z małych, ludowych restauracyjek, które bardzo lubił, a których trochę uchowało się jeszcze w okolicach placu Republiki. Co kilka miesięcy spędzaliśmy razem wieczór na ożywionych dyskusjach o literaturze, malarstwie, polityce polskiej i francuskiej, na ogół przy akompaniamencie wybuchów śmiechu. Czasem byliśmy tylko w trójkę: moja żona, Kot i ja. Czasem grono było nieco szersze. Ostatnia taka beztroska i wesoła kolacja z udziałem Kota, Wojciecha Karpińskiego i Tomasza Łubieńskiego odbyła się w listopadzie lub grudniu ubiegłego roku. W lutym, podczas kolejnego wieczoru, który miał się okazać ostatnim, nastrój był już inny. Kot sprawiał wrażenie zmęczonego i przygnębionego. Rozmawialiśmy o tym, co będzie mógł robić teraz, gdy emerytura, na którą był właśnie przeszedł, pozostawi mu nareszcie dużo wolnego czasu, ale temat wyraźnie go nie interesował. Wtedy przypuszczaliśmy z żoną, że sprawia mu trudność dostosowanie się do nowego trybu życia. Dziś wydaje nam się, że odczuwać już musiał pierwsze ciosy choroby.

Przyjaźń z Kotem — to nie tylko rozmowy, w których jego partia była niekiedy istnym dziełem sztuki. To również listy, które pisał z wielką łatwością, przy najróżniejszych okazjach: by skomentować jakieś wydarzenie, przekazać wrażenia z lektury czy z obejrzenia czegoś, przesłać ciekawy wycinek z gazety czy po prostu zastąpić spotkanie, do którego akurat nie mogło dojść z braku czasu. Listy szybkie, o dużych, wyraźnych literach stawianych czarnym długopisem, niekiedy podkreślone, wolne od troski o styl i dzięki temu zachowujące chyba lepiej niż rzeczy drukowane sposób mówienia, melodyjny i barwę głosu.

W polszczyźnie, jak w innych językach europejskich, słowa „amator” i „dyletant” nabrały w ciągu ostatnich dwustu lat zabarwienia uwłaczającego. Jak więc określić dziś kogoś, kto zgodnie z ich pierwotnymi znaczeniami zajmuje się tym, co lubi i co mu sprawia przyjemność? „Miłośnik” brzmi nieco staroświecko. Może właśnie dlatego ten termin zdaje się dobrze przylegać do Jeleńskiego-pisarza: niczym miłośnik sztuk i piśmiennictwa w dawnym stylu nie poczytywał swego pisanego za zawód, lecz uprawiał je jako czynność bezinteresowną. Było w

tym coś z postawy wielkiego pana, który bawi się piórem, nie przywiązując wszakże nadmiernej wagi do efektów tej zabawy. Nie znaczy to, że Jeleński skłonny był pozwalać, by jego bezinteresowności nadużywano. Gdy zasłużony właściciel i dyrektor szwajcarskiej oficyny „L'Age d'Homme” uznał po ogłoszeniu drugiego wydania *Anthologie de la poésie polonaise*, że może nie wypłacać za nie honorarium, Kot, który dostrzegł w tym — i słusznie — wyraz lekceważenia dla swej pracy, wystosował doń długi, sarkastyczny list godny każdego zbioru korespondencji ilustrującej stosunki autorów z wydawcami. Skądinąd jednak, w ciągu trzydziestu z górą lat rozsiewał swe utwory i nie podejmował nawet próby zgromadzenia ich w kolejnych tomach, choć przecież żył wśród ludzi cierpiących na ogół istne męki, póki kilku szkiców, które wydrukowali już w czasopiśmie, nie objęła jedna okładka. *Zbiegi okoliczności* powstały, jak wiadomo, z inicjatywy przyjaciół: Wojciecha Karpińskiego i Piotra Kłoczowskiego. Ale znaczna część spuścizny pisarskiej Jeleńskiego pozostaje jeszcze rozproszona, toteż nie ogarniamy dziś w pełni jej rozmiarów. Najważniejszym obowiązkiem jego przyjaciół będzie teraz zebranie wszystkiego, co pozostawił, porównanie różnojęzycznych wersji, przetłumaczenie utworów, których sam nie spolszczył i udostępnienie całości czytelnikom. Wtedy dopiero zajmie on ostatecznie miejsce należne mu w powojennej historii kultury polskiej.

Jak każdy urodzony eseista Jeleński myślał nie systematycznie, lecz dygresyjnie. Przywiązywał wagę nie do rozumowania, formalnego schematu podporządkowanego ostrym kryteriom poprawności, ale do skojarzeń zdolnych odsłaniać treściowe związki między przedmiotami, przeważnie niespodziewane i niewidoczne, nim nie zwrócił na nie uwagi swego czytelnika lub rozmówcy. Odpowiadało to jego fascynacji „zbiegami okoliczności”, zaskakującymi spotkaniami ludzi, wydarzeń, rzeczy, grą przypadku, która sprawia, że dwa równoległe na pozór tory przecinają się w tym a nie innym punkcie, choć nie widać po temu żadnych racji, lub powoduje jakieś zgoła nieprzewidywalne następstwa. W tej „metafizyce ateisty”, którą głosił pół żartem pół serio, wyrażała się jego oświeceniowość. Oświeceniowość szczególnie: nie wolteriańska z właściwym jej poczuciem wyłącznego posiadania prawdy i przekonaniem o własnej wyższości oraz towarzyszącą temu nieodłącznie nietolerancją. Bliższa raczej, na co zwróccono już uwagę, Jana Potockiego. Jeleński był człowiekiem Oświecenia, który przeczytał i przyswoił sobie Blake'a i Lichtenberga. Reprezentował Oświecenie późne, świadome swych ograniczeń i jednostronności, nauczone bowiem przez rewolucję i terror, że gdyby „światłość” wyrugowała bez reszty wszelki „mrok”, to w świecie nie ostałby się żaden cień, w którym jednostka

mogłaby się schronić — a zatem skłonne, wbrew wolterowskiemu *écrasez l'infâme*, przyznać prawo do istnienia przeciwieństwu siebie samego w imię wartości przez samego siebie wyznawanych. Jeleński-racjonalista tropił zatem, nie bez przekornego rozbawienia, przejawy działania w świecie czynników irracjonalnych, a Jeleński-libertyn okazywał szacunek religii, choć nie wyznawał jej ani nie praktykował. Przy czym swego rozdwojenia nie przeżywał tragicznie, lecz rozładowywał wytwarzane przez nie napięcia dzięki ironicznemu dystansowi wobec samego siebie i swych poglądów, dzięki nieustannej otwartości na innych, gotowości uznania racji oponenta, choćby tytułem próby, by zobaczyć, co z tego wyniknie. Jestem pewien, że lubił Hume'a, acz — rzecz dziwna — nigdy z nim o tym nie rozmawiałem.

Ale wyrozumiałość dla stanowisk sprzecznych z jego własnym miała u Jeleńskiego wyraźnie zakreślone granice. Nie rozciągała się na nacjonalizm, programową wrogość wobec obcych, zwłaszcza wobec Żydów, sympatię dla dyktatur, bałwochwalczy stosunek do narodowej przeszłości i otaczanie kultem tego tylko, co swojskie, rdzenne, wczepione, niczym roślina, w swe miejsce urodzenia. Do endecji odnosił się z niezmienną i jednoznaczną wrogością i nie był skłonny przyznać jej jakichkolwiek okoliczności łagodzących. Wypowiedzi na ten temat wyzwalały jego natychmiastową reakcję. Gdy ogłosiłem kiedyś w *Kulturze* krótką notę o pewnym emigracyjnym antysemicie, dostałem od Kota liścik z wyrazami uznania nazajutrz po ukazaniu się numeru. Gdy zaś pewien wspólny znajomy, w jednym ze swych artykułów, okazał, zdaniem Kota, ustępliwość wobec endecji, otrzymał odeń wielostronicowy list z rozbiorem i krytyką wyrażonych w tym artykule poglądów. Paradoksom polskiego nacjonalizmu Jeleński poświęcił zresztą wnikliwy referat wygłoszony na kolokwium zorganizowanym — z jego inicjatywy i przy jego czynnym udziale — w pierwszą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Bowiem polemika z endecją była dlań równie aktualna dziś, co w latach pięćdziesiątych, gdy wpisał się w nią kilkoma artykułami, które trafiały kiedyś do antologii polskiej myśli demokratycznej. A może nawet jeszcze bardziej, gdyż orientacja ta żywotna jest obecnie nie tylko na emigracji. Nie dziwi, że jej językiem posługuje się władza, ta — jak pisał Jeleński w 1968 roku — „garstka zupaków”, która „nawiązuje do najgorszych tradycji narodowych ciemnogrodów”. Echa jej głosu pobrzmiwają jednak, co bardziej niepokojące, w wypowiedziach niektórych dostojników Kościoła, a jeszcze wyraźniej — u niektórych publicystów świeckich, którzy występują w roli jego rzeczników. Jej wpływ rozciąga się również na pewne odłamy opozycji.

Wspominałem, że Jeleński w żadnym realnym miejscu nie czuł się chyba bez zastrzeżeń u siebie. Czuł się tak, jak sędzę,

wyłącznie w kulturze polskiej, która istnieje zapewne w szczególności i niepowtarzalnym stężeniu tam, gdzie trzydzieści sześć milionów osób mówi żywą, codzienną polszczyzną i gdzie tysiącletnia tradycja, powielana w zachowaniach jednostek i zbiorowości, utrwaliła się w krajobrazach i zabytkach, ale która nie jest do żadnego realnego miejsca przypisana, odtwarza się bowiem i odnawia w Maisons-Laffitte, Londynie i Monachium, w San Francisco, gdy nad tamtejszą zatoką ma swe widzenia Miłosz, czy w Neapolu przyswojonym naszej duchowej geografii przez Herlinga — jak niegdyś w Buenos Aires, gdy pisał tam Gombrowicz, jak na Syberii czy w Kazachstanie ubiegłego stulecia i stalinowskich wywózek, jak bez przerwy, od dwustu niemal lat, w Paryżu i w Rzymie. Otóż w sporze między endecją a nami wszystkimi, którzy — jak Jeleński — uważamy jej wpływy za zgubne, choć skądinąd różnymi się między sobą, chodzi nie tylko i nie przede wszystkim o sprawy polityczne. Chodzi o coś nieporównanie bardziej doniosłego: o samo rozumienie Polski, polskości, kultury polskiej. Program endecki zakłada odwrócenie się od Zachodu, zamknięcie w narodowym samouwieleniu i w katolicyzmie pozbawionym wszakże w praktyce swego wymiaru uniwersalnego, który przekreślają zachowania jednostkowe i zbiorowe skażone skrajnym etnocentryzmem. Zakłada też przejście z tradycji tego tylko, co daje się pogodzić z wzorcem „Polaka-katolika”. Dla Jeleńskiego kultura polska stanowi część kultury europejskiej, do której wnosi własne, unikalne wartości i od której nie może się izolować pod groźbą wyjałowienia. Przy czym nie jest tak, by kultura europejska mogła być utożsamiona z katolicyzmem czy nawet z chrześcijaństwem; jest ona niezbywalnie pluralistyczna, wewnętrznie skłócona, trawiona konfliktem w obrębie samego *sacrum* oraz między *sacrum* a *profanum*, między partykularyzmami narodowymi a uniwersalnością, między „ludem” a „elitami”. Z podobnych konfliktów i napięć czerpie swe bogactwo również kultura polska, z której nie sposób — bez zubożenia jej i zniekształcenia — usunąć wkładu Żydów, Niemców, Ukraińców i Litwinów, jak nie sposób usunąć z niej ani kalwinów i arian, oświeceniowych farmazonów, romantycznych bluźnierców czy socjalistów, ani katolików jezuickiego chowu, sarmatów o podgolonych łbach, Towiańczyków i Zmartwychwstańców, czy nawet endeków. Wyłożenie w *The History of Polish Literature* takiej właśnie pluralistycznej wizji kultury polskiej Jeleński uważał za jedno z wielkich osiągnięć Czesława Miłosza, toteż niestrudzenie zabiegał o wydanie jego dzieła po polsku w nadziei, że okaże się to skutecznym lekarstwem na polskie stereotypy i polskie kompleksy.

Każdy z nas wystawiony bywa na pokusę manicheizmu, ale nie każdy potrafi się jej oprzeć. Kot był chyba najmniej manichej-

ską umysłowością, jaką kiedykolwiek spotkałem. Choć „socjalizm realny” bezwarunkowo i jednoznacznie potępiał, choć nie znajdował dlań żadnego usprawiedliwienia, nie utożsamiał go wszelako ze złem absolutnym. Był w tym — jak w całym swym nastawieniu — bardziej historykiem, empirykiem i pragmatykiem niż ideologiem. Nie uważał też, że cokolwiek wrogi jest „realnemu socjalizmowi” zasługuje z tego tytułu na bezwarunkową aprobatę. W szczególności zaś nie znosił przekonania, że diabła można wypędzić tylko Belzebubem i że zatem skuteczna walka z sowieckim totalitaryzmem, w wersji oryginalnej lub uwzględniającej polskie swoistości, wymaga zamknięcia oczu na zbrodnie niektórych jego przeciwników lub na naruszanie praworządności czy demokracji przez innych. Świata, w którym żyjemy, nie dzielił na dwie części: równomiernie czarną i równomiernie białą. Widział w nim raczej wielobarwną mozaikę o dość zawiłym rysunku, która tylko gdzieniegdzie zawiera poacie jednolitej czerni, zaś czystej bieli nie ma nigdzie. Uznanie rzeczywistości za złożoną i wstręt do umysłowego prostactwa stanowiły o niepodatności Jeleńskiego na wszelkie doktrynerstwo i fanatyzm; nawet w jego polemikach z endecją nie ma zaciętrzewienia czy chęci słownego zniszczenia przeciwnika. Podobną cechą odznaczają się jego wypowiedzi na temat „realnego socjalizmu” i jego piewców: dźwięczy w nich często szyderstwo, ale bez nienawiści. Odporność Jeleńskiego na doktrynerstwo i fanatyzm przejawiała się bowiem w konsekwentnym odróżnianiu przezeń ustroju, który potępiał i zwalczał, od jednostek, które usiłował zrozumieć. Zdawał sobie sprawę, że zło w świecie ma za sprawców nie tylko złych ludzi działających z niskich coraz pobudek, ale również — kto wie, czy nie częściej — ludzi skądinąd czcigodnych, ożywionych czystymi i dobrymi intencjami. Mechanizm, który to powoduje, który przeinacza, znieprawia i zmienia w ich własne przeciwieństwo piękne słowa, wzniosłe czyny i szlachetne zamiary, szczególnie interesował Jeleńskiego w zjawisku komunizmu. Świadczy o tym niezwykle artykuł, jakim pożegnał Tuwima w 1954 roku. Oraz, jeszcze dobitniej, otwartość i życzliwość, jakie okazywał przyjeżdżającym z Polski coraz liczniej po 1956 roku pisarzom i artystom, często eks-komunistom lub byłym *compagnons de route*, czym przyczynił się, jakże istotnie, do przełamania lodów między emigracją polityczną a intelektualistami z Kraju. W jednym ze swych szkiców Jeleński zwrócił uwagę na „fakt, jak mało stosunkowo znaczą w literaturze tzw. «opinie» czy «światopogląd», o ile ważniejsze są cechy osobiste: zdolność obserwacji, inteligencja, wrażliwość, samodzielność sądu, przywiązanie do prawdy”. Stosował to nie tylko do literatury, a tym, w których te cechy dostrzegał, świadczył szacunek i przyjaźń, nie zważając na ich wcześniejsze uwikłania polityczne, gdy tylko

miał podstawy sądzić, że działali w dobrej wierze i nigdy nie popełnili czynów niegodnych.

Jak Gombrowicz i Mieroszewski, jak Herling i Miłosz, Jeleński, gdyby nie *Kultura*, nie urzeczywistniłby zapewne wielu swych możliwości. To w *Kulturze* ukazały się przecież niemal wszystkie jego artykuły pisane po polsku lub przez niego na polski przełożone; nie trzeba być wielkim znawcą dziejów czasopiśmiennictwa emigracyjnego, by wiedzieć, że — z nielicznymi bardzo wyjątkami — mogły one być ukazać się tylko tam. Ale *Kultura* była dla Jeleńskiego nie tylko miejscem, gdzie drukował swe utwory. Była czymś o wiele ważniejszym: „formą zbiorowej komunikacji z kilkoma ludźmi rozrzuconymi po świecie, z którymi przeważnie nie sposób było spotkać się raz na tydzień w kawiarni”. Inaczej mówiąc: formą uczestnictwa w tej idealnej kulturze polskiej, która istnieje wszędzie, gdzie żyją jej twórcy. I na tym jednak nie koniec. Z Józefem Czapskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, Zofią i Zygmuntem Hertzami łączyła go głęboka przyjaźń, a z samym pismem i jego redaktorem naczelnym — wspólnota pewnych podstawowych wartości, „wrogość wobec tego składnika polskiej tradycji, jakim jest nacjonalizm”, krytyczna ocena Dwudziestolecia, przywiązanie do przeszłości ale bez nostalgii, otwarcie na sprawy kraju. Piszę o tych sprawach, dziś chyba oczywistych, by jakoś streścić niezliczone rozmowy z Kotem na temat *Kultury* właśnie, jej współpracowników i jej redaktora naczelnego. Przyjechałem z Warszawy pełen uprzedzeń właściwych środowisku, z jakiego się wywodzę, i czternaście lat temu o wiele silniejszych niż teraz, choć nadal nie do końca chyba przewyciężonych przez wszystkich moich warszawskich przyjaciół. Moja droga do Lafitu prowadziła — mówiąc skrótowo — przez dwa miejsca, gdzie te uprzedzenia uległy stopniowo wykarczowaniu: przez mieszkanie Kota na rue La Vrillière i przez piętorko w kawiarni Cluny, w której spotykamy się zazwyczaj z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. To oni — a zwłaszcza Kot, choćby dlatego, że widywałem go częściej niż Gustawa — pozwolili mi zrozumieć *Kulturę* i przyjąć tam pewnego dnia trochę tak, jak przychodzi się, po długim błędzeniu, do znajdującego wreszcie domu. To pod ich wpływem, w latach 1978-1979, gdy wraz z Pierre'm Nora i Marcelem Gauthierem przygotowaliśmy *Le Débat*, było już dla mnie oczywiste, że musi się w nim ukazać artykuł o *Kulturze* i że powinien być napisany przez Jeleńskiego; pomyśl ten doczekał się realizacji słonecznym latem 1980 roku. *Kultura* wracała zresztą w naszych rozmowach również później. Gdyby nie pomoc Kota i jego rady, nie wiem, czy udało by się doprowadzić do wystawy Czterdziestolecia, której francuski katalog przejrzał uważnie w maszynopisie, a w kilku punktach — skorygował i uzupełnił. A z wielu

obrazów, na których przechowam w pamięci jego postać, w tej chwili tkwi mi przed oczami scena z wernisażu tej wystawy: Kot z Leonor Fini przed gablotą poświęconą Stempowskiemu, Czapkowskiemu i Jeleńskiemu.

Nie idealizujmy jednak. Stosunki Kota z *Kulturą* nie zawsze były harmonijne. Łatwo to zrozumieć. Wspólnota wartości wyznacza zasadnicze wybory, ale w życiu codziennym większą od niej rolę odgrywają często charaktery ludzi i wymagania instytucji. Jerzy Giedroyc powiedział kiedyś o *Kulturze*, że jest zakonem. Aby być członkiem tego zakonu, nie trzeba było koniecznie mieszkać w Laficie. Mieroszewski nigdy tam nawet nie był, gdyż nigdy po wojnie nie wyjechał z Anglii, ale w zakonie *Kultury* piastował wysoką godność, gdyż złożył jej śluby wierności i podporządkował cały swój sposób życia. Jeleński nie miał temperamentu zakonnika. Był człowiekiem światowym. Poza pisanem do *Kultury* zajmował się wieloma innymi sprawami, a w latach, gdy działał w Kongresie, reprezentował instytucję, z którą stosunki *Kultury* były — najogólniej mówiąc — złożone, choć Józef Czapski i Jerzy Giedroyc stali u jej kolebki. W ciągu lat współpracy zdarzały się też rozbieżności bardziej zasadnicze, które dotyczyły zwłaszcza spraw krajowych i stosunku do lewicy zachodniej. Jednym z takich tematów spornych było nieustępliwe dążenie Jerzego Giedroycia do nawiązania i utrzymania ścisłych związków ze środowiskiem dysydenckim, a później — opozycyjnym w Polsce, w czym Kot upatrywał niepotrzebne narażanie ludzi na niebezpieczeństwo. Tak właśnie ocenił kiedyś u nas w domu wydawanie *Kultury* i książek Instytutu Literackiego w formacie kieszonkowym, nie wiedząc, jak i my wtedy, że apelowali o to od dawna sami czytelnicy krajowi. Innym zarzutem Kota wobec *Kultury* było jej rosnące — zwłaszcza od drugiej połowy lat siedemdziesiątych — upolitycznienie, które istotnie zepchnęło tematykę literacką jak gdyby na dalszy plan. Skądinąd zaś Kot był osobowością tak różną od Jerzego Giedroycia, że przy najlepszej woli musiałby powstawać między nimi tarcia i zadrażnienia. Tym bardziej zdumiewa fakt, że ich współpraca przetrwała trzydzieści sześć lat i że Kot żywił dla Redaktora autentyczny podziw, temperowany wprawdzie domieszką krytycyzmu, który jednak w niczym nie zmniejszał jego głębokiej uczuciowej więzi z *Kulturą* ani jego umiejętności zaszczepiania jej innym.

Jako postać publiczna, zwłaszcza podczas ostatnich piętnastu lat, Jeleński, widziany z oddalenia, mógł wydawać się kimś niemal apolitycznym. Nie podpisywał petycji i protestów, nie ogłaszał w gazetach artykułów na aktualne tematy, nie występował na zgromadzeniach; jego wypowiedzi dotyczyły książek, obrazów, problemów kultury. Były to tylko pozory. Zawsze czynny, po-

został taki do ostatnich dni. Widziałem przecież ile czasu poświęcał całymi latami sprawom Fondation pour une Entraide Intellectuelle Européenne i jak bardzo przejmował się jej losami, przekonany, jak najsluszniej, że ta skromna instytucja w istotnej mierze umożliwia intelektualistom z krajów bloku sowieckiego utrzymanie kontaktu z kulturą Europy zachodniej. Od chwili pojawienia się w Polsce opozycji demokratycznej Kot był całym sercem po jej stronie; zaświadczył o tym m.in. pracą, jaką włożył w przygotowanie francuskiej edycji książki Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*, która tylko dzięki niemu doszła do skutku. A jest to zaledwie jeden przykład codziennych zabiegów, których pełny wymiar odsłaniał się tylko z bliska: recenzji wewnętrznych, tłumaczeń, telefonów, zebrań, listów, mających na celu dopomożenie ludziom i dziełom.

Jego reakcją na 13 grudnia 1981 roku było bezzwłoczne podjęcie starań o subwencje dla wydawnictw emigracyjnych, by mogły publikować teksty napływające z Kraju, co do których przypuszczało, że będzie ich więcej niż przedtem w następstwie represji wobec „drugiego obiegu”. Już w styczniu lub lutym 1982 roku spotkaliśmy się, Kot i ja, z Francisem Suttonem, ówczesnym wiceprzewodniczącym Fundacji Forda, którego Kot namówił bodaj na przyjazd do Paryża, aby przedstawić mu szacunek potrzeb i wstępne projekty. Po dalszych dwóch lub trzech miesiącach, w ciągu których Kot napisał, jak przypuszczam, kilkadziesiąt listów i przeprowadził kilkaset rozmów telefonicznych — a robił to przecież w czasie wolnym od pracy w Institut National d'Audio-visuel — odbyło się zorganizowane przezeń w domu *Kultury* pierwsze zebranie poświęcone utworzeniu Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej. O tym, czym Fundusz zajmował się przez pięć lat swego istnienia, każdy może dowiedzieć się ze sprawozdania, ogłoszonego przez Komitet Wykonawczy. Z natury rzeczy nie ma w nim jednak mowy o roli Kota: o tym, że podczas pierwszych miesięcy istnienia Funduszu pełnił funkcję koordynatora, zwoływał zebrania, często u siebie, redagował niezbędne dokumenty; że w ciągu całych pięciu lat poświęcał sprawom Funduszu wiele uwagi, że w każdej sytuacji można było na niego liczyć i że było tak aż do ostatniego posiedzenia Komitetu Wykonawczego 27 marca bież. roku. Obok tego znajdował czas na pilnowanie interesów Polskiego PEN-Clubu, które były przedmiotem jego spotkań z Alexandrem Blochem i René Tavieren'em, i obfitej korespondencji. I nadal zajmował się wszystkim, co absorbowało go również w poprzednich latach. Nie zaniedbał chyba żadnej sprawy, którą uważał za godną poparcia — dyskretny i sprawny zarazem duch opiekuńczy kultury polskiej na świecie.

Wiersze, powieści i obrazy były dla Kota czymś znacznie

ważniejszym niż tylko tematami esejów — częścią osobowości. Wracały w rozmowach i w listach, określały jego tożsamość. Żył nimi. W malarstwie współczesnym najwyższej cenił nadrealistów, a z Polaków — Czapskiego i Lebensteina. W literaturze polskiej — Gombrowicza, Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego i Herberta. Łatwo zauważyć, że wszyscy ci malarze i pisarze byli również jego przyjaciółmi i że uznanie krytyka spletało się tu nierozłącznie z poczuciem osobistej bliskości. Nie znaczy to, jakoby oceny dzieł zależały u Jeleńskiego od stopnia jego zażyłości z ich autorami. Ale znaczy, że w doborze przyjaciół kierował się, po części chyba bezwiednie, stosunkiem do ich utworów, przynajmniej gdy szło o osoby uprawiające literaturę i sztukę. Nim poznał Gombrowicza, przeżył olśnienie *Ferdynandem*, a *Ocalenie* zachwycało go wiele lat przed spotkaniem Miłosza; podobnie obrazy Lebensteina odkrył dla siebie nim ich autor zjawił się w Paryżu. Takich przykładów da się przytoczyć więcej. Zresztą Jeleński nie cofał się ani przed odsłanianiem słabości utworów, które omawiał, ani przed zgłaszaniem wątpliwości czy zaznaczaniem niezgody z poglądami przyjaciół, choć zapewne większą przyjemność sprawiało mu wyrażanie aprobaty. Był przykładem krytyka, dla którego dzieła istnieją nie jako zamknięte w sobie, autonomiczne struktury, ale jako emanacje żywych ludzi — uważał zatem, że z tymi ludźmi trzeba się niejako utożsamić, jeśli chce się właściwie odczytać dzieła same. Toteż przyjaźń z autorami, którą kultywował jako wartość samoistną, była dlań również kluczem do zrozumienia ich dzieł.

Wybór utworów, który przesądzał poniekąd o wyborze przyjaciół, nie był u Jeleńskiego następstwem kaprysu czy przypadku. Zapewne jakąś rolę odgrywały w tym jego ulubione „zbiegi okoliczności”. Zasadniczo jednak jego upodobania artystyczne i literackie były pochodnymi postawy, jaką sam zajmował wobec tradycji. Jeleński nie był w żadnej mierze tradycjonalistą; pa-seistyczne odwracanie się od terażniejszości było mu z gruntu obce. Ale nie był też w żadnej mierze wyznawcą, choćby plato-nicznym, futurystycznego odcinania się i od tradycji, i od teraż-niejszości. Uważał, że tradycji nie trzeba sztucznie konserwować i że nie trzeba też z nią zrywać. Wystarczy wyrastać z niej spon-tanicznie i naturalnie, jak wyrasta się z dzieciństwa i młodości, których wiek dojrzały jest przedłużeniem, choć się do nich prze-cież nie sprowadza, i o których pamięta, choć nauczył się wiele nowego. Ta postawa wobec tradycji, znamienna dla doświadczo-nych przez historię ludzi późnego Oświecenia, wyznaczała zarów-no poglądy polityczne Jeleńskiego, jak jego kryteria estetyczne. W polityce odrzucał pospół rewolucję i reakcję; w literaturze i sztuce — awangardę i akademizm. Uznawał natomiast w poli-tyce rozsądny reformizm, a w literaturze i sztuce — krytyczne

nawiązywanie do tradycji: niekiedy polemiczne, prześmiewcze lub zgoła kontestatorskie, niekiedy tylko wybiórcze, ale zawsze świadome odrębności czasu teraźniejszego i przyszłego, od tego, który już minął, i powodowanej tym absurdalności powielania dawnych wzorów. Nie sposób tu dowieść i dowodzić chyba nie trzeba, że dzieła malarskie i pisarskie przyjaciół Jeleńskiego odznaczają się różnorodnym wprawdzie, ale zawsze krytycznym nawiązywaniem do tradycji. Odsłania się tu wspólnota zasadniczych przekonań, która stanowiła, niezależnie od ewentualnych powierzchownych rozbieżności, ostateczną i trwałą podstawę uznania, jakim ich darzył i bliskości z nimi, do jakiej się poczuwał.

Wspomnienia nie mają końca, a skończyć trzeba. Jeleński należy już do historii, Kot — do pamięci przechowującej to, co odtąd na zawsze niewidzialne. „A czas niewrotny jak bieży, tak bieży”

Krzysztof POMIAN

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Konstanty: polskie tło

Skąd ten mój wewnętrzny zamęt po śmierci Jeleńskiego? Ostatnie nasze spotkania mnie dziwiły. Nie rozumiałem dlaczego zaczyna wyglądać staro. Że ma 65 lat, nie chciało to przeniknąć do mojej świadomości. Mógł być tylko młody, starość była dla niego nieestosowna. Młody, przystojny, obyty w świecie, śmiały, bardzo męski, czarujący w rozmowie, władający czterema językami, miłośnik książek, intelektualista, znawca nowoczesnego malarstwa: aż tyle zalet w jednym człowieku? Jakby angielski szlachcic z renesansowych portretów, może Sir Philip Sidney, żołnierz i poeta. Szukałem powodów mego zamętu i doszedłem, prowizorycznie przynajmniej, do pewnych wniosków. Straciłem w nim czytelnika numer jeden, to znaczy takiego, któremu pokazywałem wiersze przed oddaniem ich do druku i którego opinia najwyżej się liczyła. Chodzi jednak o co innego: *jeszcze* nie odbyłem z nim rozmowy na temat mnie tylko znany i teraz już było za późno.

Próbuję przedstawić w skrócie jakie nici są tu do rozplątania. Bywają bardzo szczególne odmiany zazdrości. Na przykład kiedy w parę dziesiątków lat po drugiej wojnie światowej zaczął zmieniać się klimat polityczny we Francji i tak zwani dysydenci tudzież nowi emigranci przestali być uważani za moralnych potworów i faszystów, odczuwałem żal, że tym nowym, Polakom, Czechom, Rosjanom przychodzi tak łatwo to, co mnie przychodziło tak trudno. Byli akceptowani towarzysko, przyjmowani, zapraszani, dostawali stypendia i kontrakty, natomiast ja, ileś lat przedtem, byłem na indeksie i nawet kiedy szukałem tłumacza, ktoś w Paryżu powiedział, że bardzo chętnie, ale nie może, bo jakby mnie tłumaczył byłby spalony. Mogłem pisać tylko do pism też na indeksie, jak *Kultura* albo *Preuves* — periodyk amerykański a więc trefny.

To prowadzi do nieco podobnej odmiany zazdrości wobec Kota Jeleńskiego. Ale zanim do tego przejdę, trochę spostrzeżeń ogólnych. Jeleński dla ludzi mu bliskich, Polaków, Włochów, Francuzów, był tym, który wynurza się z innego, obcego im żywiołu i przebywa z nimi w ich żywiole, żeby z kolei w tamtym innym zniknąć. Dla Leonor Fini i ich domostwa, gdzie mówiono po włosku, wynurzał się z polskości i swoich polskich kontaktów, stamtąd gdzie pito wódkę i prowadzono nocne rodaków rozmowy. Dla Francuzów, Amerykanów, Anglików przybywał ze swojej strefy włoskiej. Ale z kolei wobec Polaków był więcej niż jednym Jeleńskim, nie tylko z powodu swego „wynurzenia się” spośród cudzoziemców, także dlatego, że należał równocześnie do kilku warstw polskiego myślenia i obyczaju. Ludzie młodszych pokoleń mogli z nim rozmawiać jak z kolegą o literaturze czy polityce nie pamiętając albo nie wiedząc, że wlecze za sobą cały łańcuch koligacji arystokratycznych i rodowych snobizmów, że mimo swojej krnąbrności jest uważany za swego w sferach emigracji 1939 roku, tej lepiej urodzonej. Są tu znaczne podobieństwa z Gombrowiczem i Konstanty był tak oddany szerzeniu sławy autora *Ślubu* nie tylko dlatego, że we wczesnej młodości oczarowała go powieść *Ferdynand*. Gombrowicz też był co najmniej podwójny, może potrójny. Tak w swoją rodzinę ziemiańską włączony, że drażnienie się z nią i pokazywanie języka stanowiło napęd jego twórczości, uciekał od niej do kawiarnianego stolika literatów, po to tylko, żeby ich zarażać heraldyczną manią. Wyruszył później na podbój świata jako pisarz i wymagał, żeby uznano jego niezwykłą inteligencję oraz talent, jak też żeby przyjęto go takim jaki był, polskim szlachcicem — a przecie zostawała duża reszta, polsko-prowincjonalna, zbyt już zawiała, nie do przemienienia w dzieło.

Włoskie parantele Konstantego pomnę, choć nie bez znaczenia był fakt, że drugim jego językiem był włoski. Zatrzymam się na Jeleńskich. Była to stara rodzina Wielkiego Xięstwa Litewskiego, tak jak Gombrowiczowie, tylko trochę wyżej. Herbarze i pamiętniki wprowadzają nas w tamto środowisko kresowe, w kraj wujów, ciotek i bliskich znajomych naszego Kota. Jego kuzynką była Janina z Puttkamerów Żółtowska, prawnuczka mickiewiczowskiej Maryli, autorka pamiętników *Inne czasy, inni ludzie*, wydanych w Londynie w roku 1959, o której to książce Konstanty napisał jeden z piękniejszych swoich esejów. Te same nazwiska i nazwy majątków co u Żółtowskiej występują też w kronice rodzinnej innego ich krewnego, profesora Kieniewicza.

Prawnuczka hrabiny Marie Puttkamer pogrążona była w swojej epoce dla osób jej pokroju zakończony z rokiem 1914, a przecie jakoś trwającej do roku 1939, a w emigracyjnym Londynie, gdzie pisała drugi tom swoich wspomnień (dotychczas nie

wydany) i dłużej. Obyczaj polskich dworów na Litwie zmienił się tak powoli, że sto czy dwieście lat niewiele się liczyły i jej książkę można położyć obok wspomnień i pamiętników z czasu Filomatów. Jest ona cennym świadectwem ponieważ jej autorce nie przychodzi do głowy, że towarzyskie obrzędy kasty którą opisuje mogą wydać się komuś nieskończenie egzotyczne, a cały szlachecki mikrokosmos potrafi budzić uczucia litości i grozy, tym bardziej że pamiętamy gdzie, w jakiej szklanej kuli zawisł, wśród mówiących innym językiem chłopów i obok miasteczek o jeszcze innym języku, jidysz. Żółtowska swój dar obserwacji i złośliwy język ćwiczy na odgadywaniu osób i rodzin, uprawiając, rzeklibyśmy, krytykę wewnętrzną, taką, jaką Jeleński czy Gombrowicz nieraz w domu słyszeli. Ale oni oglądają polski dwór będąc i wewnątrz i już na zewnątrz, już oknami włączając do środka parobcy jak w ostatniej części *Ferdynanda*, i nic dziwnego, że szesnastoletni Konstanty tak się tym utworem zachwycił: rozpoznał w nim swój własny humor dystansu, przykryty na co dzień towarzyską oglądą.

Kuzynka Konstantego swoich rodzinnych sekretów nie zdradza. Mogłaby na przykład opowiedzieć, dlaczego Maryla próbowała otruć się laudanum — czy dlatego że była w ciąży, i z kim? W ogóle ta wsławiona w literaturze postać nie zdaje się być w łaskach u prawnuczki, która do poezji ma stosunek zdrowy, jako do niepoważnego zajęcia, a być może po prostu bredni. Czytając ją, uświadomiłem sobie jak dużą dozę literackiej legendy pakowało w nas moje gimnazjum imienia Króla Zygmunta Augusta w Wilnie. Pamiętam jak odwiedził naszą szkołę Władysław Mickiewicz, syn Adama, widzę go do dziś — podobny do ojca i na ojca, przez białą grzywę, ustylizowany. (Później, jako ubogi student w Paryżu, pomagałem porządkować jakieś papiery wnukowi Adama, Goreckiemu; myślałem, że będzie coś płacić, ale był skąpy i jako zapłatę dawał tylko dwa bilety metra). Któreś wiosennej niedzieli wyższe klasy naszego gimnazjum pojechały na szkolną wycieczkę pociągiem do stacji Bieniakonie, stamtąd pieszo przez las do Bolcienik, gdzie pokazano nam borek Maryli. Odkryło się tam podobno jej ostatnie spotkanie-rozstanie z Mickiewiczem. Legenda miłości wniosłej tych dwojga była tak silna, że nie zastanawialiśmy czy jest stosowne żeby zameżna kobieta spotykała się ukradkiem w nocy z młodym mężczyzną. Ale dla Żółtowskiej Bolcieniki znaczyły coś zupełnie innego, był to po prostu rodzinny majątek. Podobnie Jaszuny to były Jaszuny Balińskich. Dla mnie nazwa ta długo oznaczała stację w lasach, zwłaszcza sosnowego drewna, zapach żywicy, koleiny piaszczystej drogi którą jeździłem jednokonnym wózkiem prawie co dzień odwiedzając albo przywożąc gości do naszego domku w Raudonce. W Jaszunach wsiadali wczesną wiosną myśliwi wracający z głuszco-

wych toków w Puszczy Rudnickiej, podziwiałem ich zdobywcę, ogromne brodate koguty, niesione pionowo, czasem w opakowaniu z jedliny. Dopiero później zaczął dla mnie istnieć odległy o kilka kilometrów od stacji dwór, ale tylko dlatego, że jak dowiedziałem się z lekcji bywał tam Juliusz Słowacki i jeździł konno z Ludwiką Śniadecką po tych właśnie znajomych lasach. Notuję to, żeby pokazać moje bardziej literackie spojrzenie na świat Żółtowskiej, od którego byłem o stopień dalej niż Jeleński czy Gombrowicz, niemal już całkowicie na zewnątrz.

Głównym tematem jej wspomnień nie są żadne tam mrzonki, ale bardzo konkretne handlowe transakcje czyli kłopoty rodziców z tak zwanymi pannami na wydaniu. Towarzystwo jednolite, społeczeństwo to dzieliło się na ściśle odgraniczone od siebie sfery, zależnie od wysokości posagu, znało „złe partie” i „dobre partie”, tudzież instytucję karnawału i prawie codziennych wtedy balów służących do pokazywania urody kandydatek. Opis karnawału w Krakowie, bodaj w 1908 roku, daje pojęcie o ciężkiej pracy mam które spędzały popołudnia na składaniu wizyt a noce pod ścianami w sali balowej na przyglądaniu się z kim córki tańczą i jakimi partiami są poszczególni młodzi panowie. Zdarzało się, że na salę wkraczał młodzieniec wyjątkowo bogaty, a wtedy mamy i córki nawiedzało drżenie, jak mówi Żółtowska, „jakby odynieć wyszedł na strzał”. A działo się to równocześnie z szafami Młodej Polski, co zaprasza do zamyślenia się nad jakąś zasadniczą niezbornością, nierównoległością dziejów ciała i ducha, może nie różną od tej na początku ubiegłego stulecia.

Jak formował się wolnomyślny, tolerancyjny, antyklerykalny umysł Jeleńskiego, ile zaważył na jego wychowaniu dwór, skąd taki sposób myślenia u chłopca z Polski Dwudziestolecia? Dzisiaj tamta Polska jest idealizowana i zapomina się o rozpaczliwej liberalizacji i socjalizacji, których przegrana stawała się w okolicach 1930 roku coraz bardziej widoczna. Sporo wiadomości o tym można znaleźć w esejach Jerzego Stempowskiego, łącznie z jego opowieścią o tym jak w walizce wywoził z Warszawy protokoły masonskiej loży — a nagonka na masonię miała wówczas symboliczne znaczenie. Wtedy nie było tego widać, ale dzisiaj jawi mi się wyraźnie, że dwie tradycje myśli w Polsce, dwie odmiany odczuwania, niemal dwa światopoglądy, co raz to wchodzą ze sobą w kolizję, choć niby to razem pełniły służbę. Myślę o trzeźwym Oświeceniu i mniej trzeźwym romantyzmie, który wprowadził pojęcie więzi etnicznej i przez to ożywił niepodległościowe dążenia Polaków, Czechów, Węgrów, Chorwatów itd. Oświecenie było francuskie, romantyczna idea narodu z Niemiec (od Herdera) rodem, kultywowana nie bez odwetowych zajadów po klęskach zadanych Germanom przez Napoleona. Siła tej idei w Polsce okazała się olbrzymią i ona to, rosnąc, przybierając co raz to

nowe i niespodziewane kształty, poprzez Ligę Narodową na przełomie stuleci aż po rok 1939 rządziła sercami, jeżeli nie umysłami. Otóż nie jest jasne, dlaczego poszlacheccy pisarze urodzeni we dworze — przeważnie kresowym — okazywali wobec niej znaczny opór, zupełnie inaczej niż ich romantyczni pradziadowie, i niewyrażniej żywili oświeceniowe sympatie. Jerzy Stempowski, podobnie jak jego ojciec Stanisław, byli sceptykami na wolteriańską modłę, Stanisław Vincenz zrostu katolicko-polskiego nie lubił, ateista Gombrowicz przeciwko męczeńskiej wspólnotie czyli Polsce-bogini występował, Józef Mackiewicz tak zachowywał się na swoim pisarskim gospodarstwie, jakby romantyzm z Wilna na zawsze wyemigrował do Królestwa i tam, już prawniczo, stał się polskości znamieniem, Wilno zostawiając pośmiertny triumf sarkastycznych osiemnastowiecznych masonów. A i Ksawery Pruszyński, mimo swego sentymentalizmu niszczącego talent, niezbyt w plemiennej mistyce gustował. W jaki sposób te skłonności łączyły się z obyczajem dworów Żółtowskiej, nie rozumiem i nie podejmuję się tłumaczyć. Tyle że wymieniacząc nazwiska mówię: ciepło, ciepło, bo Jeleński wśród nich się mieści. Wyjechał z Polski w 1939 roku mając lat siedemnaście, ale wyraźnie już ukształtowany. Po końcu wojny, w Polsce Ludowej, dużo pisano o Encyklopedystach, o Oświeceniu, o Staszicu i Kołłątaj, przejmując nawet nazwę pisma — „Kuźnica” — że niby marksiści mają być prawowitymi następcami tamtych polskich sprzymierzeńców Francji laickiej. Później wstręt do tej maskarady „na etapie” zadziałał tak gruntownie, że nikt nie ośmiela się dzisiaj pisać o Polsce Dwudziestolecia jako kraju gdzie było „za dużo święconej wody, za mało zwykłego mydła” i gdzie rozum (laicki) nielicznej mniejszości próbował bezskutecznie bronić się drwiną przed naporem ciemnych zbiorowych uniesień, błogosławionych, nie ma co ukrywać, przez znaczną część kleru. Młodociany Jeleński wiedział dobrze co o tym sądzić i ta zasadnicza orientacja została mu na całe życie — a była, moim zdaniem, konieczna żeby ten przyjaciel ścisłego deterministy Jacques Monoda mógł zaprzysiąc także z księdzem Józefem Sadzikim, duchownym głębokiej wiary, brać niepośledni udział w zbliżeniu pomiędzy intelektualistami i Kościołem, tudzież tłumaczyć na francuski wiersze Jana Pawła II. Jestem pewien, że Konstanty byłby zadowolony z tego co o nim teraz piszę. W ostatnich latach ze smutkiem obserwował w Polsce nawroty bynajmniej nie oświeconego klerykalizmu, co wydawało mu się, a byliśmy w tym zgodni, przepaszczaniem wielkich duchowych osiągnięć powojennego okresu.

Oto temat rozmowy, której już z nim nie odbędę. Zazdrościłem mu wdzięku i umiaru w dystansowaniu się od tamtej Polski przedwojennej, czy może humoru, który pozwalał mu i wyłączać

się i przynależeć. Dlaczego mnie przychodziło tak trudno, skąd te bezmiary romantycznego uwikłania i wstrętu, te chwile uświadomienia, kiedy mróz przebiega po plecach? Histeria izolowanej jednostki wobec kraju, który najoczywściej się zmieniał, zostawiając za sobą dwór pani Żółtowskiej — ostatecznie pierwszy tom jej wspomnień napisany przed rokiem 1939 sama uznaje za dotyczący „innych czasów, innych ludzi” — przesuwając się ku wspólnocie plebejskiej, ku „zabawie ludowej” swego barda Gałczyńskiego, która ładnie łączyła się u niego z „nocą długich noży” mającej czekać liberałów. Zapytałbym Jeleńskiego czy wtedy, wobec tak wyraźnego absurdu, młodociany umysł oponenta mógł znaleźć inne rusztowanie intelektualne niż w marksizmie i czy rozmawiał o tym ze swoim szkolnym kolegą Krzysztofem Baczyńskim uważającym się za marksistę. A jeżeli Konstantego ominęła faza skrajnie lewicowa, to jakie powściągi działały? Towarzyskie? Dobrego smaku? Intuicyjne? Patriotyczne? I jaką funkcję spełniała wtedy łączność z ziemiańską, bądź co bądź, rodziną?

Nie twierdzę bynajmniej, że nasze umysłowe spotkanie w jego latach paryskich oznaczało tożsamość naszych filozofii czy upodobań. Ostatecznie i wobec mnie Kot, zagadkowy, „wynurzał się” spoza swoich zasłon, stamtąd gdzie był kimś innym. W jednym przecie byliśmy zgodni — w ocenie dzieł i spraw polskich.

Kiedy zdarzało mi się pisać o ateistach błogosławionych, miałem na myśli, nie ukrywam, przede wszystkim Jeleńskiego. Jeżeli ludzie wierzą w pośmiertną karę albo nagrodę, łatwiej ich szlachetne postęпки do tej wiary przypisać. Kot miał ogromną potrzebę niesienia bliźnim pomocy i podobny był w tym do innego naszego wspólnego przyjaciela, Zygmunta Hertza. Gdyby zebrać głosy tych wszystkich, którzy doznali jego czynnej życzliwości, zebrałaby się monumentalna księga. Nadaję tym jego czynom głębsze, metafizyczne uzasadnienie: na ziemi opuszczonej przez Boga, oddanej we władzę zła, tylko człowiek ma dar współczucia, niech więc robi co może, żeby zmniejszyć sumę cierpień — Kot zdawał się rozumować tak, jak rozumował podobnie ofiarny bohater *Dżumy* Camusa.

Do istotnych cech Kota zaliczyłbym jego pobożność. Nie dlatego że, jak nieraz oświadczał, wstydził się prymitywnego ateizmu swojej młodości i zrozumiał wielkość religii, widząc w niej najwyższe osiągnięcie ludzkiej wyobraźni. Pobożność określiłbym jako szacunek dla istnienia i radość, że rzeczy nas otaczające są, bo przecie mogłoby nie być. Jeleński (w eseju o jednej z moich książek) mówił o „czułości do życia, bo jest jedyne i niepowtarzalne”, o „łasce”, o „rezygnacji niemal radosnej”, o „zgodzie niedopowiedzianej nie tylko na własną śmierć, ale na to, że nie będzie kiedyś ani wierszy Miłosa ani ludzi którzy by je

mogli czytać: wystarczy że *jest, teraz, coś* o czym te wiersze świadczą”.

Mniej bym wiedział o ekstatycznej pochwie życia w słowach Jeleńskiego gdybym nigdy nie był w Nonza. Poniżej tego korsykańskiego miasteczka, na skałach niewidocznych z drogi przebiegającej wzdłuż brzegu morza, znajdują się ruiny średniowiecznego klasztoru, dokąd Konstanty i Leonor Fini przez wiele lat przyjeżdżali na wakacje. Zejście ścieżką od drogi, dnem stromego parowu, pozostaje w mojej pamięci jako jedno z najbardziej niezwykłych przeżyć, porównywalnych być może tylko z przygodami bohaterów baśni kiedy w najzwyklejszej rzeczywistości niespodziewanie natykają się na bramę do zaczerpniętego ogrodu. Zamiast suchej Korsyki szmer strumieni i roślinność bujna, szerokokolistna, aż tropikalna, labirynt w którym trudno znaleźć dostęp do kotliny kryjącej klasztor. Między ścianami opuszczonego kościoła rośnie wielkie drzewo, jego korona sięga resztek ostrołuków, wszystko oplatają korzenie i gałęzie niby liany, obok o dwa kroki od jako tako mieszkalnego jeszcze refektarza schodki i skała do skoku w morze. Jak głosi legenda, mnisi tutejsi odkryli zyskowny proceder: światłem udającym latarnię morską zwabiali okręty na skały, po czym zabierali łup, jak wolno się domyślać, rozbiteków czyli świadków nie oszczędzając. A więc dzikie wybrzeże i ono to stało się dla Konstantego obrazem ziemskiego szczęścia, jak można się przekonać z jego pism, fotografii, z listów. Miłość światła, uwielbienie słońca, nagości, niedostępna z lądu zatoka gdzie godzinami pływali z Leonorą, stół pod niebem, naprędce przygotowywane posiłki, chleb i wino. Cieszę się, że widziałem Nonza, przez to o jedną zasłonę mniej, choć były też inne i za nimi zostaje Konstanty prawdziwy.

Czesław MIŁOSZ

Spotkanie z Kotem Jeleńskim

Zachowałem wyraźnie w pamięci świetlisty dzień. Przyszedłem na boulevard Haussmann do biura Kongresu Wolności Kultury. Powiedziałem sekretarce, że jestem umówiony z panem Jeleńskim. Co pewien czas przebiegali korytarzem zaafetowani urzędnicy. Wkrótce pojawił się szczupły wysoki mężczyzna w tweedowej marynarce. Miał wąskie usta, wyraźny, ale cofnięty podbródek, głowę trzymał odchyloną do tyłu, jak piękny ptak. „Zaraz pójdziemy na kawę”, powiedział i natychmiast zniknął. Wrócił po chwili. Wyszliśmy naprzeciwko do kawiarni Le Préfet.

Rozmowa toczyła się błyskawicznie, przerywana śmiechem. Stąd wrażenie świetlistości, towarzyszące również wszystkim późniejszym spotkaniom, nawet tym mniej radosnym. Struna światła. Uderzał szybką, lotną inteligencją, ale czułem dystans. Nie ten, oczywisty, złączony z różnicą błyskotliwości i wiedzy, lecz bardziej zasadniczy, wywołany przeświadczeniem, że widzę tylko jedną z wielu twarzy, które trudno złożyć w całość.

Siedzieliśmy w kawiarni naprzeciw domu, gdzie Proust niegdyś w męczarniach tworzył swoje arcydzieło, Kot (tak go nazywałem w myślach, jak wszyscy, choć dopiero po kilkunastu latach mieliśmy, listownie, nad Atlantykiem, przejść na ty) poruszał tematy, które mnie, dwudziestoletniego studenta, poleconego mu przez Zygmunta Hertza, powinny interesować. Pamiętam, jak w przenikliwe, lecz nie zgryźliwe formuły ujmował twórczość głośnego wówczas pisarza krajowego, który, podejrzewałem, był nam obu obojętny. Po chwili przez jego promieniejące oczy przepłynęła mgła znudzenia. Przechodził do innego tematu, dotyczącego równie swobodnie, równie błyskotliwie. Podbijał szybkością myśli i trafnością słowa. Czymś więcej.

Z miejsca zostałem oczarowany. Ani on nie starał się mnie

specjalnie ująć, ani ja nie ulegałem wówczas łatwo zachwytem. Przeciwnie, nawet milczące wyrażanie uznania przychodziło mi trudno. A jednak już po chwili rozumiałem wagę tego spotkania dla mnie. Moje wrażenie da się ująć jednym klarownym zdaniem: po raz pierwszy w życiu widziałem nowoczesnego i swobodnego Polaka. Uzasadnienie tego przeświadczenia wymaga szerszych komentarzy i nie potrafię ich sformułować równie jasno.

Oczywiście, to nie tylko rozmowa, ta czy późniejsza, wywołała takie wrażenie. Wiedziałem, kogo spotykam. Znałem z *Kultury* jego teksty. Szkic „Bohaterskie niebohaterstwo Gombrowicza” (1957) stanowił olśniewającą konfrontację dwóch inteligencji, jednej, wyzywającej, zaborczej, nastrojonej na genialność, autora „Dziennika”, i drugiej, naturalnej, trafnej i szybkiej, krytyka. Esej „O kilku sprzecznościach sztuki nowoczesnej” ukazał się właśnie wówczas, we wrześniu 1963. Ta błyskotliwa bajka o współczesnym artyście pomagała mi zrozumieć nowoczesność i uczyła dystansu do niej. Potrzebowałem tej lekcji. Tego spojrzenia na współczesność i na przeszłość. Szukałem go w innych wypowiedziach Jeleńskiego.

Jego pisarstwo było mi szczególnie bliskie, gdy dotyczył spraw polskich i gdy czynił to po polsku. W świetnej plejadzie eseistów skupionych wokół *Kultury* jego teksty świeciły własnym blaskiem. Gdy napomykałem, że widzę w nim jednego z nielicznych autentycznych pisarzy współczesnej Polski, że jest w nim wola rzeczywistości, której brak krajowym twórcom, że jego polszczyzna ma dźwięk słowa naturalnego i trwałego, zakorzenionego i lotnego — wzruszał ze śmiechem ramionami i zmieniał temat. Krępowało go takie widzenie jego osoby. Miałem wrażenie, że nie tylko skromność nim powodowała. Uciekał przed nadmiernymi obowiązkami, biorąc na siebie, po drodze, obowiązki drobne i nużące. Jakies tłumaczenie, jakąś recenzję wydawniczą. Jakąś rozmowę.

Pisał po polsku wspaniale. Jak? Tak jak mówił, zarazem naturalnie, barwnie i precyzyjnie. Tak jak opowiadał w czasie naszych krótkich spotkań, wtedy, w kawiarni, gdy zaraz spieszył się gdzieś dalej, czy potem, zawsze „między drzwiami”. Raz nawet dosłownie: spotkanie w holu Kongresu, błyskawiczna rozmowa, potem taksówka (zdążył w niej opowiedzieć historię o Emeryku Czapskim) na boulevard de l'Opéra do drzwi redakcji *Preuves*, gdzie był już z kimś umówiony. Szybkie spacer po ulicach Paryża od jego biura czy domu ku jakiejś kafejce. W jednej ręce trzymał książkę i plik gazet angielskich, francuskich, włoskich, drugą gestykułował, w pewnej chwili zatrzymał się dla podkreślenia opowieści, w półobrocie chwycił mnie za rękę powyżej łokcia i cudownie naśladował któregoś ze znanych czy jakąś postać. Miał dar imitacji. Mówił wówczas jak

pretensjonalny urzędnik przedwojennego MSZ-u albo kapral z polskiego wojska we Francji, albo jak paryski intelektualista, albo jak ktoś z przyjaciół: Zygmunt Hertz, Józef Czapski. Ku zdumieniu przechodniów buchał lub piał fałsetem, machał ręką i po krótkim zachłyśnięciu się wybuchał kaskadą śmiechu.

Nasze spotkania podczas moich przyjazdów do Paryża były krótkie, zbyt krótkie dla mnie, chciałem z niego jak najwięcej wyciągnąć, ale też go nie znudzić. Nasza rozmowa przebiegała „na cztery tempa”. Pytałem najpierw, co dzieje się w zachodnim życiu intelektualnym, o nowe książki, wystawy. Był znakomicie poinformowany. Wyczuwał ducha czasów z wyprzedzeniem. Wiedziałem, że autorzy przez niego wspomniani będą modni za rok, a malarze za parę lat. Jakbym od mistrza Fiora dowiadywał się o najnowszych paryskich fasonach. Inna sprawa, że z czasem do tych książek zaglądałem z mniejszą gorliwością. Zawsze jednak starałem się zapamiętać wspomnianych przez niego malarzy, starych i nowych.

Potem wypytywałem o książki ważne dla niego kiedyś, o mody wczorajsze czy przedwczorajsze, o jego oksfordzkie czy rzymskie lektury. Tym sugestiom przysłuchiwałem się uważnie. Znał mój podziw dla Evelyny Waugh, więc podsuwał mi Ronaldą Firbanka, barona Corvo, Larbaud, Paul Moranda, Djuna Barnes.

Trzecim etapem rozmowy był Gombrowicz i Miłosz, przede wszystkim Gombrowicz, który prowadził nas ku finalnej czwartej części: ku jego wspomnieniom rodzinnym, ku sprawom polskim. W początkach znajomości wyraźnie rozdzielaliśmy role, ja szarżując podkreślałem „konserwatyzm”, on przyjmował rolę „lewicowca”, czyli wyrozumiałego dla tych, którzy w okresie stalinowskim czy później zachowywali się mało godziwie. Jego tolerancja sięgała daleko, udawałem zgorszenie, ale wiedziałem, że istnieje granica tej wyrozumiałości, że on sam nie uległ nigdy heglowskim zaślepieniom.

Rozumiałem coś więcej, coś sięgającego poza żartobliwą rozmowę, choć może tylko dającego się tak właśnie, lekkomyślnie, zza mgieł ironii, wyrazić. Gdy opowiadał o rodzicach, o ich znajomych, o swych przodkach, o polskich artystach kilku generacji aż po jego i moich rówieśników, stawał się prawdziwie ożywiony, mówił najciekawiej i najswobodniej. Potrafił ich charakteryzować jednym celnym i zaskakującym obrazem, porównywać, sądzić, usprawiedliwiać, ale zawsze z przejęciem, z błyskiem zainteresowania w oku. Podchodził do nich ze zrozumieniem i z dystansem. Swobodnie. I mówił swobodnie.

Takim go zobaczyłem przy pierwszym spotkaniu w kawiarni na bulwarze Haussmanna, takim pozostał do końca. Takim widzę go nadal. Śmieje się, zmienia temat, już biegnie myślą dalej, opowiada o ostatnim filmie, o nowych teoriach w genetyce, obu-

rza się na francuskich prawników, wspomina jakąś ciotkę, która łączyła go z Gombrowiczem, kpi ze sklerotycznych cech ziemiańskiej polszczyzny. Naturalny i nieuchwytny, obecny w wielu płaszczyznach i nie dający się zredukować do żadnej z nich. Jakież to było promienne doświadczenie dla mnie, w roku 1963, że ktoś taki w ogóle istnieje, że taka wersja polskości jest możliwa.

Żeby zrozumieć moją reakcję, trzeba go zobaczyć, barwnego ptaka, na ówczesnym tle. W kraju jałowa niby-europejskość *Przeglądu Kulturalnego*, kłamliwe błyski rewizjonizmu, dławiąca nuda oficjalnej publicystyki i literatury, biedny i zastrachany neopozytywizm *Tygodnika Powszechnego*. Na emigracji nawet u najwybitniejszych bolesne skurcze, wewnętrzne urazy, szamotanina, uczucie porażenia i niespełnienia. Rozmowy w kraju były dla mnie formą niemoty, rozmowy z emigrantami „wariacjami na jeden temat”. W najlepszym razie spotykałem osobowości poszatkowane, składające się z niekontaktujących ze sobą komórek: polityka, religia, obyczaje, literatura. A tutaj nagle ktoś, kto swobodnie i dyskretnie porusza się po terenach, po których chce się poruszać — zarazem nowoczesny, rozluźniony i tkwiący w polskim żywiole. Jaka ulga!

I zaraz pytanie: jak to możliwe, dlaczego on? Jeżeli spotykałem kogoś nowoczesnego, zwróconego ku światu, to był zamknięty w jakiejś teorii, omotany przez ducha czasu. Jeżeli zdobywał wewnętrzną swobodę, to zwykle pozostawał obojętny na nowe prądy w sztuce czy myśli, nie interesował się współczesnym światem. A polskie obciążenia i polskie zawężenia czyniły płodne złączenie tych cech czymś zupełnie nieprawdopodobnym. Dlaczego więc Kot ożywał się, gdy mówiliśmy o sprawach polskich? Dlaczego teksty naprawdę ważne pisał po polsku i o literaturze polskiej? Zadałem mu to pytanie bezpośrednio, zadawałem jego rozproszonym esejom. Zbywał swoje szkice lekceważąco. Uważał, że należy „do wielkiego zastępu piszących, a nie do garstki pisarzy”. Dla mnie był znakomitym pisarzem, jednym z najważniejszych.

Wojciech KARPINSKI

Kot

„Na oryginalności pisma *Preuves* zaważyło spotkanie dwóch osobowości: François Bondy i Konstantego Jeleńskiego. Ich współpraca rozwinęła się nie tylko na gruncie pokrewieństwa politycznego i intelektualnego, ale też dzięki ich zadowoleniu w literaturze europejskiej”.

Opinia ta pochodzi z bardzo udokumentowanego studium pierwszych lat *Preuves* w piśmie *Vingtième siècle*, styczeń-marzec 1987. Po śmierci Konstantego Jeleńskiego autor wspomnianego studium, Pierre Grémoin, napisał do mnie (nie on jeden) list, który dowodzi, jak wielkie wrażenie zrobiła na nim osobowość Kota, który wspólnie ze mną miał przedstawić nasze pismo w audycji radiowej France Culture — gdyż osiemnaście lat po zamknięciu pismo *Preuves* znowu zaczęło budzić zainteresowanie. Kot zachorował w dniu, kiedy przyjechałem do Paryża na tę audycję.

W latach 1953-1969 — tego roku zaprzestaliśmy wydawania *Preuves* — współpracowaliśmy ze sobą dzień w dzień, podobnie jak z redaktorem naczelnym Jacques Carat i Jean Bloch-Michel, z którymi również pozostaliśmy w przyjaźni. Od tego czasu nigdy nie przestaliśmy się spotykać, korespondować i pracować ze sobą. Ostatni raz spotkaliśmy się w styczniu w Bad Ragaz, dokąd Kot przyjechał z Leonor Fini.

W artykule do „księgi pamiątkowej” na moje siedemdziesiąte urodziny (opublikowanym w nieco zmienionej wersji w *Zeszytach Literackich* nr 9) Kot przypomniał, że napisaliśmy wspólnie monografię o teatrze Witolda Gombrowicza, która ukazała się w Niemczech, pięć wstępów do niemieckiego wydania w czterech tomach sztuk Gombrowicza i analizę historyczną polskiej komedii, która się dopiero ukaże. Kot przypomina w nim, że nasze wspólne wysiłki, aby zapoznać Zachód z Gombrowiczem odpowia-

dają określeniu „dwugłowy Eckermann” (z dumą wyznając, że jest ono mojego autorstwa). Późniejszą lekturę Schulza zawdzięczać naturalnie Kotowi. Pierwsze tłumaczenie Schulza ukazało się w *Preuves* z ilustracjami Leonor Fini. Później dzięki Jeleńskiemu poznałem Marka Hłaskę, Jana Kotta, Leszka Kołakowskiego — z czasem stał się moim przyjacielem — i Adama Michnika.

Bliskie związki między *Kulturą* i *Preuves* — z których korzyści czerpaliśmy przede wszystkim my — datowały się sprzed przyjazdu Jeleńskiego do Paryża. Opublikowaliśmy większość rozdziałów „Zniewolonego umysłu” i inne eseje Miłosza. Pierre Grémoin zwraca uwagę, że to dzięki esejom Miłosza pismo osiągnęło po raz pierwszy poziom, odpowiadający jego ambicjom i przyciągnęło uwagę czytelników politycznie mu wrogich, na których teksty Miłosza jednak robiły wrażenie. Później przyjaźń z *Kulturą* pozwoliła nam opublikować opowiadania Terza-Siniawskiego.

Przeczytałem w ostatnich dniach ponownie artykuły Kota w *Preuves*. Było ich w sumie 106, poczynając od długich esejów a kończąc na krótkich notach. Podczas kiedy eseje z *Preuves* takich ludzi jak Claude Mauriac, François Fontaine, Emmanuel Berl, Jean Bloch-Michel, Roger Caillois i — *last but not least!* — Raymond Aron zebrane są w tomach, esejów Kota nikt nie zebrał, przynajmniej po francusku (po polsku ukazał się zbiór jego tekstów zarówno w Paryżu w Instytucie Literackim jak w Polsce w podziemiu).

Artykuły nie były bynajmniej jedynym wkładem Kota Jeleńskiego do *Preuves*. Zainspirował także trzy ankiety, dwie o sztuce (abstrakcyjnej, nieformalnej) i jedną o urbanistyce.

Sześć numerów, w których ukazały się obie ankiety o sztuce należały, jak mi się wydaje, do najszerzej rozsprzedanych i najobficiej komentowanych numerów *Preuves*. Dalszym ciągiem tych ankiet były listy oraz dyskusje — także podczas naszych „wtorków”.

Większość długich tekstów Kota to polityczne, historyczne i kulturalne analizy wydarzeń w Polsce. Począwszy od roku 1954 Jeleński uważnie śledził ewolucję polskiego Kościoła katolickiego, w duchu który ćwierć wieku później odnaleźliśmy w przełomowej książce Adama Michnika.

Jeleński zajmował się jednak także tematami związanymi ze społeczeństwem przemysłowym („Nowe oblicze Marksa i Malthusa”, „Rady robotnicze” i in.) i z kulturą międzynarodową. Obaj interesowaliśmy się żywo literaturą włoską. Ignazio Silone i Nicolò Chiaromonte poznałem przed Kotem (obaj byli redaktorami *Tempo Presente* i żywili dla Kota głęboką przyjaźń), ale to Kot pisał w *Preuves* o Elsie Morante, Tommaso Landolfi i Italo Cal-

vino, trojgu pisarzy, których dotychczas uważnie studiuję. Zazdrościłem mu, przyznając, zażyłości z Mario Praz, Alberto Savinio, Bobi Bazlenem (odkrywcą m.in. Italo Svevo). W tym przypadku triesteńskie korzenie Leonor Fini odegrały zapewne jakąś rolę, ale Kot znał też dobrze Edmunda Wilsona i George'a Bataille — nekrolog tego ostatniego pióra Kota wart jest ponownej lektury — oraz Jacques'a Audiberti. Rozmowa Kota z Audibertim z *Preuves* jest cytowana w programach teatrów niemieckich, które grały sztuki Audiberti.

Kotowi też zawdzięczaliśmy, że Jean Genet dał nam do druku swój poemat z „Funambule” — publikacja, która wzbudziła nie małe zdziwienie — on też chyba wprowadził do *Preuves* eseiste Yves Bonnefoy.

Nie umiałbym dziś powiedzieć, czy Kot kierował moimi własnymi urzeczeniami artystycznymi, czy tylko je potwierdzał, wiem natomiast, że nasze gusty literackie były niemal tożsame. Ja wprawdzie zapoznałem go z Günterem Grassem, ale to on napisał pierwszą głęboką analizę jego niemiecko-polskiej powieści „Blaszany bębenek”.

Odczytując ponownie teksty Kota na temat społeczeństwa i kultury „masowej”, uprzytomniam sobie, że Kot odrzucał z obrzydzeniem wszelki prawicowy elitaryzm i lewicowy snobizm — na równi Ortegę i Marcuse — i śmiał się z przekonania lewicowych intelektualistów — typowego dla Adorno, który się jednak powoływał na co innego — że arystokracja jest swojego rodzaju prefiguracją post-burżuazyjnego humanizmu. W swych wspomnieniach z młodości (ukaza się w zbiorze wspomnień o Gombrowiczu, który przygotowuje Rita Gombrowicz¹) Kot jeszcze ostrzej wypowiada się o domniemanej „dystynkcji” i „elegancji” tych sfer. Nie wystarczy jednak nienawidzić swych korzeni, by je z siebie wyrwać. Żyd antysemita nie przestaje być Żydem, podobnie Jeleński był kim był nawet jeśli jego „dystynkcja” i „elegancja” wyrażały się inaczej niż w salonowych konwenansach...

Wśród polemik, jakie staczał na łamach *Preuves* warto wspomnieć wymianę listów z Jacques Soustelle w 1954 roku. Ten polityk, który w owych latach obawiał się mocnych i rewanżystowskich Niemiec Zachodnich, uczestniczył w podróży parlamentarzystów francuskich do Polski, z której reżymowa propaganda polska zrobiła wielki użytek. Soustelle, choć z wykształcenia etnolog, twierdził, że Śląsk był w 90 % słowiański, a Niemcy stanowili tam tylko wąską warstkę ciemniejących, i bardzo się zdziwił, że „polski patriota” mógł się temu twierdzeniu sprzeciwić, zamiast ochoczo się na nie rzucić.

Dwadzieścia dziewięć lat później Jeleński z tą samą niezależ-

nością ducha mówił na kolokwium w Bibliotece Polskiej o „paradoksach polskiego katolicyzmu” (wykłady z tego kolokwium ukazały się w wydawnictwie Nouvelle Cité w 1984 roku). Patriotyzm Kota był pokrewny patriotyzmowi Tomasza Masaryka, który w 1914 roku zdemaskował „patriotyczne fałszy” czeskich historyków nacjonalistów.

Skończę te uwagi dwoma wspomnieniami natury bardziej osobistej.

Wiele osób, które znały Kota w czasach naszej wspólnej działalności, a potem jako *spiritus movens* Fundacji Wzajemnej Pomocy Intelektualistów Europejskich, wspominają go jako człowieka szalenie „miłego”. Mało kto zdaje sobie sprawę, że on, tak serdeczny i uczynny, był również bezwzględnie wierny w przyjaźni i niezlomny w przekonaniach, co często idzie w parze z usposobieniem bardziej powściągliwym i szorstkim. Niekiedy nadużywano jego bezinteresowności, mnie to jednak bardziej oburzało niż jego.

Druga uwaga jest bardziej osobista i muszę pokonać pewne opory, aby ją wypowiedzieć, tak jak nie bez oporów zacytowałem na początku Pierre'a Grémoin. Wobec Kota byłem całkowicie „odsłonięty”. Znał mnie lepiej niż ja jego. Śledził wszystko, co robiłem, sam mając kilka światów, do których nie miałem dostępu. Mieliśmy wprawdzie podobne urzeczenia i podobne rzeczy nas bawiły, ale zdarzało mi się czasem odkryć pewne aspekty jego doświadczeń i jego wrażliwości, które były mi obce. Ja byłem dla Kota otwartą księgą, podobnie Lillian i nasze dzieci, zwłaszcza Luc, w którym on jeden wyczuł powołanie artystyczne. Kot dla mnie pozostał fascynujący.

Do tego dochodziła jego dyskrecja. Przez trzydzieści cztery lata naszej zażyłości ani razu nie wspomniał o swojej przeszłości żołnierza drugiej wojny światowej. Kiedy z rozbijającą ignorancją wypowiadałem się na temat ekonomii, którą znał doskonale, wysłuchiwał mnie uważnie, nie ukrywając nawet mimowolnego uśmiechu.

Opisałem jego działalność na tyle, na ile ją znałem, w kategoriach obiektywnych i sprawdzalnych. Nie mogę się jednak powstrzymać, by nie dodać, że nie pogodzę się nigdy z odejściem młodszego ode mnie Kota. Przy każdym nowym doświadczeniu, przy każdym wydarzeniu pytałem sam siebie: a co by o tym powiedział Kot? Znałem go dość dobrze, by utrzymać dialog, by móc sobie wyobrazić jego repliki i nawet by się z nich śmiać.

François BONDY

(Z francuskiego przełożyła Julia JURYŚ)

1. Fragment drukujemy w niniejszym numerze — Red.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 418 — ANDRZEJ SZCZUPIORSKI

POCZĄTEK

Nowa książka autora znakomitej „Mszy za miasto Arras” jest opowieścią w pewnym sensie historyczną. Za „początek” polskiej teraźniejszości Szczupiorski uważa Warszawę pod okupacją hitlerowską w rozlicznych aspektach. Opis losów bohaterów powieści jest historią niektórych korzeni polskiego „dzisiaj”: hitlerowski „początek” rzuca cień na komunistyczny „ciąg dalszy”.

Str. 160.

Cena F. 65,00.

TOM 419 — MAREK NOWAKOWSKI

«GRISZA, JA TIEBIE SKAŻU...»

Piąta książka Marka Nowakowskiego w „Bibliotece Kultury” zawiera opowiadania: AMAZONKA, WIZERUNEK, „GRISZA, JA TIEBIE SKAŻU...”, ZAKON KAWALERÓW MAZOWIECKICH, ROZMOWA i GLOBUS.

Str. 176.

Cena F. 70,00.

TOM 425 — DANIEL BEAUVOIS

POLACY NA UKRAINIE 1831-1863

SZLACHTA POLSKA NA WOŁYNIU, PODOLU
I KIJOWSZCZYZNIE

Z francuskiego przełożyli Ewa i Krzysztof Rutkowscy

„Za panowania króla Stanisława mieszkał ubogi szlachcic na Podolu”. Iu ogółem mieszkało tam wtedy szlachciców ubogich i bogatych? Zapewne mniej więcej tyluż co w dobie Powstania Listopadowego: 140 tysięcy. Dalszych 270 tysięcy mieszkało na Wołyniu i na Kijowszczyźnie... Nikt jednak szczegółowo nie opisał historii unicestwienia całej grupy społecznej, którą była uboga szlachta na prawobrzeżnej Ukrainie... Historii zagłady pewnej swoistej kultury, zacofanej wprawdzie i która by uległa najpewniej powolnej erozji, ale którą zniszczyła kultura równie zacofana, tyle tylko, że władająca przemocą”.

(Z przedmowy Krzysztofa Pomiana)

Str. 296.

Cena. F. 120,00.

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 28 marca 1987

Rano z Kotem Jeleńskim w Grand Palais. W kilku salach wystawa na zadany temat: *Terrae Motus* czyli *Naples, tremblement de terre et art contemporain*. Pokazano sto czterdzieści dzieł siedemdziesięciu artystów *parmi les plus prestigieux de la scène contemporaine*. Ile ten jarmark próżności (i pustki) kosztował i kto za niego zapłacił, skoro „najbardziej prestiżowi” artyści z „post-moderny” za darmo się w takie turnieje sztuki nie bawią? Ile za te wyrzucone na śmietnik pieniądze można było zbudować domów dla ofiar trzęsienia ziemi?

Nasz obchód wystawy trwał pół godzinki, może nawet mniej. Szliśmy szybko, wymieniając wrażenia bez słów: to Kot wzruszał ramionami, to ja, to zaglądaliśmy sobie w oczy, to kwitowaliśmy eksponaty (zwane „dziełami”) trochę rozbawionym a trochę rozdrażnionym chichotem. Warto wystawę odnotować w dzienniku, choćby bez przytaczania nazwisk (z litości) jej sławnych niekiedy uczestników? Warto, warto. Ale po to tylko, by raz jeszcze wytknąć nędzę „sztuki nowoczesnej”. Abstrakcyjne nic pomnożone przez abstrakcję nicości. Nie do wiary prawie jest ta absolutna, nieuleczalna już chyba atrofia wyobraźni, wrażliwości, inteligencji. Szarlataneria, błazeństwo, w najlepszym wypadku zręczne kuglarstwo techniczne, jak gdyby temat nie miał tu żadnego w ogóle znaczenia. Toteż z siedemdziesięciu „prestiżowych” artystów należy wyróżnić trzech, którzy przynajmniej postanowili przyznać się otwarcie do swojej bezradności wobec tematu, wyrzekając się własnego widzenia w imię ubogiej „przedmiotowości” i „autentyczności”. Jeden ustawił kopczyk z wulkanicznych kamieni. Drugi zbił kilka osmalonych desek. Trzeci zaprezentował

wał prawdziwe łóżko z wymiętoszoną pościelą, co miało naturalnie sugerować scenę nocnego przebudzenia po pierwszym wstrząsie. Ten skromny wątek „figuracywny” nakazywałby posunąć się na malarskiej (?) wystawie *Terrae Motus* o krok dalej, do żywych obrazów w wykonaniu ocalałych *terremotati*.

3 kwietnia

Zapomnianą książeczkę Bertranda Russella *The Practice and Theory of Bolshevism* wymienił dziś marginesowo w swoim świetnym wykładzie O. Bocheński, fetowany przez Pallotynów w 85-lecie urodzin. Wymienił ją z pochwałami, co sprawiło mi pewną przyjemność. W roku 1950, gdy wznowiono książeczkę Russella w Anglii po trzydziestu latach, omówiłem ją w szkicu *Fałszywy Bóg* wraz z książką Carew Hunta *The Theory and Practice of Communism* i zbiorową spowiedzią sześciu pisarzy eks-komunistów *The God That Failed*.

Zdumiała mnie wtedy dalekowzroczność Russella. Spędził miesiąc zaledwie w Rosji w roku 1920. Trzeba pamiętać, że wycieczka Labour Party, w której brał udział, odbywała się w atmosferze sympatii a nawet podziwu dla rewolucji rosyjskiej (*one of the great heroic events of the world's history*, czytamy o roku 1917 w *The Practice and Theory of Bolshevism*), była częścią polemiki z atakami na bolszewizm w brytyjskiej prasie konserwatywnej. A jednak Russell dostrzegł od razu w Rosji to, co w trzy lata po obaleniu caratu mogło być jasne tylko dla wyjątkowo bystrego i rozumnego obserwatora z „nieuprzedzonej lewicy” na Zachodzie, i co w trzydzieści lat później pozwalało czytać z pożytkiem jego pre-gide'owską „podróż do ZSSR”.

„Być może bolszewizm da się obronić jako okrutna dyscyplina, dzięki której uprzemysławia się szybko kraj zacofany; ale ponioś on klęskę jako eksperyment komunistyczny”. W „okrutnej dyscyplinie” widział Russell „odgrzebanie metod Piotra Wielkiego”. A „eksperyment komunistyczny”? Przeistoczył się natychmiast w religię. „Przez religię rozumiem zespół wierzeń o charakterze dogmatów, które kierują życiem ludzkim, wykraczając poza oczywiste dowody lub występując przeciwko nim, i posługując się metodami uczuciowymi albo autorytatywnymi, a nie intelektualnymi. W takim ujęciu bolszewizm jest religią: że jego dogmaty wykraczają poza oczywiste dowody lub występują przeciwko nim, postaram się wykazać później. Ci, co przyjmują bolszewizm, stają się nieczuli na dowody naukowe i popełniają samobójstwo intelektualne. Nawet gdyby wszystkie doktryny bolszewizmu były słuszne, nie zmieniłoby to jeszcze postaci rzeczy, zważywszy że niedozwolone jest ich bezstronne badanie”.

W roku wznowienia książeczki Russella jego pogląd był już obiegowy. O komunizmie jako religii pisał w swojej książce Carew Hunt. „Zbankrutowanemu Bogu” złorzeczyli pisarze ikonoklasta eks-komunistyczni. O. Wetter z Papieskiego Instytutu Orientalnego nazwał „peryfrazą Boga” materializm dialektyczny Lenina, a dogmatyczny i autorytatywny ton filozofii sowieckiej porównał do roli autorytetu i dogmatu w Kościele katolickim.

Co z owej „religii” zostało w następnych dziesięcioleciach, po śmierci Stalina, nowego Boga w starej koronie Piotra Wielkiego? „Kapłańska” kasta wyzyskiwaczy z Nomenklatury wokół ołtarza nagiej Władzy. Miliony „wiernych”, określone ostatnio przez Gorbaczowa mianem „plebsu”. Dalekowzroczność Russella zasługuje wciąż na pochwały, lecz jej zasięg okazał się ograniczony.

Neapol, 12 kwietnia

Wczoraj, w Turynie. Była dziesiąta rano, kiedy stróżka roznosząca lokatorom pocztę zapukała do drzwi na trzecim piętrze dużej kamienicy. Otworzył jej starszy pan z siwą brodą, powitał ją jak zwykle grzecznym słowem i uśmiechem, podziękował za pocztę. W kwadrans później, siedząc już w stróżówce, usłyszała nagle ciężkie uderzenie o ziemię. Wybiegła przestraszona. Lokator z trzeciego piętra leżał w kałuży krwi obok wejścia do windy. Jego żona wracała właśnie z porannych zakupów.

Lokator z trzeciego piętra, doktor chemii Primo Levi, był więźniem oświęcimskim. Po wojnie opisał swoje przeżycia w książce *Se questo è un uomo*, którą wielokrotnie wznowiano, przełożono na wiele języków, a we Włoszech włączono do kanonu lektur szkolnych. Tytuł *Jeśli to jest człowiek* przywołuje na myśl motto *Medalionów* Nałkowskiej: „Ludzie ludziom zgotali ten los”. Levi był w literaturze włoskiej, przy odmiennym sposobie patrzenia i opowiadania, odpowiednikiem Tadeusza Borowskiego w naszej. Inaczej ułożyły się jego dalsze losy. Nie przestał pisać, trzymał się skromnie na uboczu, pracując po dawnemu w laboratorium chemicznym. Ale z oświęcimskiego „kamiennego świata” nie wyszedł naprawdę nigdy, jak Szałamow nie wyszedł nigdy z kołymskiego „innego świata”. I Oświęcim zabił go, w czterdzieści lat potem, dokładnie tak jak Borowskiego.

Samobójstwo jest aktem tak intymnym i tajemniczym, że powstrzymuje pióro każdego kto chciałby o nim pisać. Jakże bowiem wyobrazić sobie ten krótki moment, w którym dusza długo zatruwana owym „jeśli to jest człowiek” popycha naraz statecznego pana, cenionego naukowca i pisarza, ku otchłani klatki schodowej w zeszlowieczonej kamienicy turyńskiej? Primo Levi, bez

pożegnalnego słowa i bez ostatniego krzyku prawdziwy koniec Wielkiej Wojny.

15 kwietnia

Na spacerze w Pompei mój towarzysz, angielski psychiatra skierowany do mnie przez wspólnych przyjaciół, zapytał czy znam „fantazję pompejańską” Wilhelma Jensena *Gradiva*. Tak, znam nowelę Jensena, znam również — bo do tego oczywiście zmierzał mój towarzysz — „studium analityczne” Freuda o „majaczeniach i snach w *Gradivie* Jensena”. I dorzuciłem tonem rozmyślnej prowokacji: „Doradcam zawsze lekturę obu tekstów wszystkim, którzy mają nabożny stosunek do freudowskiej teorii czy interpretacji snów”. W oczach mojego towarzysza łatwo było odczytać mieszaninę pobłażliwości i wyższości. Nie przerywał mi jednak: nie mógł nie wyczuć od pierwszej chwili swojej nieoczekiwanej i niezapowiedzianej wizyty, że dałem się wyciągnąć do Pompei *contre cœur*, że byłem czymś zbulwersowany i nie w nastroju do wychylenia się za próg własnego pokoju. Naraz, w trakcie mojego monologu, przypomniało mi się, że przed laty Kot i ja znęcaliśmy się do spółki nad *Gradivą* i freudowskim do niej „kluczem” w długiej rozmowie półzartem półserio, w jednej z tych rozmów które nadawały tak niezwykle urok naszej przyjaźni. Przyniosło mi to ulgę, jak gdyby bez znaczenia była obecność mojego przypadkowego towarzysza na pompejańskim spacerze.

To Jung wskazał Freudowi nowelę Jensena, drugo- czy trzeciorzędny pisarza niemieckiego. *Gradiva* jest historią młodego archeologa, który zakochuje się w dziewczynie z antycznej płaskorzeźby, zachwycony szczególnie jej pełnym wdzięku sposobem stąpania. Nadaje jej imię *Gradiva*, myśli o niej bez przerwy, widzi ją we śnie na ulicy Pompei w dniu wybuchu Wezuwiusza. Pod wpływem tego dramatycznego snu postanawia jechać do Pompei. Tam pojawia się *Gradiva* w ostrym słońcu południowej godziny, tradycyjnej „godziny duchów”. Następują „majaczenia” archeologa. Od „majaczenia” do „majaczenia” okazuje się w końcu, że ożywionym majakiem z płaskorzeźby jest młoda Niemka z rodzinnego miasta archeologa, która w tym samym czasie przyjechała z ojcem do Pompei. Ma równie wdzięczny jak *Gradiva* sposób stąpania. Archeolog poznał ją był niegdyś jako młodszą dziewczynę, przeżył na jej widok krótkie olśnienie, ale niezbyt w ogóle czuły na żywe powaby niewiedzie pograżył się z powrotem w swych archeologicznych badaniach. I oto po latach pompejańską przygodę archeologa, na granicy snów i przywidzeń, zamyka *happy end* z krwi i kości.

Okropny banał noweli posłużył Freudowi do stustronicowego

„studium analitycznego”, w którym główną rolę odgrywa naturalnie mechanizm zepchnięcia uczucia do podświadomości i jego wypłynięcia poprzez sen na powierzchnię świadomości. Banałowi pisarza towarzyszy wiernie krok w krok banał psychoanalizy. Pasują do siebie znakomicie. Trzeba Jensenowi oddać sprawiedliwość, że nie dał się w tę operację naukową wciągnąć. Na listy Freuda odpowiadał powściągliwie, odmawiając wynurzeń osobistych i broniąc prawa pisarza do „fantazji poetyckiej” przed racjonalistycznym wścibstwem uczonego. Innymi słowy, nie chciał się położyć i „rozluźnić” na kozetce psychoanalitycznej.

Mówiliśmy wtedy z Kotem o snach banalnych (ludzkie sny są w większości banalne) i o tym, że dzięki nim właśnie prosperuje dobrze banalność freudyizmu. Wy tłumaczyć, wyjaśnić! Zaspokoić potrzebę człowieka wytłumaczenia i wyjaśnienia wszystkiego w sposób „naukowy”! A co ze snami, których nie tylko zinterpretować, ale nawet odtworzyć nie można, mimo że po przebudzeniu pozostawiają wspomnienie czegoś zagadkowego, niedocieczonego i niezmiernie zarazem ważnego? Co z teorią (bardzo mi bliską) snów jako stanów przedśmierci, błyskawicznych i ulotnych wypraw na „tamtą stronę”? Kot zawsze słuchał lekko nastroszony wywodów trącących „transcendencją”, robił wyjątek (za przykładem Jana Potockiego) tylko dla cudów, „jedynego dowodu na istnienie Boga”. Nastroszony, tak, lecz równocześnie z wyrazem pragnienia w oczach.

Wieczorem, pozbywszy się nareszcie angielskiego psychiatry, usiadłem w fotelu ze *Zbiegami okoliczności*. W szkicu o *Ziemii Ulro* Miłosza: „Interesowali mnie ontologiczni mistycy, jasnowidzący — teraz i dziś — ukryte związki pomiędzy poszczególnymi przedmiotami i istnieniami”. W szkicu o „bohaterskim niebohaterstwie Gombrowicza”: „Wydaje mi się, że wielkość Gombrowicza tkwi nie tyle w jego zawsze oryginalnej inteligencji, nie tyle w jego intuicyjnej, własnej wizji psychologii egzystencjalnej, ile w wysiłku zbliżenia nas do najbardziej skrytych, tajemnych pokładów bytu. Gombrowicz, który tyle wyjaśnia, jest wielkim artystą poprzez wysiłek przekazania nam tych spraw, których ani on, ani nikt inny, wyjaśnić nie może”.

Łączyło nas w przyjaźni uparte krążenie wokół „tych spraw”.

22 kwietnia

W porannej prasie „bomba”: za parę dni ukaże się w francuskich księgarniach autobiografia Wałęsy *Un chemin d'espoir*. Zapowiadane są dalsze przekłady, francuski ma charakter „premiery światowej”.

Corriere przytacza z książki odpowiedź Wałęsy na pytanie,

jaki byłby bez Jałty los Polski: „Przeżylibyśmy powolne i niepowstrzymane dryfowanie w stronę Wschodu i w końcu zostalibyśmy wchłonięci. Jałta uchroniła nas przed tym i pozwoliła nam uniknąć przekreślenia naszej tożsamości narodowej. Wprowadziła również do naszego organizmu narodowego skuteczne przeciwciała, które umożliwiły nam doświadczenie ostatnich lat”. Któryż to doradca naszeptał Wałęsie na ucho myśl o swoistym dobrodziejstwie Jałty? Podobną myśl szeptali kiedyś na ucho Mikołajczykowi jego protektorzy anglo-amerykańscy. Akceptując „mniejsze zło” Jałty. Próżno wierząc na ościeniu przeciw „mniejszemu złu” polskich rządów komunistycznych pod kuratelą sowiecką, łącznie z „mniejszym złem” stanu wojennego, końskiego zastrzyku obliczonego na zwalczanie owych „skutecznych przeciwciał”. *Stampa* wyławia z książki „rewelację” (jak ją nazywa) Wałęsy: „W poufnej rozmowie generał Jaruzelski zrobił mi obietnicę. Miał mnie uprzedzić, gdy wypadki przybiorą bieg nieodwracalny. Nie dotrzymał tej obietnicy”.

Do polskiego wydania autobiografii Wałęsy powinien być dołączony, jako absolutnie nieodzowny suplement, wywiad z płk. Kuklińskim *Wojna z narodem widziana od środka*. Dopiero w takim poszerzonym kontekście stanie się jaśniejsze, co może być „drogą nadziei”, trudną, niebezpieczną, lecz wbrew pozorom realną, a co jest tylko daremną pogonią za umykającą zjawą nadziei.

Maisons-Laffitte, 27 kwietnia

Cnotą jest dar uwagi, a jego brak więcej niż przyrodzoną ułomnością: ciężkim grzechem. Każde nieszczęście skłania do grzebania się w przeszłości i pozwala nagle zobaczyć na ile znaków, sygnałów było się ślepym i głuchym; i jak brak uwagi albo jej niedowład sprzyjał powolnemu dojrzewaniu nieszczęścia. Myślę czasem, że porażanie, stępanie, zabijanie uwagi jest jednym z głównych dowodów na istnienie Diable.

2 maja

Przez cały ten tydzień nie miałem ani razu impulsu pojechania do nieprzytomnego Kota w szpitalu. Chcę go pamiętać takim, jaki był przed atakiem choroby. Często za to chodziłem do Leonor. Rozbita, przerażona, zgubiona, opowiadała o nim i słuchała moich o nim opowiadań, przerywając co jakiś czas cichym okrzykiem: *Kot, Kot, non te ne andare!* Ten okrzyk *Kot, Kot, nie odchodź!* dźwięczył mi ciągle w uszach.

Neapol, 4 maja

Umarł Kot.

Ból, prawdziwy i zastygający już na zawsze ból, odezwie się później, utrwali go a nie złagodzi czas. Najpierw jest drętwość, jak po fizycznym zranieniu. I oszołomienie, niedowierzanie, z domieszką paniki. Paryż bez Kota? Nasz polski tutaj świat bez Kota? Odszedł naprawdę? Nie, to niemożliwe! Obraz czarnej dziury, suchy skurcz w gardle, gęsta ciemność za oknem, martwa cisza *delle piccole ore*, małych godzin między północą i świtem. Zakłócana o tej porze tylko szarpaniną bezpańskich kotów w krzewach na murze sąsiedniego domu.

Z czarnej dziury oszołomienia, niedowierzania, wydobywa się Kot, jakiego muszę odcisnąć w pamięci, zanim pokryje go cmentarna ziemia w Saint-Dyé nad Loarą, nad tą Loarą która na przedwieczornym spacerze przed kilku laty przypominała nam ojczyste rzeki odgłosami pohukiwań i prostymi słupami dymów na tamtym brzegu. Byłem wtedy na jego przyszłym grobie, pokazał mi go z pogodnym uśmiechem i krótkim: „Tu będę leżał”. Nie znosił sentymentalno-dramatycznym tonów, brzydził się nimi po rycersku, miał niewyznany nigdy głośno lecz surowo przestrzegany kodeks indywiduального męstwa. Pod tym pancerzem biło gorące i czułe serce.

Niesamowicie inteligentny, błyskawiczny i błyskotliwy w rozpoznawaniu i przyszpilaniu rzeczy naprawdę istotnych, wprost niewiarygodnie czytany i zadomowiony we wszystkich dziedzinach sztuki i myśli (przy żartobliwie niechętnym stosunku do „zawodowej erudycji”), naładowany energią, tak szybki w pisaniu i mówieniu jakby nie nadążał za obrotami własnego umysłu, łakomy na „nowinki” ale bezwzględny gdy ocierały się o efekciarską błagę, zakochany po uszy w swoich wybranych artystach, nienawidzący kłamstwa i obłudy, wrażliwy na każdy przejaw przemocy i zniewolenia. Szkic do portretu twórcy? Nie jestem pewien, czy Kot rzeczywiście chciał nim być. W roku 1961, po ogłoszeniu w *Kulturze* naszego wielogłosu o Hostowcu, pisał do mnie Jerzy Stempowski: „Czuję się tym wszystkim bardzo wzruszony i zarazem zakłopotany, bo ambicją moją było raczej pozostać w cieniu jak pan Chlewaski, co słusznie zauważył Jeleński”. Może Kot „słusznie to zauważył”, bo i jemu bliski był pan Chlewaski, tajemniczy korespondent Couriera, którego „ambicją było przejść przez życie jak życzliwy i dobroczynny cień”, posłuszny wolteriańskiej dewizie *aimer et penser c'est la véritable vie de l'esprit*.

Podobnie więc jak Hostowiec, Kot nie przepadał (ulubione

słówko jego i Reny) za procederem „czernienia papieru”. Był wybitnym eseistą, jednym z najwybitniejszych we współczesnej literaturze polskiej, wołał jednak konwersację od pisania. Był zresztą, w zarodku, nie tylko eseistą. Z roku 1979 pochodzi jego trzydziestostronicowy tekst autobiograficzny o dzieciństwie i wczesnej młodości, pisany odręcznie po włosku w gorączkowym pośpiechu. Przeczytałem go dziś na nowo. Jest wyborny, widzi się w nim rozmach powieści z niektórymi zarysowanymi już wyraźnie scenami. Cóż z tego! Istnieje w dwóch egzemplarzach: oryginał dla przyjaciela włoskiego, jedyna fotokopia dla przyjaciela polskiego.

Nie tak dawno byłem świadkiem, jak znany wydawca francuski zaproponował mu przygotowanie tomu esejów. Wzruszył ramionami i propozycję pokwitował zdawkową formułką grzecznościową, bez krzty bodaj zainteresowania. Kiedy poszliśmy potem we dwójkę na kawę, usiłowałem go nakłonić do cofnięcia odmowy. Zaśmiał się: „Za dużo się teraz pisze i wydaje, grozi nam utonięcie w morzu zadrukowanego papieru”. A przecież... W „sympozjone poliglotów”, zorganizowanym przez Hostowca w roku 1961 w *Kulturze*, głos Kota kończył się tak: „Dlaczego pisarz-poligłota nie zawsze decyduje się na emigracji przestawić się ostatecznie na jeden język literacki? Zdarza się to czasami — i rezultaty są często doskonałe: angielski Pietrkiewicz, francuski Cioran czy Ionesco. W moim wypadku, 'krytyka' czy 'publicysta', sprawa przedstawia się nieco inaczej. Najwięcej satysfakcji sprawia mi pisanie do *Kultury*, po prostu dlatego, że artykuły moje wywołują pewne echo wśród bardzo szczupłego zresztą grona przyjaciół... Czytelników francuskich czy angielskich mam może więcej, ale jestem dla nich jednym z tysiąca anonimowych pismaków”. Miał kult przyjaźni, był w niej szczodry, a czasem nawet rozrzutny.

Pamiętam też dzień, w którym przywiozłem mu pierwsze egzemplarze autorskie *Zbiegów okoliczności*. Ledwie rzucił na nie okiem, ale kiedy po herbacie odprowadził mnie na przystanek autobusowy, widziałem z okna autobusu jak wyciągnął spod płaszcza egzemplarz, kartkował go w chodzie łapczywie, zamykał go i znowu otwierał, ważył go w dłoniach i gładził. Gdyby był podniósł na chwilę wzrok, zobaczyłbym w nim na pewno niepowściąganą niczym radość.

Gdybym miał przedstawić czym jest dla mnie świat
Wziąłbym chomika albo jeża albo kreta
Posadziłbym go na fotelu wieczorem w teatrze
I przytykając ucho do mokrego pyszczka
Słuchałbym co mówi o świetle reflektorów
O dźwiękach muzyki i ruchach baletu.

Ten wiersz Miłosza kochał chyba najbardziej. I zaopatrzył go w komentarz: „Nikt pięknie nie wyraził jedynej rewolucji filozoficznej naszych czasów (wobec której neo-marksizmu, egzystencjalizmu, strukturalizmu są odpowiednikami krótszych czy dłuższych spódnic w modzie kobiecej) — wynikającej z przeświadczenia, że człowiek nie jest ani 'królem stworzenia', ani ośrodkiem wszechświata, że wobec tego wszelki 'humanizm' jest dziś nie-
możliwy”.

W naszych czasach „niemożliwego humanizmu” przyjaźń z takimi ludźmi jak Kot, pięknymi i szlachetnymi, jest szczęściem i skarbem. Skarbem, którego drogocенność trudno odmierzyć w słowach; i którego utratę oplakuje się, w milczeniu już, do końca życia.

15 maja

Przed laty, kiedy po raz pierwszy wybrałem się do Pompei, przy wejściu na teren wykopalisk stała duża szklana gablota ze skamieniałymi zwłokami śpiącego mężczyzny. Robiły wrażenie rzeźby. Zalany we śnie przez potok lawy i ziemi, Pompejańczyk zachował w kamiennej powłoce gest przedśmiertnego przerażenia: rękę osłaniającą głowę i jakby grymas ust w momencie krzyku. Wczoraj odnalazłem szklaną gablotę w bocznej i ciemnej komnacie *Villa dei Misteri*. Przeniesiono ją słusznie ze światła dziennego w półmrok, ale grymas ust stał się teraz prawie niewidoczny.

Wielki fresk w *Villa dei Misteri*, jedyny zdaje się (i doskonały) okaz malarstwa antycznego, składa się z dziesięciu scen na tle „czerwieni pompejańskiej”, tak gęstej że przypomina zakrzepłą krew. Ich sens nie został nigdy jednoznacznie rozszyfrowany, poza wspólnym u wszystkich interpretatorów twierdzeniem, że chodzi o obrzęd wtajemniczenia poślubianej kobiety w misterium kultu dionizyjskiego. Można tylko wyłowić z całości główne motywy religijnej tajemnicy: ofiarę, miłość fizyczną, mistyczny sekret płodności, maski rozkoszy, orgiastyczny taniec, bicz w rękach skrzydlatego demona. Muszą pewnie być klamrami o ukrytych związkach pierwsza i przedostatnia scena fresku. W pierwszej odbywa się przygotowawcza lektura rytuału; w przedostatniej amorek podstawia lustro gotowej do zaślubin kobiecie. Nieuchwytna i religijna w fresku jest jego ciągłość cykliczna. A ciemna komnata obok, ze szklaną gablotą? Jest ciemnym lustrem pompejańskiego epilogu, przyczepionym do cyklu w blisko dwa tysiące lat później.

17 maja

Judith Brown, historyczka Renesansu włoskiego na uniwersytecie w Stanford, natknęła się w archiwum państwowym w Florencji na pokrzyty kurzem zwój dokumentów z napisem: „Papierzy dotyczące procesu Siostry Benedetty Carlini ze wsi Vellano, przeoryszy klasztoru w mieście Pescia, która podawała się za mistyczkę, a okazała się być kobietą złej sławy”. Obfita i dość szczegółowa dokumentacja umożliwiła amerykańskiej uczonej napisanie książki *Immodest Acts — The Life of a Lesbian Nun in Renaissance Italy*.

Uwielbiam, jak Stendhal, takie znaleziska archiwalne. Ale wątpię, czy Stendhal potrafiłby zrobić dobry użytek ze sprawy Siostry Benedetty. Skoncentrowałby się prawdopodobnie na wątku lesbijskim, na miłości ziemskiej, z pominięciem albo w każdym razie lekceważeniem wątku mistycznego. Współczesną (przełom XVI i XVII stulecia) Siostry Benedetty Carlini z klasztoru między Luccą i Pistoią była słynna Siostra Virginia Maria de Leyva z klasztoru w Monzy pod Mediolanem, uwieczniona w moralistycznej otoczce przez Manzonię w *Promessi Sposi*: kobieta o wielkim temperamencie, oddana do zakonu wbrew woli i bez najmniejszych oznak powołania, kochanka (już w habicie) urodziwego awanturnika i uwodziciela, która podległy jej jako przeoryszy klasztor przekształciła stopniowo w siedlisko uciech zmysłowych także dla kilku innych mniszek, a swoją niepomąganą i ślepą na wszystko namiętność przypłaciła latami zamurowania żywcem w celi i wreszcie śmiercią w przytułku poprawczym dla prostytutek. To ona, mediolańsko-hispańska arystokratka, była uosobieniem zuchwałej miłości stendhalowskiej, wypranej z wszelkich domieszek mistycznych. Zupełnie inaczej przedstawiał się wypadek Siostry Benedetty, prostej tokańskiej dziewczyny wiejskiej.

Miała dziesięć zaledwie lat i dziecięcą główkę zajętą wyłączanie modlitwami, gdy ją rodzice zawieźli ze wsi do klasztoru w mieście. Rodzona i szczęśliwa matka oddała ją, szczęśliwą, Matce „prawdziwej” czyli Boskiej. Benedetta przeszła przez długi nowicjat, została zakonnicą i wkrótce potem stała się nawiedzaną regularnie nosicielką „cudownych znaków”: widzeń, objawień, prorostw, stygmatów, ekstaz, przemawiających jej ustami głosów Chrystusa i nieodstępnego Anioła. Wybrana przeoryszą w wieku trzydziestu lat, urządziła swoje zaślubiny mistyczne z Chrystusem. Nękały ją po nocach straszne bóle, w klasztorze więc nie sprzeciwiano się aby wraz z nią spała w celi młodsza od niej zakonnica imieniem Bartolomea. Przez cały ten czas nie była sama pewna, czy „cudowne znaki” są łaską Boga, czy zwodniczym mamieniem

Szatana. Podobne wątpliwości skłoniły jej zwierzchników kościelnych do wszczęcia dochodzenia, przy czym zawieszono ją w czynnościach przeoryszy. Z pierwszego dochodzenia wyszła zwycięsko: uznano ją za prawdziwą wizjonerkę, przywrócono jej funkcje przeoryszy. Drugie dochodzenie, zarządzane w parę lat później i zakończone wyrokiem skazującym, ujawniło jej lesbijskie stosunki z Siostrą Bartolomeą (w których była stroną „uwodzicielską”). Przyjęła wyrok z godnością i pokorą. Spędziła trzydzieści pięć lat w izolacji więziennej, umarła „skruszona” ale (jak sądzę) bez rzeczywistej świadomości winy. Po śmierci przyodziano ją w habit zakonny i trumnę ustawiono w kościele. Mieszkańcy Pescii ruszyli tłumnie do kościoła; trzeba było w pewnej chwili zaryglować kościelne wrota „w obawie przed zamieszkami”. Wierni, którym udało się wcisnąć do środka, dotykali ciała zmarłej, całowali je, odrywali kawałki jej habitu jak relikwie świętej.

Skąd ta pośmiertna adoracja wobec grzesznicy, bohaterki klasztornego skandalu, w trzydzieści pięć lat po wtroczeniu jej do ciemnicy? Być może (zdaniem Judith Brown) nie bez znaczenia był fakt, że ćwierć wieku wcześniej sprawdziło się jej prorostwo o rychłym nadejściu dżumy do miasta; być może przeważała w końcu nieufność do aktu oskarżenia i zniesławienia przeoryszy, wyrządzoną jej krzywdę chciano naprawić milczącym pokłonem. Może, może. Dla mnie lesbijska pasja Siostry Benedetty była częścią jej doświadczeń mistycznych, szamotania się między jasnością i ciemnością w ekstatycznym poszukiwaniu miłości, i dlatego podejrzewam że piętna swej hańby w ogóle nie pojmowała. Tak to odczuwałem podczas lektury *Immodest Acts*. Nie jest wykluczone, że tak to również odczuwali mgliście ciągnący do kościoła mieszkańcy Pescii.

19 maja

Flaubert, pasowany na „ojca realizmu”: „To dlatego że nie nawidziłem realizmu, napisałem *Panią Bovary*”.

Okrzyk Flauberta: *Je suis mystique et je ne crois à rien!*

Z listu Flauberta (1876): „Wie pani, co stoi na moim biurku od trzech tygodni? Wypchana papuga. Stoi na warcie. Jej widok zaczyna mnie irytować. Ale trzymam ją, by zapełnić sobie głowę ideą papugowatości. Gdyż piszę właśnie o miłości między starą panną i papugą”.

Julian Barnes wymyślił śliczne skrzyżowanie studium krytycznego z opowieścią *Flaubert's Parrot*. Opowieścią „czystą” jest lament narratora, z zawodu lekarza, z zamiłowań badacza twórczości i życia Flauberta, po samobójczej śmierci żony: współ-

czesny, zdradzany i niekochany, doktor Charles Bovary opłakuje ukochaną Emmę. Studium krytyczne zbudował Barnes (a raczej narrator, doktor Braithwaite) w dużej mierze z cytatów z Flauberta i z odprysków jego biografii. Samotnik i „niedźwiedź” z Croisset nie znośli biograficznych intruzów i tropicieli, wiedział (każdy wybitny pisarz powinien o tym wiedzieć), że liczą się tylko utwory. Melanż krytyczno-biograficzny przyrządzony przez Barnesa jest jednak, dzięki jego umiejętności dozowania, zadziwiająco odkrywczy. Oto Flaubert, nareszcie autentyczny Flaubert. „Gdy piszesz biografię przyjaciela, musisz ją pisać tak jakbyś brał za niego *odwet*”. Tym zdaniem z listu Flauberta otworzył Barnes, jako mottem, *Papugę Flauberta*. „Odwet” polega tu na oczyszczeniu Flauberta z komunałów; ścigał i tępił je sam bez pardonu całe życie, oblażył go po śmierci jak robactwo. Oczyszczony z komunałów Flaubert wpatruje się w wypchaną papugę na biurku, stara się przeniknąć „ideę papugowatości”, pracując nad opowiadaniem o „miłości między starą panną i papugą”. Bo papugę z *Prostego serca* wywindował przecież Barnes do tytułu swej książki. W jakiś sposób jest dla niego najważniejsza w twórczości autora *Pani Bovary* i innych, o ileż sławniejszych od krótkiej noweli, powieści. Dla mnie też. Dokładnie siedem lat temu, w dzienniku z maja 1980, usiłowałem wyjaśnić dlaczego.

W jaki sposób jest najważniejsza dla Barnes'a, a w jaki dla mnie? Barnes zdaje się widzieć w niej przede wszystkim źródło „idei papugowatości”, którą dałoby się rozciągnąć na wiele innych postaci flaubertowskich, a nawet na świat oglądany oczami wielkiego pisarza. Ja ograniczam się do służącej Félicité i jej papugi Lulù z *Prostego serca*. Dopóki Lulù żyje, wolno mówić o „miłości między starą panną i papugą”, przez miłość rozumiejąc stop przywiązania i samotności. Gdy papuga zdechła i została wypchana, w prostym sercu Félicité narodziło się i zapuszczało z roku na rok głębiej korzenie uczucie ubóstwienia. W kościelnym wizerunku Ducha Świętego dopatrywała się podobieństwa z Lulù. Wpadła w zwyczaj odmawiania na klęczkach modlitw przed papugą. W ekstazę wprawiało ją światło, wykrzesywane przez promień słońca w szklanym oku ptaka. Lulù zżerały robaki, jedno ze skrzydeł było złamane, pakuły wyłaziły z brzucha. Ale Félicité (w cudownej scenie śmierci podczas procesji Bożego Ciała) wchłaniała zapach kadzideł z „mistyczną zmysłowością”, zdawało jej się, że widzi „w rozchylonych niebiosach ogromną papugę szybującą nad jej głową”.

Potrzeba wyjścia *poza*, połączona w prostym sercu Félicité z wiarą. Nie miał jej i nie pragnął Flaubert, odpychał ją nawet gniewnie. Stąd okrzyk, niezauważony lub świadomie pominięty przez Barnes'a: *Je suis mystique et je ne crois à rien!* To jedna z odmian portretu Flauberta, której mi bardzo brak w książce

pisarza angielskiego: mistyczny dązek, na nim przytwierdzona łańcuszkiem papuga powtarza w nieskończoność skrzekliwym głosem *rien, rien, rien...*

22 maja

Wziąć *Serce De Amicisa*, utrząć je należycie z filozofią Panglossa z *Kandyda* Woltera, ocukrzyć na wierzchu złotymi myślami z *Dzieł zebranych* Lenina. Co to za przysmak? Tasiemcowy wywiad z Gorbaczowem w *Unità*, przeprowadzony w Moskwie przez członka kierownictwa włoskiej partii komunistycznej Gerardo Chiaromonte. *Serce De Amicisa*, bo w gruncie rzeczy wszyscy ludzie są dobrzy, szczególnie zaś patriotyczni do szpiku kości ludzie sowieccy. Pangloss z *Kandyda*, bo wszystko idzie ku lepszemu: na przykład, większość nałogowych pijaków sowieckich domaga się (w petycjach do rządu) zakazu produkcji i sprzedaży alkoholu, a mniejszość trudniąca się po kryjomu produkcją samogonu zostanie niebawem otrzeźwiona podwojonymi grzywnami. *Dzieła zebrane* Lenina, bo „nie ma innej drogi do socjalizmu jak tylko poprzez demokrację, poprzez wolność polityczną” (tom 12, str. 44). Sądziliśmy — wyznaje Gorbaczow — że prawdziwą (a nie formalną tylko) demokrację można wprowadzić dopiero po zbudowaniu socjalizmu; byliśmy w błędzie, prawdziwy (a nie formalny tylko) socjalizm można zbudować dopiero po wprowadzeniu demokracji. Demokracja bowiem jest „wartością samoistną”. Włoski boss komunistyczny przebąkuje delikatnie o trudnościach, przeszkodach, hamulcach, oporach (partia włoska odnosi się w ogóle z niezbyt zawołanym sceptycyzmem do perspektyw „przebudowy”, większym znacznie niż jej kapitalistyczni wrogowie klasowi, chociaż nie daje im się prześcignąć w rozkoszy szafowania po rosyjsku słowami *perestrojka* i *głasnost*). Gorbaczow zbywa *tonkie namioki na tołstoje obstojałielstwo* z buńczuczną dosyć miną: kto chce przebojem iść naprzód, nie może nadmiernie zważać na dasy i wybrzydzenia się maruderów; zmiecie ich i tak z równej drogi Historia o przyspieszonym rytmie. Co nie przeszkadza, że ostrożny przywódca włoski zatyka sobie woskiem uszy, ilekroć sowiecki „car reformator” wspomina o konieczności zwołania światowej konferencji partii komunistycznych.

Zauważyłem ostatnio pewne ostudzenie zapałów u zachodnich „sowieologów” i korespondentów w Moskwie. Napomyka się częściej o „hazardzie Gorbaczowa”, o „spadku optymizmu” w jego reformatorskiej gwardii przybocznej, o „apatii i podejrzliwości szerokich mas”, o „nacjonalistycznym odruchu protestu przeciw opluwaniu przeszłości” (w ramach *głasnosti*), o tym że

„obudzone i zawiedzione oczekiwania są mieszkanką wybuchową”. Sam nie wierzę od początku w możliwość „przebudowy” *takiej* budowli, ale trzymam się starej zasady wyniesionej z łagrów: brać szybko co dają, póki się nie rozmyślą. Zwłaszcza w kulturze. Ekshumują „kontrrewolucyjne trupy” Gumilowa, Achmatowej, Mandelsztama, Bułakowa, Piatonowa, Pasternaka? Doskonale. Wyciągają ze schowków trefne filmy? Świetnie. Pozwalają odechnąć nieco uczonym? Wyśmienicie. Pojęciem w tym ustroju naturalniejszym od *perestrojki* jest *peredyszka*.

Dla Polaków, według mnie, „przebudowa” Gorbaczowa ma znaczenie pod jednym względem, i to niezależnie od jej dalszych losów. Kto (w Warszawie i w Waszyngtonie) roi o pojednawczym uścisku Generała z Wałęsą na wzór telefonu Gorbaczowa do Sacharowa, niech — poza wszystkim innym — zapozna się z wypowiedzią Jaruzelskiego o stalinizmie w rozmowach z dziennikarką jugosłowiańską. Ale odsunawszy na bok bałamuctwa, warto pamiętać, co było zawsze kulą u nogi i upiorem wszelkich zrywów i ruchów opozycyjnych. Postrach, a często po prostu straszak, paraliżującego dylematu: wejść czy nie wejść? Jeśli pod wpływem „przebudowy” Gorbaczowa i dzięki niej ta kula u nogi stanie się nieco lżejsza, ten upiór rozchwieje się trochę, postawimy krok w kierunku większego *ośmielenia*. Długi i ważny krok.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.
Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zablocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.
Tel.: 42 85 79 45.

Wiersze

Bogdan CZAYKOWSKI

WIATR Z INNEJ STRONY

Wiatr z innej strony i od razu słońce.
Słońce, i zaraz wiatr z przeciwnej strony.
Odwrócił liście kolorem czerwonym
i zmieszał fale, których szczyty trwały
dłużej niż zwykle, nim runęły w przepaść.

Śmierć z jednej strony i od razu słońce.
I poruszenie wewnątrz jak w powietrzu.
Odwracam liście kolorem czerwonym
w tańcu jaskółek, zjawionych tak nagle.

Wiatr z innej strony, i zaraz jaskółki.
Jaskółki, i od razu wiatr z przeciwnej strony.
Chmury mszyc zwianych w przestworza spod liści.
Bo wiatr i naraz piorun z innej strony.
I szczyt obłoku krócej trwa niż zwykle
przeciwnym wiatrem cicho uderzony.

Wiatr z innej strony, i od razu słońce.
Słońce, i zaraz wiatr z przeciwnej strony.

Bogdan CZAYKOWSKI

Anna FRAJLICH

WIEDZA EZOTERYCZNA

Tylko rozpięty głos pod chmurą
echo, biblijne piaski granie
dlaczego ja — pytanie pytań
otchłań przegląda się w pytaniu

wznoszą się w snach strzeliste schody
i na odwrocie gobelinu
fatum wyblakłe lecz surowe
rozkwitającą nić przecina
albo po Trzykroć Największego
magicznej wiedzy kronikarza
od ośnieżonych gór Arkadii
w mrocznym jeziorze ślad przepada
i kręgi biegną po jeziorze.

27 kwietnia 1987 r.

Anna FRAJLICH

Ryszard KRYNICKI

PRZEKREŚLONY POZĄTEK

Zbigniewowi Herbertowi

Przekreślony początek, z drugiej
strony: biel,

pośród nich tyle życia, nie
do wyrażenia —

— to jeszcze kartka papieru: zmięta
w popielniczce płonie

już mała nieskończoność? nic?
niewielki światła i cienia

1974/1985

Z PRZEKŁADÓW: WYSTAN HUGH AUDEN

EPITAFIUM TYRANA

Pragnął perfekcji, swojego rodzaju
a poezja, jaką odkrył, była łatwa do zrozumienia;
szaleństwo ludzkie znał jak grzbiet swej ręki
i był bardzo zajęty armiami i flotą;
gdy się śmiał — szacowni senatorzy pękali ze śmiechu,
kiedy wrzeszczał — małe dzieci marły na ulicach.

Ryszard KRYNICKI

Archiwum polityczne

Papież, Polska i polityka

Powiedzmy wprost: wielu ludzi obawiało się, że wizyta Papieża w Polsce przechyla szalę niejednoznacznej sytuacji politycznej w niewłaściwą stronę. Nic takiego się nie stało.

Pucz z 1981 roku, przeprowadzony technicznie bez zarzutu, pozwolił władzy osiągnąć niektóre cele, ale nie wszystkie. Położył jednym zamachem kres nadziejom „Solidarności” na niezawisłość i wolność kraju. Poraził na długie lata społeczeństwo. Poziom życia spadł kilkakrotnie i zbliżył się do skrajnego ubóstwa ZSSR. Zanieczyszczenie powietrza i wody osiągnęło poziom katastrofalny, sytuacja sanitarna pogarsza się z każdym dniem. Ludność, umęczona prześladowaniami, zdemoralizowana drobnym kombinatorstwem, zajęta zabiegami o przetrwanie, nie stanowi już zdaniem Jaruzelskiego, poważnego zagrożenia politycznego. Inny sukces: dzięki warunkowemu zwolnieniu więźniów politycznych Zachód pogodził się z sytuacją. Zniósł mało dotkliwe sankcje handlowe i godzi się na odraczanie *ad calendas Graecas* nie tylko spłaty potężnego zadłużenia PRL, ale nawet spłaty odsetków od długów.

Nie wszystko się jednak Jaruzelskiemu udało. Tradycyjny od 1945 roku argument komunistów — jeśli my tego nie zrobimy, zrobią to Sowieci — nie wystarcza już dla legitymizacji reżymu. Okupująca Polskę partia uważana jest za obce ciało niezależnie od tego, czy mówi po rosyjsku, czy po polsku. Pucz nie zdławił — wręcz przeciwnie — zaskakującej, unikalnej na Wschodzie żywotności inteligencji. Wydawnictwa podziemne to prawdziwy przemysł: książki i czasopisma są sprzedawane i kupowane, kalkuluje się ich cenę i zysk ze sprzedaży. Ludność wprawdzie boi się konkretnych akcji policji, ale głęboki strach typowy dla triumfalnego totalitaryzmu nie istnieje.

Reżymowi pozostaje do rozegrania główna karta: pozyskanie sobie Kościoła katolickiego. Wiadomo powszechnie, że jest to potężna instytucja, że kościoły są przepiękne i seminaria nie narzekają na brak kandydatów. Manewr komunistyczny miałby

więc polegać, na zepchnięciu Kościoła na równię pochyłą kleru (ostatnich latach), polepszając sytuację kleru, zezwalając mu na odprowadzanie tyłu nabożeństw, ile chce i w pewnych granicach na nauczanie, władze zamierzają doprowadzić Kościół do uznania, że jego wolność jest tożsama z wolnością Polski i kiedy jemu dzieje się dobrze, dobrze dzieje się też społeczeństwu polskiemu. Być w Polsce biskupem jest całkiem przyjemnie: na Zachodzie prafaci nie cieszą się taką estymą. Jeśli Kościół zacznie legitymować reżym, Polakom nie pozostanie nic innego jak defilowanie w procesjach pod nabożnymi sztandarami. Aż im się to znudzi.

Taka abdykacja z polityki mogłaby się odwołać do pewnej tradycji politycznej. „Solidarność” nie była partią, lecz ruchem narodowo-wyzwoleńczym. Żywiła złudne przekonanie, że uda jej się albo negocjować z komunistami, albo przechrzyć ich, nie akcentując swych celów politycznych. Konflikt rozgrywał się na gruncie symboli: zamiast żądać niepodległości, „Solidarność” domagała się przywrócenia orła z koroną. Zamiast walczyć o wolne wybory, mobilizowała ludność do walki o dymisję skorumpowanego wojewody. Otóż koncepcja, że można przyprześć władzę komunistyczną do muru i wywalczyć społeczeństwu obszary wolności bez uciekania się do jasno wytyczonej i otwartej walki politycznej jest dziś ostro krytykowana. Refleksja i praca oświeceniowa, prowadzone od sześciu lat przez działaczy, prasę podziemną i wolne uniwersytety doprowadziły do przebudzenia myśli politycznej.

Sięga ona naturalnie do tradycji przedwojennej i jej dwu głównych nurtów. Określmy je nazwiskami ich twórców, Dmowskiego i Piłsudskiego. Dmowski kładł nacisk na jedność etniczną, rasę, krew, ziemię. Nie chciał zaczynać walki o niepodległość zanim nie zostanie skonsolidowana wspólnota moralna. Wspólnotę tę opierał na katolicyzmie i cnotach chrześcijańskich. Wierzył w mityczny spiszek żydowski. Za główne niebezpieczeństwo uważał Niemcy — Rosja była jego zdaniem mniejszym złem. We wszystkich tych kwestiach Piłsudski zajmował stanowisko dołącznie odwrotne. Cenił bardziej wspólnotę kultury niżeli rasy. Był zdecydowanie świecki. Nie bał się wyzwania ciemieży do walki na śmierć i życie. Chciał pogodzić Żydów i Polaków. Był przekonany, że niebezpieczeństwo idzie z Rosji.

Nie ulega wątpliwości, że część wysokiej hierarchii kościelnej, z prymasem Glempem na czele, rozpoznaje się — przynajmniej częściowo — w wizji Dmowskiego. Ale wielu zwykłych księży, najbliższych wiernym, i wielu biskupów utożsamia się z koncepcją Piłsudskiego.

Władcy Polski spodziewali się, że Papież dokona dzieła pacyfikacji Polaków. Mieli nadzieję na ogólnikowe kazania na temat pokoju, pojednania, rzekomego wspólnego dobra narodu polskiego, reprezentowanego przez Jaruzelskiego. Czekali na kadzidło, czczone słowa, opium dla ludu. Zamiast nich Jan Paweł II przypomniał prawa człowieka, poparł walkę społeczną chłopów i ro-

botników oraz walkę wszystkich obywateli o własne przedstawicielstwo i wolność. Rzucił słowa rycerskie, zdolne na nowo rozbudzić odwagę narodu, którego życie polityczne jest jeszcze w powijkach, który jednak czuje już, że lody, które go skuwają, zaczynają pękać.

Alain BESANÇON

L'Express z 19-25 czerwca 1987.

(Z francuskiego przełożyła Julia JURYŚ)

Austria

Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że wszystko co nacjonalistyczne, antysemitkie i faszystowskie pochodzi z Niemiec, i to zachodnich. Jest to chyba jedyny temat, w którym społeczne odczucia prawie całkowicie zgadzały się (i zgadzają) z wysiłkami propagandystów Komitetu Centralnego. Nawet w okresie największej nieufności do partyjnych środków masowego przekazu to jedno twierdzenie przyjmowane było jako zgodne z prawdą. Tak zwana afera Waldheima zachwiała nieco tym uproszczonym obrazem.

Wszystko zaczęło się od tego, iż były sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim postanowił kandydować w wyborach na stanowisko prezydenta Austrii. W trakcie kampanii wyborczej okazało się, iż ten „kryształowy dyplomata” nie zawsze był kryształowy. Amerykańskie gazety zaczęły zamieszczać wiadomości o nieścisłościach w biografii Waldheima oraz w dokumentach i formularzach, których — ubiegając się na początku lat 70-tych o tak wysokie stanowisko międzynarodowe — musiał wypełnić niezliczoną ilość. W oskarżeniach, formułowanych głównie przez Światowy Kongres Żydów, powtarzały się zarzuty nie tylko „nieścisłości”, ale także mijania się z prawdą. Waldheim zaprzeczał bowiem, jakoby kiedykolwiek w trakcie służby na Bałkanach wdział na własne oczy partyzanta, słyszał o deportacjach Żydów greckich do obozów oraz osobiście był obecny przy przesłuchaniach członków grup partyzanckich. Jednak z dokumentów, które Kongres jeden po drugim podrzucał prasie wynikało, że Waldheim myli się co do własnego życiorysu: był bowiem tam, gdzie jak twierdzi nigdy nie był, pełnił funkcje, których według wypełnianych przez niego kwestionariuszy pełnić nie mógł, należał do organizacji, których według własnych deklaracji członkiem nigdy nie miał zamiaru być itd. W momentach szczególnie silnego przyściskania do muru — powoływał się na lukę w pamięci.

W samej Austrii zaczęły dziać się rzeczy dziwne. Otóż jeszcze przed wybuchem całej sprawy specjaliści od *public relations* w

sztacie Waldheima łamali sobie głowy, jak Waldheima przybliżyć austriackim wyborcom. Niestety poza niezbyt udanym pomysłem przebrania na plakatach wyborczych byłego sekretarza generalnego w ludowy strój sudecki niewiele zdziałano. Dopiero gdy zagranica zaczęła Waldheima obrzucać niezbyt miłymi epitetami, stał się cud. Z dnia na dzień popularność jego rosta w zawrotnym tempie, by na kilka tygodni przed wyborami osiągnąć poziom 60 % wszystkich wyborców. Im głośniejsze były oskarżenia i bardziej jednoznaczne dokumenty, tym popularność dyplomaty większa. Cud ten nie zaskoczył ludzi nieco zorientowanych w dziejach byłego imperium Habsburgów.

Niektórzy historycy uważają Austrię za ojczyznę nowoczesnego faszyzmu, który później tak żyzną glebę znalazł w sąsiednich Niemczech. Szczególnie przełom wieków XIX i XX to okres wzmożonych prześladowań rasowych i rozkwitu ideologii faszystowskiej. Już pod koniec XIX wieku studenckie korporacje wprowadziły w Wiedniu wobec ok. 170-tysięcznej rzeszy Żydów, mieszkających wówczas w stolicy, tzw. paragrafy aryjskie. Ideologia faszystowska była w tym okresie głównie reprezentowana przez środowiska inteligenckie. Początek XX wieku to niestający wzrost antysemityzmu, a „kwestia żydowska” urasta do pierwszoplanowego problemu państwowego. Ówczesny kanclerz z partii chrześcijańsko-socjalistycznej, Seipel, a szczególnie jego partyjny kolega Leopold Kunschak żądają „natychmiastowego wydalenia wszystkich Żydów przybyłych do Austrii po sierpniu 1914 roku”, a jeżeli wydalenie nie jest możliwe, to należy Żydów „internować w obozach uchodźców”. Kunschak po roku 1945 został przewodniczącym parlamentu Austrii. Bardzo interesującym przyczynkiem do historii austriackiego faszyzmu jest sprawa Anschlussu z marca 1938 roku, czyli przyłączenia Austrii do Trzeciej Rzeszy. We wszystkich podręcznikach historii, jak również w oficjalnych dokumentach dotyczących tego okresu (ale pisanych już w czasie Drugiej Republiki) przyłączenie to nazywa się „brutalnym pogwałceniem suwerenności Austrii przez Hitlera”. Rzadko wspomina się o fakcie, iż np. na terenie Marchii Wschodniej (*Ostmark*) procent członków NSDAP był większy niż w całym Reichu, a Karyntia uchodziła za „najwierniejszy okręg Führera”. Według hitlerowskich statystyk w głosowaniu za Anshlussem wypowiedziało się 99,73 % ludności. Oczywiście statystyka ta była sfałszowana, ale według ostrożnych ocen historyków głosów „za” było około 60 %, a manifestacja na cześć Hitlera 15 marca 1938 roku na wiedeńskim Heldenplatz uchodzi do dziś za najliczniejsze zbiegowisko zorganizowane kiedykolwiek przez Austriaków. Socjalista Karl Renner nawoływał wówczas do głosowania za Anshlussem, nazywając go „historycznym krokiem naprzód”, co nie przeszkodziło mu w Drugiej Republice zostać kanclerzem. Jeżeli chodzi o Żydów zamieszkających w Austrii (1,2 miliona na początku wieku), to o ich losie niech świadczy fakt, iż liczba ich w samym Wiedniu z 220 tysięcy spadła tylko do roku 1939 (!) do 70 tysięcy. Wojnę przeżyło 200. A oto jak Adolf Hitler wspominał kraj rodzinny: „Do Wiednia przyjechałem jako

17-letni człowiek. Wyjeżdżałem z Wiednia jako absolutny anty-semita”.

Po roku 1939 Austriacy jeszcze nie zaliczali się do „ofiara bestialstwa Hitlera” i brali czynny udział w zdobywaniu przestrzeni życiowej. Na przykład transport 1,7 miliona Żydów do obozów zagłady organizował w sztabie Eichmanna Austriak Franz Nowak, jego rodacy byli komendantami obozów w Treblince, Płaszowie, Lublinie, podobnie jak „likwidatorzy” gett w Wilnie i Rydze. Simon Wiesenthal, kierownik żydowskiego Centrum Dokumentacyjnego w Wiedniu stwierdził, iż obywatele austriaccy są odpowiedzialni za śmierć trzech milionów Żydów w okresie drugiej wojny światowej. Wszystko zmieniło się, gdy losy wojny były już przesądzone. Austria przeskoczyła wtedy nagle z obozu sojuszników Hitlera do grona jego ofiar, a w tak zwanym „oświadczeniu moskiewskim” z 1943 roku alianci nazwali nawet Austrię „pierwszą ofiarą narodowego socjalizmu”. Natychmiast po wkroczeniu wojsk alianckich do Austrii około 10 % ludności (na tyle oceniano aktywnych nazistów) doznało całkowitej amnezji i zaczęło wyciągać rękę po prawa należne ofiarom wojny. Było ich ponad 600 tysięcy i kiedy Amerykanom przyszła jednak do głowy myśl, by akcji „denazyfikacji” poddać także owe 10 %, przerazili się ogromem tej liczby (stanąłby prawie cały kraj i trzeba by było „denazyfikować” połowę rządu i sporą część parlamentu) i dali sobie spokój. Później przyszła zimna wojna, zapomniano o denazyfikacji, a problemem lojalności stał się antykomunizm, którego najzacieklejszymi i najstarszymi stażem przedstawicielami byli eks-hitlerowcy.

Okres powojenny także nie uzasadnia żywotności mitu o Austriaku jako „dobrym Niemcu”. W Austrii bowiem po „wyzwoleniu” bez porównania więcej byłych nazistów objęło oficjalne stanowiska niż w Niemczech, gdzie proces denazyfikacji przeprowadzany był bez większych wyjątków czy ulg. Lista przedwojennych zwolenników i działaczy faszystowskich, którzy po „wyzwoleniu” brali czynny udział w życiu politycznym i społecznym jest długa i obejmuje prawie wszystkie stanowiska od kanclerza po przewodniczących regionalnych komórek partyjnych. Już późną jesienią 1945 roku Austriacka Partia Ludowa (*ÖVP*) domagała się, by byli naziści mogli brać udział w nadchodzących wyborach. Pozostałe partie polityczne (socjalistyczna i komunistyczna) sprzeciwiły się temu, wiedząc jaką siłę stanowić by mogło ponad pół miliona wyborców wraz z rodzinami. Jednak już w 1949 roku pozwolono „oczyszczonym” byłym zwolennikom NSDAP (na 600 tysięcy skazano zaledwie 13 tysięcy) wyrazić oficjalnie swoje zdanie co do sympatii politycznych. Powchodzili oni w skład tak socjalistów jak i partii konserwatywnej, ale głównym ich przedstawicielstwem stał się utworzony w 1949 roku na wniosek ministra spraw wewnętrznych (socjalisty) Helmera Związek Niezależnych (*Verband der Unabhängigen*), który z miejsca zdobył popularność obliczaną na 12 % mieszkańców Austrii, czyli o 2 % więcej niż dziesięć lat wcześniej NSDAP. Związek na skutek wewnętrznych sporów bardzo szybko przestał istnieć,

przemieniając się w Austriacką Partię Wolnościową (FPÖ). Partia ta szczególnie zasługuje na uwagę nie tylko ze względu na wysoki procent byłych faszystów w swoich szeregach, ale przede wszystkim z uwagi na stanowiska, jakie zajmowali jej działacze. Tak np. długoletni przewodniczący FPÖ Friedrich Peter nie tylko nie krył się z własną przynależnością do SS, ale podkreślał jeszcze, że wstąpił tam dobrowolnie, czego absolutnie nie żałuje, tak jak nie żałuje masowych egzekucji, jakich dokonywała jego jednostka na Żydach w ZSSR. „Najwierniejszym okręgiem” zgodnie z tradycją pozostała Karyntia, gdzie czołowym działaczem FPÖ był eks-Sturmführer SA Otto Scrinzi, określający swój światopogląd polityczny jako „zawsze na prawo, nawet od NSDAP”. Brał on udział w wyborach prezydenckich, w których kandydował Waldheim; co prawda wygrał lepszy, ale Scrinzi ze swoim „na prawo od NSDAP” zdołał jednak zebrać wystarczającą ilość podpisów, by wystawić własną kandydaturę. Również tak znany i powszechnie posądzany o tendencje pokojowo-lewicowe pierwszy kanclerz Austrii żydowskiego pochodzenia, Bruno Kreisky, nie oparł się urokowi byłych członków NSDAP i kilku z nich umieścił we własnym rządzie, między innymi członka SS Öllingera jako ministra rolnictwa, a wychowanka elitarniej szkoły faszystów Napola i członka NSDAP Otto Röscha jako ministra spraw wewnętrznych (!) a później obrony. Kreisky'emu zdarzały się też niezbyt dyplomatyczne, ale za to bardzo popularne wśród paru jego ministrów wypowiedzi, jak na przykład ta o Żydach jako „marnym narodzie” (*mieses Volk*). Nic dziwnego, że w Austrii związki byłych nazistów oraz młodszych neofaszystów nie narzekają na brak kandydatów. Liczbę tego typu zrzeszeń oblicza się na około 50 (np. Austriacki Związek Towarzyszy Broni — *Österreichischer Kameradschaftsbund* — zrzesza około 300 tysięcy członków, w tym 50 tysięcy poniżej 30 lat). Najbardziej spektakularnym gestem w stronę brunatnej przeszłości było oficjalne powitanie urządzone przez urzędującego ministra obrony Republiki Austriackiej, członka FPÖ Friedhelma Frischenschlagersa powracającemu z wywienienia we Włoszech zbrodniarzowi wojennemu Walterowi Rederowi. Najbardziej znanym natomiast przedstawicielem tego odłamu FPÖ jest były przewodniczący oddziału tej partii w Karyntii, Jörg Heider. Ten 36-letni polityk zrobił w ostatnim czasie zawrotną karierę i określany jest dziś przez własnych zwolenników jako „najbardziej uzdolniony polityk Austrii”. Jego droga polityczna wiodła od organizacji studenckiej poprzez stanowisko rzecznika FPÖ w parlamencie do spraw socjalnych (był wtedy bardzo lewicowy), później stołek przewodniczącego Karyntii, aż do najwyższej pozycji w partyjnej drabinie — przewodniczącego całej FPÖ. Jego wypowiedzi na różnych wiecach i zebraniach są tyleż chaotyczne co nacjonalistyczne. Mówi o wszystkim i do wszystkiego potrafi się ustosunkować. Wie przede wszystkim, co chcą usłyszeć wyborcy i mówi im to z olbrzymim przekonaniem, stosując najbardziej prymitywne chwytły propagandowe. W Karyntii popularność jego jest ogromna. Ludzie kochają go za to, że porusza najbardziej trapiące ich problemy.

W Karyntii problemem takim jest mniejszość narodowa Słowenów, którym Heider zarzuca przy ogromnym poklasku niemieckiej większości „działalność na zlecenie jugosłowiańskiej macierzy” oraz twierdzi, iż południowa Austria dopiero wtedy będzie „wolna, gdy stanie się niemieckim krajem” (Heider ma duży respekt przed Niemcami — w jednym z pierwszych swoich przemówień w życiu rozwodził się na temat „Czy my Austriacy jesteśmy Niemcami?”, sam sobie odpowiadając: „*Jawohl, wir sind es!*”). W wystąpieniach przedwyborczych wspominał też coś o „czystości narodowej”, „zdrowym członie”, „wspianalej tradycji ojców” itp. Stwierdził również, że uczuć narodowych nie należy pozostawiać jedynie w gestii starych nazistów. Młodzi też chcą coś na ten temat powiedzieć. We wrześniu 1986 roku zdecydowaną większością głosów wybrano go na przewodniczącego FPÖ. Zmiana na stanowisku przewodniczącego spowodowała kryzys rządowy, jako że rządzący socjaliści nie chcieli mieć nic wspólnego z fetowanym przez lud Heiderem. Rozpisano nowe wybory i... ponownie stał się cud. Partia z Heiderem na czele uzyskała nieprawdopodobny wynik: *podwoiła* się liczba wyborców przekonanych o słuszności jej politycznej linii. Z niecałych 5% stan jej posiadania wzrósł do prawie 10%, co pozwoli na zwiększenie w parlamencie liczby posłów FPÖ z 12 do 18. Podobnego sukcesu nie odniósł w ostatnich latach żaden polityk austriacki. Dodać jeszcze należy, że Heider jest nie tylko najpopularniejszym politykiem Austrii, ale również najbogatszym.

Jak z tego przeglądu widać, „syndrom Waldheima” nie jest ani zaskakujący, ani tym bardziej niezrozumiały. W przypadku obecnego prezydenta Austrii pozostaje jeszcze jedna zagadka do rozwiązania. Dlaczego tych wszystkich dokumentów nie opublikowano wcześniej, w latach 70-tych, kiedy Waldheim pełnił funkcję przewodniczącego ONZ? Jak się wydaje, w całą tę historię bardzo zaangażowany był Związek Sowiecki, który zdawał sobie sprawę, iż przeforsowanie kandydatury „własnego” generalnego sekretarza ONZ jest wykluczone z powodu wymaganej jedno-myślności stron głosujących. Trzeba więc było rozejrzeć się za kandydatem „neutralnym”, który byłby do przyjęcia przez państwa zachodnie i jednocześnie spełniał usługną rolę wobec ZSSR. Waldheim nadawał się do tego znakomicie. Jak wynika z publikacji, które ukazały się po wybuchu skandalu, wszczęte postępowanie „denazyfikacyjne” wobec Waldheima nie zostało nigdy zakończone i jak w przypadku tysięcy podobnych mu Austriaków umorzone i pущzone w niepamięć. Przy wyborze w 1971 roku na stanowisko sekretarza ONZ państwa zachodnie nie miały większych zastrzeżeń do Waldheima, jako że w jego dokumentach przynależność do SA i narodowosocjalistycznego związku studentów została „zredukowana” do członkostwa w korpusie kawalerii, co nawet Amerykanom wydawało się raczej niewinne. Kompletnie dokumenty dotyczące przeszłości Waldheima zachowały się jedynie w archiwach wywiadu Jugosławii (od grudnia 1947 roku nazwisko Waldheima figuruje na liście przestępców wojennych sporządzonej przez jugosłowiańskie władze pod nu-

merem 724) oraz KGB. Przeciaki z tych źródeł i odblokowanie innych (np. archiwum ONZ) umożliwiło Kongresowi Żydów sformułowanie oskarżeń. Waldheim ze swej strony już wcześniej wykazał, że ZSSR może na niego liczyć, a przynajmniej może spodziewać się po nim decyzji nie wchodzących w paradę polityce zagranicznej Kremla, szczególnie w okresach kryzysowych. Dopiero teraz, po dwudziestu prawie latach, wyszła na jaw działalność Waldheima w okresie Praskiej Wiosny, kiedy pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych Austrii. W sierpniu 1968 roku w ambasadzie austriackiej w Pradze leżały tysiące podań o wizę. W budynku ambasady koczowało kilka setek osób oczekujących na decyzję w sprawie możliwości opuszczenia okupowanego kraju. W tym czasie Waldheim jako minister spraw zagranicznych wydał polecenie, by ambasadę zamknąć i „wpuszczać tylko ludzi z paszportami austriackimi”, a „aktualnie znajdujący się w budynku ambasady obywatele czechosłowaccy powinni zostać nakłonieni do jego opuszczenia”. Na szczęście do realizacji tego polecenia nie doszło. Ówczesny ambasador w CSRR i późniejszy prezydent Austrii (po którym urząd objął właśnie ostatnio Waldheim) Kirchschräger nie zastosował się do polecenia przełożonego i wydawał dziennie ok. 5.000 wiz wjazdowych. Waldheim nie przypomina sobie oczywiście całej sprawy i twierdzi, że polecenia takiego nigdy nie wydał. Gdy gazety niemieckie wydrukowały zdjęcie owego polecenia z własnoręcznym jego podpisem, Waldheim nadal nie mógł sobie przypomnieć takiego zdarzenia, jak również własnego oświadczenia stwierdzającego, iż Austria jako kraj sąsiadujący z okupowaną Czechosłowacją absolutnie nie czuje się zagrożona obecnością czołgów Układu Warszawskiego w Pradze. Tego typu zachowanie w ciężkich chwilach dla sowieckiego imperium nie mogło ująć uwadze Kremla i Moskwa postanowiła trzy lata później poprzeć kandydaturę Waldheima w ONZ, by przypomnieć mu w stosownej chwili o pewnych dawno zapomnianych już dokumentach. O staraniach sowieckich w tej sprawie świadczy fakt, iż Rosjanie zablokowali dwie inne kandydatury na to stanowisko, kandydatury osób zupełnie neutralnych i z punktu widzenia interesów sowieckich zupełnie nieszkodliwych (fiński ambasador przy ONZ Max Jakobson oraz Argentyńczyk Ortiz de Rozas). Jednak ZSSR uparł się przy kandydaturze Waldheima i po początkowych sprzeciwach Wielkiej Brytanii i Chin został on mianowany na to stanowisko. Jednym z pierwszych posunięć nowego sekretarza ONZ było podniesienie liczby sowieckich urzędników w tej organizacji do 250 (na 4.000 stanowisk, które podlegały gestii Waldheima).

Profaszystowskie nastroje spowodowane są w Austrii, jak twierdzą znawcy psychologii tłumu, faktem, że Austria nigdy właściwie nie została zmuszona do konfrontacji z własną przeszłością. Zmiana statusu z sojusznika na ofiarę najeźdźcy zaprzepaściła możliwość wglądu w nienajjaśniejsze karty własnej historii. Austriacy zapomnieli po prostu, co się z nimi działo i przede wszystkim co sami zdziałali w latach poprzedzających klęskę Hitlera.

Wiktor GROTEWICZ

List z Londynu (13)

W ciągu 12 lat Margaret Thatcher osiągnęła trzy zwycięstwa, które przejdą do historii brytyjskiej demokracji. Jest pierwszą kobietą, która została brytyjskim premierem, i jest pierwszym politykiem od przeszło 150 lat, który potrafił trzy razy po kolei wygrać powszechne wybory. Każde z tych osiągnięć osobno było już wielkim sukcesem, bo w prawdziwej demokracji nie pomogą żadne sztuczki: trzeba być wybranym w uczciwym głosowaniu. Połączone razem i osiągnięte jedno po drugim, bez żadnej przerwy, są zwycięstwem, dla którego daremnie szukać porównania w historii zachodnich demokracji.

Jakże to się stało, kim jest ta kobieta?

Przede wszystkim jest zwyczajną reprezentantką średniej klasy społecznej (jej ojciec miał sklep żywnościowy), posiada dwoje dorosłych dzieci, mąż towarzyszy jej w publicznych wystąpieniach, gdy ma czas, gotuje dla niego obiad. Taka sylwetka odpowiada szerokim masom różnorodnych wyborców, ale pod tą pozorną przeciętnością kryje się żelazna wola, zupełnie niewiarygodna siła fizyczna, pamięć i opanowanie. Trzy lata temu irlandzka bomba zniszczyła część Grand Hotelu, w którym obradowali Konserwatyści, i zabiła szereg osób. Margaret Thatcher uratowała się cudem tylko dlatego, że do trzeciej rano, zamiast spać, pracowała w innym pokoju nad swym przemówieniem. Po kilku godzinach zebrali się uczestnicy konferencji, wymęczeni, niewyspani, bladzi, a ona była już ufryzowana, różowa, uśmiechnięta. Co dzień, na marginesie nieustannej pracy, musi być w parlamencie i odpowiadać na pytania, które przeważnie mają charakter podstępного zaskoczenia. Nie jest wielkim mówcą, ale jeszcze się nie zdarzyło, by taką parlamentarną debatę przegrała. Nic nie potrafi wyprowadzić jej z równowagi, na każde pytanie ma zawsze rzeczową, czasem zabójczą odpowiedź. Tuż przed jej wyjazdem do Moskwy, Wedgwood Benn, ze skrajnego, lewego skrzydła *Labour Party*, udzielił sowieckiej prasie wywiadu, skarżąc się na Wielką Brytanię, w której prześladowa się ludzi niewygodnych dla rządu. Zapytana o to w Izbie Gmin, Thatcher odpowiedziała: Mr. Benn korzysta w pełni z wolności jego własnej ojczyzny, ale jeżeli życie tutaj mu nie dogadza, z miłą chęcią poproszę pana Gorbaczowa, by przyznał mu prawo stałego pobytu w Związku Sowieckim. Spokój i precyzja riposty są jej najsilniejszą bronią.

Przy takim przywódcy Konserwatyści mogli raz jeszcze wygrać wybory, ale problem nie dotyczył przecież tylko sylwetek partyjnych wodzów. W ciągu ostatnich dziesięciu lat poczęło się krystalizować polityczne oblicze Wielkiej Brytanii. Po okresie szukania sobie miejsca w nowym, powojennym świecie, gdy nie było już

imperium, po wpuszczeniu na wyspy kilku milionów kolorowych, przed Brytyjczykami stanęły w jaskrawym świetle dwie alternatywy. Albo być nadal krajem liczącym się w świecie, posiadać się gotową do obrony niezależności, nie rezygnować z dumy narodowej i nie zapominać o wielkiej przeszłości. Albo pogodzić się z faktem, że jest się drugorzędnym państwem, cieszyć się z wysokiego poziomu życia, pieniądze przeznaczone na obronę wydawać na samochody i łodówki, bo przecież Amerykanie i tak będą musieli bronić brytyjskich wysp, których przecież, rozbójnych, Rosja nie zaatakuję. Z tą drugą alternatywą wiąza się także rozmaite wynaturzenia: premiowanie homoseksualizmu, obłąd na punkcie rasizmu, nonsensowna gospodarka w dużych miastach, atakowanie policji, popieranie najbardziej skrajnych elementów.

Konserwatyści wybrali pierwszą alternatywę i pod przywództwem pani Thatcher poczęli odbudowywać wiarę narodu we własną siłę, w rolę jaką na świecie ma do spełnienia. Jaskrawym przykładem tej linii była wojna o Falklandy i wygranie strajku górników. Te wybory były nie tylko walką o władzę pomiędzy partiami, były walką o przyszłość kraju, o los następnych pokoleń. Oczywiście liczyły się także realia a te przemawiały bardzo mocno na rzecz rządzącej partii. Od ostatnich wyborów w roku 1979 liczba rodzin posiadających własne domy wzrosła o dwa i pół miliona, liczba posiadaczy samochodów o 12 %, liczba posiadaczy telefonów o 14 %, posiadaczy akcji o 13 %. Można to uznać za normalny postęp, ale dwa inne porównania są już jednoznaczne. Liczba członków Związków Zawodowych z 13,3 milionów spadła do 9,7 milionów; w roku 1979 stracono 29,4 milionów godzin pracy a w roku 1986 mniej niż dwa miliony! Ta ostatnia cyfra jest najniższa od 50 lat.

Konserwatyści w swej przedwyborczej walce mieli kilku wymienionych agentów. Najlepszym, wprost bezkonkurencyjnym, okazał się Denis Healey, odpowiedzialny za sprawy zagraniczne w „gabiniecie cieni” *Labour Party*. Tuż przed ogłoszeniem terminu wyborów pojechał do Moskwy i tam wydarzyła mu się „gafa stulecia”. Na konferencji prasowej powiedział, że sowieccy przywódcy modlą się o zwycięstwo socjalistów w brytyjskich wyborach. Nie pomogły późniejsze wykręty, porównywanie pani Thatcher do Stalina i mieszanie z błotem. Konserwatyści powinni mu przyznać dożywotnią pensję.

Przywódca socjalistów, Neil Kinnock, wypadł w walce wyborczej dobrze, bo potrafił przemawiać w stylu wiecowym, ale i jemu przytrafiło się potknięcie, które kosztowało wiele głosów. Brońąc całkowitego, jednostronnego brytyjskiego nuklearnego rozbioru i usunięcia amerykańskich baz powiedział, że Wielka Brytania może się nie obawiać sowieckiej okupacji, bo poprzez podziemny ruch oporu stworzy się takie warunki, że okupanci nie będą mogli ich wytrzymać. Przypomina się rozmowa dwóch pań w londyńskim autobusie, w czasie powietrznej Bitwy o Wielką Brytanię, w roku 1940. „Niech nawet Hitler ze swoimi żołnierzami wylądaje. Zginą, nie damy im kartek żywnościowych”.

Kłeskę ponieśli Socjaldemokraci i Liberałowie występujący wspólnie jako Alliance. Raz jeszcze okazało się, że anglosaska demokracja to dwie partie. Szkoda Davida Owena, przywódcy SDP, który wprowadził sam przeszedł, ale stracił trójkę kolegów, którzy wraz z nim opuścili kilka lat temu *Labour Party*. On jeden z opozycji prowadził kampanię wyborczą z poczuciem godności i bez ataków personalnych.

Oczywiście Konserwatyści nie mogli powtórzyć lawinowego zwycięstwa sprzed czterech lat, bo niechęć wyborców do oddawania rządów znowu tej samej osobie jest tu powszechna, ale przewaga ponad stu głosów w Izbie Gmin nad wszystkimi przeciwnikami pozwala na rządzenie krajem bez żadnych trudności. Siła Konserwatystów to przede wszystkim południe kraju, ale zawsze tak było. Najgroźniejsze bezrobocie jest w Szkocji i dlatego *Labour Party*, wiele obiecująca, jest tam najsilniejsza.

Wyniki wyborów są następujące (w nawiasach cyfry z r. 1983):

Konserwatyści	375 (397)	mandatów
Labour Party	229 (209)	"
Liberałowie	15 (17)	"
Socjaldemokraci	5 (6)	"
Wszyscy inni	24 (21)	"

W mym „Liście”, który ukazał się w październikowym numerze zeszytowej *Kultury*, przewidywałem, że Rupert Murdoch pokona związki zawodowe i że odstąpią one od obłężenia jego nowoczesnych zakładów drukarskich na terenie dawnych londyńskich doków. Tak się stało, pikietowania odwołano, Murdoch zwyciężył na całej linii, przełamano tradycję szantażowych strajków drukarzy i nowoczesny sposób drukowania pism staje się tutaj coraz bardziej powszechny.

Ten przełom pozwolił na tak daleko posunięte obniżenie kosztów produkcji, że w kraju, w którym od lat nie było już miejsca na nowe, codzienne pismo, powstały dwa: *The Independent* i popołudniówka, *London Daily News*.

Zmieniła się również technika rozprowadzania pism po kraju. Już dawniej miały one swoje prowincjonalne mutacje, jednak każdej nocy wyruszało z Londynu sto pociągów, by dostarczyć odległym, lokalnym sprzedawcom paki gazet, teraz coraz częściej używany jest transport drogowy (cztery pisma Murdocha, *Observer*, *The Independent* i niezwykle poczytne pisma grupy *Mirror*) na krótkich dystansach. Transmisyjne przerzucanie całych stron do prowincjonalnych drukarni pozwala na wydawanie w tym samym czasie takich samych dosłownie pism w wielu miejscach. *Financial Times* poszedł jeszcze dalej: całe strony najpilniejszych wiadomości wysyła do Stanów Zjednoczonych i do Zachodnich Niemiec przez satelity.

W ramach POSK-u działa Centrala Bibliotek Ruchomych, która według własnego sprawozdania zaopatruje 80 brytyjskich bibliotek publicznych w zestawy polskich książek. POSK ma już za sobą walkę o przetrwanie, obecnie główną uwagę należy skierować na wykonanie zadań, dla których powstał. Teatr, klub filmowy, wystawy — to wszystko dzieje się tylko w Londynie, Centrala Bibliotek Ruchomych sięga daleko w teren, kryje całą Wielką Brytanię, jej działanie jest bardzo ważne.

Londyńska dzielnica Ealing jest największym skupiskiem Polaków na tutejszych wyspach (25 tysięcy) i posiada olbrzymią, nowoczesną bibliotekę publiczną z działem polskim zaopatrywanym przez poskową Centralę. Na polskich półkach znalazłem 130 tomów, których zestawienie jest zdumiewające. Nie ma ani jednej książki Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, Prusa, Żeromskiego, Dąbrowskiej. Jest jedna zabłąkana książka Sienkiewicza, *Nowele wybrane*. Nie ma w ogóle wybitniejszych krajowych i emigracyjnych pisarzy wydawanych obecnie, nie ma Miłosza, Gombrowicza, Konwickiego, Andrzejewskiego, Herberta, Brandysa, Barańczaka i wielu innych. Są natomiast 44 tomy przekładów z języków obcych, między innymi tak trzeciorzędnych pisarzy jak Agata Christie i Vicki Baum. A przecież tuż obok są półki z książkami francuskimi, niemieckimi, hiszpańskimi, włoskimi, rosyjskimi i oczywiście angielskimi. Czy zadaniem działu polskiego jest reprezentowanie obcej literatury z pominięciem własnych osiągnięć?

Próbowałem interweniować w tej sprawie, pytałem o to na zeszłorocznym Walnym Zebraniu POSK-u a przed szeregami mi sięgający pisalem do Centrali Bibliotek Ruchomych i do dwóch członków Zarządu POSK-u. Moje pytanie zbyt wymijającą odpowiedziało a na moje listy w ogóle nie odpowiedziano.

Każdego normalnie myślącego Polaka musi cieszyć fakt, że POSK ma już poza sobą groźne trudności materialne, ale nie uchroni go to w najbliższych latach od poważnego wstrząsu. Odejdzie definitywnie pokolenie wojenne i kierownictwo tą, tak ważną instytucją znajdzie się w rękach ludzi, którzy wojny nie pamiętają, którzy zostali wychowani w zupełnie innych warunkach. Nasze pokolenie powinno im przekazać POSK w jak najlepszym stanie, prowadzony zgodnie z zasadami na jakich opierają się tego rodzaju instytucje.

Sprawa Centrali Bibliotek Ruchomych i uchylanie się od wyjaśnień ze strony władz POSK-u to tylko jeden z przykładów błędnego działania.

Józef GARLIŃSKI

Ankieta "Kultury"

Gorbaczow z perspektywy polskiej

Nie ulega wątpliwości, że Michaił Gorbaczow jest dziś tematem numer jeden prasy światowej. Również w polskich niezależnych środowiskach w kraju i na emigracji zarysowuje się spór na temat realności przemian w Związku Sowieckim oraz ich ewentualnego wpływu na sowiecką politykę zagraniczną. W tym stanie rzeczy, biorąc pod uwagę politykę Gorbaczowa i jego posunięcia, wydaje się konieczne wypracowanie stanowiska dyktowanego interesem polskim — zarówno doraźnym, jak długofalowym — mającym na względzie perspektywę odzyskania niepodległości.

Dlatego też redakcja *Kultury* zwróciła się do osób zajmujących się stosunkami międzynarodowymi, Związkiem Sowieckim czy sprawami polskimi, z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

1. Jak scharakteryzowałby Pan działalność Gorbaczowa i jego ekipy w dziedzinie polityki wewnętrznej i zagranicznej?
 2. Czy Pana zdaniem działalność ta spowodowała zmiany — i jakie? — w zasadach funkcjonowania gospodarki, kultury oraz systemu sprawowania władzy w Związku Sowieckim?
 3. Jakie są Pana przewidywania dalszych losów Gorbaczowa i deklarowanej przez niego „przebudowy” Związku Sowieckiego?
 4. Jak z punktu widzenia interesów polskich ocenia Pan ewentualną demokratyzację lub ewentualną modernizację Związku Sowieckiego?
 5. Czy Pana zdaniem polityka Gorbaczowa może doprowadzić do zwiększenia autonomii PRL w ramach Paktu Warszawskiego i RWPG?
 6. Czy uważa Pan za możliwe porozumienia Stanów Zjednoczonych lub Wspólnoty Europejskiej ze Związkiem Sowieckim kosztem interesów Polski?
- Poniżej drukujemy otrzymane odpowiedzi.

Stanisław GOMUŁKA

1

Poważna część sowieckiej elity rządzącej wydaje się najwyraźniej przeświadczona, że pozycja ZSSR jako supermocarstwa została w latach 1975-1985 tak zagrożona, że tylko radykalne reformy wewnętrzne mogą ją podtrzymać. Ta ocena wiąże się z amerykańskim wyzwaniem w dziedzinie nowych technologii wojskowych, z silnym zwolnieniem dynamiki gospodarczej w Europie Wschodniej i ZSSR, z kontynuacją (pomimo wzrostu bezrobocia) zachodnioeuropejskich i japońskich sukcesów gospodarczych oraz z kryzysem politycznym w Polsce. Zjawiska te poderwały zaufanie elity do wewnętrznej stabilności systemu komunistycznego oraz realności ekspansywnych celów sowieckiej polityki zagranicznej. Celem Gorbaczowa i jego ekipy jest zatem nie tylko powstrzymanie tendencji kryzysowych wewnątrz obozu, ale także uregulowanie celów globalnych.

2

Jak dotąd zmiany wewnętrzne, chociaż realne, są niewielkie. Dotyczą one głównie środków masowego przekazu, polityki kulturalnej oraz stylu wypowiedzi głównych polityków. Przygotowywana jest reforma gospodarcza, której założenia mają być wprowadzone stopniowo w latach 1988-1990. Jej celem ma być znaczne zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw i roli rynku. Politycy wiążą z nią duże nadzieje. Reforma ta pod względem radykalizmu zapowiada się jednak co najwyżej na zmiany typu węgierskiego lub polskiego. Podobnie jak w tych dwóch krajach, również w ZSSR reformatorzy wydają się nad wyraz optymistyczni, oczekując *far too much from far too little*.

3

Pytanie o losy Gorbaczowa nasuwa się zwykle w związku z jego silnym poparciem tezy, że reforma polityczna jest w ZSSR warunkiem wstępnym reformy gospodarczej. Gorbaczow wyraźnie sugeruje, że urynkwienie gospodarki narusza interesy wielu wpływowych grup społecznych i że wobec tego może być przez te grupy blokowane lub spłycane. Ponieważ linie podziału przebiegają wewnątrz partii komunistycznej oraz wśród bezpartyjnych, a nie między komunistami a bezpartyjnymi, Gorbaczow może zabiegać i zabiega o aktywne poparcie dla swojego kursu w ten sposób, że zachęca jego zwolenników do otwartego ujawniania się i przejmowania (większej) władzy w partii i państwie. Taka polityka zagraża interesom wielu indywidualnych ludzi, ale nie musi zagrażać systemowi jako całości. Ograniczoną demokrację polityczną *à la* Gorbaczow rozumiałbym po prostu jako instru-

ment odgórnie kierowanej, ostrożnej przebudowy systemu jednopartyjnego. Przebudowa taka może oczywiście pobudzić nadmierne oczekiwania poza komunistyczną elitą, jak to było np. podczas wiosny praskiej 1968 czy ostatnio w Chinach, a także budzić podejrliwości czy nawet wrogość części partii komunistycznej. Ale komuniści w ZSSR mają tak dominującą pozycję, że większość z nich prawdopodobnie nie widzi poważnego zagrożenia w ograniczonych i ostrożnych reformach Gorbaczowa, poważniejsze niebezpieczeństwo upatrując w inercji czy jeszcze większej centralizacji. Kurs na ograniczone reformy uważam zatem za trwały, niezależnie od losów politycznych samego Gorbaczowa. Na dłuższą metę nie wykluczałbym też utworzenia drugiej partii komunistycznej w ZSSR. Gorbaczow podobno już teraz mówi o takiej możliwości, chociaż nie sądzę aby sam zainicjował lub pozwolił na taki krok. Dopiero to miałyby istotne konsekwencje polityczne dla całego obozu.

4

Przez najbliższe 10 lat nie oczekuję ani istotnej demokracji ani poważnej modernizacji Związku Sowieckiego. Zmiany, które zachodzą, nie zmieiają w istotny sposób stosunków między tym krajem a Polską. W szczególności doktryna Breżniewa i kontrola wojskowa pozostają nadal w mocy. Tym niemniej powiększa się nieco margines niezależności politycznej krajów Europy Wschodniej, a w samych tych krajach rosną wpływy reformistów typu Kadara i Jaruzelskiego. Podobne skutki ma poprawa stosunków między ZSSR a USA, na co powinno mieć korzystny wpływ obniżenie poziomu zbrojeń w Europie. W Polsce i na Węgrzech zwiększy się po odejściu Jaruzelskiego i Kadara szansa na dojście do władzy przywódców większego formatu.

5

Takie zwiększenie autonomii, chociaż niewielkie i nieistotne, już ma miejsce. Reforma koncentruje bowiem uwagę Kremla na sprawach wewnętrznych i zmusza Gorbaczowa do szukania poparcia także wśród elit komunistycznych w Europie Wschodniej.

6

Interesy Polski są drugorzędne wobec interesów własnych Stanów Zjednoczonych lub Wspólnoty Europejskiej. Ale też nie widzę konkretnych spraw, w których tylko interes narodowy Polski jest lub mógłby być przeszkodą w porozumieniu się Zachodu ze Związkiem Sowieckim. Ogólnie uważam, że zmniejszenie napięcia między Stanami Zjednoczonymi a ZSSR, w szczególności w Europie, daje nieco większą autonomię krajom małym, w tym także krajom Europy Wschodniej.

Stanisław GOMUŁKA

Jakub KAPIŃSKI

1

Gorbaczow wielokrotnie stwierdzał, że reformy w jego kraju są potrzebne. Od czasu do czasu słyszy się w krajach komunistycznych wołanie o naprawę. Obecnie takie wołanie dobiega z ZSSR. Ma ono często postać ogólnych stwierdzeń o potrzebie zmian, rzadziej precyzuje się, jakie zmiany trzeba wprowadzić. W ZSSR zarządzono oficjalnie nastrój, atmosferę przychylną dla reform. Jest to zapowiedź i już częściowo realizacja jednej z wielu w historii Rosji i ZSSR prób wprowadzania zmian „od góry”, na dany znak.

Działalność Gorbaczowa w sprawach wewnętrznych polega głównie na ogłoszeniu walki z korupcją i pijaństwem i na przesunięciu granic tego, co dozwolone w sposobie mówienia: mówi się inaczej, więcej o przebudowie, mniej o marksizmie-leninizmie. Zmianę mowy odzwierciedla słowo *glasnost*, które zrobiło karierę również na Zachodzie, tłumaczone na ogół jako „otwartość”. Ale to nie to samo. *Glasnost* to nadawanie publicznego echa, to wrażliwość na *publicity* i wiedza o *public relations*, dobrze wykorzystywane w oddziaływaniu ZSSR na kraje zachodnie (Marczenko nie żyje, ale wypuściliśmy Sacharowa; wybuchł Czarnobyl, ale po pewnym czasie powiedzieliśmy coś o tym w telewizji; złapaliśmy amerykańskiego korespondenta, ale pozwoliliśmy go wymienić na sowieckiego szpiega).

Polityka zagraniczna ZSSR obecnie w znacznej mierze na przekonywaniu Zachodu, by się rozbroił. Zacołowane technologicznie wielkie mocarstwo nie czuje się pewnie we współzawodnictwie i chciałoby kopiować nadal zachodnią technologię i nieco odciążyć swą gospodarkę. Miłe uśmiechy, ludzki wygląd lub zwolnienie stu więźniów mają przekonać Zachód, że partner negocjacji jest cywilizowany. Ta argumentacja bywa skuteczna, ale nie wydaje się, by potrzebę rozbrojenia Zachodu wystarczająco uzasadniały cywilizowane maniery na Wschodzie.

2

Ekipa Gorbaczowa pragnie pobudzić wzrost gospodarczy, a zwłaszcza rozwinąć nowoczesne dziedziny z informatyką na czele (publikowane oficjalnie dane wskazują, że wzrost gospodarczy w ZSSR jest coraz mniejszy). Dotychczas raczej żądano zwiększenia dyscypliny i wysiłku pracowników, niż stwarzano warunki dla innowacji. Mówi się o większym zróżnicowaniu płac, rozsądniejszych cenach, pewnym zwiększeniu samodzielności przedsiębiorstw. Jednocześnie zwalcza się „dochody niezapracowane” i próbuje się przyznać prawa do prowadzenia prywatnej działalności gospodarczej i usługowej we wskazanych szczegółowo dziedzinach, takich jak prywatne udzielanie korepetycji.

W kulturze zmiany są najwyraźniejsze. Pozwala się na więcej niż poprzednio, ale jest to o wiele mniej niż obecnie w Polsce i niż kiedyś w Rosji carskiej. Entuzjazm na Zachodzie wzbudza wtrącenie w prasie zdania o Bucharinie lub Zamiatynie. To są ważne znaki, ale nie należy utożsamiać ich z istnieniem wolności w kulturze.

W dziedzinie sprawowania władzy zmiany są przede wszystkim personalne, polegają na eliminowaniu funkcjonariuszy, którym zarzuca się korupcję i na odmładzaniu kadr kierowniczych (widocznym zwłaszcza w porównaniu z epoką Breżniewa).

3

Wydaje się, że dobrze jest opierać przewidywania na rozeznaniu sił społecznych i na orientacji w tym, jak mogą się one zderzać.

W komunizmie zwiększanie terroru łatwiej przychodzi rządzącym niż liberalizacja. Póki terror nie kieruje się przeciw aparatowi wykonawczemu, zwiększanie terroru nie godzi w jego interesy. Ze zwiększaniem wolności jest inaczej.

Przemiany liberalizacyjne, raz wprowadzone w ruch, rozszerzają się. Kto dostał trochę wolności, widzi, że może zmienić się to, co wydawało się niewzruszone i chce następnych zmian. Ale to godzi w interesy warstwy dotychczas uprzywilejowanej — aparatczyków komunistycznych.

Zmiany proponowane lub przypuszczalnie zamierzane przez Gorbaczowa mogą wywołać żądania zmian już przez niego niezamierzonych (na przykład zmian w polityce wobec narodów nierosyjskich i w polityce wobec religii). Dlatego zmiany, a zwłaszcza niezamierzone, napotykać i będą napotykać opór funkcjonariuszy, których interesy narusza na przykład kierowanie się zasadą kompetencji lub zezwalanie na krytykę. Opór aparatczyków i wiedza o tym, że wolność jest zaraźliwa będą skłaniać Gorbaczowa do ograniczania zmian pod hasłem: chcemy lepszej gospodarki, ale z wolnością nie należy przesadzać, wolność w zbyt dużych dawkach szkodzi.

4

Modernizacja Związku Sowieckiego jest do pewnego stopnia możliwa bez demokratyzacji i zapewne taką modernizację władze tego kraju wybrałyby najchętniej. Demokrację rozumiem jako możliwość i prawo zbiorowości do decydowania o sobie, a to obejmuje prawa narodowe, religijne, prawa organizowania się (na przykład w związki zawodowe). Bardzo Związkowi Sowieckiemu daleko do demokracji, natomiast w pewnych dziedzinach (zwłaszcza w kulturze i w obiegu informacji) zmniejszają się ograniczenia wolności (mamy więc do czynienia z liberalizacją).

Uważam, że dla Polski byłoby korzystne, gdyby poziom oświecenia i wyrobienia społecznego ludności w ZSSR był wyższy niż obecnie. Demokratyzacja, liberalizacja i modernizacja polepszyłyby stan społeczny tamtejszej ludności, zmiany te spowodowałyby, że władzom nieco trudniej byłoby ludnością manipulować.

Polska od ZSSR zależy i jest dla Polski ważne, jaka jest ludność ZSSR. Dla Polski byłoby korzystne, gdyby władze ZSSR nie mogły postępowania tamtejszej ludności kształtować dowolnie według swych pragnień.

5

Gorbaczow pokazał, że dąży do zmian wewnątrz ZSSR i do pewnej liberalizacji. To sprawa trudna i dlatego nie przypuszczam, by chciał sobie przysparzać jeszcze kłopotów na zewnątrz. Zachowanie *status quo* w obozie sowieckim jest — przy braku oporu społeczeństwa — rozwiązaniem niekłopotliwym i wobec tego — przy braku oporu — nie leży w interesie Gorbaczowa zwiększenie autonomii PRL. Rozwiązaniem optymalnym z jego punktu widzenia jest spokój (czyli martwota) w Polsce. Władze w Polsce pośredniczą między społeczeństwem i opiekunami sowieckimi i pokazały (zwłaszcza w stanie wojennym), że zrobią wiele, by opiekunów sowieckich zadowolić. Zadaniem społeczeństwa polskiego jest przekonać władze w Polsce i w ZSSR, że martwoty nie uzyskają, a więc wzmacniać istniejące obecnie elementy niezależności i odrębności Polski. ZSSR przyjmie to do wiadomości, ale — jak można przypuszczać — bez entuzjazmu.

6

W przeszłości porozumienia między ZSSR i Zachodem kosztem Polski już zawierano, więc są możliwe na tej zasadzie, że cokolwiek się zdarzyło, jest możliwe. Pytanie jednak rozumiem jako odnoszące się do przyszłości i do możliwości pogorszenia istniejącej sytuacji. Trzeba wtedy zastanowić się, co jeszcze można by pogorszyć. Nadzieją Polski są enklawy niezależności społeczeństwa, ale nadzieję bardzo nadwątlili stan wojenny. Zmiany kształtu terytorialnego Polski nie wydają się prawdopodobne. Wydaje się natomiast prawdopodobne utrwalanie tego, co istnieje, a więc zależności Polski od ZSSR i funkcjonowania ZSSR jako gwaranta granic i ustroju, czyli panowania komunistycznego w Polsce. Rządy zachodnie, zwłaszcza niemieckie, dawały wielokrotnie do zrozumienia, że nie mają nic przeciwko spokojowi na wschodzie, to znaczy aprobuja łagodne panowanie ZSSR w swojej domenie i łagodne podporządkowanie się krajów w sferze wpływów sowieckich.

Ofensywa wdzięku Gorbaczowa może spowodować podobne skutki co uroki Jaruzelskiego. Politycy zachodni mogą rozumować następująco: jeśli PRL zasługuje na członkostwo w Międzynarodowym Funduszu Walutowym i na klauzulę najwyższego

uprzywilejowania, to dłaczegóż liberalny i cywilizowany Gorbaczow nie miałby również na to zasługiwać? Bezwarunkowe koncesje dla krajów komunistycznych są najzupełniej możliwe i wcale nie tak trudno je uzyskać. Wzmacniają one rządy i ich panowanie, a zmniejszają konieczność przemian wewnętrznych. Z tej racji takie koncesje nie leżą w interesie kraju — nieetożasym z interesem rządu.

Jakub KARPIŃSKI

Leszek KOŁAKOWSKI

1

Na podstawie dostępnych wiadomości należy sądzić, że Gorbaczow i jego ekipa chcieliby „zjeść ciastko i je zachować”, tj. zmodernizować technologiczną podbudowę kraju, podnieść wydajność pracy i efektywność zarządzania, a także rozbudzić motywacje zgodne z tymi zadaniami, nie czyniąc przy tym żadnych zmian instytucjonalnych, lecz tylko niekosztowne ustępstwa, bądź słowne, bądź nawet realne, ale nie naruszające w niczym wszechwładzy partii (zwolnienie części więźniów politycznych; pewne koncesje kulturalne, mające zapewne na celu nie tylko poprawę reputacji wodza w świecie zachodnim, ale także zjednanie sobie sowieckiej inteligencji; stopniowa wymiana aparatu i wciąganie do niego ludzi bardziej sprawnych i lepiej wykształconych). Nie ma oznak, by monopol władzy został okrojony, jeśli nawet władza czyni gesty mające świadczyć o jej wspaniałomyślności. Wszystkie zmiany w polityce zagranicznej mają oczywiście na celu umocnienie państwa i jego siły w świecie; nie ma żadnych powodów do przypuszczeń, żeby ekipa Gorbaczowa chciała rozluźnić swoje panowanie w krajach podległych. Możliwe jest jednak, że jej zamiarem jest konsolidacja istniejących zdobyczy i chwilowe poniesienie dalszych planów podboju na rzecz bardziej wielostronnej i „normalniejszej” dyplomacji, tj. szukanie nie wojennych i nie terrorystycznych lub na szantażu opartych środków wpływu na kraje neutralne lub na te kraje trzeciego świata, które bardziej skłaniają się do przymierza z Zachodem. O skuteczności tej dyplomacji mówić za wcześnie.

2

O ile wiem, życie sowieckich obywateli nie uległo zmianie, pomijając znaczne kłopoty z zakupem wódki. Z zachwytem przez zachodnich korespondentów opisywane nowości, jak prywatny zakład fryzjerski w Rydze lub prywatne i legalne kursy językowe w Moskwie są ekonomicznie bez znaczenia. Obietnica praw, które dadzą robotnikom udział w wyborze kadry menadżerskiej jest też bez znaczenia, gdyż w braku prawa robotników do organi-

zowania się w związku, wszystkie takie uprawnienia — i tak bardzo mgliste w istniejących obietnicach — staną się świstkiem papieru i będą z największą łatwością sabotowane przez aparat partyjny. Nie wierzę także, by przywrócenie zasad „rozrachunku gospodarczego” w przedsiębiorstwach (co wszakże nieraz już próbowano czynić) miało realne znaczenie, skoro wszystkie ważne decyzje zastrzeżone są tak czy owak dla ministerstw i władz partyjnych, a rozdział środków wytwarzania jest nadal scentralizowany, podobnie jak reguły odnoszące się do inwestycji i zatrudniania. Nie wiem, czy i jakie zmiany nastąpiły w organizacji rolnictwa, lecz byłbym niepomiernie zdziwiony, gdyby Rosjanie mieli zamiar naśladować Chińczyków, którzy praktycznie zdekolętywizowali gospodarkę wiejską; byłby to w Rosji krok o nieobliczalnych następstwach. Nie jest natomiast bez znaczenia, że odbywa się, choćby w ograniczonym zakresie i w sposób ogólnikowy, publiczna wymiana sprzecznych opinii na temat „reform”; sprzyja to kształtowaniu się konfliktowych grup w aparacie partyjnym i państwowym, a więc pewnej destabilizacji wewnętrznej, której możliwych rozmiarów nie potrafię jednak ocenić.

3

Zakładając, że ekipa Gorbaczowa nie zostanie obalona przez inną klikę czy frakcję, najbardziej prawdopodobne wydaje mi się, że wewnętrzne reformy w najbliższych latach skończą się na kosmetycznych poprawkach. Zupełnie niewiadome są jednak zamiary (lub ich brak) wodzów w sprawach ideologicznych, zdają oni sobie bowiem niezawodnie sprawę z ruiny oficjalnej ideologii marksizmu-leninizmu jako możliwej siły motywacyjnej w zachowaniach i aspiracjach ludzi sowieckich. Zastąpienie jej jawną ideologią wielkorosyjskiego szowinizmu — co jest jedyną alternatywną możliwością realną — byłoby zbyt ryzykowne, gdyż podnieciłoby napięcia narodowe do niebezpiecznego punktu. Zapewne więc, jak dotąd, będą próbowali rzeczy latać.

4 i 5

O „demokratyzacji” nie ma co mówić, nic nie wskazuje na razie na ruch w tym kierunku. Co do całości wewnętrznej i zewnętrznej polityki „modernizacyjnej”, to nie wydaje mi się, by miała ona w intencji rozszerzyć autonomię sowieckich protektoratów w Europie. Jeśli ekipa Jaruzelskiego cieszy się faworem sowieckiego wodza, to nie z powodu relatywnie rozluźnionej na razie polityki wewnętrznej, ale z innych racji. Myślę, że przeciwnie, Gorbaczow będzie usiłował utrzymać kraje podległe w posłuchu, aby mu nie przysparzały kłopotów w polityce wewnętrznej lub zagranicznej. Może nalegać na różne kroki „modernizacyjne”, lecz nie ma powodu przypuszczać, by chciał zwiększyć niezależność tych krajów albo osłabić w nich kontrolę partii (w Polsce, pewien jestem, chciałby ją wzmocnić). Często spotykane w prasie spostrzeżenie, że chce on wznowić w Czechosłowacji

idee z czasu Dubczeka, wydaje mi się wręcz nonsensem, nawet jeśli dla wielu Czechów jego frazeologia brzmi obiecująco, a opozycja będzie zapewne na tę frazeologię się powoływać.

6

Nie wierzę w to, by, w wypadku dojścia do skutku obecnych negocjacji rozbrojeniowych, Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki miały zaopatrzyć swoją umowę w tajny protokół, który dawałby z góry Rosjanom wolną rękę w krajach podległych lub spisał je na straty. Amerykanie wiedzą przecież (choć czasem, to prawda, zdają się cierpieć w tym zakresie na niewiarygodny zanik pamięci), że w tym kraju większość super-tajnych działań rządu staje się jawna po kilku tygodniach lub miesiącach. Takie powtórzenie układu Ribbentrop-Mołotow czy też Jałty nie wygląda mi prawdopodobnie. Jest możliwe natomiast, że efekty jakiegoś układu rozbrojeniowego, jeśli do niego dojdzie, będą miały wpływ na sprawę polską. Nie mam żadnych kompetencji, by wypowiadać się na temat technicznych stron takiego układu, odnoszących się do „zbalansowania” potencjału militarnego i weryfikacji. Jeśli Rosjanom uda się skutecznie oszukać Stany Zjednoczone w tych sprawach i w wyniku poprawić stosunek sił na swoją korzyść, będą niechybnie bardziej agresywni, bardziej pewni siebie i bardziej skłonni do użycia knuta w Polsce i w innych koloniach. Jeśli zaś proces rozbrojenia będzie rzeczywiście dwustronny i doprowadzi do nowej równowagi sił na niższym poziomie uzbrojenia, ze skutecznymi środkami weryfikacji (że Rosjanie będą usiłowali oszukiwać, co do tego nie może być dyskusji), można się spodziewać — niezamierzonego — rozluźnienia w tych krajach w wyniku ogólnej poprawy atmosfery międzynarodowej i podniesienia progu, na którym władcy sowieccy uważaliby za opłacalne np. interwencje zbrojne w krajach Paktu Warszawskiego. Zależy to jednak, rzecz jasna, od zdolności rządzących ekip komunistycznych do wykorzystywania takich rozluźnień i od ich odwagi.

Bez względu na losy ekipy Gorbaczowa w najbliższych latach, polityka jego z pewnością nie przejdzie bez śladu w przyszłych dziejach sowieckiego imperium i ostatecznie, jak sądzę, przyczyni się, wbrew intencjom, do jego rozkładu.

Leszek KOŁAKOWSKI

Waldemar KUCZYŃSKI

1

Sądząc po działaniach ekipy sowieckiej powiedziałbym, że w razie powodzenia ożywią one Rosję i uśpią Zachód. Być może

o to chodzi. Dewiza ta zgadzałaby się z ekspansywnością sowieckiej biurokracji, bo w zastosowaniu byłaby równoznaczna z poprawą położenia Związku Sowieckiego kosztem przeciwników. Gorbaczow jest wychowankiem tej biurokracji i ma zaszczerpioną najważniejszą dla niej wartość, którą jest „sowieckie państwo”. W jego przemówieniach kierowanych do kraju i w rozmowach na ulicy nie ma ideologicznego patrzenia na rzeczywistość, jest natomiast bardzo silnie zaznaczone patrzenie państwowe. Wyczuwa się, że właśnie *gosudarstwo* to obiekt jego politycznej miłości, a on sam odczuwa dumę stojąc na czele owej wielkiej struktury o światowej randze. Równocześnie jednak jest upokorzony. Upokorzony, że tak zasobne i potężne państwo pod wieloma względami nie może dotrzymać kroku nowoczesności i musi liczyć niemal na łaskę swych przeciwników, by dostać od nich to, czego nie ma. A oni śmiały jeszcze nakładać embarga! To upokorzenie widać w tym, co Gorbaczow mówi i sądzi, że wraz z dumą służenia Wielkiej Rosji ono tworzy podstawy jego motywacji politycznej.

Przez ożywienie Rosji rozumiem po pierwsze rezygnację z części dotychczasowej retoryki i liturgii ideologicznej, rodzaj zeświecczenia rzeczywistości, w której na pierwsze miejsce wysuną się „cele doczesne”, to znaczy rozwiązywanie różnych narosłych problemów ekonomicznych, socjalnych, ekologicznych, o których od niedawna zaczęto dopiero mówić. Cel „nadprzyrodzony”, budowa komunizmu, przesunięty zostanie w głąb sceny. Po drugie, pewną kontrolowaną odbudowę społeczeństwa cywilnego i opinii publicznej po to, by przeciwdziałać niszczycielskim skutkom, jakie spowodowała w zakresie moralności społecznej kilkudziesięcioletnia „totalitarna niewola”. Centralna elita władzy, nie chcąc oczywiście tracić panowania nad poddanymi, dostrzega rozmiary tych zniszczeń i ich skutki dla ogólnej żywotności kraju. Chciałaby ona, jak sądzę, znaleźć jakąś wyważoną pozycję, w której ludzie będą żyli swobodniej, jednakże ciągle w warunkach kontroli. Innym powodem do pewnego otworzenia opinii publicznej jest poprawa sterowalności całego mechanizmu społeczno-politycznego, przez wytworzenie przeciwwagi dla wpływowych interesów różnych odłamów biurokracji, którym centralna elita władzy nie może się skutecznie przeciwstawiać, a którym uleganie prowadzi często do decyzji groźnych. Przykładem takiej decyzji jest projekt zmiany biegu rzek syberyjskich, do którego zaniechania przyczyniły się zapewne także liczne alarmistyczne głosy w prasie sowieckiej, które dopiero teraz mogły się odezwać.

Przez ożywienie Rosji rozumiem wreszcie pewne zmiany instytucjonalne, które — ciągle w ramach kierowniczej roli partii — utrwaliłyby ową restaurację społeczeństwa cywilnego i opinii publicznej, o czym wyżej. Zmiany — mówiąc ogólnie — osłabiające znaczenie ogromnego kompleksu ideologiczno-represyjnego przyniatającego społeczeństwo i podnoszące rangę szeroko rozumianej „demokratycznej fasady” ustrojowej. Zapewne gdzie również do jakichś zmian zarządzania gospodarką, choć w

tej chwili trudno powiedzieć, jak daleko one pójdą. Na pewno za wcześnie jest mówienie o nowym NEP-ie.

Gdy chodzi o uśpienie Zachodu, mam na myśli skutki, które przedstawiłbym następująco. Demokrację, jak wiadomo, lubią w stosunkach międzynarodowych odprężenie i handel. To upodobanie wynika w ostateczności z przełożenia pragnień zwykłego człowieka na zachowania dyplomatyczne w systemie, gdzie tenże człowiek ma dużo do powiedzenia. Jest to więc skłonność naturalna, dominująca i nieusuwalna. Dodam: bardzo ładna, lecz czasami niebezpieczna dla samych demokracji. Z dwu powodów. Po pierwsze, bo utrudnia dostrzeganie narastającego niebezpieczeństwa, a następnie bardzo wydłuża czas przygotowywania na nie odpowiedzi. Po drugie, bo pozwala wojowniczości przeciwnikowi grać na pokojowych pragnieniach społeczeństw i tą drogą wywierać nacisk na struktury polityczne, paraliżując poczynania obronne.

Otóż ekipa Gorbaczowa przysłała w momencie gdy po przykrych doświadczeniach lat 70-tych i po zapłaceniu dużej ceny, a także po upływie długiego czasu, wykształciły się na Zachodzie siły odporu ekspansji sowieckiej i podjęto działania obronne. Zaliczam do nich na przykład wyzwolenie Grenady, pomoc dla partyzantek antykomunistycznych, różne poczynania modernizujące armie, zainstalowanie euorakiet i na koniec inicjatywę obrony strategicznej prezydenta Reagana. Zarówno te siły odporu jak i związane z nimi działania to są fenomeny, które do demokratycznych rzeczywistości dobrze nie przystają, lecz uważa się, że są konieczne wobec takich a nie innych poczynąń ZSSR. I właśnie ze względu na to zasadnicze nieprzystawanie Związków Sowiecki ma szanse usunąć im grunt spod nóg poprzez zmianę nastrojów społecznych na Zachodzie. Powiedziałbym nawet, że ma szanse szczególnie duże, i to z dwu powodów. Po pierwsze, Gorbaczow może zgłaszać spektakularne i bynajmniej nie propagandowe lecz realne propozycje rozbrojenia nuklearnego, bo ma przewagę w siłach konwencjonalnych (nawiasem mówiąc jednym z paradoksów pokojowych demokracji jest opieranie ich obrony na odstraszaniu atomowym, które w sprawie wojskowe angażuje ludność i jej kieszeń znacznie mniej niż stosowna do potrzeb armia konwencjonalna). Po drugie, robiąc *pierestrojkę* dla wewnętrznych głównie potrzeb, Gorbaczow może się nią zarazem doskonale posłużyć dla przekonywania ludzi Zachodu, że demokratyzujący się Związek Sowiecki przestaje być współczesnym Hunem i nie ma się go co bać.

Hipoteza, od której zacząłem może się oczywiście sprawdzić albo nie. Osobiście najprawdopodobniejsze wydaje mi się to, że Gorbaczow Rosję jakoś przebudzi, lecz że Zachodu całkowicie nie uśpi. O pierwszej sprawie mowa będzie nieco niżej. Gdy chodzi o Zachód sądzę, że nie dojdzie do powrotu tak wielkiej naiwności i do takiego ponownego nagromadzenia złudzeń, aby przywrócony został model odprężenia z lat 70-tych. Nie ma jednak miejsca, by w ten temat wchodzić głębiej.

2

Jeżeli uznamy za zasadę, że gospodarka sowiecka jest państwowa i centralnie kierowana, że kultura oparta jest o monopol cenatu państwa i nadzór cenzuralny, a władza polega na dyktaturze partii — to nic się nie zmieniło. Z tego faktu jednak nie można wyciągać wniosków. Ewolucja systemu społeczno-politycznego nie dokonuje się na gruncie zasad. Na tej płaszczyźnie dokonuje się rewolucja. Zmiany ewolucyjne, a z takimi mamy na razie do czynienia w Związku Sowieckim, oznaczają najpierw zmianę stylu sprawowania władzy szeroko pojętej, także w dziedzinie kultury i gospodarki. Następnie mniej lub dalej idące zmiany instytucji, to znaczy tych regulacji, które z zasady ustrojowej wynikają i które ją otaczają. Związek Sowiecki znajduje się obecnie, jak sądzę, w fazie zmiany stylu rządzenia i na początku fazy modyfikowania instytucji. Takie przemiany mogą się wydawać nieważne dla teoretyka, ale są one ważne dla człowieka, który żyje w tym systemie, ponieważ na co dzień nie styka się on z zasadami ustroju, lecz z jego instytucjami i ze stylem, w jakim jest rządzony. Ponadto ewolucja, dokonując się w otoczeniu zasad ustrojowych, podprowadza jednak ku sytuacji, w której zmiana zasad staje się łatwiejsza i bardziej płynna.

Dlatego z negatywnej odpowiedzi na to pytanie nie można wyprowadzać wniosków bagatelizujących wydarzenia sowieckie.

3

Na to pytanie niezmiennie trudno odpowiedzieć. Osobiście sądzę, że prognozy dotyczące losów Gorbaczowa są stanowczo za bardzo budowane na analogii z losami Chruszczowa. Moim zdaniem takie analogie niekoniecznie robione są na podstawie analizy obecnych układów politycznych w Związku Sowieckim. Dostrzegam za nimi raczej pewne aprioryczne przeświadczenia. Pierwsze jest pośrednim przyznaniem wagi tego, co robi Gorbaczow. „Przecież to się nie może udać! Jego na pewno obalą!”. Drugie jest rodzajem dogmatu o całkowitej wyjątkowości systemu sowieckiego w stosunku do tego, co w dziedzinie form politycznych wymyśliła ludzkość. Wyjątkowości polegającej na skamienieniu i niereformowalności. Pod pierwszym mogę się podpisać, pod drugim nie. Hipotezy obalenia oczywiście nie wykluczam. Możliwe są jednak inne. Jedna to stopniowe posuwanie się Związku Sowieckiego ku „modernizacji” ustrojowej czerpiącej inspirację choćby z doświadczeń Węgier w sprawach gospodarczych i być może Polski lat 80-tych, chodzi o różne nowości (w stosunku do ortodoksji oczywiście) w systemie politycznym. Starając się z tak „niskiego” pułapu i idąc po tej drodze, Związek Sowiecki może dokonać dużego postępu gospodarczego i społecznego. Moim zdaniem opinie o schyłku imperium, o nienaprawialnym kryzysie i tak dalej były wnioskowaniem ze stanu rzeczy w końcowym okresie rządów Breżniewa i dwu jego następców.

W ich uporczywym trwaniu dopatrywałbym się — poza ostrożnością — także sporej dozy życzeń. Sytuacja dzisiejsza wygląda raczej na początek jakiegoś głębszego oddechu, którego zaczyna nabierać imperium po długim czasie odrętwienia. Oczywiście może to być złudzenie. Są jeszcze dalsze warianty, które warto by omówić, na przykład szansa przerośnięcia obecnej groźnej ewolucji w proces coraz bardziej autonomiczny, określony przez „dynamikę mas” i nabierający cech rewolucyjnych, jak to było choćby w Czechosłowacji roku 1968 czy Polsce roku 1980. Na tych co patrzą na społeczeństwo sowieckie oczami Zinowiewa i widzą w nim zdemoralizowany, zagryzający się tłum *homo sovieticus* taki obrót jest oczywiście niemożliwy. Może jednak Zinowiew opisać tylko zewnętrzną plugawą warstwę?

4 i 6

Moim zdaniem modernizacja bez pewnej demokratyzacji jest w Związku Sowieckim niemożliwa. Nie może wszystko zacząć działać lepiej, jeżeli nie zostanie zmniejszona owa ogromna, szeroko pojęta demoralizacja społeczeństwa sowieckiego. Ta demoralizacja jest wynikiem zlikwidowania przed wielu dziesiątkami lat autonomii społeczeństwa w życiu publicznym. Odbudowa tej autonomii jest równoznaczna z demokratyzacją (nie mylić z demokracją, gdzie naród ma coś więcej niż autonomię, bo suwerenność). Sądzę, że lepiej żyć w cieniu Związku Sowieckiego zmodernizowanego i zdemokratyzowanego niż w cieniu Związku Sowieckiego anachronicznego, lecz i tak wystarczająco potężnego, by trzymać nas w garści.

Myślę, że kurs Gorbaczowa tak, jak on jawi się obecnie, może zwiększyć autonomię PRL w ramach Paktu Warszawskiego i RWPG. Trzeba jednak podkreślić, że ograniczamy się tu do „autonomii PRL w ramach”. Nie wydaje mi się, by w dotychczasowych poczynaniach obecnej ekipy sowieckiej można było dostrzec zapowiedź jakichś rewolucyjnych zmian w stosunkach z „bratnimi krajami”, czy w sposobie zorganizowania tzw. wspólnoty socjalistycznej. Nadal obowiązują dwa kanony. Pierwszy, że podstawą wspólnoty jest zasadnicza zbieżność ustrojów. Drugi, że obrona wspólnoty jest zbiorowym obowiązkiem jej uczestników. Ze Związkiem Sowieckim na czele, dodajmy dla pełnej jasności. Doktryna Breżniewa obowiązuje więc, lecz kierownictwa poszczególnych krajów zyskują prawdopodobnie znacznie większą swobodę w różnych własnych poszukiwaniach naprawy ustroju. Znacznie mniejsza, jak sądzę, będzie idąca z Moskwy presja na kopiowanie doświadczeń sowieckich. Nie wykluczam nawet, że w ramach tej poszerzonej swobody poszukiwań dozwolone staną się próby przebudowy bazy politycznej ustroju w kierunku bardziej koalicyjnym, to znaczy przy jakimś wyrównaniu układu sił między partią komunistyczną a tzw. sojusznikami. Dla jasności nie chodzi mi tu o różne przemalowywania fasady, lecz o rzeczywiste zmiany charakterystyki politycznej systemu.

Nie sądzę, by interesy Polski miały jakąkolwiek szansę kon-

kurowania z ważnymi interesami Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej. Tym bardziej Polski takiej, jak ona wygląda dziś od strony gospodarczej. Miejmy więc nadzieję, że nie dojdzie do sytuacji, w której zaspokojenie żywotnych interesów Europy Zachodniej, USA i Związku Sowieckiego oznaczałoby poświęcenie Polski. Teoretycznie można sobie wyobrazić na przykład coś w rodzaju rozbioru Europy Centralnej, ale osobiście nie widzę dziś przesłanek narastania takiego problemu.

Waldemar KUCZYŃSKI

Jan NOWAK

TRZY SCENARIUSZE

Należy starannie odróżnić *intencje i cele* Gorbaczowa od *niezamierzonych skutków*, jakie może pociągnąć za sobą jego polityka. Celem jest zahamowanie powolnych procesów, które pchają Związek Sowiecki w dół, a w każdym razie pozostawiają go coraz bardziej w tyle w konkurencji z Zachodem. System nie funkcjonuje. Jak na razie Gorbaczow chce go nie tyle zreformować, co usprawnić.

Symptomy upadku

Wskaźniki wzrostu gospodarczego, które sięgały 5 % rocznie w latach 1966-1970, wykazują od tego czasu starą tendencję zniżkową i skurczyły się do 1,4 % w roku 1986. Jeżeli obecna tendencja się nie zmieni, Stany Zjednoczone za pięć do siedmiu lat odzyskają zdecydowaną przewagę militarną. Technologia amerykańska dokonała w ostatnich latach ogromnego skoku naprzód, także w dziedzinie nowych środków obronnych. Olbrzymie ilości sowieckich czołgów skoncentrowanych w Europie Zachodniej mogą za kilka lat okazać się bezużytecznym szmelcem.

Przyspieszenie wzrostu gospodarczego wymaga podniesienia wydajności, a więc bodźców ekonomicznych w postaci zwiększenia produkcji dóbr konsumpcyjnych i modernizacji przemysłu pracującego na rynek wewnętrzny. Obecnie zbrojenia pochłaniają 44 % produkcji przemysłu ciężkiego w porównaniu do 18 % w roku 1960. Dzieje się to oczywiście kosztem zaspokojenia potrzeb ludności. W miarę kurczenia się wzrostu gospodarczego — rośnie proporcjonalny udział wydatków na zbrojenia w dochodzie społecznym. Żadne zmiany strukturalne nie rozwiążą same przez się sowieckich problemów. Poprawa wymaga ograniczenia zbrojeń oraz zwiększenia importu nowoczesnych maszyn i technologii z Zachodu.

Tymczasem spadek światowych cen ropy naftowej i gazu ziem-

nego doprowadził do zmniejszenia o połowę sowieckich wpływów walutowych w porównaniu z 1983 rokiem. Wpływy z całego eksportu mocarstwa, które zajmuje jedną szóstą powierzchni globu ziemskiego, wynosiły w 1986 roku 26-29 miliardów dolarów, czyli jedną czwartą wpływów General Motors. Import zboża pochłania 60 % rocznych wpływów twardej waluty. Aby utrzymać import na obecnym poziomie, Sowiety będą musiały pożyczyć na Zachodzie w ciągu następnych pięciu lat 25 miliardów dolarów, czyli podwoić obecne zadłużenie, które w końcu 1985 roku wynosiło 28,6 miliardów dolarów. Natomiast modernizacja sowieckiego przemysłu wymagałaby kredytów zachodnich w wysokości ok. 50 miliardów w ciągu tego samego okresu. Częściową alternatywą jest obcięcie o połowę produkcji przemysłu ciężkiego na zbrojenia i odpowiednie zwiększenie inwestycji włożonych w modernizację przemysłu.

Sowieckie konieczności polityki odprężenia

W polityce zewnętrznej Gorbaczow potrzebuje nie tylko układu ograniczającego zbrojenia, ale wytworzenia klimatu sprzyjającego rozluźnieniu zakazów i ograniczeń importu technologii, komputerów i maszyn z Zachodu a przede wszystkim znacznego zwiększenia dopływu kapitałów zachodnich. Obecna polityka odprężenia jest podyktowana koniecznościami wewnętrznymi. Nie oznacza to wcale ograniczenia sowieckiej ekspansji. Wręcz przeciwnie — w odróżnieniu od Zachodu Sowiety zawsze prowadziły politykę dwutorową. Odprężeniu w stosunkach między rządami towarzyszą z reguły wzmożone próby podboju bez wojny. Tak było w czasach wojennego sojuszu ze Stalinem i w latach siedemdziesiątych za czasów Breżniewa. To samo powtarza się obecnie. Ustępstwa, uśmiechy i pojednawcze gesty przy stole konferencyjnym idą w parze z eskalacją operacji wojskowych w Afganistanie (bombardowanie Pakistanu w strefie przygranicznej), zwiększeniem pomocy wojskowej dla reżymów komunistycznych w Angoli, Etiopii i Nikaragui, wzrostem aktywności w rejonie Bliskiego Wschodu i Zatoki Perskiej, próbami zdobycia baz na Pacyfiku itd.

Gorbaczow i Polska

Sowiecka polityka odprężenia wywarła już dość istotny wpływ na sytuację w Polsce. Gorbaczow nie chce konfrontacji, która pokrzyżowałaby albo znacznie opóźniła jego plany strategiczne w skali globalnej. To było chyba głównym powodem, dla którego pozwolił Jaruzelskiemu na zlikwidowanie sowieckiej piątej kolumny w PZPR w osobach Olszowskiego, Kociołka, Milewskiego, Molczyka, Grabskiego i innych. „Nowa Targowica”, jak ją nazywa płk Kukliński, marzyła o dojściu do władzy na sowieckich bagнетach. Pozbywając się jednego z głównych narzędzi

szantażu wobec polskiej grupy rządzącej, Gorbaczow rozszerzył znacznie swobodę manewru Jaruzelskiego. Generał korzysta z niej w granicach własnych interesów swojej ekipy. Interes ten nakazuje unikanie gwałtownej konfrontacji ze społeczeństwem w obecnym, niekorzystnym dla kierownictwa układzie sił wewnętrznych. Jak dotychczas oznacza to jednostronne, ograniczone ustępstwa takie jak wrześniowa amnestia i gniewna tolerancja opozycji. W naturze generała leży polityka półśrodków.

W sprzeczności z sowieckim założeniem unikania interwencji jest znaczne zaostrenie sowieckiej polityki eksploatacyjnej wobec wszystkich satelitów, a przede wszystkim wobec Polski, co pogarszając już i tak krytyczną sytuację gospodarczą, może łatwo doprowadzić do eksplozji.

Pierestrojka

Nawet pełny sukces sowieckiej polityki odprężenia w postaci ograniczenia zbrojeń i znacznie zwiększonego importu kapitałów i technologii nie zatrzyma sam przez się procesu powolnego upadku. Cudu tego ma dokonać *pierestrojka* — rekonstrukcja obejmująca wszystkie dziedziny życia społecznego. Na razie trudno jednak odczytać jakiś przemyślny do końca i całościowy plan rekonstrukcji (unika się słowa reforma). Wciąż nie wiadomo, jakie mają być granice zmian. Jak dotychczas mamy do czynienia z szeregiem doraźnych posunięć i z próbnymi balonami. Politykę uzdrawiania systemu zaczął Gorbaczow od walki z alkoholizmem i korupcją. Kołchozy mogą sprzedawać 30 % swych produktów na wolnym rynku. Siedem wielkich koncernów państwowych zostało wyjętych spod kontroli Gosplanu i Komisariatu Skarbu. Projekt ustawy o przedsiębiorstwach socjalistycznych zapewnia nieco większą samodzielność zakładom przemysłowym, zwłaszcza na prowincji. Państwowy monopol handlu zagranicznego został zniesiony i od 1 maja przedsiębiorstwa mogą zawierać umowy z firmami zagranicznymi.

Zapowiedzi dalszych zmian sięgają dużo dalej niż dotychczasowe ograniczone reformy. Polityka Gorbaczowa polega przede wszystkim na liberalizacji środków przekazu. *Głasnost'* jest potrzebna, bo *pierestrojka* może znaleźć poparcie społeczne tylko wtedy, jeśli dotychczasowa propaganda sukcesu ustąpi miejsca powszechnej świadomości, że jest źle a może być jeszcze gorzej, i że robi się coś, by temu zapobiec. Dotychczas alarmujące symptomy znane były tylko wierzchołszce. Obecnie mają przeniknąć do świadomości ogółu.

Czy *pierestrojka* Gorbaczowa może pociągnąć za sobą skutki niezamierzone, które zmienią w sposób istotny sytuację w samym Związku Sowieckim, w Europie Wschodniej i w świecie?

Teoretycznie biorąc możliwe są trzy scenariusze. Rozważmy je po kolei, zaczynając od tego, który z polskiego punktu widzenia jest najbardziej optymistyczny.

Scenariusz optymistyczny

Scenariusz ten zakłada, że Gorbaczow nie podzieli losu Chruszczowa i nie zostanie obalony w najbliższej przyszłości. Zamiast jeszcze jednej rewolucji pałacowej, rozegranej w ciągu kilku godzin w murach Kremla — dojdzie do przewlekłej i rozszerzającej się walki o władzę. Oba zwalczające się skrzydła szukać będą sojuszników na zewnątrz i wciągać do konfliktu siły stojące poza wąskim kręgiem grupy rządzącej, a więc biurokrację partyjną, wojskową, państwową, KGB, środowiska twórcze, inteligencję i wreszcie szerokie masy. Fale zataczać będą coraz szersze kręgi, by doprowadzić w końcowej fazie do rozbudzenia i poruszenia biernej i apatycznej ludności z chwilą, gdy zacznie ona wyzuwać osłabienie centralnego ośrodka władzy.

Jak wiadomo, podobny scenariusz w Polsce, na Węgrzech i w Czechosłowacji kończył się albo sowiecką inwazją, albo groźbą interwencji wojskowej, która zatrzymywała rewolucję wpół drogi. W ZSSR ten sam proces — jeśli będzie miał dość czasu, by się w pełni rozwinąć — może doprowadzić nawet do wojny domowej.

Już dziś uderzają analogie z latami „odwilży” w Polsce. W połowie lat pięćdziesiątych pewne elementy w kierownictwie PZPR uprzytomniły sobie, że kontynuowanie metod stalinowskich prowadzi do załamania gospodarczego. Wyjściowe założenia Gorbaczowa są zbliżone do przesłanek ówczesnego „liberalnego” skrzydła PZPR. Chodziło wtedy o wyrwanie mas z marazmu i apatii, o przełamanie amorficznego, biernego oporu wyrażającego się w ograniczaniu wysiłku ludzkiego do niezbędnego minimum. Chodziło także o stworzenie przeciwwagi dla elementów konserwatywnych zwalczających wszelką reformę. Miał to być proces ściśle kontrolowany i kierowany odgórnie. Jak wiadomo, góra straciła panowanie nad wyzwolonymi przez siebie siłami i odwilż zamieniła się w powódź.

Prasę sowiecką studiuję w angielskim tłumaczeniu, bo poza *Kulturą* bardzo niewiele przenika z niej do publikacji polonijnych i emigracyjnych. Zagłębiając się w tę lekturę mam uczucie *déjà vu*. Pamiętam, jak przecierałem oczy czytając *Po Prostu*, a później nawet *Trybunę Ludu*. Dziś z tym samym zdumieniem czytam rozważania w jednym z czołowych pism sowieckich, czy aby nie udałoby się przywrócić rosyjskim miastom ich nazw historycznych i czy nie byłoby lepiej, by Leningrad nazywał się znowu Piotrogradem. To oczywiście jeden z tysiąca przykładów. Nakłady prasy w Sowietach skoczyły w tym roku o 14 mln egzemplarzy. Trzydzieści jeden lat temu przed Październikiem, w proporcjonalnej skali rosły nakłady prasy w Polsce. Podobnie jak w Polsce przed 1956 rokiem pisma, publicyści, dziennikarze nie są pewni, gdzie przebiegają granice swobodniejszej wypowiedzi i ryzykują karierą, próbując coraz śміiej, jak daleko można się bezkarnie posunąć.

Analogie nie kończą się w tym miejscu. Partyjna konserwa, zaskoczona z początku przez *glasnost*, oprzytomniała, zaczyna konsolidować się i przechodzi do kontrataku. Polemiki w prasie stają się coraz ostrzejsze. Najciekawszym zjawiskiem jest stalinowski samizdat. Po raz pierwszy zwrócił na niego uwagę jugosłowiański dziennikarz Drago Buvac (cytowany przez Slobodana Stankovica w opracowaniu Biura Studium RWE, 4 maja 1987). Doktor ekonomii B. Isajew rozpowszechnia w Moskwie nielegalne broszury poddające program Gorbaczowa ostrej krytyce. Isajew wspomina z nostalgią stalinowską dyscyplinę i stopę wzrostu gospodarczego w latach „socjalistycznej industrializacji”. Przyczyn obecnego zwolnienia tempa dopatruje się Isajew w międzynarodowym i wewnętrznym spisku kół żydowsko-masońskich.

Kampanię, która łączy wezwania do leninowskiej ortodoksji z hasłami antysemickimi, podjęła nacjonalistyczna grupa *Pamiat* (Pamięć). Powtarza się dokładnie to samo, co oglądaliśmy w Polsce. Antysemityzm stał się klasyczną bronią stalinowców — najpierw Natolina, później partyzantów Moczara, wreszcie Grunwaldu Olszowskiego. Słowo „żyd” ma być synonimem „liberalizmu”. W Polsce rozbudzony antysemityzm i podejrzenia żydowskiego spisku miały nie tylko odwrócić uwagę od istotnych źródeł pogarszających się warunków życiowych, ale zdyskredytować równocześnie zwolenników reformy. To samo powtarza się dziś w Rosji. Może nie należałoby przywiązywać do tego zjawiska przesadnej wagi, gdyby nie to, że ataki *Pamiati* na Gorbaczowa przybierają formy niezwykle ostre, a delegacja tej organizacji przyjęta została 6 maja przez pierwszego sekretarza zarządu moskiewskiego i członka Politbiura Borysa Jelcyna, który zazwyczaj występuje w roli sojusznika generalnego sekretarza. Tego rodzaju audycja, udzielona nielegalnej grupie, nie miała dotychczas precedensu. Czyżby stalinowskie podziemie miało swego protektora na samej górze?

Krytyki pod adresem Gorbaczowa wysuwają także zwolennicy reform. W czerwcowym numerze *Nowego Miru* Mikołaj Szemiłow idzie dalej od Gorbaczowa, domagając się zniesienia subwencji i cen administracyjnych, wprowadzenia wolnego rynku, zerwania z centralnym planowaniem i dopuszczenia do bezrobocia jako nieuniknionego produktu ubocznego racjonalnej gospodarki — „Podobnie jak w 1963 i 1965 roku — pisze Szemiłow — znowu jesteśmy skazani na półśrodki. A półśrodki, jak wiadomo, okazują się często gorsze od bezczynności”.

Jak z tego wynika, polityka Gorbaczowa prowadzi do zaostrażającej się polaryzacji i walki. Na razie na słowa. Pierwsza runda ma się rozegrać na czerwcowym plenum w dyskusji nad projektem ustawy o przedsiębiorstwach socjalistycznych.

Scenariusz pesymistyczny

Wydaje się dużo bardziej prawdopodobne, że *pierestrojka* i *glasnost* skończą się albo nagłym upadkiem Gorbaczowa, albo

jego kapitulacją i powrotem do stagnacji z czasów Breżniewa. Dyplomaci zachodni w Moskwie utrzymują, że Gorbaczow skończy się jeszcze przed upływem kadencji Reagana.

Przemawia za tym wiele okoliczności i sekretarz generalny wydaje się izolowaną postacią w samym Politbiurze. Usunął z niego wprawdzie wszystkich z wyjątkiem Władimira Szczerbickiego, którzy głosowali na Griszina jako następcę Czernienki, ale nowi ludzie przez niego wprowadzeni daleko mniej od niego angażują się w politykę rekonstrukcji, a naczelny ideolog partii, Jegor Ligaczow, i premier Mikołaj Ryżkow wysyłają między wierszami ezoteryczne akcenty krytyki pod adresem Gorbaczowa. Usunięcie generała Sokołowa i sam fakt, że po raz pierwszy wojsko nie jest reprezentowane w Politbiurze przez pełnoprawnego członka zdają się wskazywać, że armia nie jest sojusznikiem generalnego sekretarza.

Gorbaczow przeprowadził w partii najbardziej radykalną czystkę od czasów likwidacji Berii. W czasie ostatniego zjazdu partii w 1986 roku zmiany w składzie KC objęły 40 % członków. Na szczeblu podstawowych organizacji partyjnych 23 % funkcjonariuszy zostało zastąpionych nowymi. Nie znaczy to, by ci nowi ludzie byli entuzjastami *pierestrojki*.

Właściwości rosyjskiego charakteru sprawiają, że proces przebudzenia i uaktywnienia mas musiałby trwać w ZSSR o wiele dłużej niż w Polsce, na Węgrzech czy w Czechosłowacji. Decentralizacja systemu zarządzania oznaczałaby większe uniezależnienie narodowości ZSSR, co musiałoby spotkać się z szowinistyczną reakcją Wielkorusów. Najgroźniejszym przeciwnikiem jest oczywiście aparat biurokratyczny, który czuje się zagrożony przez walkę z korupcją i projekty wyborów na więcej niż jednego kandydata. Biurokraci widzą w rekonstrukcji zamach na swój stan posiadania.

Sądząc z lektury prasy sowieckiej, Gorbaczowowi udało się zmobilizować i zdobyć poparcie inteligencji twórczej. Wątpliwe, czy to samo można powiedzieć o robotnikach. Dotychczasowe zmiany nie polepszyły ich położenia. Sytuacja mieszkaniowa i żywnościowa nie uległy poprawie. Na skutek kampanii antyalkoholowej zdobycie butelki wódki wymaga dwóch godzin stania w ogonku. Spożycie alkoholu spadło o 37 %, pozbawiając państwo ponad 16 miliardów rubli dochodu, a robotników jedynej ucieczki od ponurej rzeczywistości. Wprowadzenie systemu ostrej kontroli jakości towarów ugodziło w przemysł ciężki, którego produkcja obniżyła się o 3,6 % w ciągu pierwszych dwóch miesięcy bież. roku. Kontrola objęła 1900 przedsiębiorstw, doprowadziła do zamknięcia niektórych zakładów i przepięła tylko 83,9 % produkcji. Robotnicy ponieśli dotkliwe straty w premiach. Doprowadziło to do zamieszek i protestów robotniczych w fabryce ciężarówek Rzeka Kama. Niezadowolenie robotników może sprawić, że powtórzą się w Rosji wypadki poznańskie z 1956 roku. Z tą różnicą, że w ówczesnym układzie sił wewnętrznych Poznań

stał się katalizatorem, który otworzył drogę do Października, a w Rosji stłumienie rozruchów na większą skalę może równocześnie położyć kres polityce reform.

Rewolucje pałacowe w sowieckim systemie przybierają zazwyczaj formę głosowania przez zaskoczenie w Biurze Politycznym, a później w Komitecie Centralnym. Zaskoczenie wymaga głęboko zakonspirowanych przygotowań. Kto wie, być może w chwili, gdy piszę te słowa konspiracja przeciwko Gorbaczowowi już się zawiązała. Rozstrzygnięcie nastąpi prawdopodobnie przed następnym, XXVIII Zjazdem partii, który ma się odbyć w 1989 roku — o dwa lata wcześniej niż normalnie i przed uchwaleniem nowej pięciolatki.

Scenariusz mało prawdopodobny

Nie można (przynajmniej w teorii) wykluczyć trzeciego, najmniej prawdopodobnego scenariusza: Gorbaczowowi udaje się doprowadzić do ograniczenia zbrojeń, napływu kapitału i importu technologii zachodniej, modernizacji przemysłu, odbudowy infrastruktury, usprawnienia systemu zarządzania i poprawy warunków bytowych. Cały proces przebiega w sposób zgodny z jego zamierzeniami, kierowany i kontrolowany odgórnie. Związek Sowiecki wychodzi z *pięrestrojki* wzmocniony. Perspektywa niezbyt realna. Rzeczywista poprawa wymagałaby przemian rewolucyjnych, a więc całkowitego przekształcenia samego systemu.

Co dalej, jeśli wypadki rozegrają się według pesymistycznego scenariusza i Gorbaczow zostanie usunięty? Oznaczałoby to tylko przeniesienie optymistycznego scenariusza w dalszą przyszłość. W miarę pogarszania się ogólnej sytuacji gospodarczej i coraz większego pozostawiania ZSSR w tyle za uprzemysłowionymi państwami zachodnimi — narastać będzie wewnętrzny konflikt między pragmatykami i konserwą broniącą swych wąskich, klasowych interesów. W ostatniej fazie napór konieczności życiowych musi odnieść zwycięstwo nad martwą doktryną.

Jan NOWAK

Waszyngton, 9 czerwca 1987

Rowmund PIŁSUDSKI

1

Nic dotąd nie wskazuje, aby działalność Gorbaczowa, która budzi tyle nadziei na Zachodzie, była spowodowana przez zmiany doktrynalne w polityce sowieckiej, zwłaszcza jeżeli chodzi o światoburcze dążenia komunizmu. Wydaje się raczej, że działalność ta jest głównie wynikiem okoliczności, iż Gorbaczow doszedł do wniosku, że przy obecnym stanie przemysłu i gospodarki sowiec-

kiej Moskwa nie ma szans wygrania z Waszyngtonem prowadzonego od szeregu lat wyścigu zbrojeń, który w kontekście naszej epoki jest równoznaczny przede wszystkim z wyścigiem na polu elektroniki i technologii.

Przy takiej interpretacji motywów polityki Gorbaczowa staje się zrozumiałe, dlaczego kładzie on tak wielki nacisk na konieczność radykalnej modernizacji gospodarki sowieckiej. Ale modernizacja taka wymaga przede wszystkim dwóch czynników: ludzi i wielkich środków inwestycyjnych. Otóż człowiek sowiecki, pozbawiony zmysłu inicjatywy i przyzwyczajony do działania tylko na rozkaz z góry, stanowi antytezę wydajnego pracownika, a tym bardziej kierownika nowoczesnego przemysłu. Stąd wysiłki Gorbaczowa, aby przez reformy społeczno-gospodarcze, ale bez naruszania podstaw politycznych ustroju ZSSR, obudzić człowieka sowieckiego z letargu, w jakim pozostaje od lat siedemdziesięciu. Czy się to uda, to już inna sprawa, ponieważ z jednej strony wątpliwe jest, czy bez liberalizacji politycznej będzie możliwe usprawnienie gospodarki sowieckiej, a z drugiej historia uczy, jak powiedział Alexis de Tocqueville, że najniebezpieczniejszym momentem dla złego rządu jest ten, w którym próbuje on dokonać swej naprawy.

Jeżeli chodzi o konieczne środki inwestycyjne dla modernizacji przemysłu sowieckiego, to obecnie znaczna ich część idzie na finansowanie dotychczasowego wyścigu zbrojeń ze Stanami Zjednoczonymi. Ten stan rzeczy tłumaczy elastyczną i ugodową politykę Gorbaczowa wobec Zachodu, tak różną od jego poprzedników. Ma ona bowiem za zadanie wytworzenie takiego międzynarodowego klimatu politycznego, który umożliwiłby przerwanie obecnego wyścigu zbrojeń, a przez to i zwolnienie środków na cele modernizacji przemysłu, które ten wyścig pochłania.

Reasumując, można powiedzieć, że w tym co prezentuje dziś światu Gorbaczow nie ma nic nowego ani rewolucyjnego. Jesteśmy bowiem świadkami dwóch dobrze znanych z wcześniejszej historii Związku Sowieckiego: nowego NEP-u i nowej *pieredyszki*. Są one tylko wyrazem znacznie większych niż dawniej ambicji. Mają bowiem umożliwić Sowietom podjęcie w przyszłości nowego wyścigu zbrojeń, opartego o znacznie większy potencjał gospodarczy, a przez to ze znacznie większą szansą wygranej, niż dotąd.

2

Dotychczas reformistyczna polityka Gorbaczowa w sprawach wewnętrznych przyniosła konkretne wyniki głównie na polu zmian personalnych, które objęły szeroki wachlarz różnych szczebli zarówno w partii, jak i administracji państwowej. Zaznaczyła się też pewna odwilż w dziedzinie kultury oraz tzw. *glasnost*, jeżeli chodzi o środki masowego przekazu. Natomiast na polu gospodarczym reformy nie wyszły dotąd poza stadium zapowiedzi, z wyjątkiem przepisów regulujących warunki działania drobnych

przedsiębiorstw prywatnych. Wydaje się, że reformy gospodarcze na szerszą skalę zostaną uruchomione dopiero po zapowiedzianej na przyszły rok specjalnej konferencji ogólnopartyjnej.

3

Los Gorbaczowa i planowanej przez niego „przebudowy” ZSSR zależeć będzie przede wszystkim od trzech czynników:

1. Czy i w jakim stopniu jego reformy gospodarcze potrafią zaspokoić potrzeby konsumpcyjne ludności ZSSR.
2. Czy przy wprowadzaniu tych reform w życie uda się uniknąć poważniejszych zaburzeń polityczno-społecznych.
3. A przede wszystkim, czy sowiecki „kompleks wojskowo-przemysłowy” będzie widział w tych reformach skuteczne narzędzie dla realizacji swych planów zbrojeniowych.

4

Każda liberalizacja stosunków wewnątrz ZSSR jest korzystna z punktu widzenia interesów polskich, ponieważ stwarza możliwość także liberalizacji stosunków w PRL, pod warunkiem jednak, że społeczeństwo w kraju będzie wywierać w tym kierunku stały nacisk na reżim w myśl koncepcji ewolucji pod naciskiem.

5

O ile polityka Gorbaczowa doprowadzi do zawieszenia wyścigu zbrojeń z Zachodem, a przez to do odprężenia sytuacji międzynarodowej, nie jest wykluczone, że w okresie trwania tego odprężenia powiązania Paktu Warszawskiego mogą ulec rozluźnieniu. Podobnie poprawa sytuacji gospodarczej bloku sowieckiego może rozluźnić związki z RWPG i otworzyć perspektywy dla kontaktów z EWG.

6

Porozumienie Zachodu ze Związkiem Sowieckim kosztem interesów Polski jest zawsze możliwe, czego ostatnim przykładem była Jałta. Jeżeli teraz nie grozi nam, że ponownie staniemy się przedmiotem przetargu, to tylko dlatego, że wtedy Rosja osiągnęła w stosunku do Polski wszystko co chciała.

Rowmund PIŁSUDSKI

Aleksander SMOLAR

Ocena procesów zachodzących w Związku Sowieckim wymaga odróżnienia sfery słów od tego, co dzieje się na terenie polityki i gospodarki.

Najbardziej spektakularne zmiany zachodzą w dziedzinie informacji i kultury. Obszar panowania języka doktryny kurczy się nieco, tak że zza niego wyziera więcej rzeczywistości. Podejmowane są tematy do niedawna objęte tabu; rehabilitowani są wielcy twórcy przeszłości: Gumilow, Pasternak, Nabokow; wyświetla się „rozrachunkowe” filmy, dopuszcza do wychowania religii.

Nie należy tych zmian lekceważyć, nawet jeżeli ich skutki odczuwa jedynie szeroko pojęta elita społeczeństwa sowieckiego. Podkopanie muru oddzielającego świat realny od ideologicznych fikcji jest koniecznym warunkiem jakichkolwiek istotnych reform.

W ocenie zmian zachodzących w Związku Sowieckim zachować jednak trzeba zdrowy rozsądek i umiar. Gorbaczow nie jest liberałem, nie jest stęsknionym demokracją Wallenrodem. Zmierzając do modernizacji systemu sowieckiego, przełamania stagnacji, która zagraża już nie tylko pozycji ideologicznej i ekonomicznej jego państwa — mit ZSSR jako uosobienia postępu dawno już upadł — ale Gorbaczow w polityce wewnętrznej należy mierzyć zmianami, które rzeczywiście wprowadza w dwóch zasadniczych i wzajemnie powiązanych dziedzinach, w funkcjonowaniu państwa i w gospodarce.

Cechą dominującą polityki Gorbaczowa w sferze instytucji zdaje się być nie żadna demokratyzacja, decentralizacja lub liberalizacja, lecz wzmocnienie władzy centralnej i jej operatywności, osłabionej breżniewowskim bezwładem. Dąży więc on do ograniczenia potęgi i autonomii rajkomów, obkomów, ministerstw, KGB i wojska. Cele Gorbaczowa w tej dziedzinie nie różnią się od tego, co robili Stalin i Chruszczow, choć nie stosuje stalinowskich czystek ani też nie rozwala, śladem Chruszczowa, partii. Oskarża o korupcję, organizuje kampanie przeciwko nadużyciom władzy i przede wszystkim masowo zwalnia aparatchyków różnych szczebli.

W dziedzinie gospodarki — a tu gorbaczowizm będzie zdawał swój najważniejszy egzamin — żadnych istotnych zmian jak na razie dostrzec nie można. Istnieją cztery sposoby dynamizowania gospodarki typu sowieckiego: pierwszy to *eksploatacja głupstw poprzedników*. Zawsze można zlikwidować jakieś urzędy, coś zreorganizować, ale przede wszystkim zmienić dotychczasowe priorytety polityki gospodarczej, aby przejściowo podnieść tempo wzrostu. Drugi to *eksploatacja strachu*. Wyższą efektywność wymusza się wzmoczoną kontrolą, dyscypliną, współzawodnictwem pracy, a nawet środkami karnymi. Możliwości zdynamizowania w ten sposób gospodarki są bardzo ograniczone. Trzeci sposób to *dopuszczenie inicjatywy prywatnej* (polityka NEP-u w sowieckiej terminologii). Polega to na samoograniczaniu państwa, które pozostawia ludziom pewne obszary gospodarki, gdzie mogą zaspokajać swoje potrzeby kreatywności i lepszego życia, przyczyniając się zarazem do ogólnego rozwoju dobrobytu i potencjału gospodarczego państwa. Czwarty wreszcie sposób — o nim

nawijęcej się mówi — to tak zwane *reformy gospodarcze*, polegające najogólniej na wprowadzaniu elementów autoregulacji, spontaniczności, motywacji tam gdzie tradycyjnie dominuje odgórny nakaz i reglamentacja.

Gorbaczow zaczął od najlepszych tradycji eksploatowania głupstw poprzedników, korzysta szeroko z pokładów strachu (kampanie na rzecz dyscypliny pracy, walka z alkoholizmem, procesy przeciw korupcji). W bardzo małym jak na razie stopniu poszerzono pole dla przedsiębiorczości niezależnej. Legalizacja fragmentów „gospodarki równoległej” ma, jak się wydaje, równie istotne funkcje kontrolno-podatkowe, co bodźcowe. Nic nie zrobiono w dziedzinie reformy, która pozostaje wielkim mitem, duchem w poszukiwaniu ciała.

W polityce wewnętrzno-zewnętrznej, tzn. w stosunku do państw środkowoeuropejskich peryferii, widać przedłużenie polityki wewnętrznej. Przede wszystkim to samo dążenie do skupienia władzy, rozproszonej w następstwie nieudolności, rozkładu i tendencji odśrodkowych epoki breżniewowskiej. Najbardziej jest to widoczne w dziedzinie gospodarczej. Moskwa energicznie narzuca nowy typ stosunków bilateralnych w ramach bloku. Ich przejawem są mnożące się wspólne przedsiębiorstwa, nie podlegające lokalnym władzom. Kreml zdaje się też dążyć do wzmocnienia procesów integracyjnych w ramach RWPG. Narzuca swoim słabszym partnerom bardziej rygorystyczne warunki wymiany i współpracy. Podobnie widać dążenie do większej integracji w dziedzinie kultury, nauki i informacji. Te fakty wpływać mogą na los krajów zależnych bardziej od retoryki demokratyzacyjnej.

W polityce międzynarodowej najistotniejsze zmiany dotyczą stosunków ze Stanami Zjednoczonymi i pośrednio z Europą Zachodnią. Gorbaczow próbuje zamrozić układ sił na korzystnym dla Kremla poziomie. Celem jest — po pierwsze — niedopuszczenie do ukształtowania się przewagi militarnej USA, zwłaszcza w wyniku rozwoju nowych technik obronnych w kosmosie, które zneutralizowałyby główny atut Związku Sowieckiego w stosunkach z Zachodem — operowanie strachem. Po drugie — chodzi o ograniczenie dynamiki wzrostu nakładów zbrojeniowych, której gospodarka sowiecka nie jest w stanie podołać, zwłaszcza jeżeli postęp technologii amerykańskiej i zwiększone nakłady obronne USA narzuciłyby ZSSR nową rundę zbrojeń. Po trzecie — celem jest zerwanie automatyzmu atomowej obrony Europy Zachodniej przez USA, a w konsekwencji wcale już nie utopijna wizja Europy Zachodniej zdenuklearyzowanej, politycznie sterylnej, zdanej na naciski Moskwy dysponującej przynajmniej częścią przewagą broni konwencjonalnej. Obecna polityka administracji amerykańskiej, szukającej za wszelką cenę sukcesu w swej fazie schyłkowej, zdaje się takim planom sprzyjać. Można mieć nadzieję, że tendencja ta zostanie odwrócona dzięki ujawnieniu się w Europie Zachodniej wspólnej woli obrony. Nie jest to jednak wcale pewne.

Zarysowany dotychczas obraz nie grzeszy optymizmem. Istot-

nie, zakładając, że plany Gorbaczowa choć w części się spełnią, nie ma powodów by sądzić, że wzmocnienie i modernizacja Związku Sowieckiego będą sprzyjać Polsce i innym krajom środkowo-wschodniej Europy. Historia uczy, że Rosja i ZSSR ustępowały raczej w okresach trudności i klęsk, a nie sukcesów. Nie może również napawać optymizmem postawa Zachodu w obliczu dynamicznej polityki Gorbaczowa. A jednak, mimo powyższych ocen, są powody, by widzieć w obecnej sytuacji również źródła nadziei.

Zmiany w ZSSR wprowadzają w ruch siły, których ostatecznego kierunku ani rezultatu nikt nie jest w stanie przewidzieć. Nikt nie może dziś powiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach zabrzmi mocniej głos różnych narodów imperium (mamy jak na razie precedens *Ałma Aty*); nikt nie może powiedzieć, czy i kiedy usłyszymy publicznie i masowo formułowane żądania społeczne i postulaty polityczne. Gorbaczow zapewnia swoją publiczność, że proces zmian będzie kontrolowany. Są to złudzenia każdego konserwatywnego reformatora. Jeżeli jednak tak się stanie w istocie, to oznaczać to będzie nieuchronnie rezygnację z reformistycznych mrzonek; nie ma bowiem poważnych reform bez mobilizacji energii szerokich kręgów ludności, a tego z kolei bez niekontrolowanej spontaniczności. Przyjmując jednak nawet hipotezę szybkiego załamania planów zmian, powrót do breżniewowskiego zamrożenia wydaje się mało prawdopodobny.

Hasło reform w Związku Sowieckim stwarza presję na inne kraje bloku, zwłaszcza te najbardziej konserwatywne (Rumunia, Czechosłowacja, NRD). Nawet w Polsce, gdzie Gorbaczow nie jest dla władz wyzwaniem, lecz potwierdzeniem słuszności dokonanych wyborów, nowy język dobiegający z Moskwy zmusza ekipę Jaruzelskiego do poszukiwania nowych rozwiązań, czy przynajmniej nowych słów, by dać dowód woli zmian. Stwarza to niewątpliwie pewne pole dla nacisków społecznych.

I jeszcze jedno źródło umiarkowanego optymizmu. Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że gdy władcy ZSSR zajęci są problemami wewnętrznymi, poszerza się pole manewru w krajach peryferyjnych. Tak było w 1956 roku, w okresie destalinizacji, tak było po usunięciu Chruszczowa (Praska Wiosna była bombą z opóźnionym zapłonem). Od aktywnych sił społecznych tych krajów, od grup we władzach zainteresowanych zmianami, choćby bardzo umiarkowanymi, zależy, na ile obecna szansa zostanie wykorzystana. Szansa podwójna: zdyskontowanie reformistycznego otwarcia Kremla oraz jego międzynarodowego i wewnętrznego uwikłania.

Obawiać się należy, iż w obecnej koniunkturze od Zachodu niczego nie można oczekiwać. Nie ma on ani porządnego bicia, ani pożywnej marchewki, aby móc oddziaływać na elity rządzące środkowo-wschodnią Europą. Co gorsza, spadło drastycznie zainteresowanie naszymi krajami, które przejściowo wzrosło na Zachodzie dzięki błędnym rachubom gospodarczym, działaniom opozycji w obozie sowieckim, wybuchowi „Solidarności”, oraz

— rzecz nie mniej ważna — w następstwie pogorszenia stosunków z Kreml. Czas jest teraz na rzeczy poważne, to znaczy na rozmowy i porozumienie z Moskwą. Tego chcą politycy, tego wydają się pragnąć społeczeństwa Zachodu.

Jest to dla Polski czas szans i zagrożeń. Zagrożenia z różnych stron płynące rysują się jednak bardziej wyraźnie.

Aleksander SMOLAR

Leopold UNGER

1

Dwa lata to za mało dla oceny polityki nowego sekretarza generalnego partii komunistycznej w ZSSR. Niektórzy fachowcy oceniają, że nowy przywódca sowiecki potrzebuje około 5 lat dla zbudowania swojej własnej maszyny politycznej. Przyjmując ten punkt widzenia, prawie całe obecne Biuro Polityczne, włącznie z Gorbaczowem, jest z wychowu Breżniewa. W istocie, jeżeli trudno jest na razie dokonać częściowego choćby bilansu „administracji” Gorbaczowa, można z dużą dozą prawdopodobieństwa mówić o jego zamiarach i planach.

W największym skrócie — mandat Gorbaczowa sprowadza się do próby ratowania, najtańszym kosztem, statusu ZSSR jako supermocarstwa, mającego prawo i możliwości negocjowania z USA na równych prawach. W innym równaniu mandat Gorbaczowa polega na przezwyciężeniu sprzeczności między super-potężnymi ambicjami i koniecznościami ZSSR a jego możliwościami ekonomicznymi. Można to także przedstawić w formie pytania: w jaki sposób pogodzić roczny budżet wojskowy ZSSR w wysokości (według zachodnich ocen) ok. 15 % PNB czyli dwukrotnie wyższy niż w USA, z sowieckim PNB, który (też według zachodnich ocen) wynosi między połową a jedną trzecią amerykańskiego PNB.

Misja ta wykracza poza ramy układów międzynarodowych: chodzi w istocie o samą zasadę legitymizacji władzy kompartii i jej nomenklatury. To jest istota mandatu Gorbaczowa. Jego zadanie równa się prawdopodobnie kwadraturze koła: jak rozwiązać sformułowaną wyżej sprzeczność bez naruszenia podstaw systemu, jego dogmatów, monopolu KP, wszechwładzy aparatu, jak przeprowadzić reformę bez reformy, rewolucję bez rewolucji, przezwyciężyć sklerozę, korupcję, immobilizm, jak — mówiąc w skrócie — naprawić system bez jego zmiany.

Kissinger, który był niedawno w Moskwie, ciągle się dziwi, że naród o takim jak sowiecki nędzarskim poziomie życia może prowadzić tak globalną i twardą politykę zagraniczną. Otóż w tym właśnie rzecz, że prawdopodobnie już nie może lub też nie będzie mógł jej prowadzić w niedalekiej przyszłości. Cały

mandat Gorbaczowa sprowadza się do misji sprostania temu wyznaniu.

2

Jak wynika z punktu 1, uważam, że jest za wcześnie na rzeczowy, nawet częściowy bilans działalności Gorbaczowa. W tym, co pokazał w dziedzinie polityki wewnętrznej, jest dużo pustej retoryki, powtarzanych sloganów, normalnej propagandy — w sowieckim sensie tego wyrażenia. Mówienie o „reformie” jest nadużyciem semantycznym. Gorbaczow działa na bardzo szerokim froncie: od gospodarki do kultury, poprzez plagi społeczne (alkoholizm), ale żadna z jego decyzji czy próby zmiany nie poszła jeszcze tak daleko, aby pozostawić nieodwracalne zmiany. Polska w 1956 roku, nie mówiąc już o okresie „Solidarności”, poszła znacznie dalej niż ZSSR Gorbaczowa, a przecież był „odwrot” i od października i od „Solidarności”.

„Solidarność” pozostawiła ślady, ale to co w Polsce było „nieodwracalne”, istniało i przed „reformami”: Kościół, rolnictwo indywidualne, niezależność myślenia elity, pamięć historyczna, emigracja polityczna (i kulturalnie aktywna) itd. W ZSSR czynniki takie nie istniały i nie ma przyczyn, dla których można sobie wyobrazić, że *glasnost*, *perestrojka* czy „demokratyzacja” potrafiłyby (przy założeniu, że Kreml chciałby tego) takie elementy powołać na trwałe do życia. To tylko w wyobraźni zachodnich publicystów nieśmiało „otwarcia” w dziedzinie inicjatywy prywatnej można było porównać do NEP-u. Natomiast przykręcenie śruby jest zawsze możliwe, zwłaszcza w ZSSR, gdzie okresowo, co jakiś czas, krwawymi czystkami lub kampanią w prasie władza udowadnia, że to co wczoraj było dobre, dziś jest złe, że wczorajszy nieomylny przywódca był w istocie rozleniwionym bałwanem. Co najważniejsze przy tym, „cały naród” natychmiast i entuzjastycznie popiera nową linię. Sacharow jest na razie w Moskwie, ale jeżeli jutro znowu będzie porwany, większość członków Akademii — nie mówiąc już o tzw. narodzie — poprze znowu zesłanie uczonego do Gorki. Zasada „odwracalności” jest naturalnie jeszcze bardziej przekonująca w odniesieniu do życia kulturalnego.

Argument na rzecz Gorbaczowa, że w Polsce, też przecież komunistycznej, dokonały się jednak nieodwracalne zmiany (drugi obieg wydawniczy i dyplomatyczny, to znaczy spotkania opozycji z politykami zagranicznymi), nie wytrzymuje krytyki. Nawet przy absurdalnym założeniu, że Gorbaczow chciałby go naśladować, model polski jest z bardzo wielu przyczyn nie do zastosowania w skali ZSSR (podobnie jak model gospodarczy węgierski).

Gorbaczow dokonał znacznie bardziej spektakularnych posunięć w dziedzinie polityki zagranicznej. Ale w tej branży szkoda czasu na analizowanie sytuacji. Po pierwsze, podstawowe cele polityki zagranicznej ZSSR nie uległy żadnej zmianie, zmieniły się jedynie metody. Po drugie, zmiany w technice polityki za-

granicznej są rzeczą najzupełniej normalną, wszystkie państwa to praktykują, a ZSSR — państwo konserwatywne i pragmatyczne — o niekontrolowanej władzy, w większym stopniu niż wszystkie inne.

3

W momencie śmierci Czernienki w Biurze Politycznym istniał *consensus* co do tego, że ZSSR wszedł w fazę upadku i że proces ten trzeba za wszelką cenę powstrzymać. Brak było natomiast zgody co do tego, w jaki sposób to osiągnąć. Wybór Gorbaczowa wydaje się w tych warunkach logiczny. Był on wtedy najmłodszym członkiem Biura Politycznego, inaczej mówiąc miał przed sobą dużo czasu, należał do trzeciego pokolenia przywódców sowieckich, był bez kompleksów: nie brał udziału w żadnej z faz patologicznych rozwoju ZSSR (wojna domowa, czystki, „stalinizm”, początkowe porażki, w ogóle dramat drugiej wojny światowej), uformował się w fazie, kiedy ZSSR był już aroganckim i niebezpiecznym supermocarstwem, był w pełni świadom tego, że siła ZSSR polega nie na jego promieniowaniu ideologicznym, ani na przykładzie jego sukcesów gospodarczych czy socjalnych, a na potęgze wojskowej.

Ważny przy tym był również prawdopodobnie fakt, iż Gorbaczow był odpowiednio przygotowany, właściwie nawet „podszkoleny” do objęcia czołowej roli: był po studiach (sowieckich, ale zawsze), po praktyce komsomolskiej, po kierowaniu ogromnym rejonem, po sprawowaniu funkcji sekretarza KC, potem członka Politbiura, a w końcowej fazie Czernienki, *de facto* zastępcy sekretarza generalnego KPZS. Gorbaczow ruszył ostro z miejsca: w ciągu kilku miesięcy odbył (w Mińsku) zasadnicze zebranie z czołową Armią Czerwoną, wygłosił kilka programowych przemówień, pozbył się głównych rywali (Romanow, Griszin), przyciągnął kilku gestami inteligencję i artystów, wydał wojnę alkoholizmowi, zwołał zjazd partii, odbył dwa szczyty z Reaganem itd., itp.

Takie tempo, a także rodzaj zmian, no i sposób w jaki Gorbaczow je przeprowadzał (np. czystka na górze wojska po kompromitacji z zachodnoniemiecką Cessną), musiały przysporzyć mu naturalnie sporo przeciwników w *establishment*’cie. A jednak, mimo apokaliptycznych wersji rozsiewanych przez samą Moskwę, nie widać jak dotąd żadnej formuły opozycyjnej, zdolnej do obalenia Gorbaczowa, lub skłonnej choćby do spowodowania zmiany kierunku czy sposobów jego działania. W ZSSR opozycji w sensie politycznym nie ma i tak szybko nie będzie, do obalenia *genske* potrzebny jest spisek na samej górze (tak jak przeciw Chruszczowowi w 1964 roku) połączonych sił całej nomenklatury: aparatu partyjnego, wojska i KGB. Nic nie wskazuje, aby w dzisiejszych okolicznościach taki spisek mógł się zawiązać.

Wszystko, co Gorbaczow na razie robi sprowadza się do próby

ulepszenia działania systemu bez naruszania jego dogmatów. Jest to wspólny interes całej klasy rządzącej. Dopóki Gorbaczow nie poniesie bardzo widocznego fiaska, nie ma powodu, dla którego nomenklatura miałaby chcieć się go pozbyć. Gorbaczow bardzo potrzebuje i poszukuje dużego sukcesu wewnątrz ZSSR lub w polityce zagranicznej. Ale i bez jakiegoś psychologicznego wstrząsu faza Gorbaczowa potrwa długo, jeżeli zastosować normalne w ZSSR kryteria trwania.

4 i 5

Wszystko, co dzieje się w ZSSR, jest ważne dla Polski i dla innych KDL-i także, naturalnie. Ale nie należy przesadzać, a zwłaszcza wpadać w euforię, tak jak to uczynili niektórzy z moich kolegów po piórze, zapowiadając np. spotkanie Gorbaczowa z Dubczkiem. Wbrew komentarzom opisującym krew w żyłach mrozącej sceny z rozmów Gorbaczowa z Ceausescu czy Honeckerem, uważam, że *glasnost* nie jest przeznaczona na eksport. Stanowi ona manewr wewnętrzny i chwyt propagandowy wykorzystywany na Zachodzie, ale Gorbaczowowi chyba nie zależy na implantacji tego sowieckiego pomysłu w Polsce czy gdzie indziej na wschodzie. Nie tylko dlatego, że np. polska *glasnost* jest już o całe wieki dalej niż sowieckie „szaleństwa” (Pasternak był już kilkakrotnie wydawany w Polsce), ale przede wszystkim dlatego, że Gorbaczow świadom jest ogromnego niebezpieczeństwa, jakie niesie ewentualny transfer kryzysu z metropolii na terytorium kolonii. Gorbaczow pamięta lekcję z 1956 roku i konwulsje, jakie spowodował tajny raport Chruszczowa w Polsce i na Węgrzech. Gorbaczow wie, że każda *glasnost* w krajach podległych wyzwala automatycznie hasła nacjonalistyczne, to znaczy antysowieckie i niepodległościowe. Otóż, na to właśnie Gorbaczow nie może i nie chce zapewne sobie pozwolić. W tej dziedzinie nie ma doktryny Gorbaczowa, jest ciągle wiążąca doktryna Breżniewa.

Przywódcy krajów Paktu Warszawskiego wiedzą, że imperium wschodnioeuropejskie przestało być sprawą międzynarodową lub elementem polityki zagranicznej ZSSR, a weszło w sferę polityki wewnętrznej Sowietów. Posiadanie i kontrola imperium nie jest już sprawą „absolutnego bezpieczeństwa” ZSSR, a częścią legitymizacji władzy partii komunistycznej. Kwestia prawdziwej autonomii krajów podległych będzie ostatnią, jaka wejdzie na wokandę *glasnosti*. Można sobie wyobrazić, że Gorbaczow rzeczywiście szuka wyjścia z Afganistanu, gdzie wojna jest niepopularna (coraz więcej trumien wraca z Kabulu) i bardzo szkodliwa politycznie w trzecim świecie i w ogóle. Natomiast nie ulega kwestii, że każda interwencja w jakimś KDL-u „zagrożonym” przez bakcylią demokracji czy niepodległości, będzie poparta przez „naród sowiecki”, tak jak były popularne interwencje na Węgrzech czy w Czechosłowacji, lub jak byłaby popularna inwazja Polski w 1981 roku (*vide* Kukliński). Pod tym względem można i należy dziś mówić nie tylko o coraz bardziej widocznym za Gorbaczowa nacjonalizmie rosyjskim, ale także o nacjonalizmie

sowieckim. Z tego punktu widzenia imperium wschodnioeuropejskie wydaje się być „nienaruszalne”.

Imperium sowieckie, jak wszystkie imperia, kiedyś się rozłupie i rozpadnie. Są w tej sprawie rozmaite koncepcje: bałkanizacyjna, ottomanizacyjna, katastroficzna (poprzez trzecią wojnę światową), etniczna (w wyniku rewolucji narodów ZSSR). Nie należy wykluczać możliwości powstania w ZSSR ustroju demokratycznego, czy nietotalitarnego. Ostatecznie — jak mówi Besançon — Niemcy podnieśli się po Hitlerze i Rosjanie też nie są skazani na komunistyczne dożywocie. No, ale dopóki nie ma pewności, jak i kiedy demokracja zawita w stepy i tundry, nie należy z tą hipotezą wiązać natychmiastowych nadziei. Tak rozumują np. przywódcy Węgier, gdzie niedawno byłem, którzy dziś są bardziej dyskretni niż kiedykolwiek, wolą nie ujawniać powabów ich własnej *glasnosti*, aby jej za bardzo nie wiązać z tym, co się dzieje w ZSSR.

To wszystko nie znaczy naturalnie, że nie należy Kremla „łapać za słowo”, że nie należy wyciągać z konwulsji i złudzeń moskiewskich największych możliwie korzyści. Fakt iż Gorbaczow postanowił ze względu na dyplomatyczne korzyści nie przeszkadzać zachodnim politykom spotykania się z Sacharowem i jadania *pajsecznych sederów z otkaznikami*, może „legalizować” w Warszawie obiady i kolacje (mam nadzieję, że smaczne), spożywane przez ministrów spraw zagranicznych z Wałęsą, Michnikiem czy Geremkiem. To samo dotyczy „drugiego obiegu” nie tylko w dyplomacji, ale także w kulturze. Pasternaka w Polsce wydano już dawno, ale oczywiście, jeżeli „Żiwago” wyjdzie w ZSSR, to „NOW-a” czy CDN” powinny w jeszcze większym stopniu urągać cenzurze. Zadzwońtem do Dżilasa, kiedy dowiedziałem się, że po 20 latach dostał paszport. Zapytałem go, jak on to tłumaczy? Odpowiedział mi, że to bardzo proste: przywódcy jugosłowiańscy ośmieszyliby się ostatecznie, jeżeli by odmawiali paszportu Dżilasowi, kiedy Rosjanie wypuścili Sacharowa. Jeżeli jest prawda, że zimna wojna domowa w ZSSR powoduje przykręcenie śruby w KDL-ach, to oznacza to, *à rebours*, że odwilż w Moskwie powinna uzasadniać odwilże u klientów. Za bardzo bym na to równanie nie liczył, ale naturalnie, próbować można.

Pozostaje chcieć.

6

Wszystko zależy od tego, co uważa się za „interes Polski”. Jeżeli interes ten polega na odzyskaniu niepodległości i suwerenności, to porozumienie się super- i średnio-wielkich kosztom tak pojętego interesu uważam za nieuniknione i logiczne. Każde porozumienie, model *détente* z lat 70-tych czy jakaś inna formuła, zakłada poszanowanie *status quo*, spokój na peryferiach, respekt dla sfer wpływów itp. Fakt, iż tylko jedna strona (to znaczy zachodnia) respektuje tak pojęte „porozumienie” nie zmienia, a tylko pogarsza sytuację. Westchnienie papieża w samolocie przed

lądowaniem w Chile: „W Chile jest przynajmniej nadzieja na zmianę, a Polsce zaś...” nie stanowi jedynie „pobożnego życzenia”: w ciągu ostatnich piętnastu lat kilkanaście dyktatur prawicowych i wojskowych wyładowało miękko w demokrację; ani jedna dyktatura lewicowa, nawet niepodległa (Chiny czy Albania), nie poszła tą drogą. Każde z zachodnich państw ma swój interes w tym, aby „kwestia polska” nie była przeszkodą w porozumieniu: USA, bo jakiś układ o rozbrojeniu jest ważniejszy; EWG, bo kryzys gospodarczy zakłada handel ze wschodem; RFN, bo stosunki między Niemcami (a te zależą od Moskwy) są ważniejsze od stosunków z Polakami, nie mówiąc już o niepodległości Polski. Trudno domagać się od Reagana czy Kohla, aby byli bardziej katolicycy od papieża. Jeszcze nie wysychł atrament na komunikacie z podróży Gorbaczowa do Rumunii i NRD, a już prasa amerykańska, nie tylko ta głupawo-liberalna, zaczęła się martwić o to, że aspiracje i nadzieje w krajach zależnych, wywołane przerezutami *glasnosti*, mogłyby zagrozić wielkiemu dziełu Gorbaczowa pokojowej przebudowy ZSSR.

Nie jest to sprawa sentymentów, a interesów. Nie jestem zwolennikiem tezy o tym, że im gorzej, tym lepiej (która zresztą nie zawsze się sprawdza), ale nie należy przemilczać faktu, iż w tych warunkach pozostają jedynie dwie możliwości przywrócenia sprawie polskiej poważnego miejsca na porządku dziennym XX wieku.

Pierwsza, to presja wydarzeń w samej Polsce. Tylko sami Polacy mogą zmusić Zachód (i Wschód także zresztą) do interesowania się ich sprawami i szanowania „interesów Polski”. „Solidarność” dała przykład (poza wielu innymi), w jaki sposób Polacy mogą wpływać na fluktuacje w stanowisku Zachodu w zależności od presji wydarzeń w Polsce. Rumuni dają przykład, jak można szantażować i zmuszać USA do określonych ustępstw w zależności od oryginalnych posunięć w polityce zagranicznej.

Druga metoda, to polityka polegająca na przekonaniu ZSSR i jego przywódców, że ich interes globalny (wejście w XXI wiek) i osobisty (bezkonwulsyjne utrzymanie się u władzy) polegać może na umiejętnej dekolonizacji. Nie mam w tej dziedzinie gotowego scenariusza. Zabieg wstępny jednak powinien polegać na uznaniu realności takiego podejścia i wpisaniu go w program bieżącej polityki. Afganistan już jest na takiej liście. Polska czy Węgry lub nawet kraje bałtyckie na niej nie figurują, bo nikt nie ma odwagi nazwać rzeczy po imieniu, to znaczy wpisać Polskę itd. na listę „konfliktów regionalnych” figurujących w spisie tematów na każdy szczyt amerykańsko-sowiecki i będących przedmiotem stałych konsultacji super-wielkich.

A teraz pytanie 7 — moje własne: Co z tego wszystkiego wynika?

Niewiele. Tylko kilka uwag końcowych.

a) Niebezpieczni są nie ludzie, a system. Każdy nowy sekretarz generalny zostawia ślady. Ale charakter represyjny i imperialny ZSSR nie zależy od człowieka, leży natomiast w istocie systemu.

b) Z *glasnosti* czy bez niej, ZSSR pozostanie przeciwnikiem Zachodu w skali historycznej i globalnej, kierującym się kryteriami sprzecznymi z naszymi i broniącym interesów sprzecznych z naszymi. Fakt, iż na czele ZSSR stanął człowiek inteligentny, sprytny i przewrotny nadaje tym sprzecznościom bardziej niebezpieczny charakter.

c) Zachód powinien formułować swoją politykę zagraniczną w zależności nie od polityki wewnętrznej ZSSR, nie od *glasnosti* czy *pierestrojki*, czy też jeszcze innych rzeczy, które Gorbaczow wymyśli, a w zależności i uwzględniając przede wszystkim wymogi jego własnego bezpieczeństwa. System bezpieczeństwa Zachodu (czy też, niestety, Zachodów) powinien uwzględniać w poważnym stopniu sytuację, przyszłość i „interes” Polski, a także innych państw i narodów znajdujących się, wbrew ich woli, w orbicie kontroli ZSSR. Tak jednak jeszcze nie jest.

Szkoda, że to nie Polak wylądował na małym samolocie na Placu Czerwonym w Moskwie.

Leopold UNGER

Bolesław WIERZBIANSKI

1

W zakresie polityki wewnętrznej Gorbaczow zmierza do usprawnienia i unowocześnienia systemu, przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej. Cele ideologiczne i polityczne są na drugim miejscu. Wzrost produktywności jest zagadnieniem czołowym. „Radykalne zmiany”, jakie zapowiadał, ograniczają się na razie do zmiany kadr od KC w dół. Poprawa gospodarcza warunkuje poparcie ze strony społeczeństwa, które z natury rzeczy, jak wszędzie, chce żyć lepiej. Poprawa gospodarcza jest również niezbędnym warunkiem poparcia ze strony ośrodków wojskowych, które zdają sobie sprawę, że wobec potrzeby zaspokojenia zapotrzebowania społeczeństwa na dobra konsumpcyjne, tylko przez wzrost produktywności i unowocześnienie warsztatów można będzie utrzymać militarną równowagę ze Stanami Zjednoczonymi. Jeśli wysiłki zmierzające do podniesienia produktywności zawiodą, cięcia będą musiały objąć budżety wojskowe. Może to prowadzić do konfliktu z wojskiem i obalenia Gorbaczowa i jego reform. Nie jest jasne, czy ekipa Gorbaczowa dysponuje dostateczną ilością kadr, przygotowanych do przeprowadzenia reform. Obserwuje się ostatnio zwolnienie tempa wymiany kadr.

Drugim elementem polityki wewnętrznej jest wysiłek zmierzający do zjednoczenia sobie inteligencji, a zwłaszcza kół intelektualnych. Liberalizacja kulturalna wiąże się ściśle z polityką gospodarczą, uzupełniając się nawzajem.

Polityka wewnętrzna nie zmierza do zmiany, a nawet głębszej

reformy systemu. Sowiety mają pozostać krajem monopartyjnym, o zliberalizowanym obliczu.

W zakresie polityki zagranicznej Gorbaczow zmierza do utrwalenia pozycji ZSSR jako mocarstwa „normalnego”. Cele ideologiczne, wynikające z doktryny, jak szerzenie rewolucji, zejdą na dalszy plan. Gorbaczowowi chodzi o osiągnięcie równowagi z Zachodem nie tylko w zbrojeniach, ale w zakresie gospodarczym, kulturalnym itd. Obawę świata przed potęgą militarną ZSSR ma zastąpić szacunek dla jego osiągnięć i twórczych sił. Cel bliższy — to osiągnięcie kredytów, technologii i innej pomocy w unowocześnianiu Sowietów i wyprowadzeniu ich z jałowości okresu Breżniewa i następców. Aby te cele osiągnąć, ZSSR Gorbaczowa będzie gotowy do ustępstw, jeśli okażą się niezbędne.

2

Działalność Gorbaczowa nie powoduje jeszcze zmian, ale daje pewne sygnały, których nie należy przeoczyć. W zakresie kultury widoczna jest liberalizacja, obalenie dotychczasowych zakazów. Celem jest zjednanie kół intelektualnych i inteligencji, jako ośrodków opiniotwórczych, aby dopomagały w otwieraniu dotychczas zamkniętych możliwości wewnętrznych i zewnętrznych. W systemie sprawowania władzy natomiast niewiele się zmieniło. KC pozostaje ostatecznym ośrodkiem decyzji, ale drobne ustępstwa na rzecz pluralizmu zasługują na uwagę. W zakresie gospodarki nacisk ciągle kładziony jest na większą karność i produktywność. Są też nieznaczne gesty w kierunku inicjatywy prywatnej oraz wprowadzania przedsiębiorstw zagranicznych. Doświadczenia w tej ostatniej dziedzinie, np. w Jugosławii, nie są zachęcające. Zwołana na początek przyszłego roku ogólnozwiązkowa konferencja, na trzy lata przed terminem XXVIII Zjazdu partii, prawdopodobnie dotyczyć będzie reform gospodarczych, aby utrwalić je i zainicjować właśnie przed XXVIII Zjazdem.

3

Gorbaczow utrzyma się przy władzy i nie będzie odsunięty od wpływów, ponieważ jego polityka odpowiada ambicjom i potrzebom społeczeństwa. Reprezentuje dążenie do unowocześnienia kraju. Jego program sprzyja ambicjom społeczeństwa, a zwłaszcza intelektualnej i zawodowej inteligencji rosyjskiej. Jego reformy będą dawały większą rekoimję trwania imperium rosyjskiego, aniżeli suchy centralizm i totalitaryzm w stylu Breżniewa. Granicą reform Gorbaczowa będą granice interesów imperium sowieckiego. Dopomoże mu w tym ograniczony liberalizm wobec narodów nierosyjskich. Na taką politykę wskazuje utrzymanie Szczerbickiego na stanowisku sekretarza Ukraińskiej Partii Komunistycznej.

Za utrzymaniem Gorbaczowa przemawia również jego polityka zagraniczna. Zachowuje on stałą inicjatywę, sprawnie grając

na popularnych dążeniach i fobiach w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych. Z drugiej strony ZSSR zdaje sobie sprawę, że nowe typy broni, nad jakimi pracuje Zachód, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, obalą dotychczasowy parytet między Wschodem i Zachodem, co spowoduje odejście od teorii równowagi strachu. Dlatego Gorbaczow przyjmie kompromisy, w zamian za otrzymanie nowej technologii.

4

Ewentualna demokratyzacja — oczywiście ograniczona — i modernizacja ZSSR będą korzystne z punktu widzenia interesów polskich, dla dwóch względów: pierwszy, gdyż oznacza to w ogóle zmianę. Dla Polski obecny stan zastałości jest wysoce niekorzystny, niczego przynieść nie może. I drugi, gdyż otwiera to drogę do wywierania nacisków na ZSSR przez naród polski, aby (wraz z demokratyzacją) poddać rewizji nienaturalny stosunek między dwoma narodami; odejść od podległości do równorzeczności. Koncepcje polskie w tej dziedzinie powinny wyprzedzać sowieckie i przybrać formę postulatywną. Modernizacja Rosji może też wpłynąć na przyspieszenie podobnego procesu w Polsce; może stworzyć szerszy rynek dla polskiej produkcji. Z drugiej strony sama modernizacja Rosji Sowieckiej, bez demokratyzacji i liberalizacji, może okazać się niekorzystna i zagrozić większym uzależnieniem Polski i Europy wschodniej od Rosji. To samo grozi, jeśli polityka unowocześnienia Sowietów poniesie fiasko.

5

Zwiększenie autonomii Polski w ramach bloku sowieckiego jest możliwe, jeśli polityka Gorbaczowa doprowadzi do układów o zmniejszeniu zbrojeń nuklearnych i konwencjonalnych i co za tym pójdzie — do nowej *détente*. Okazać się wtedy może, że koncepcja „pasa ochronnego” dla Sowietów w Europie środkowo-wschodniej stanie się przestarzała. W ten sposób może nastąpić zmiana roli Polski w Pakcie Warszawskim.

Natomiast plany gospodarcze Sowietów mogą zmierzać do większej integracji Polski i Europy Wschodniej w ramach RWPG. Gorbaczow na razie występuje z takimi właśnie postulatami (Warszawa, Praga, Budapeszt i Bukareszt). Podtrzymał też w Warszawie „doktrynę Breżniewa”, bez protestu ze strony Polski i Zachodu. Niemniej jednak polityka Gorbaczowa daje szansę na poszukiwanie nowych rozwiązań. Nowocześniejsza Rosja nie musi konieczniej być bardziej agresywna wobec sąsiadów, aniżeli reakcyjna Rosja Breżniewa i następców.

6

Możliwość porozumienia kosztem Polski w Stanach Zjednoczonych nie istnieje, gdyż w Jałcie i Helsinkach możliwości ta-

kiego porozumienia zostały już wyczerpane. Ameryka, po okresie wzmoczonej retoryki na temat Polski, może nadal stosować taktykę brania wody w usta, zamiast starać się uczynić z Polski sprawdzian intencji Sowietów. Batalia o utrzymanie sprawy Polski na międzynarodowej „agendzie”, powinna być prowadzona nadal, zwłaszcza wobec rokowań rozbrojeniowych. Grozić jednak może przemilczenie sprawy Polski i utrata szansy na poprawienie błędów jałtańsko-helsińskich. Reagan wysunął sprawę wykonania postanowień „Deklaracji o Uwolnionej Europie”, ale zamilkł w momencie podjęcia rokowań rozbrojeniowych.

Europa Zachodnia nie dojrzała do podjęcia z Sowietami rozmów na temat obalenia podziału Europy. Z dystansu Ameryki dostrzega się możliwość porozumienia się Europy Zachodniej z ZSSR przez przyjęcie roli zagłębia przemysłowego wobec Rosji, źródła technologii i kredytów. Podobną rolę może starać się odegrać Japonia, wobec trudności, jakie napotyka w stosunkach gospodarczych ze Stanami Zjednoczonymi.

Niepokojąca jest gotowość EWG do podjęcia rozmów z RWPG jako całością. Dotychczas Bruksela odmawiała takiej płaszczyzny, traktując Polskę i kraje Europy środkowo-wschodniej jako jednostki odrębne, wprawdzie o ograniczonej suwerenności, ale mające dostateczną dozę samodzielności gospodarczej. Odejście od tej zasady może znaczyć, że Europa Zachodnia gotowa jest przejść do porządku nad prawem narodów wschodniej połowy Europy do niepodległości. Tym tendencjom trzeba się przeciwstawiać, podtrzymując koncepcję zjednoczonej Europy, względnie nawet de gaulle'owską koncepcję „Europy narodów”, po Ural.

Bolesław WIERZBIANSKI

Jan ZIELONKA

Polityka nowego generalnego sekretarza KPZS budzi tyle emocji i zamieszania, że nawet poważni dziennikarze czy naukowcy nie są w stanie oddzielić faktów od opinii, prognoz i pobożnych życzeń. Fakty mówią, że stosunkowo młody i energiczny Gorbaczow zapowiedział — i po części zrealizował — szereg zmian w systemie zarządzania sowiecką gospodarką, w stylu sprawowania kierowniczej roli przez partię oraz w sferze kultury i informacji.

W sferze gospodarczej wymienić należy przede wszystkim legalizację niektórych rodzajów prywatnej działalności usługowej, rozszerzenie uprawnień samorządów robotniczych i autonomii zarządzania w niektórych okręgach i wybranych gałęziach gospodarki, upowszechnienie systemu umów kontraktacyjnych na wsi oraz ustawodawstwo w zakresie tzw. *joint ventures* z firmami zachodnimi.

W płaszczyźnie politycznej Gorbaczow zapowiedział walkę z korupcją, wypuścił z więzień pewną liczbę dysydentów oraz publicznie rozważył możliwość przeprowadzania tajnych wyborów w partii.

Znany wszystkim termin *glasnost* charakteryzuje zmiany, jakie mają miejsce w dziedzinie kultury i informacji.

„Reformy” Gorbaczowa trudno określić mianem eksperymentu. W ubiegłych latach szereg innych państw komunistycznych dokonało reform idących dużo dalej niż propozycje Gorbaczowa. Chiny, dla przykładu, praktycznie zdekoletywizowały rolnictwo i zrewolucjonizowały swój handel zagraniczny. Jugosławia stworzyła rozbudowany system samorządów, a Węgry dokonały szeregu eksperymentów w procesie zarządzania przemysłem państwowym.

Zmiany Gorbaczowa nie są zupełnie nowe nawet w kategoriach wyłącznie sowieckich. Zarówno Chruszczow jak i Breżniew wypuścili na wolność sporą ilość dysydentów. Odwilż kulturalna była zjawiskiem przejściowym w latach pięćdziesiątych. Strategia gospodarcza Gorbaczowa przypomina leninowską politykę NEP-u.

To powiedziawszy, byłoby błędem bagatelizować zjawisko zmian w Związku Sowieckim. Polityczna, społeczna i gospodarcza pozycja Kremla pod koniec lat 80-tych jest dużo trudniejsza niż była dwadzieścia i trzydzieści lat temu. Problemy współczesnej Rosji zobrazował, na przykład, zeszłoroczny „Manifest leningradzki”. Po części opisał je również sam Gorbaczow. Ze wszystkich analiz wynika jeden wniosek: utrzymanie mocarstwowej pozycji ZSSR wymaga szeregu zmian w polityce Moskwy. Kontrowersja dotyczy nie tyle potrzeby zmian, co zakresu reform, ich tempa, kształtu i przede wszystkim ceny, jaką trzeba za reformy zapłacić.

Gdy Gorbaczow mówi, iż celem jego polityki jest umocnienie systemu komunistycznego w Związku Sowieckim, to nie ma powodu by mu nie wierzyć. Umocnienie systemu oznacza przede wszystkim wzmocnienie siły i pozycji partyjnej nomenklatury. Gorbaczow nie ukrywa, że jest eksponentem władzy partii.

Problem w tym, że rzeczywiste reformy nieuchronnie prowadzą do ograniczenia władzy nomenklatury. Natomiast brak reform lub reformy pozorne przyczyniają się do dalszego rozkładu społeczno-gospodarczego kraju i grożą partii politycznym wyrokiem śmierci.

Doświadczenia reformatorskie innych państw komunistycznych pokazują, że rozwiązanie tego dylematu jest szalenie trudne. Ponadto doświadczenia te sugerują, iż Gorbaczow niezależnie od problemów politycznych będzie musiał pokonać szereg barier o charakterze społecznym i ekonomicznym. Jak pogodzić elementy rynku z gospodarką planową? Jak zmienić mentalność i nawyki starej kadry w przemyśle i administracji? Co zrobić z robotnikami niewydajnych przedsiębiorstw? Pytania tego typu są w stanie ostudzić nawet największych optymistów.

Czy ostatecznie Gorbaczow zrealizuje zapowiedzianą wizję przemian w Związku Sowieckim? Tego w dniu dzisiejszym jeszcze nikt nie wie i spekulacje na ten temat są źródłem potwornego zamieszania w każdej kolejnej dyskusji publicznej.

Gorbaczow zapowiedział również zmiany w polityce zagranicznej swego kraju. Jeszcze dwa lata temu napisałem w jednej z gazet holenderskich, iż w dobrze rozumianym interesie Kremla leży rozpoczęcie poważnych rozmów rozbrojeniowych, wycofanie wojsk z Afganistanu i określone koncesje w dziedzinie praw człowieka. Gorbaczow rzeczywiście poczynił pewne kroki idące w tym kierunku i natychmiast zdobył serce opinii publicznej na Zachodzie. Według badań przeprowadzonych w Holandii 44,6% ankietowanych darzy zaufaniem Michaiła Gorbaczowa (tylko 17% ma zaufanie do prezydenta Reagana). Zważywszy, iż wojska sowieckie w dalszym ciągu mordują ludzi w Afganistanie, iż przedstawiona w rozmowach rozbrojeniowych opcja zero zapewnia Moskwie przewagę sił konwencjonalnych w Europie oraz że słowo *gułag* bynajmniej nie zostało wykreślone ze słownika współczesnej Rosji, przytoczone wyniki badań holenderskiej opinii publicznej świadczą o całkowitej utracie przez nią poczucia rzeczywistości.

Niemniej jednak należy oczekiwać, że w ślad za pozytywną reakcją opinii publicznej dyplomaci Zachodu wyjdą naprzeciw niektórym inicjatywom Moskwy. Otwarta pozostaje jednak kwestia, w jakich dziedzinach i w jakiej formie Zachód przyjmie kolejne oferty Gorbaczowa.

Polityka Gorbaczowa w stosunku do krajów Europy wschodniej wydaje się stosunkowo najbardziej enigmatyczna. Gorbaczow poparł użycie siły przeciwko Praskiej Wiośnie i „Solidarności”. Swoje apele o reformy kieruje on raczej do słuchaczy w Moskwie, niż do słuchaczy w Pradze, Sofii czy Warszawie. Równocześnie jednak eksperyment węgierski nie został zakazany, Jaruzelski może w dalszym ciągu tolerować Kościół, Rumunia utrzymuje względną niezależność w polityce obronnej i zagranicznej, nawet Husak został zmuszony do deklaracji na rzecz reform.

Czy postawa Gorbaczowa zapowiada bardziej liberalny, czy też bardziej twardy kurs Moskwy w stosunku do poszczególnych krajów Europy wschodniej? Tego również nikt nie jest w stanie jednoznacznie powiedzieć.

Podsumujmy. Gorbaczow najwyraźniej chce zjeść ciastko i w dalszym ciągu je mieć. Innymi słowy, chce on: 1) przeprowadzić reformy wewnętrzne, które wzmocnią, a nie osłabią władzy nomenklatury; 2) uzyskać określone formy współpracy z Zachodem bez zasadniczych zmian w sowieckiej polityce ekspansji (wojskowej, ideologicznej i terytorialnej); 3) wzmocnić wydajność gospodarczą i spójność polityczną europejskiego zaplecza Moskwy, bez zasadniczych koncesji natury narodowej czy demokratycznej w stosunku do poszczególnych państw Europy wschodniej.

Dla Polaków realizacja tak ujętych ambicji Gorbaczowa ozna-

czać może narodową i polityczną anihilację. Na szczęście ostateczny rezultat zabiegów Gorbaczowa nie jest bynajmniej przesądzony. Rezultat ten będzie wypadkową szeregu czynników subiektywnych i obiektywnych, występujących zarówno w samym Związku Sowieckim, jak i poza jego granicami. W dużej mierze zależy on również będzie od rozwoju wydarzeń w Europie wschodniej, jak też od przyszłej postawy państw zachodnich.

W tym kontekście mówił niedawno o szansach Polski Zbigniew Brzeziński (patrz *Kontakt* Nr 6/1986). Jego zdaniem „Związek Sowiecki albo będzie gnił od wewnątrz, albo będzie się musiał zmieniać. I w jednym i w drugim wypadku inteligentna, umiarkowana polityka polska może dać bardzo zasadnicze, nowe możliwości Polsce”.

Rozważmy zatem ewentualne warianty tego rodzaju polityki polskiej.

Polacy mają małe, lub żadne szanse wpłynięcia na proces reform w Związku Sowieckim. Nasze możliwości są dużo większe w sferze stosunków polsko-sowieckich oraz w płaszczyźnie stosunków Wschód-Zachód. Niemniej jednak odpowiedź na pytanie, czy ewentualny sukces reform sowieckich leży w interesie Polski i Polaków, wydaje się konieczna i na czasie.

Oczywiście reformy, które prowadzą do wzmocnienia systemu sowieckiej nomenklatury nie leżą w dobrze rozumianym polskim interesie. Dylemat powstaje, gdy mowa o reformach ograniczających władzę nomenklatury. Bądź co bądź nie można wykluczyć, że raz rozpoczęty proces reform doprowadzi do sytuacji bynajmniej nie zamierzonej przez Gorbaczowa. („Najgorzej, gdy zły rząd się reformuje” — prorokował Alexis de Tocqueville). Czy w interesie Polaków leży redukcja roli komunistów i ich partii, nawet w przypadku, gdy proces ten doprowadzi do wzmocnienia państwa i gospodarki mocarstwa rosyjskiego? Moim zdaniem — tak.

Rzecz jasna nie można wykluczyć, iż reforma czy upadek komunizmu doprowadzi do wzmocnienia imperialno-narodowych aspiracji Rosji. Jednak błędem byłoby przesądzać, iż jest to jedyny możliwy scenariusz. Osobiście przychylam się do nadziei tych, którzy twierdzą, iż po zniknięciu komunistycznego państwa kombinacja resztek socjalizmu i internacjonalizmu ma szanse złagodzić ambicje skrajnego nacjonalizmu rosyjskiego. Poza tym wierzę, iż rzeczywiste reformy w Związku Sowieckim mogą również wywrzeć pozytywny wpływ na cele i środki sowieckiej polityki zagranicznej. Jak powiedział Andriej Sacharow: „Lepiej sąsiadować z człowiekiem silnym i zdrowym, niż z człowiekiem chorym, nawet gdyby choroba osłabiała jego siły... Warunkiem stabilizacji międzynarodowej jest powstanie bardziej otwartego społeczeństwa w Związku Sowieckim. To przecież oznacza powstanie bardziej stabilnego i gospodarczo silniejszego Związku Sowieckiego”.

W dziedzinie stosunków Wschód-Zachód szczególna rola przypada polskiej emigracji, która ma określone możliwości wpły-

wania na politykę państw Zachodu w stosunku do Moskwy. Skuteczność naszych wysiłków zależy będzie m.in. od tego, w jakiej mierze potrafimy przekonać naszych partnerów do idei, iż realizacja głoszonych przez nas postulatów leży nie tylko w interesie Polski, ale również w interesie samego Zachodu. Moim zdaniem, nowy kurs Gorbaczowa nakazuje skupienie uwagi na czterech podstawowych kwestiach.

Po pierwsze, istnieje niebezpieczeństwo, że polityka na linii Wschód-Zachód zredukowana zostanie wyłącznie do stosunków zachodnio-sowieckich. W nadmiarze kolejnych ofert Gorbaczowa zachodni mężowie stanu przestają dostrzegać odrębność i ważność problemów polskich, czeskich czy węgierskich. Czasami też, w ślad za myśleniem Brandta, uznają oni, że klucz do rozwiązania problemów Europy wschodniej znajduje się wyłącznie w Moskwie.

W interesie Polski zawsze leżała zachodnia polityka dyferencjacji w stosunku do poszczególnych państw Europy wschodniej i dzisiaj istnieje szczególna potrzeba akcentowania słuszności takiej polityki.

Niebezpieczeństwo drugie kryje w sobie perspektywa współpracy gospodarczej Wschód-Zachód. Na Zachodzie toczy się dzisiaj żarliwa dyskusja, czy reformy Gorbaczowa pozwalają odrodzić współpracę gospodarczą, czy też na odwrót — świadczą o sukcesie amerykańskiej polityki „kija” w stosunku do Moskwy. Można przypuszczać, że poszczególne kraje Europy i Japonia rozwiną bezwarunkową współpracę gospodarczą z obozem wschodnim. Natomiast Waszyngton obstawać będzie za polityką restrykcji w stosunkach handlowych z członkami RWPG. Tym samym Moskwa bez żadnych warunków dostanie kolejne kredyty i nowoczesną technologię z Japonii, Niemiec, czy Włoch, a na Zachodzie pogłębi się rozłam pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi.

W tej sytuacji konieczny staje się kompromis i środowisko polskie ma szanse promocji określonej formuły kompromisu w zakresie współpracy gospodarczej Wschód-Zachód. Apel Wałęsy czy Kurowskiego o uzależnienie ewentualnej pomocy gospodarczej Zachodu od skali i tempa reform przeprowadzonych w Polsce (czy szerzej — w całym bloku wschodnim), wydaje się trafną formułą takiego kompromisu.

Postulat trzeci dotyczy zachodniej polityki praw człowieka. Nie chodzi tylko o to, iż kwestie rozbrojenia mogą dzisiaj przestąpić znaczenie negocjacji w zakresie praw człowieka. Niebezpieczeństwo tkwi również w ewolucji podejścia do praw człowieka przez Zachód. Przebieg negocjacji KBWE obrazuje tę ewolucję w sposób dość klarowny. Jeszcze w Madrycie państwa zachodnie kładły duży nacisk na realizację praw politycznych w Europie wschodniej (w szczególności w zakresie prawa do zgromadzeń, stowarzyszeń i wolności związkowych). Dzisiaj większość państw europejskich popiera niemiecką formułę praw człowieka dającą pierwszeństwo kwestii łączenia rodzin i innym sprawom o charakterze humanitarnym. Co więcej, argumenty mówiące o po-

trzebie rozwiniecia czynnej polityki praw człowieka przez Zachód (np. rozbudowa rozgłośni radiowych, nadających programy do Europy wschodniej, czy pomoc materialna dla grup i organizacji praw człowieka w Europie wschodniej) są w erze Gorbaczowa coraz bardziej niepopularne.

Postulat czwarty dotyczy konieczności wypracowania przez Zachód określonej polityki zapobiegania i rozwiązywania kryzysów w Europie wschodniej. Zarówno sukces, jak i porażka Gorbaczowa grożą serią konfliktów na tle społecznym i narodowym w poszczególnych krajach bloku. Teoretycznie Zachód ma określone możliwości wstrzymania lub opóźnienia sowieckiej inwazji na zbuntowaną Rumunię, Jugosławię czy Polskę. (Porównanie reakcji Zachodu w lecie 1968 i w zimie 1981 roku jest w tym względzie pouczające). W praktyce jednak możliwości te nie zostaną wykorzystane, gdy Zachód nie będzie posiadał gotowego scenariusza działań w sytuacji ewentualnego kryzysu. Radosny optymizm, jaki towarzyszy kolejnym krokom Gorbaczowa pozwala przypuszczać, że Zachód nie liczy się dzisiaj z koniecznością wypracowania skutecznej polityki rozwiązywania przyszłych kryzysów w Europie wschodniej.

Lansowanie wspomnianych wyżej sposobów działania nie powinno przekształcić nas w zwolenników „zimnej wojny” (termin dość niepopularny). Należy podkreślać, iż w interesie Polski i Europy wschodniej leży polityka *détente*. Jednak *détente* powinna obejmować wszystkie bez wyjątku dziedziny stosunków Wschód-Zachód. Ponadto *détente* nie musi oznaczać polityki jednostronnych ustępstw Zachodu wobec Moskwy.

Na zakończenie parę zdań o perspektywach rozwoju stosunków sowiecko-polskich. (Mam nadzieję, że temat ten rozwina osoby mieszkające w Kraju). Z mojej dość odległej i niedoskonałej perspektywy holenderskiej przyjsie Gorbaczowa nie dało zasadniczych powodów do zmiany strategii, jaką rodzima opozycja przyjęła w postępowaniu z Moskwą. Strategia ta wyrasta z obserwacji, iż granice sowieckiej tolerancji są stosunkowo elastyczne. Granice te wyznacza rezultat przetargu pomiędzy stroną polską (tak rządem, jak i opozycją) a kierownictwem w Moskwie, które dokonuje rachunku zysków i strat, biorąc pod uwagę szereg czynników wewnętrznych i międzynarodowych.

Grudzień 1981 roku potwierdził przypuszczenie, iż rządząca współcześnie Polską elita stawia realizację swoich wąsko pojętych interesów ponad interes narodu i państwa. W szczególności nie zamierza ona — lub nie jest w stanie — stanąć w obronie narodowych interesów Polski wobec imperialnych zakusów Kremia. Z drugiej strony przyjsie Gorbaczowa nie zwiększyło specjalnie nadziei na możliwość rozpoczęcia bezpośrednich negocjacji pomiędzy autentycznymi przedstawicielami interesów Polski („Solidarność”, Kościół, inne ugrupowania niezależne) a kierownictwem sowieckim. W tej sytuacji pozostaje w naszej dyspozycji formuła przetargu prowadzonego drogą pośrednią, a polegającego na oddolnej walce całego społeczeństwa o kolejne konkret-

ne ustępstwa w sferze związkowej, społecznej, religijnej czy kulturalnej. Siła i zwartość szeregów naszej opozycji stanowić będzie ważny, jeśli nie decydujący element w polityce Gorbaczowa w stosunku do Polski. W błędzie są ci, którzy uzależniają przyszły los naszego kraju wyłącznie od dobrych czy złych intencji generalnego sekretarza KPZS.

W rozważaniach na temat przyszłości Polski należy skupić uwagę na sprawach konkretnych. Przesadny optymizm z jednej strony, a z drugiej — strach przed apokaliptyczną zagładą są złymi doradcami w procesie tworzenia i realizacji polskiej polityki. Dotychczas nic nie wskazuje na to, by Gorbaczow zamierzał podarować Polsce niepodległość. Kolejne koncesje Moskwy przyjdzie nam wydierać w trudnej i wyczerpującej walce. Szczególne talenty Gorbaczowa bynajmniej nie ułatwiają tej walki. W najbliższych latach należy życzyć nam wszystkim determinacji, mądrości i dużej dozy szczęścia.

Jan ZIELONKA

Krzysztof POMIAN

OMÓWIENIE ANKIETY

Co do dwóch rzeczy wszyscy zdają się zgodni: w Związku Sowieckim dokonują się jakieś zmiany; jest jeszcze za wcześnie, by określić ich kierunek, zmierzyć ich głębię, ocenić ich trwałość, gdyż nic nieodwracalnego na razie nie nastąpiło. Za wcześnie, innymi słowy, by podsumowywać dyskusję. Nie ulega natomiast kwestii, że sprawy sowieckie trzeba obecnie obserwować z uwagą i wnikliwością znacznie większymi niż w czasach Breżniewa i jego bezpośrednich następców. I że trzeba je obserwować, unikając apriorycznych nastawień, które bądź skłaniają do wykluczania z góry samej możliwości ewolucji systemu sowieckiego bądź też, równie bezzasadnie, zakładają, że ewolucja ta musi nieuchronnie prowadzić w kierunku demokracji. Póki Związek Sowiecki trwał w bezruchu, można było od biedy budować dotyczące go prognozy na przypuszczeniu, że jutro będzie takie samo, jak wczoraj. Dziś, właśnie dlatego, że coś się dzieje, trzeba zajmować postawę, która — choć pamiętna przeszłości — wyrasta z przekonania, że historia robi niespodzianki, i która okazuje przeto gotowość przyjęcia do wiadomości czegoś, czego nikt nie mógł przewidzieć, jeśli coś takiego się rzeczywiście wydarzyło — w dodatku na tyle szybko, by można to było wykorzystać w działaniu politycznym.

Jest również trzecie stwierdzenie, które chyba nie budzi sporu, to mianowicie, że zmiany, jakie już dokonały się w Związku Sowieckim dotyczą w pierwszym rzędzie używanego języka i wyrażają się w pewnej odnowie słownictwa oraz w podejmowaniu

tematów obłożonych do niedawna surowymi tabu. *Tygodnik Mazowski* (nr 201 z 4 marca br.), który notuje przy tej okazji, że „*Prawdę* — dawniej uważaną za najlepszy papier do pakowania śledzi — coraz trudniej w Warszawie dostać”, wymienia wśród takich tematów przywileje aparatu, łamanie prawa przez organy ścigania, patologię społeczną, fatalne funkcjonowanie gospodarki, wyklęte nazwiska w kulturze. Zapewne, polska prasa urzędowa nie ma się chwilowo czego uczyć od prasy sowieckiej. Ale niedocenianie zmian, jakie dokonują się w tej dziedzinie, a zwłaszcza negowanie ich, byłoby ciężkim błędem. Po pierwsze dlatego, że opinia, nie tylko zachodnia lecz również polska — sądząc po zainteresowaniu *Prawdą* w Warszawie i po niektórych głosach prasy niezależnej — jest wrażliwa na odnowę języka propagandy sowieckiej i skłonna niekiedy przypisywać tej odnowie znaczenie, jakiego ona na pewno nie posiada. Przekonywającą odpowiedzią na takie złudzenia może być tylko sprowadzenie zjawiska do właściwych proporcji, np. przez pokazanie różnic między prasą centralną a prowincjonalną w ZSSR, nie zaś utrzymywanie, wbrew oczywistości, że właściwie wszystko dzieje się po staremu. Jest również drugi argument. Okazało się bowiem — wbrew niektórym prognozom — że zmiana języka propagandy, dostosowanie go pod pewnymi względami do przyzwyczajęń zachodnich, jest rzeczą łatwiejszą niż kiedyś przypuszczano, a zarazem bardzo skuteczną, gdyż powodującą zamęt i na Zachodzie, i w europejskich krajach bloku sowieckiego. Przykład PRL jest pod tym względem pouczający. W ideologicznym konflikcie między demokracją a sowietyzmem nie wolno spóźnić się o jedną wojnę, bo konsekwencje tego mogą być groźne.

Z polskiego punktu widzenia naczelne pytanie dotyczy oczywiście tego, jaki wpływ zmiany dokonujące się w ZSSR mogą wywrzeć na stan spraw polskich, w szczególności zaś — czy mogą otworzyć możliwość poszerzenia czy też muszą popychać do ograniczenia autonomii wewnętrznej wymuszonej w ciągu ostatnich trzydziestu lat na władzach PRL przez chłopów, przez Kościół, przez niezależne ruchy społeczne, przez NSZZ „Solidarność”. Również na to pytanie brak chwilowo jednoznacznej odpowiedzi. Wolno wszelako zauważyć w oparciu o bogate dane historyczne, że nawet gdyby w Związku Sowieckim dokonywała się istotnie demokratyzacja, to nie wynikałoby z tego automatycznie, że osłabnięciu ulegnie sowieckie panowanie nad Polską. Ostatecznie Związek Sowiecki jest wielkim mocarstwem i nie przestałby nim być, choćby nawet zapanowała w nim demokracja, na co się zresztą w przewidywalnej przyszłości nie zanoszą. Toteż okazując skądinąd całą sympatię do każdego kroku, który przyczynia się, choćby minimalnie, do przestrzegania w Związku Sowieckim praw człowieka, nie powinniśmy żywić żadnych złudzeń co do ewentualnego wpływu takich kroków na stosunki polsko-sowieckie. W tej dziedzinie inicjatywa może należeć tylko do społeczeństwa polskiego, które — wywierając nacisk na władze PRL — może zmusić je do nowych ustępstw i pośrednio skłonić Kreml, by się z tymi ustępstwami pogodził, jak pogodził się z kłes-

ką kolektywizacji w Polsce, z rolą Kościoła czy z istnieniem opozycji.

O jednej sprawie mówi się zbyt mało zarówno w krajowej prasie niezależnej, jak w publikowanych wyżej wypowiedziach: o stosunkach narodowościowych w ZSSR i ich możliwych zmianach — niekoniecznie na lepsze. Jeśli istotnie, jak zauważyła niedawno Hélène Carrère d'Encausse, mamy obecnie do czynienia w ZSSR z równoczesnym wzrostem nacjonalizmu wielkorusyjskiego, którego uosobieniem jest Gorbaczow, i przeciwstawnych mu nacjonalizmów „peryferyjnych” nie tylko w republikach środkowoazjatyckich, ale również na Ukrainie i gdzie indziej — to należy oczekiwać, że w niedalekiej przyszłości coś może się wydarzyć właśnie w dziedzinie stosunków narodowościowych. Otóż z polskiego punktu widzenia jest to dziedzina, kto wie, czy nie najważniejsza. Wydaje się bowiem, że nasza ocena tego, co dzieje się w ZSSR, winna być w zasadniczej mierze pochodną odpowiedzi na pytanie o to, czy autonomia poszczególnych narodów, poszczególnych republik, okazuje tendencję rosnącą czy malejącą. W pierwszym przypadku zmiany te są dla Polski pozytywne; w drugim — nie. Modernizacja życia sowieckiego dokonująca się za cenę zwiększonego podporządkowania „peryferii” de-cyzjom „centrum” i zwiększonego obciążenia ich na jego korzyść, byłaby z polskiego punktu widzenia czymś jednoznacznie negatywnym, nawet gdyby towarzyszyły jej objawy pewnej liberalizacji na użytek samego „centrum”. Zarówno podczas polskich dyskusji, jak wtedy, gdy bronimy naszych racji wobec opinii zachodniej, winniśmy stale pamiętać, że Związek Sowiecki jest ostatnim państwem kolonialnym, a imperium sowieckie — ostatnim kolonialnym imperium w Europie. Modernizacja, liberalizacja czy demokratyzacja — nawet przyjmując, że można o nich mówić bez cudzysłowów — mogą być uznane za bez zastrzeżeń pozytywne tylko wtedy, i o tyle, kiedy i o ile przyczyniają się do zastąpienia stosunków kolonialnych w obrębie Związku Sowieckiego i sowieckiego imperium przez równoprawne stosunki między narodami.

Krzysztof POMIAN

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIEGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

BEZ PRAWDY NIE ZWYCIĘŻYSZ

Jestem spawaczem. Pracuję na budowie, gdzie nie ma nawet miejsca, w którym można by się po pracy umyć. Mimo to pracuję. Zapytacie dlaczego? Dla metrów kwadratowych. Wiele naszych nieszczęść bierze się z braku własnego kąta. Myśląc o mieszkaniu znosimy chamstwo zwierchników, bałagan i głupotę w organizacji pracy, uczymy się milczeć i nie sprzeciwiać. Ja właśnie z braku tej choćby odrobiny metrów kwadratowych straciłem ukochaną kobietę i syna. Gdzieś trzeba żyć. Jestem synem chłopskim, a ona z Riazania. Rozumiecie, kocha mnie, ale jechać na wieś nie chce. Mówi, że tam nie ma wygod. A tu nie ma metrów.

Skończyłem tylko 8 klas (w naszych czasach to prawie nic, wybaczyć więc błędy w pisaniu i poglądach). Ale nawet ja rozumiem, że cała lipa naszego życia zbudowana jest na tym, że nie mogliśmy krytykować szefów, nawet tych ze szczebla lokalnego. Tak się już z tym pogodziliśmy, że nawet nie próbowaliśmy tego robić.

Czego ja chcę? Przede wszystkim pracować. I za tę pracę chcę dostawać płacę, to znaczy że za mój wysiłek chcę dostawać pieniądze a nie to, co mi dają dzisiaj. Chciałbym dużo pracować i dostawać dużo pieniędzy. Jestem mistrzem i chcę żeby państwo ceniło moją pracę.

I chcę też chodzić do teatru, do kina. I do restauracji. Ale... nie mam możliwości. Nie myślcie tylko, że nie chcę pracować. Ja po prostu nie mogę. Być może państwu nie jest to wygodne, bym więcej pracował?

„Перестройка” — tak jak ją zrozu miałem — to rewolucja. Ale jakoś ta rewolucja zbyt dyplomatycznie się posuwa. Bardzo humanitarnie odnosimy się do tych, co nie chcą niczego zmieniać. Ale to jest niehumanitarne wobec nas, robotników. A może dzieje się tak dlatego, że kierują nami ciągle ci sami, którzy wczoraj ciągnęli nas w ślepe zaułki?

Mam 25 lat. I mam już dość milczenia. Chcę wreszcie powiedzieć jakie pretensje mam do tych, co mną kierują. Jest to moje prawo. Ileż lat pracowałem dobrze, a jadłem źle? Ile lat kierowali mną źle choć jedli dobrze? Dlaczego?

Doszedłem więc oto do pytania zasadniczego — o naszych przywódcach. Mam na myśli tych, co przewodzą nam wszystkim. Nie ma żadnej mojej zasługi w tym, że sekretarzem generalnym KPZS został towarzysz Gorbaczow. A gdyby mnie spytali, wybrałbym go obydwoma rękami już dziesięć lat temu.

Przywódców wszelkiego rodzaju powinien wybierać naród. On najlepiej zna tych, których uważa za swoich. Jeżeli natomiast człowieka wybierają na górę to może się zdarzyć, że będzie on pracował dla góry, a nie dla narodu.

Nie moja wina, że pisząc ten list uważam sam swoje myśli za buntownicze. Śmieję się z własnego niezdecydowania. Wierzę, że list wydrukujecie. Bo nie można inaczej. Nie można wygrać bez prawdy, bez takich jak ja, jeszcze bojaźliwych lecz już świadomych siebie. I swojego przeznaczenia.

Riazań

W. GROMOW

Komsomolskaja Prawda z 3 czerwca 1987.

(Z rosyjskiego tłumaczył W. KUCZYŃSKI)

БЕЗ ПРАВДЫ НЕ ПОБЕДИТЬ

Я сварщик. Работаю на стройке, где даже помыться нигде после трудового дня. А я работаю. Спросите, для чего? Да из-за квадратных метров. Многие наши несчастья вытекают из-за хвватки жилья. Из-за квартиры мы терпим хамство начальника, беспорядочность и глупость рабочего процесса, учимся молчать и не противоречить. Я именно из-за какого-то ключика жилья потерял любимую жену и сына — нигде жить. Я крестьянский сын, а она живет в Рязани. Понимаете, любит меня, а ехать в деревню не хочет. Говорит, нет удобств. А тут нет квадратных метров.

Кончил я всего 8 классов (в наше время это ничтожно мало, так что простите за ошибки как в письме, так и в рассуждениях). Но даже я понимаю, что липа нашей жизни была основана на том, что мы не могли критиковать руководителей, даже местного ранга. Мы так с этим смирились, что даже и не пробовали критиковать.

Что я хочу? Прежде всего работать. А за это хочу получать заработную плату, т. е. за свой труд деньги. А не то, что получаю сейчас. Я хочу много работать и получать много денег. Я — мастер и хочу, чтоб государство ценило мой труд.

А еще я хочу ходить в театры, кино. И в рестораны. Но... у меня нет возможности. Вы не подумайте, что я не хочу работать. Просто я не имею такой возможности. Может быть, государству невыгодно, чтобы я больше и лучше работал?

«Перестройка», как я понял, — это революция. Но что-то уж больно дипломатично она идет. Очень гуманно мы относимся к тем, кто не хочет ничего менять. А ведь это не гуманно по отношению к нам, рабочим. А может быть, такое происходит от того, что руководят на местах те, кто вчера вел нас в «тупиковые заводы»?

Мне 25 лет. Мне надоело молчать. Хочу высказать претензии к тем, кто руководит мною. Имею на это право. Сколько лет я работал хорошо, а ел — плохо. А вот мной руководили плохо, а ели хорошо. Почему?

Вот и подошел я к основному вопросу — о наших руководителях. Я говорю о тех, кто руководит всеми нами. Вот нет никакой моей заслуги в том, что Генеральным секретарем ЦК КПСС избран товарищ Горбачев. А спроси мое мнение, я бы ответил, что выбрал бы его двумя руками еще 10 лет назад.

Руководителей всех рангов должен выбирать народ. Он лучше знает своих людей. Если человека выбирают наверх, может случиться, что он работать будет для верха, а не для народа.

Не моя вина в том, что вот пишу, а сам считаю эти мысли крамольными. Сменюсь над своей нерешительностью.

Верю, что письмо напечатаете. Поскольку нельзя нам иначе. Не победить без правды, без таких, как я, еще бо-язливых, но уже осознавших себя. Свое предназначение.

В. ГРОМОВ.

Рязань.

Kraj

Żeby nie zapadło milczenie

ROZMOWA Z KOMITETEM KULTURY NIEZALEŻNEJ

PYTANIE: — *Kogo reprezentujecie?*

ODPOWIEDŹ: — Najogólniej mówiąc środowiska twórcze. W grudniu 1982 odbyło się pierwsze spotkanie przedstawicieli środowisk twórczych, uprzednio związanych z „Solidarnością” i ze związkami twórczymi, które — jak pamiętamy — w okresie jawnego działania „Solidarności” przejawiały dużą niezależność. Na zebraniu tym powołano ciało społeczne o skromnej nazwie Zespół do Spraw Kultury, którą to nazwę następnie — na wniosek płynące z zewnątrz — zmieniliśmy na Komitet Kultury Niezależnej. Nie odczuwaliśmy potrzeby zmiany nazwy, dotychczasowa nam wystarczała, ale wyrażano wobec nas obawy, że jeżeli nie my, to szumną nazwę przyjmie ktoś, kto nie reprezentuje nikogo albo wąskie środowisko. Skład Komitetu powstał drogą kooptacji osób cenionych w środowiskach, a niektóre środowiska zrobiły sondaże i delegowały do Komitetu swoich reprezentantów. Nie można było przecież w warunkach konspiracji organizować wyborów, więc musieliśmy zadowolić się mniej demokratyczną formą wyłaniania reprezentantów środowisk. Każde środowisko zna swoich przedstawicieli w Komitecie i, jak dotąd, nie było pretensji, że reprezentują środowisko ci, a nie inni, że skład został ustalony nie drogą organizacyjną, ale poprzez dobór ludzi, którzy cieszą się w środowisku autorytetem. Reprezentanci na przykład literatów współpracują ze sobą w ramach Komitetu i z szerszym gronem kolegów. Mają często własne fundusze, które otrzymali od Komitetu lub uzyskali ze źródeł własnych, na przykład ze zbiorów czy darów. Plastycy mają swoje prężne środowisko, część z nich pracuje w komitecie czuwając nad sprawami plastyki.

P.: — *Jakie środowiska reprezentowane są w Komitecie?*

O.: — Literaci, plastycy, ludzie teatru i filmu, muzycy, dziennikarze.

P.: — *Jakie funkcje podjął się pełnić Komitet?*

O.: — Powstał w momencie, kiedy bojkot struktur władzy i jej środków masowego przekazu, spontanicznie podjęty przez środowiska twórcze po wprowadzeniu stanu wojennego, był ugruntowany, ale pojawiło się niebezpieczeństwo, że się załamie. Staraliśmy się bojkot podtrzymać. Opublikowaliśmy tekst „Zagrożenia”. Pisaliśmy w nim, że wiele razy twórcy dawali ekipie rządzącej wsparcie, ale tym razem już nie powinni.

Następnie opublikowaliśmy oświadczenie związane ze stanowiskiem, jakie pod naciskiem władz zajęło Stowarzyszenie Filmowców i z ustąpieniem Wajdy. W tym przypadku musieliśmy ugiąć się pod jednoznaczną opinią stowarzyszeń, które zostały wcześniej rozwiązane lub czekały na rozwiązanie w kolejce. To, co stało się w Stowarzyszeniu Filmowców — zgodzili się poświęcić Zarząd Główny — stanowiło wyłom w dotychczasowej postawie związków twórczych. Prorokowaliśmy, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Wyszło na nasze.

Trzecie oświadczenie ogłosiliśmy na temat granic między kolaboracją a tym, co nią nie jest. To oświadczenie związane było z tzw. czerwonym opłatkem. Zaproszono artystów do Urzędu Miejskiego i tam nieoczekiwanie przybył Jaruzelski. Telewizja sfilmowała to spotkanie na dowód dobrych stosunków panujących między artystami a generałem. Część artystów poszła tam pod szantażem, nie wiedząc zresztą, że będzie Jaruzelski. Dyrektorzy teatrów otrzymali polecenie służbowe przybycia do Urzędu Miejskiego — od tego, czy pójdą, czy nie, zależał los teatrów. To oświadczenie zostało źle streszczone w *Tygodniku Mazowsze* i w efekcie wywołało niemałe zamieszanie.

Czwarte dotyczyło aresztowania Sławka Bieleckiego, zarzutów, jakie mu postawiono oraz mającego na celu zastraszenie środowisk twórczych oświadczenia Prokuratury Generalnej, że paryska *Kultura* i inne emigracyjne pisma i wydawnictwa to obce, wrogie agentury. Wspólnie z RKW NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze oświadczyliśmy, że *Kultura* to jedna z najświetniejszych polskich placówek kulturalnych i współpraca z nią jest dla polskich twórców zaszczytem.

Jak na cztery lata cztery oświadczenia to w sam raz. Nie chcieliśmy przesadzać, bo po pierwsze nie jesteśmy od sądenia, od wygłaszania werdyktów, a po drugie uważamy, że oświadczenia i komunikaty wszelkich ciał, instancji i organów, jeżeli ukazują się nazbyt często, ulegają dewaluacji.

P.: — *Czy w innych miastach działają odpowiedniki waszego komitetu?*

O.: — Poza Warszawą są komitety kultury w Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu i Łodzi.

P.: — *Najbardziej znani jesteście z nagród „Solidarności”, które co roku przyznajecie i które, aczkolwiek honorowe, przecież są w cenie.*

O.: — Nagrody „Solidarności” stanowią realizację umów zawartych między „Solidarnością” a związkami twórczymi jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. Kiedy zaczął się stan wojenny, w środowiskach twórczych było dość powszechne odczucie potrzeby powstania instytucji nagród niezależnych, przyznawanych za twórczość w różnych dziedzinach kultury i sztuki. Panowało przekonanie, że ktoś musi je przyznawać i że muszą to być nagrody „Solidarności”. Istniała obawa, że nagrody mogą nagrodzonym twórcom zaszkodzić. Niektórzy twierdzili, że to będzie wskazywanie policji palcem tych, którzy wybrali postawę niezależną, a więc zdaniem władzy są przeciwko niej, są niebezpieczni. Obawy okazały się płonne. Większe represje nie nastąpiły. Czasem nagrodzony twórca reagował lekkim przestraszaniem, ale przyjęcia nagrody jeszcze nikt nie odmówił. Decydując się na stworzenie instytucji nagród „Solidarności”, kierowaliśmy się przekonaniem, że kultura powinna być jawna, że nie można rozwijać kultury w konspiracji, takiej kultury, o której nie wie nic społeczeństwo, wie tylko policja. Celem nagród „Solidarności” jest wskazanie wartości, które powstają zarówno w obiegu niezależnym jak i w obiegu cenzurowanym, a są godne uznania. Jedynym kryterium jest wartość dzieła. Oczywiście, jeżeli ktoś prezentuje drastyczną postawę i swą twórczością wspiera władzę, usiłując zniewolić, stotalizować społeczeństwo, to choćby był twórcą wybitnym, nagrody „Solidarności” raczej nie dostanie.

P.: — *Na przykład Duda-Gracz?*

O.: — Na przykład. Przyjęliśmy też kryterium formalne: dzieło musi powstać w kraju, twórca musi żyć w kraju. Wychodziliśmy z założenia, że na emigracji istnieje sporo instytucji wspierających twórców, różnych fundacji i nagród, i kraj w tej dziedzinie emigracji wspierać nie musi. Chodzi nam przecież o to, żeby wspierać kulturę krajową, która powstaje w znacznie gorszych warunkach. Chcemy tym zapobiegać także wyciekaniu twórców za granicę, bo aczkolwiek twórca ma prawo wybrać sobie miejsce zamieszkania, a kultura emigracyjna jest także naszą kulturą, to

przecież nie można dopuścić, by kraj wskutek emigracji wybitniejszych twórców stawał się kulturalną pustynią, by w kraju ostała się jedynie kultura podporządkowana władzy, jej politycznym celom. Nagrody „Solidarności” miały więc zwrócić uwagę społeczeństwa na artystów krajowych, którzy w tutaj istniejących warunkach tworzą dzieła wybitne.

Przyznając nagrody staramy się nie kierować kryterium „wielkiego nazwiska” i nagradzać różnorodne formy twórczości. Jednocześnie więc nagrodzeni zostali Witold Lutosławski za utwór symfoniczny i anonimowy twórca piosenki „Idą pancry na Wujek”. Zależy nam jednak, żeby nagrodę „Solidarności” otrzymywali również twórcy z oficjalnego obiegu. Niezależna podstawa twórcza demonstrowana w obiegu oficjalnym jest równie cenna dla społeczeństwa, jak wyrażona w obiegu nieoficjalnym.

P.: — *Nagrody „Solidarności” wzbudzają wiele kontrowersji. Niesmak wielu wzbudziło nagrodzenie oprawy plastycznej pogrzebu ks. Jerzego Popiełuszki, gdyż pogrzeb nie powinien służyć popisom twórcy, a zwłaszcza ich nagradzaniu. Istnieje opinia, że nagrody są zbyt liczne, na przykład za rok ubiegły, co dewaluje ich rangę. Spotkałem się także z opiniami, że nagrodzono to, co wypadło nagrodzić, a nie to co naprawdę cenne. Wielu raziło nagrodzenie „Słownika mitów kultury” Kopalińskiego, innych z kolei wystawy fotograficznej „Ostatni”. Tematyka żydowska, jeszcze niedawno niszczone przez władze, spychana w zapomnienie, dziś jest eksportowym towarem ekipy Jaruzelskiego, poszukującego gdzie się da kredytów. Ludzi, którym tematyka żydowska jest szczególnie bliska, raziło, że wiele zdjęć na tej wystawie miało charakter cokolwiek komercyjny i posmak taniej egzotyki. Jeśli już należało nagrodzić tematykę żydowską w fotografii, to aż się prosiło nagrodzenie albumu Moniki Krajewskiej „Czas kamieni”, opracowanego z niezwykle pietyzmem i znanstwem, bez wątpienia najlepszego albumu fotograficznego, jaki ukazał się kiedykolwiek w Polsce, stanowiącego autentyczny wkład do naszej kultury, albumu, któremu nie można postawić żadnego zarzutu poza tym jednym, że został wydany przez eksportowe wydawnictwo „Interpress”. Oczywiście wiele nagród „Solidarności” uznanych zostało powszechnie za nadzwyczaj trafne, na przykład wyróżnienie książki Torąńskiej „Oni”.*

O.: — Kontrowersji nigdy nie da się uniknąć. Jeśli chodzi o nagrodę „Solidarności” dla Kopalińskiego, przyznaliśmy ją, ponieważ jesteśmy zdania, że władza stosuje długofalową politykę kulturalnego odcięcia Polski od Zachodu. Nie przypadkiem Wasilewski głosił ostatnio tezę, że z Zachodu przychodziło do nas to, co drugorzędne i nic nie warte, a to, co najlepsze, ze Wschodu

— słowem: *ex Oriente lux*. W ramach integracji krajów socjalistycznych władza chce — obrazowo mówiąc — wyjąć wtyczkę naszej kultury z kontaktu Zachodu i włączyć do kontaktu Wschodu. Nawet system video zafundowano nam francuski, ale taki, którego nie ma ani we Francji, ani nigdzie indziej na Zachodzie, tylko w Afryce i krajach Europy Wschodniej. Kasety zachodniej w video naszego typu nie da się przegrać. Jest to przykład, nie tak znów drobny, odcinania nas od Zachodu. „Słownik” Kopalińskiego na odwrót — to jeszcze jedno podłączenie nas do kultury śródziemnomorskiej i szerzej, zachodniej. Jeśli chodzi o wystawę „Ostatni”, to nie nagradzaliśmy albumu, który ma się ukazać w Ameryce, tylko wystawę krajową. W kraju taka wystawa miała miejsce po raz pierwszy i zrobiła na tłumach publiczności autentycznie głębokie wrażenie. Być może, że były na tej wystawie fotografie komercyjne, ale wiele było także fotografii naprawdę wartościowych i cennych. Myśleliśmy o nagrodzeniu żydowskiego numeru *Znaku*, ale *Znak* jest instytucją o takim wielkim i niepodważalnym wkładzie do naszej kultury, że nasze wsparcie, nagroda „Solidarności”, nie jest mu potrzebne, natomiast — z czym liczyliśmy się w tym wypadku — mogłoby mu ewentualnie zaszkodzić, gdyż przez władze nie jest hołubiony. Jeśli chodzi o problem, czy nagrodą „Solidarności” nie zaszkodzimy jakiemuś twórcy z oficjalnego obiegu, to raczej bywa odwrotnie: pomagamy. Film Saniewskiego wszedł na ekrany dopiero po nagrodzie, tak samo z Titkowem — jego film o Konwickim wszedł do programów Dyskusyjnych Klubów Filmowych. Nagrody „Solidarności” powodują, że szersza publiczność dowiaduje się, że wartościowy film leży na półce, dopomina się o niego, zarządcy oficjalnej kultury zmuszeni są udostępnić go choćby węższej widowni, choćby DKF-om. Wyróżnienie nagrodą „Solidarności” dzieła zatrzymanego przez cenzurę wydobywa je z zapomnienia, w które władza chciałaby je zepchnąć, z niebytu.

P.: — *Współdziałacie z innymi niezależnymi instytucjami społecznymi w ramach tzw. OKNA.*

O.: — Oprócz nas działa Zespół Oświaty Niezależnej, Społeczny Komitet Nauki, Społeczna Komisja Zdrowia. Zawarliśmy z nimi robocze porozumienie zwane OKNEM. Niektóre sprawy uzgadniamy wspólnie, wyjaśniamy sobie wzajemne stanowisko, ale nie znaczy to, że ingerujemy w ich merytoryczne zagadnienia albo oni w nasze. Wiele osób sądzi, że jesteśmy czymś w rodzaju podziemnego ministerstwa. W rzeczywistości nie mamy żadnej władzy i wcale jej nie pragniemy. Kultura musi powstawać niezależnie. Nie pragniemy sobie podporządkować żadnych inicjatyw. Na przykład *Gazeta Niedzienna* zamieszczała w stopce notkę, że

jest pismem Komitetu Kultury Niezależnej. Powstała redakcja, zwróciła się do nas o pomoc, otrzymała ją, wydawali interesujące pismo. Firmowaliśmy w stopce, utrzymywaliśmy kontakty — to są nasi koledzy, ale są niezależni. Nigdy nie przyszłoby nam do głowy, żeby im coś narzucać, wtrącać się do redagowania ich pisma. Teraz, niestety, w wyniku dwóch wpadek, pismo zawiesiło działalność. Istnieje wzór reżimowego mecenasa — od Ministra Kultury i Sztuki do „Gromady”, „Ruchu” czy ZMS, który ma pieniądze i określone wymagania społeczno-polityczne. My staraliśmy się tego wzoru nie powielać.

Współpracujemy z wieloma strukturami niezależnymi. Często dochodzi do sporów. Wszyscy działający w podziemiu znajdują się pod silną presją, ludzie trochę od tego wariują. Jesteśmy za tym, żeby sporów w podziemiu było jak najmniej, żeby nie szerzyło się gangsterstwo. Bywa, że podejmujemy się funkcji mediacyjnych.

Jedną z popartych przez nas inicjatyw był Bank Przekładów. W jego ramach przetłumaczono kilka znaczących dzieł współczesnej literatury światowej. Chodziło o to, żeby dać wsparcie niezależnym tłumaczom, a wydawnictwom zaoferować wartościowe teksty. Idea była taka, żeby nasza kultura nie stawała się nazbyt zaściankowa. Ta inicjatywa upadła niestety z braku funduszy.

Prowadzimy dokumentację blisko stu wystaw rocznie. Oczywiście jakaś wystawa może nam umknąć, np. jak ktoś robi wystawę w klubie osiedlowym we Wrocławiu. Dokumentację robią zawodowcy. Bibliografię wszystkich wychodzących czasopism też. *Wybór* — pismo zajmujące się kulturą i sztuką — robią ludzie z nami związani, my tylko pomagamy.

Działamy w środowisku, którego nie trzeba zachęcać, w którym samorzutnie powstają najrozmaitsze inicjatywy. Nasze zadanie polega więc w gruncie rzeczy na tym, żeby je popierać. Wspomagamy wszelkie interesujące i wartościowe inicjatywy w kraju. Spełniamy często funkcję łącznika — jakieś miasto chce mieć wystawę, to szukamy plastyka. Jakies wydawnictwo szuka plastyka, pomagamy znaleźć.

Komitet dzięki dużej ilości współpracowników może pewne rzeczy inicjować. Robią to ludzie z naszego szeroko pojętego kręgu, którzy wiedzą, że mogą liczyć na naszą pomoc, a przy tym Komitet nigdy nie wtrąci się im merytorycznie. My z kolei możemy liczyć na ich fachowość, wiemy, że nie zrobią chałtury. Czasami jest tak, że orientujemy się, że jakaś działalność ma przyszłość, że warto wspomóc i sami deklarujemy się z pomocą. Zależy nam zwłaszcza na rozwijaniu wystaw niezależnych. Dawniej kultura niezależna to były wydawnictwa, książki, a teraz doszły wystawy. W Moskwie istniało tzw. *podpolje*, organizowane

w pracowniach artystów wystawy sztuki formalnej, niezgodnej z obowiązującym kierunkiem socrealizmu. U nas jest akurat odwrotnie. Władza chętnie widzi sztukę abstrakcyjną: im bardziej abstrakcyjna, im mniej znacząca, im mniej mówi o społeczeństwie, o człowieku, tym dla władzy lepiej.

P.: — *Do roli wielkiego mecenasa kultury powrócić Kościół?*

O.: — Nie nam się wypowiadać na ten temat. Wydaje się nam jednak, że nie można powiedzieć, by Kościół był mecenasem. Tam gdzie jest przychylny proboszcz, tam wokół parafii tworzy się środowisko kulturalne, powstają inicjatywy kulturalne. Dotyczy to pewnej liczby kościołów i klasztorów. Co do hierarchii Kościoła, to można powiedzieć, że nie ma odgórnego nacisku, żeby ograniczać lub likwidować przykościelne placówki kulturalne. Jeżeli Kościół jest mecenasem, to można tylko tyle powiedzieć, że jest mecenasem dyskretnym. W zasadzie nie ingeruje w wystawy. Daje miejsce i pozwala robić plastynom co chcą, a plastycy wiedzą już, co to jest kościół i co można w nim pokazywać. Jeśli chodzi o sprawy finansowe wystaw, to pieniądze dają sami artyści, kościół pomaga, bo nie bierze opłat za światło, reflektory, nagrody dają miejscowe struktury „Solidarności”, my też często partycypujemy, bo trzeba np. zwieźć dzieła sześćdziesięciu artystów z dwunastu miast, a za darmo nie da się przetransportować. To bywa pracochłonne i kosztowne, bo — na przykład — wystawa poświęcona ks. Jerzemu Popiełuszcze była wozona po całym kraju. Jest kilka osób, które organizowaniu wystaw poświęcają cały swój czas.

Jeśli mowa o wystawach, to warto przypomnieć jeszcze „Znak krzyża”. Codziennie coś się działo, codziennie waliły tłumy.

P.: — *Niezależną kulturę zasila technika: magnetofon, ostatnio nowy wróg przodującego ustroju — video.*

O.: — Współpracujemy z „Nową”, jeśli chodzi o produkcję kaset magnetofonowych. Pomogliśmy powstać firmie fonograficznej „CDN”. Udzieliliśmy kredytu; spłacili, stanęli na nogi. Firm produkujących kasety dźwiękowe na wysokim poziomie jest co najmniej kilka.

Spółeczne kina video to nowa sfera działania. Podstawą jest magnetowid i zestaw kaset, które mają na siebie zarobić. To pączkuje. Przyjeżdżają z małej miejscowości, pożyczają magnetowid, kasety, zarażają się ideą niezależnego kina video. Pomagamy w sprowadzeniu pieniędzy na kasety, w sprowadzaniu sprzętu. Jest już kilka zespołów robiących programy video, kopiujących filmy francuskiego video — „Kontaktu” czy filmy zachodnie.

P.: — *Redagujecie własny miesięcznik — Kulturę niezależną.*

O.: — Początkowo *Kultura niezależna* była wkładką do KOS-a, potem wyrosliśmy na pismo, a w KOS-ie po pewnym czasie zaczęła znów ukazywać się wkładka o tym samym tytule i z taką samą jak nasza winietą. Ale nie ma na tym tle rozdźwięków. Z KOS-em jesteśmy nadal związani i mamy z nimi przyjacielskie kontakty.

Do tej pory ukazało się 27 numerów *Kultury niezależnej*, wydawcą początkowo był „Przedświt”, obecnie jest nim „Pokolenie”. Ważną cechą pisma, elementem programu jest krytycyzm wobec twórczości niezależnej. Zamieszcza się u nas recenzje, jest ich dużo. Mieliśmy opory, żeby zamieszczać recenzje krytyczne. Funkcjonowanie kultury w konspiracji napotyka na ogromne trudności — i pisarz ponosi ryzyko, i wydawca. Czasem wydanie książki wymaga naprawdę ogromnego wysiłku — a tu w nagrodę przychodzi krytyka z niezależnego źródła. Paraliżowała nas też zasada, żeby przeciwnikowi nie dawać oręza do ręki, obawa, że oni to wykorzystają. Ale udało się nam — niezależnym środowiskom — stworzyć na tyle szeroką wolną przestrzeń, że świadomość, że oni mogą wykorzystać przeciwko nam naszą wypowiedź już nie paraliżuje. Wychodzimy przy tym z założenia, że jeżeli ma to być kultura naprawdę wolna, naprawdę normalna, to nie możemy sami sobie nakładać cenzury. Nie będzie wolnej kultury, wolnej twórczości bez wolnej dyskusji o wartościach, także artystycznych. Zamieściliśmy więc np. wywiad z Herbertem, którego wypowiedzi o pisarzach opozycyjnych były chwilami ostre.

P.: — *Wychodzi dziś kilka pism politycznych czy społeczno-politycznych o wysokim poziomie i randze, ale pisma literackiego z prawdziwego zdarzenia o takiej renomie, jaką cieszył się przed sierpniem 1980 Zapis, brak.*

O.: — Bo brak literatury. Jest publicystyka, jest esej, jest trochę poezji, ale prozy brak. I brak jednolitego środowiska. *Zapis* robiło silne środowisko. Teraz pisarze są zajęci własnymi sprawami, robią książki swego życia, zapisują czas. I czas jest teraz dla dziennikarzy, którzy dokumentują, dla poetów. W każdym razie prozy nie ma.

Jeśli chodzi o pismo literackie, to była próba *Nowego Zapisu*. Formułę zrodziła psychoza początków stanu wojennego: wszystkie teksty miały być nie podpisane, nawet pseudonimami. Pismo padło, przestało istnieć, część redakcji przeszła do *Kultury niezależnej*. Jest *Wezwanie*, we Wrocławiu *Obecność*, w Krakowie *Arka*, pismo świetnie redagowane. Wyróżniliśmy dwa ostatnie nagrodą „Solidarności”.

P.: — *Macie własne wydawnictwo.*

O.: — Ale nie mamy offsetu. Wydajemy na białku biblioteczkę esejów „Próby”. To był pomysł Kijowskiego. Utało się, że autorzy publikują tu teksty pod nazwiskami. Ukazały się już eseje Bratkowskiego, Dziewanowskiego, Szczypiorskiego, Kijowskiego, Osęki, Wolickiego, Drawicza. Na prozę czekamy. Z „Nową” uruchomiliśmy „Serię współczesną”, wyszedł już Rymkiewicz, opowiadanie „Tunel”, przyjęte przez czytelników nie najlepiej, Bugajskiego „Nie przyznaje się do winy”, „List” Brylla.

P.: — *Ponad cztery lata działalności w konspiracji musi rodzić zmęczenie i pesymizm.*

O.: — Rzeczywistość rodzi pesymizm, nie da się ukryć. W dziedzinie polityki jest coraz gorzej, w dziedzinie gospodarczej coraz gorzej, jedyne co kolorowe — to kultura. Sytuacja ciągle się zmienia na gorsze, a przecież nie jest tak, żeby inicjatywy wydawnicze czy pisma tylko upadały czy się kończyły. Ciągłe powstają nowe pisma: ostatnio *Dialog* czy *Nowa Koalicja*. Powstają nowe wydawnictwa. Powstają nowe inicjatywy. Generalnie mówiąc, udało się stworzyć sferę życia niezależnego. Duża część społeczeństwa postanowiła nie dać się wciągnąć ponownie w sferę państwowej kontroli, wystarczająco duża liczba twórców postanowiła, że nie wróci do czerwonego. Baza istnieje. Jak by nie liczo, jaka część społeczeństwa jest za władzą, jaka za opozycją, a jaka stanowi milczącą większość, kulturze niezależnej przypało zadanie niedopuszczenia do tego, żeby zapadło milczenie. Na inteligencję twórczą spadł obowiązek demonstrowania oporu. Kultura niezależna tworzy enklawę wolności, miejsca, gdzie mogą się spotkać ci, którzy nie lubią czerwonego, okazje przy których można normalnie odetchnąć. W kulturze niezależnej jest ciągle coś do zrobienia. I to pozwala jej się rozwijać. Ludzie nastawieni są krytycznie do samych siebie. Istnieje środowiskowa moralność. W środowiskach inteligencji twórczej ostatnie lata wykształciły etos zawodowej uczciwości. To są źródła rodzących się wartości i optymizmu.

Istnieje jednak niebezpieczeństwo wchłaniania ludzi przez szarżynę życia i tzw. liberalizację władzy. Władza jest cwana. Myślała, że zabierze wszystko i będzie dawała po trochu. Ale się zawiodła. Związek Polskich Artystów Plastyków zaczęto zmuszać do upokorzenia, do odwołania rezolucji uchwalonej przed powstaniem „Solidarności”, w sierpniu 1980. Ludzie woleli rozwiązać związek. Ryzykowali, że stracą kartki, zaopatrzenie w płótno, blejtramy itd. Wybierali do władz związkowych ludzi absolutnie nie do przyjęcia dla władzy. Oficjalnie związek roz-

wiązany, ale nieoficjalnie istnieje. Te związki kadłubowe — rzeźbiarzy czy malarzy i grafików — mają większe wpływy w środowiskach plastycznych niż związek literatów Auderskiej, obecnie Żukrowskiego, ale to nie one decydują o postawach środowiska, tylko ten związek rozwiązany a istniejący. Uaktywniło się wiele osób. Przychodzą nowi ludzie. Zasilają i nas. Komitet odnawia się przez kooptację, skład jego się zmienia.

P.: — *Konspiracja rodzi nadmierną podejrzliwość, mitomanię, byty fikcyjne.*

O.: — W środowiskach, w których działamy, ludzie znają się od lat, więc zagrożenia, które rodzi konspiracja, w naszej działalności są mniej odczuwane. Na mieście wiedzą, jak do nas dotrzeć. To jest taka konspiracja, że po tych czterech latach wszyscy o wszystkich wiedzą wszystko. To ma swoje złe, ale i dobre strony. Pomaga weryfikować ludzi i poczynania. Najbardziej męczące jest to życie na nieustannych spotkaniach. Przyjechał ktoś, chce się zobaczyć, chce się skontaktować. To jest *full time job*. I co z tego wynika? Raz dużo, kiedy indziej nic. W zeszłym roku udzieliliśmy pomocy w trzydziestu miastach, co wymagało kilkudziesięciu spotkań i rozmów. W pierwszym okresie istniała ogromna obawa przed prowokacją policji, więc bywało, że trzeba było kogoś z innego miasta sprawdzić przed spotkaniem. Nie uwiarygodniał Region. Komitet krakowski, żeby się uwiarygodnić, długo szukał kontaktu z nami, skontaktował się w końcu przez Paryż.

P.: — *Jak układa się wasza współpraca z NSZZ „Solidarność”?*

O.: — W zasadzie dobrze, zwłaszcza z RKW „Mazowsze”. Ze strony takich działaczy jak Kulerski (był i jest naszym najbliższym wśród związkowców współpracownikiem), jak Bujak, Bieliński zawsze możemy liczyć na poparcie i na zrozumienie istoty naszej pracy, jaką jest działalność wśród niezależnych firm podziemia. Firm, których inicjatywy trzeba szanować, pomagać — niczego nie narzucając.

Poruszamy się w obszarze niezależności opartym na modelu wolnego demokratycznego społeczeństwa, z jego swobodą inicjatyw i swobodą zawierania porozumień. Porozumień takich powstało kilka, na przykład „Fundusz Niezależnych Wydawnictw”, „Zrzeszenie Video”, czy fundusz ubezpieczeń od strat spowodowanych w ruchu wydawniczym przez SB. To wszystko organizują ludzie, którzy uznali potrzebę jednoczenia wysiłków — dla bardziej skutecznego działania w warunkach, cóż tu ukrywać, nienormalnych. Żeby razem organizować fundusze na wydaw-

nictwa podziemne, na oficyny video, razem przeciwdziałać prześladowaniom.

Otóż niektórzy działacze związkowi, z ośrodków pozawarszawskich, a nawet pozakrajowych, zapragnęli wszystkie te niezależne inicjatywy podporządkować sobie, ująć w system nakazowo-rozdzielczy: przyjmować i zatwierdzać preliminarze, rozdysponowywać fundusze. Słowem: kontrolować i rządzić.

P.: — Czy w ogóle jest możliwa taka centralizacja?

O.: — Nie jest możliwa, to znaczy, nie da się tego zrobić tak, by dobrze funkcjonowało. Doświadczenie uczy jednak, że można zawsze — w imię planowości i centralizmu — zniszczyć bardzo wiele z tego, co jest, co żyje, działa.

Cała nadzieja — pomijając wiarę w prężność niezależnego społeczeństwa — w rozsądku przytłaczającej większości działaczy i doradców związku. Zresztą 11 marca 1986 zawarta została między NSZZ „Solidarność” i OKN-em umowa o współpracy, podpisana przez przedstawicieli OKN-a i TKK. Powiedziano tam wyraźnie, że wspólnota celów obu sygnatariuszy umowy, jaką jest budowa niezależnego i wolnego społeczeństwa, realizuje się w warunkach współpracy, nie zaś podporządkowania.

P.: — *We wrześniu ubiegłego roku komuniści zwolnili większość więźniów politycznych. Z drugiej strony powstały jawnie działające niezależne instytucje. Czy w tych zmienionych warunkach KKN nie myślał o ujawnieniu swego składu?*

O.: — Nie. Nie sądzimy, by zmieniło się tak wiele. Niezależna kultura to nadal działalność zakazana, karalna. Nadal prześladowuje się wydawców, kolporterów, konfiskuje maszyny, książki, sprzęt, samochody. Prześladowania w każdej chwili mogą się znacznie zaostrzyć — po co więc ujawniać kontakty, kępować sobie ręce? Nie jest to nam do niczego potrzebne. Zresztą firmy podziemne wiedzą, gdzie nas szukać, a dokumenty nasze — na przykład na użytek zagranicy — uwiarytelnia Wiktor Kulerski.

P.: — *A jednak w środowiskach twórczych pojawiły się próby podejmowania działań niezależnych a jawnych. Chodzi o pełniejszy udział w cenzurowanym obiegu kultury, to znów o pluralizm związków twórczych. Czy jesteście takim próbom przeciwni?*

O.: — Nie. Pod pewnymi jednak warunkami. Po pierwsze: niech nic nie zwalnia artystów od zachowania norm przyzwoitości, w ostatnich latach w tych środowiskach dosyć wysokich. Po drugie: załatwianie sobie czegoś u władz (powiedzmy — odwiedzenia PEN-Clubu) nie może się odbywać czymkolwiek kosztem,

czy to nieakceptowanych przez władze kolegów, czy to podziemia, kulturalnego lub związkowego, od którego — jak tego zwykle komuniści wymagają — petent miałby się odciąć. W zasadzie jednak wychodzimy z założenia, że w obiegu kontrolowanym można zdziałać wiele dobrego, znacznie więcej niż dotąd. Przy zachowaniu ostrożności: żeby to znowu nie było usadowienie się w przedpokojach władzy, skumanie się z nią — ponad głosami społeczeństwa.

P.: — *Wam jednak bliższy jest obieg niezależny?*

O.: — Tak. Tutaj jesteśmy jakby u siebie w domu — czujemy się współgospodarzami, nie ma cenzury, w ogóle — atmosfera jest zdrowsza. Wiadomo przy tym, że obieg „drugi” ma na obieg „pierwszy” bardzo wielki wpływ. Przymusza niejako do większej śmiałości, otwartości.

Rozmowę przeprowadził Grzegorz NAWROCKI

Luty 1987

Dziennik zewnętrzny

Problem emigracji rośnie, nie tylko dlatego, że ludzie wyciekają stąd jak krople z pękniętego zbiornika. Nawet ci, co nie zbierają się do odlotu, mówią, szepcą lub przynajmniej wzdychają na ten temat. Obok codziennych pocziwych przekleństw, jak psiakrew, cholera, coraz częściej w użyciu długa i niezręczna konstrukcja, która ma wiele odmian, ale w ogólnym zarysie brzmi następująco: rzucę w diabły ten kraj, wyjadę, będę mieć spokój.

Tak oto stają się emigrantami nawet ci, co nie emigrują. Bo już nie są u siebie. Kto zresztą tu u siebie, może oprócz kombinatorów i cwaniaków, dla których ten kraj to wielkie, na-brzmiałe i rozkoszne wymię.

Pewien szacowny członek Rady Kultury (jest takie ciało, które miało być bardzo ważne, a jest żadne) opowiada, prosząc mnie o dyskrecję, którą zachowuję, nie podając nazwiska (a szkoda!).

— Nie wyobraża pan sobie, jakie bzdury się wygaduje na tych posiedzeniach, zupełny bełkot.

— To po co bełkocą? — pytam naiwnie.

— Żeby zakryć własną głupotę i brak jakiejkolwiek koncepcji. Dlaczego ja tam w ogóle siedzę — jęknął, po czym dodał:

— a poziom naszej kultury poniżej tego, co było w czasach saskich.

Szczerze mówiąc, nie wiem, jak było naprawdę z kulturą w owych przysłowiowych czasach, natomiast jestem pewien, że z przysłowia o picu i popuszczaniu pasa mamy obecnie zagwarantowane jedynie picie.

Czy symbole zjadają u nas myślenie i działalność opozycyjną? Krzyże kwietne, celebracje rocznic i czy w końcu ksiądz Popiełuszko zjada? Spierałem się niegdyś o to ze znajomym. On twierdził, że zjadają — ja, że myślenie, działanie i symbole są obok. Znajomy umarł. (Ludzie u nas umierają częściej i jakby bardziej niż na Zachodzie, co jest z pewnością złudzeniem, ale tak tu czujemy). Na pogrzebie uczestnicy podnieśli ręce z palcami ułożonymi w znak V, który jedna strona nazywa znakiem zwycięstwa, druga zaś — ustami generała — „rozczapierzonymi palcami”. Ciekawe, jak różnie można widzieć dwa rozstawione palce; to samo odnosi się do pojęcia wolności i demokracji. Las rąk na pogrzebie prowokował niebo do jakiejś reakcji, zgłaszano się jakby do odpowiedzi, ale nikt nie został wywołany. Nawet mnie nie wywołano, chociaż jako ten, co ręki nie podniósł, mógłbym zostać wyróżniony za karę. Stojący obok patrzyli podejrzliwie, zaś pewna staruszka nawet opluła mnie wzrokiem. Była pewna, że jestem tajniakiem. Ja zaś nadal nie mogłem. Las rąk opadł i z jednako zwieszonymi głowami rozeszliśmy się do domów. W końcu i tak kiedyś znowu spotkamy się na cmentarzu.

Opowiedziano mi potem, że we Wrocławiu na patriotycznej manifestacji tłum wznosił ręce i tylko Frasyniuk nie podniósł. Nie porównuję się z Frasyniukiem, ale być może gryzie nas ten sam robak.

A znajomemu nie mogę już niestety powiedzieć, że chyba jednak miał rację.

Co sływać w podziemiu? Jego obszar nadal duży, ale w tych granicach wszystko porusza się jakby wolniej. Tylko odgłosy sporów energiczne. Cieszy imponująca liczba tytułów wydanych książek, martwi, że rozregulowany kolportaż rzuca je na wiatr. Trudna sytuacja wielu pism; niechciane przez wydawnictwa, którym nie opłaca się ich druk, mają również inne problemy. Wiele redakcji rozsypuje się nie na skutek uderzenia z zewnątrz, ale jakby od środka. Słyszałem o redakcjach, które nie mogą się zebrać, by podjąć decyzję o rozwiązaniu pisma. Nawet, by umrzeć trzeba mieć trochę siły. Można więc powiedzieć, że najbardziej zagraża nam nie policja, ale apatia.

Niepokoją tendencje centralistyczne. Rzekome oświadczenie TKK, które mówi, że wszelkie zbiórki pieniędzy na „Solidar-

ność” dozwolone są na Zachodzie jedynie z upoważnienia TKK lub biura w Brukseli. „Jakikolwiek dotychczasowe upoważnienia tracą moc” (!). Wszyscy jesteśmy zmęczeni bałaganem, martwią finansowe — mówiąc najdelikatniej — niedokładności. Ale nie ma wątpliwości, że na centralnie zarządzanym i starannie poszufladkowanym podziemiu bardzo zależy MSW. Zbieżność interesów MSW i TKK oraz biura w Brukseli wydaje się nieprawdopodobna. Ktoś więc popełnił błąd.

Nudną rzeczą jest powtarzać, że opozycji brakuje programu, szczególnie że wszyscy, którzy skarżą się na jego brak, sami nie mają nic do zaproponowania. Pomysł na istnienie ma natomiast ruch „Wolność i Pokój”. Młodzież odmawia służby wojskowej lub choćby składania przysięgi. Wokół tego prostego celu, mimo paniki władz i represji, rośnie żywa tkanka.

Na plebanii. Długi stół, przy takim stole Leonardo posadził bohaterów swojej „Ostatniej wieczerzy”. Teraz tylko proboszcz i ja. Mówi o pewnej osobie związanej z opozycją, którą obaj znamy.

— Wstrętny babsztyl, a do tego — pochyła się i zniża głos do szeptu — do tego, proszę pana, to Żydówka galicyjska!

Nie byliśmy jednak zupełnie sami. Patrzyła na nas ze ściany Żydówka z Nazaret.

Znam innego księdza. Napisał niedawno w jednym z katolickich pism, że Chrystus i jego matka mieli żydowskie pochodzenie. Redakcja została zasypana listami, w których powtarzały się takie oto słowa: „Nie myślcie, skurwysyny, że wrobiecie naszą Matkę Boską w żydowskie pochodzenie”.

„Kamień” poruszony przez Jana Błońskiego w *Tygodniku Powszechnym* pociągnął za sobą lawinę tekstów. Całą tę dyskusję można podsumować słowami Arnolda Słuckiego, który emigrując z Polski miał powiedzieć: „Wyjeżdżam, bo nie chcę żyć w kraju, który składa się z filosemitów i antysemitów”.

Prymas Józef Glemp udzielił wywiadu *Literaturnej Gazecie*. Tekst ów został przedrukowany i ocenzurowany przez naszą prasę. Zgoda na wywiad nie stanowi zapewne błędu politycznego, ale czemu odpowiedzi Prymasa były gładkie jak kamyki utoczone przez strumień ostrożności?

To jednak nie koniec zmartwień. Prymas obdarzył kilkunastostronicowym wstępem książeczkę Dmowskiego „Kościół, Naród, Państwo”. Rzecz ukazała się w Chicago i jest obecnie szeroko kolportowana w kraju. Sam wstęp, odbity w postaci ulotki, również jest rozdawany. Znaleźć tam można takie m.in. zdanie: „Dziękując za wznowienie myśli znakomitego Polaka wyrażam nadzieję, że będą one służyły ożywieniu ducha polskiego i miłości

do Polski". Pocieszałem się, że to wczesne dzieło Dmowskiego, więc jeszcze wolne od późniejszych ksenofobii. Niezupełnie miałem rację.

Tyle słyszałem o pewnym warszawskim kościele, że w końcu wybrałem się tam na niedzielną mszę. Martwa nowa architektura, ale ładnie rozwiązane problemy światła. Słoneczne promienie padają na imiona akowskich batalionów i dowódców. Ten kościół to, rzecz można patetycznie, płynąca przez miasto arka okupacyjnego heroizmu. Na zewnętrznej ścianie wmurowany karabin maszynowy. Gdyby był drugi, można by z nich złożyć krzyż. Przy ołtarzu stoją w bojowym szyku starsi panowie i dzierżą sztandary. Po mszy przemaszerowali przez świątynię statecznie niczym wysłannicy Marsa. Strzałka z napisem „Kiosk” wskazuje na schodki wiodące do podziemi. Tam obszerne stoisko. Oszałamia wybór książek, broszur i pism. Rzuca się w oczy klasyka: „Protokoły mędrców Syjonu”. Inne tytuły zawierają zwykłe w sobie Żydów, masonów lub przynajmniej jakiś spis. Są dzieła Dmowskiego i Jędrzeja Giertycha. Za ladą młody chłopaczek w śnieżnobiałej koszuli prezentuje mi z dumą pismo *Nowe Horyzonty*. Mówi, że to drogie, ale rzetelne pismo. Przeglądałem i już wiem. Zagroza nam Żydo-masono-komuna. Wyniszczają zdrowy organizm skrobanki. „Solidarność” opanowana przez KOR-owską lewicę. Ruch „Wolność i Pokój” to zdrada, bo każdy chłopak powinien iść do wojska (komunistom przy okazji też się wszędzie obrywa). Obrywa się niemal wszystkim po trochu. Oszczędzany jest tylko Papież, Wałęsa i Prymas.

— A to co? — pytam wskazując numer krakowskiego *Znaku*, który przycupnął w tym towarzystwie jak zagoniony zając.

Sprzedawca westchnął boleśnie: zmuszono nas, by sprzedawać to żydowsko-chasydzkie pismo. *Tygodnik Powszechny* i *Więź* to wszystko ta sama banda, wszystko przez nich opanowane...

Towarzysząca mi starsza pani nie wytrzymała i wybuchnęła gniewem. Chłopak był spokojny i pewny swego. Zasłonił się jak Rzymianin tarczą wolnością słowa i demokracją.

Kilka nabytych pisemek i książek przeczytałem w domu. Wciągnęła mnie ta lektura jak miejski ściek. Toż to prawdziwa skamielina! ONR jak żywy... Jakby nie było drugiej wojny światowej i Hitlera. Jakby nadal żył ów potwór i wróg śmiertelny endecji, Piłsudski. Uderza połączenie nieco już archaicznego języka z pism pana Romana (lubią tak pieśczośliwie nazywać Dmowskiego) z językiem *Żołnierza Wolności*. W końcu teksty te pisze na ogół młodzież. Z czego mieli się uczyć?

Czy ruch ów, który sam zwie się narodowo-chrześcijańskim,

łączy się z Grunwaldem u źródeł, czy o wiele dalej? Gdzie demony przeszłości, gdzie cienie UB? Wiele pytań, w sumie jednak niezbyt ciekawych. I dalej... czemu Prymas obdarza Dmowskiego swym osobistym wstępem? Dlaczego Maciej Giertych (syn londyńskiego Jędrzeja, niedaleko padło jabłko... są jego teksty dostępne w tym samym stoisku) zasiada w Radzie Prymasowskiej (pal lichy, że w Radzie Konsultacyjnej również). I pytanie na koniec. Jak to się stało, że owe pokraczne rośliny wyrosły właśnie pod skrzydłami jednego z warszawskich kościołów, a w kilku innych sprzedaje się ich nasiona?

Ucieczkę w hasła, w upraszczanie świata, w tępy nacjonalizm wreszcie, łatwo wytłumaczyć pustką, którą otwiera każda katastrofa. Niestety podobne tendencje rysują się gdzie indziej, także w opozycji. Nurt, który nazywa się prawicowym zdobywa zwolenników. Dzieli go duża przestrzeń od Ciemnogradu, ale pień jakby wspólny. Po takim pniu zjeżdża się szybko w dół.

„Na szczęście bowiem byt i rozwój kultury wcale nie są zależne od istnienia wielkich mocarstw. Ważne jest co innego: muszą znaleźć się ludzie, którzy wbrew wszystkiemu i w najmniej sprzyjających okolicznościach będą utrzymywać poczucie ciągłości, przekazując z pokolenia na pokolenie wiarę w sens pewnych wartości”.

To krzepiące słowa dla tych, którzy w mało sprzyjających okolicznościach i „wbrew wszystkiemu” — również wbrew Ministerstwu Kultury — utrzymują na mapie Polski niezależne wyspy. Autorem przytoczonej myśli jest Aleksander Krawczuk, a fragment ów pochodzi z jego książki „Ostatnia Olimpiada”, która powstała w czasach, gdy pan profesor opisywał historię, a nie łudził się, że ją współtworzy.

Nie jestem specjalistą od złudzeń, ale jakaś gorliwość musi być w człowieku już niemłodym, który gramoli się przez barykadę i otrzepując garnitur z pyłu puka do drzwi wrogich mieszkań. Uczynił to minister Krawczuk i zapukał do Juliusza Żuławskiego, prezesa zamrożonego polskiego PEN-Clubu. Jak rozmrozić bezpartyjną substancję tak, by po odmrożeniu znalazły się w niej elementy partyjne? Problem okazał się nierozwiązywalny na gruncie zdrowego rozsądku, z którego to gruntu zejść nie chciał Żuławski.

Następna wizyta u Lutosławskiego. Słynny muzyk miał przyjąć Krawczuka chłodno. Powiedział, że spotyka się z pisarzem, z ministrem by się nie spotkał. Profesor miał więc sytuację podwójnie niezręczną. Musiał schować w sobie ministra, a uzewnętrznić pisarza i przy okazji jakoś namówić muzyka, by poje-

chał do Moskwy walczyć o pokój — po to przecież przyszedł. Lutosławski odmówił. Konferencja odbyła się bez niego. Przyjechała natomiast spora grupa z Zachodu — pisarze, aktorzy i nawet producenci perfum. Wszyscy starannie odwróceni plecami od gwałconego Afganistanu. Uczestniczył w tym spektaklu Sacharow.

Minęło niewiele tygodni i oto Moskwa przesyła swoje spóźnione przesłanie do uczestników pokojowej konferencji ustami pierwszego sekretarza, który na spotkaniu z aktywnym Komsomół powiedział:

„Pragnę zapewnić wszystkich, którzy przeszli szkołę Afganistanu, że kraj nasz i naród są dumni z waszego męstwa, odwagi i dzielności. Cechy demonstrowane w najcięższych warunkach — są cenne również w działaniach pokojowych. Nie mamy wątpliwości co do tego, że zachowanie je na całe życie. Drodzy żołnierze radzieccy, chciałbym korzystając z tej trybuny, zaapelować do komsomolców w wojsku, do tych, którzy zakończyli już służbę wojskową, którzy walczyli o słuszną sprawę w Afganistanie, by poszli do nastolatków i opowiedzieli im o sobie, o swoich towarzyszach walki, dowódcach i wychowawcach, o odwadze, bohaterstwie i braterstwie broni...”

I masz babo placek. (Ta Baba to Zachód).

Ludzie powracający z ZSSR mówią, że moskwićzanie sceptyczni wobec *glasnosti*. Patrzą na to dziwne zwierzę z życzliwą rezerwą, ale mówią — *posmotrim, uwidim*. Mówią też, że trzeba wiele, wiele czasu, by zobaczyć, czy z tego coś wyniknie. Tam zawsze był inny stosunek do czasu. Bezkresny kraj, władza, bezkresne nieszczęście. Nawet nadzieja ma w sobie element nieszczęścia i bezkresu.

A co mówi się o tym w Warszawie? Mała grupka intelektualistów podekscytowana. Szary przechodzień wzrusza obojętnie ramionami. Czasami otworzy telewizor i nastawi sowiecki program (mamy już, mamy). I co zobaczy? Bezkresną nudę urozmaiconą babami i dziadami uginającymi się pod kolorowymi cynamonami orderów.

Co więc popłynęło w ZSSR? Na razie można tylko mówić o strumieniu rdzy. Nie napijesz się z tego, ale popatrzeć można.

Wyjątkowo zimny marzec i kwiecień. Pamiętam, że gdy byłem młody i naiwny, zdarzało mi się winić za złą pogodę ustrój. Dzisiaj tak myśli wielu obywateli PRL-u. „Czarnobyl zepsuł nam pogodę” — krąży uparcie taka pogłoska. Brak zaufania dotyczy tu wszystkich żywiołów, również chorób.

Jestem w przychodni i słyszę, jak rozmawiają ze sobą półszepem dwie pielęgniarki.

— Podobno to przenosi się drogą moczową.

— Już kilkanaścioro dzieci jest na to chore i leży w Centrum Zdrowia Dziecka.

Mówiły o AIDS. Po czym doszły zgodnie do wniosku, że jest źle, a szczegółów i tak się nie dowiemy, bo Oni przecież nie powiedzą prawdy. Niedawno wybuchła panika w jednym z warszawskich szpitali, bo chirurdzy odkryli, że pacjent ma AIDS. Okazało się, że nikt nie był w stanie stwierdzić, iż zaszła pomyłka. Brakuje informacji o tej chorobie i znowu zaufania.

Tymczasem rzecznik prasowy rządu żartuje sobie z zachodnimi dziennikarzami na temat prezerwatyw. Prognozy na tym „frontie” są ponure. Czujny telewizor po obejrzeniu tego programu biegnie do kiosku Ruchu. Dowie się, że od dawna nie ma. Wkrótce będą na kartki — pocieszają się zwolennicy systemu reglamentacyjnego. Prezerwatywa — brzydkie słowo. Zapewne dlatego szef do walki z AIDS na terenie PRL używał uparcie terminu pachnącego wojskiem — ochrona osobista.

Podsumowując problem. Epidemii AIDS u nas być nie może, bo na AIDS absolutnie nas nie stać. Budynki, gdzie przewiduje się hospitalizację nieszczęśliwych pechowców pamiętają czasy, gdy umierało się na syfilis.

Język wojskowy kwitnie przede wszystkim w wojskowych ustach, przoduje zaś sam wódz naczelny. Czasami ukwieca kosza-ry elementami gastronomicznymi. Na spotkaniu z sekretarzami POP Warszawy generał wyznał: „...obrabiamy sadłem, może nie dosłownie, ale w znaczeniu braku żarliwego reagowania, kiedy jest ciężko”.

Równie atrakcyjny następny fragment, który należy do dziedziny magii. To przepłaszanie diabła (diabła zwykli przepłaszają ci, co w niego wierzą):

„Trzeba wiedzieć, że przeciwnik chce nas zapędzić w ślepy zaułek beznadziejności, pesymizmu i zdeformować obraz, wyka-zać, że nie będziemy w stanie kryzysu przezwyciężyć”.

Generał mówi jak myśli. Regulaminy, sztaby, fronty i przeciwnik. Połknął nieco książek z literatury pięknej, jakoś przeszły. Ale duszę ma wojskową. Pachnie z daleka jednostką wojskową. Dlatego przegra batalię o gospodarkę, bo to nie pole walki. Przegramy wszyscy.

Obecnie wysiada właśnie sieć telefoniczna. Spędzamy godziny, próbując gdziekolwiek się dodzwonić. Sygnał zajęty zastępuje głos znajomych oraz instytucji. Wysiada więc nasz osobisty układ nerwowy i układ nerwowy całego kraju.

Dlatego ośmielę się powiedzieć, że drugi etap reformy to jedynie drugi etap gadania.

Sypnęły ulotki na Nowym Świecie. Przejeżdżające pojazdy wzbijają je ponownie w powietrze. W strefie antypaństwowej działalności ulotek znalazło się przypadkiem kilku milicjantów. Taka ulotka, jak wiadomo, sama w sobie jest aktem wrogiej działalności określonych sił. Problem w tym, że manifestanta można zatrzymać, poczęstować gumą lub nawet w ostateczności zastrzelić. Co zrobić z ulotką? Stróże PRL sprawiali wrażenie szczerze zakłopotanych. Zbierać to kłaniać się wrogim siłom na oczach ulicy. Dlatego milicjanci udają, że żadnych ulotek nie ma, a obywatele, jak przystało na porządnym obywateli PRL, zbierają śmieci. Cały ten manewr dobrze świadczy o inteligencji MO i zaprzecza wszelkim głupim dowcipom na temat funkcjonariuszy, które nadal bujnie się krzewią.

Znowu podwyżka! Nie... tym razem to obniżka podwyżki. Owa obniżona podwyżka uzyskała swój niezwykle stan dzięki nowym związkom zawodowym, które mają szansę udowodnić, że są niezależne od partii. A partia pokazała swoje wielkie owłosione ucho, które wsłuchuje się w głos nowych związków.

Jak szeroko pisała prasa, owa obniżona podwyżka charakteryzuje się „działaniami osłonowymi”. Więc znowu wojna!

„W Polsce są trzy stany — zauważyła stworzona przez Białoszewskiego postać — przedwojenny, powojenny i wojenny”. Mam wrażenie, że obecnie te wszystkie stany występują łącznie. Innego zdania był staruszek stojący za mną w kolejce, kiedy westchnął: bez wojny doprowadzili ten kraj do ruiny. Nie miał racji. Wojna trwa.

Generał, minister spraw wewnętrznych Kiszczał stracił wiele ze swych „salonowych uroków”, gdy ukazała się w niezależnym obiegu wspomnieniowa książka Jana Józefa Szczepańskiego „Kadencja”.

Kiszczał, jak pamiętamy, miał do niedawna salon na Rakowieckiej, właściwie nadal ma, bo nie ogłoszono zamknięcia, gdzie spotyka się z artystami i naukowcami. Wręcza im tam paszporty. Czyni to z pewnym wdziękiem, więc niektórzy zapominają, że uprzednio to właśnie jego resort te paszporty wstrzymał. Zapytany niegdyś przez moją znajomą, czemu spotyka się osobiście, odparł, że z ciekawości. I zapewne ze snobizmu — można dodać.

Prezes Związku Literatów Polskich był zmuszony spotykać się z Kiszczałem oraz z innymi tuzami naszego życia politycznego. Toczyła się bowiem gra o Związek, a właściwie o... nie o dusze bynajmniej, co najwyżej o koniuszki palców pisarzy (nawet to przepadło na amen). Szczepański jest człowiekiem

uczciwym, łagodnym, a przez to w mądry sposób naiwnym. Ze szczerym zdumieniem odkrywa, że ma do czynienia z gangsterami i że to nie wielcy gangsterzy, a jedynie nędzne gnojki praktykujące małe kłamstwa, że nieobce im włamanie i kradzieże. Jego liczne obserwacje, zanotowane strzępki rozmów są bezcenne, gdy ktoś chce się dowiedzieć, kto nami rządzi.

Rakowski: „Inteligencja popełniła wielki błąd, sądząc, że zdoła zrealizować swoje 'wolnościowe marzenia’. W tym kraju — powiedział melancholijnie — od dwustu lat nigdy nie zwyciężali racjonaści”. Kiszczał: (o „Solidarności”) — „Czy pan wie, jak takie ruchy powstają? To wszystko robota obcych wywiadów. Tak jest zawsze na całym świecie”.

Jeżeli chcesz człowieka zgubić, pozwól mu mówić — głosi chińskie przysłowie. Znają tę mądrość wszyscy śledczy i tylko nieliczni przesłuchiwani. Snobizm zgubił wielkiego śledczego PRL — mówił, co gorzej mówił z pisarzem.

Jakby nie dosyć nieszczęść, to właśnie Kiszczałowi polecono, by rekwirował samochody i telefony w ramach wielkiej akcji oszczędzania. Ofiarą tej akcji, która ma nas wyprowadzić z kryzysu, padnie 130 tys. telefonów i 20 tys. samochodów służbowych. Zarekwirowany sprzęt będzie oddany ludowi. Igrzyska urządzone po podwyżce, która znów rozpalila namiętności naszego Rzymu. Neron rzucił chrześcijan na pożarcie lwom, teraz do rzucania są tylko telefony i samochody, w które, co gorzej, lud i tak nie wierzy.

Mój niezwykle praktyczny sąsiad zauważył, że powinni zacząć od samochodów pogotowia ratunkowego, potem od razu można by zabrać telefony.

Czym jest pochód 1-majowy w krajach obozu? Pochodem pokory. Naród ma przemaszerować i pokłonić się. Wszędzie, nawet w najmniejszych miasteczkach PRL, Bułgarii czy NRD maszeruje się przed tym samym bożkiem. I pokłon, który zmiękcza kręgosłup.

Uciekam z Warszawy na wieś. Na państwowe pochody nie uczęszczam od niemowlęctwa. Na opozycyjne od zeszłego roku. Nie jestem na tyle silny, by demonstrować własną słabość.

Mijam małe miasteczka, a tam — jakby nic się nie stało, jakby nie było Sierpnia i powszechnego krachu — spoceni ludzie w tandetnych garniturach dźwigają czerwone płótna, sflaczałe, bo nie ma wiatru. Zabita dechami wiocha. Kupujemy u sołtysa jajka. Kury znoszą je wbrew kryzysowi i reformie. Żona sołtysa skarży się, że chłopą zabrali na pochód.

— Czemu dał się wziąć?

— A niechby spróbował się bronić. A niech ich cholera! — rozwrzeszczała się baba i z tego gniewu zdarła z siebie fartuch. Ilekroć jestem na wsi, mam wrażenie, że władzę ludową traktuje się tam jak zmorę, nie inną od tej, co gniecie chłopą od stuleci.

Wieczorem do znajomego, który wybierał się na pochód niezależny. Pukam do drzwi, odpowiada mi łomot własnego serca. A nuż go uwięzili, a mnie zagryzie teraz sumienie? Na szczęście otworzył drzwi. Opowiada, że tym razem nie tylko Żoliborz, ale i sąsiednie dzielnice zostały obstawione przez zomowskie kordony. Wszystkich idących w stronę kościoła św. Stanisława Kostki legitymowano, spisywano i zwracano. „Ja bym pana puścił, ale mam rozkaz” — tłumaczył się, zaciągając z wiejska milicjant, ściągnięty zapewne z okolic, w które uciekałem przed pochodem. Inni funkcjonariusze byli mniej sympatyczni, z psami lub na koniach. „A najgorszy był ten balonik” — westchnął znajomy. Długo nie chciał wyjaśnić, jaki balonik i dlaczego najgorszy. W końcu wyznał, że idąc do domu zmuszony był zanurzyć się jak w obcej rzece w tłumie wracającym z pochodu pokory. Zapamiętał matkę z dzieckiem. Dziecko trzymało w rączce balonik, na baloniku podrygiwał napis „PRL”.

Osoba, której nie widziałem od lat i która równie dawno nie była w Polsce, zapytała mnie, czy uważam, że w Polsce jest coraz gorzej, bo jej się wydaje, że jest coraz smutniej, ale nie jest gorzej. Spociłem się, próbując oddzielić te dwa pojęcia od siebie, ale nie udało mi się.

Witold CHARŁAMP

Kilka uwag o wywiadzie płk. Kuklińskiego

Wywiad, który ukazał się w *Kulturze* (nr 4/1987) jest bez wątpienia cennym dokumentem historycznym. Jest też ważny dla tych wszystkich, którzy rozważają sytuację Polski i perspektywy jej nowego ukształtowania, co wymaga znajomości prawdy o ostatnich latach. Dlatego też postanowiłem przedstawić swoją opinię na poruszone przezeń tematy, aczkolwiek nie mogę obecnie podpisać jej swoim nazwiskiem. Kukliński oglądał wydarzenia z perspektywy Sztabu Generalnego i to w sposób nieunikniony wpłynęło na pewne zwięzienie jego relacji. Odnoszę też wra-

żenie, że pewnych spraw nie dopowiada do końca, choć być może je zna. Postawa grupy rządzącej w tym dramatycznym dla Polski okresie też wymaga pewnych korektur w opisie.

Obraz jaki wyłania się z jego relacji wydaje mi się nieco uproszczony. Czytelnik może z niego wnosić, że z jednej strony był Kreml pracy do bezpośredniej interwencji wojskowej, z drugiej zaś chwiejne, a właściwie dwulicowe kierownictwo polskie, które, werbalnie zgadzając się z potrzebą zdławienia „Solidarności” siłą, odwlekało to jednak *ad calendas Graecas*, czyli w istocie akceptowało dokonujące się w Polsce przemiany, licząc co najwyżej na ich późniejsze ograniczenie i pozbawienie treści, jak to poprzednio uczyniła ekipa Gomułki. Kukliński przedstawia Kanię wręcz jako rzecznika polityki porozumienia, a od lata 1981 przeciwnika nawet wariantu użycia samych tylko sił Wojska Polskiego.

W sytuacji tak złożonej jak w latach 1980-1981, przy tajemnicy otaczającej wiele najistotniejszych decyzji i poglądów gremiów kierowniczych ZSSR i Polski, trudno komukolwiek twierdzić, że zna „całą prawdę”. Do tego i ja nie pretenduję.

Zacznijmy od poglądów Moskwy. Jej polityka nie była wcale jednoznaczna. Przypomnijmy, że był to schyłek ery Breżniewa. Jego pozycja i wpływy były już ograniczone; aparat bezpieczeństwa i wojsko usamodzielniały się w dużym stopniu i występowały za użyciem siły w Polsce, za bezpośrednią interwencją sowiecką, gdyż z jednej strony odpowiadało to dogmatycznej orientacji ich sztabów kierowniczych, z drugiej zaś zwiększyłoby niepomierne ich pozycję polityczną w samym ZSSR. Cicha walka o następstwo po Breżniewie już trwała i każda z frakcji starała się zapewnić sobie jak najmocniejszą pozycję w nadchodzącym starciu o władzę. Było jasne, że „operacja polska” byłaby akcją na o wiele większą skalę niż czeska, wymagałaby użycia o wiele większych środków i musiałaby trwać kilka lat. Zmieniłaby ona układ sił wśród krajów Układu Warszawskiego, pozwoliłaby umocnić hegemonię sowiecką i umocnić nadwątloną linię dogmatyczną. Polska była jedną z kostek tego skomplikowanego domina, a gra toczyła się o stawkę najwyższą: o władzę i linię polityczną Kremla.

Zgadzam się zatem z Kuklińskim, że wojskowe dowództwo sowieckie parło do interwencji i być może nawet działało na własną rękę, wykraczając poza decyzje Biura Politycznego i wykorzystując autonomię wojska. Wiele z działań opisanych przezeń doskonale mieści się w kategorii drobnych, pozornie „technicznych” faktów, będących „zajmowaniem przyczółków” do ofensywy. W tym samym duchu działało zapewne kierownictwo sowieckich władz bezpieczeństwa, o czym wnosić można z postawy ministra Milewskiego, który miał z nimi bliskie, robocze kontakty i zapewne działał w zgodzie z poglądami swych moskiewskich patronów. Gdy wraz ze zgonem Andropowa władza kliki KGB została znacznie ograniczona, generał Jaruzelski niemal natychmiast go wyeliminował.

Inaczej jednak przedstawia się pozycja Breżniewa i jego sztabu doradców, a nawet szerszych kierowniczych gremiów partii. Do bezpośredniej interwencji sowieckiej odnosiły się one nader powściągliwie. Doświadczenie afgańskie było tu nie bez znaczenia. Z jednej strony nie hamowano akcji wojska i bezpieczeństwa, traktując je może jako wygodny instrument nacisku na kierownictwo polskie, by wzmocnić jego opór wobec presji społecznej. Z drugiej jednak strony nie podejmowano ostatecznej decyzji. Można sądzić, że zdecydowanie przeciwny interwencji był Gromyko, kierujący polityką zagraniczną, a jego pozycja wtedy umacniała się. Inwazja na Polskę zburzyłaby jego wieloletnie wysiłki w sferze „polityki współistnienia”. Był on zresztą przeciwny, o ile wiadomo, zarówno interwencji w Afganistanie jak i wcześniejszym planom zmasowanego uderzenia na Chiny. Osoby w Polsce, pozostające w bliskich kontaktach z Breżniewem, akceptowały dokonujące się reformy, lansowały politykę porozumienia. W kręgach KC podejrzewano nawet, że Breżniew może zaakceptować jakieś bezpośrednie porozumienie z „Solidarnością”, że może zawrzeć układ z siłami reformatorskimi spoza polskiego kierownictwa, czego to ostatnie naturalnie panicznie się bało. W pewnym momencie pojawiła się nawet wiadomość o rzekomym potajemnym spotkaniu sowieckiego konsula generalnego z Wałęsą, co było prawdziwym szokiem. Nie jest ważne, czy rzeczywiście do takiego spotkania doszło, czy były to tylko plany, ważne jest, że taką możliwość poważnie traktowano w polskim kierownictwie.

Było to zgodne z wieloletnimi tendencjami w kierownictwie sowieckim. Przypomnieć można, że działalność grupy „Doświadczenie i Przyszłość” była poniekąd firmowana przez Moskwę, z czego jej uczestnicy zapewne nie zdawali sobie nawet sprawy. Dlatego właśnie DiP mógł działać tak bezkarnie. Pod koniec epoki Gierka zdawano sobie w Moskwie sprawę, że upadek grupy Gierka-Jaroszewicz jest nieunikniony, że jest to tylko kwestia czasu i zakładano konieczność zaakceptowania na następnym etapie systemu o wiele bardziej demokratycznego i otwartego na Zachód. Moskwa, a w każdym razie jej kierownictwo partyjne, rozumiała, że Polska jest „szczególnym przypadkiem” i że zaakceptować tu trzeba odstępstwa od modelu sowieckiego, jakich nie dopuszczono by nigdzie indziej. Popularnie mawiano w kręgach breżniewowskich, że gdy Polacy biją głową o mur, to mur zwykle musi się przesunąć, bo polskie głowy łatwo się nie rozbijają. Nie wiedzano natomiast, jak daleko pójść przemiany. Nie trzeba dodawać, że dążono by do ograniczenia ich do niezbędnego minimum. Nie jest to zresztą wypadkiem wyjątkowym, a raczej tradycją grania na wielu fortepianach naraz. Przypomnijmy, że pensje od ambasadora rosyjskiego pobierali nie tylko targowiczanie, ale i król akceptujący Konstytucję. Dopiero później zapada decyzja, kogo ostatecznie wesprzeć, który wariant jest najkorzystniejszy. Taki jest mechanizm gry politycznej, manipulowania nawet „najwierniejszymi”.

Obecna polityka sowiecka wobec Kościoła w Polsce nie jest

więc tak zaskakująca, jak mogłoby się wydawać. Polityka Gorbaczowa jest wyrazem tendencji, które od lat były obecne w sowieckim aparacie partyjnym, nad którymi wielokrotnie i od dawna dyskutowano — choć na ogół nieformalnie — i które teraz wzięły górę.

Gdyby zatem kierownictwo polskie chciało i umiało te rozmaite tendencje w Moskwie wykorzystać dla dobra kraju, mogło zapewne wypracować rozwiązanie, podobnie jak to poprzednio uzyskał Gomułka. Zabrakło mu zdecydowania w obronie reform, woli i umiejętności pokierowania nimi, które dawałyby Moskwie przekonanie, że partia panuje nad sytuacją. Być może, że gdyby zdrowie Breżniewa nie zaczęło się tak szybko pogarszać, eksperyment polski, mimo niesprzyjających warunków, potrwałby dłużej. Gdy jednak nie był on już w stanie rządzić, zjednoczone wojsko i KGB rozpoczęły natychmiast rozgrywkę w Polsce, co dało Andropowowi mocną pozycję w chwili śmierci starego wodza. Właśnie na skutek tych różnych poglądów w Moskwie epoka reform w Polsce mogła trwać tak długo.

I tu przechodzimy do spraw polskich, do postawy Kani, Jaruzelskiego i całego Biura Politycznego. Wydaje się, że rozstrzygające dla kryzysu polskiego były dwa początkowe miesiące, wrzesień i październik 1980. Gdyby po strajkach z lata tego roku i podpisaniu umowy w Gdańsku odnowione kierownictwo partii podjęło inicjatywę realizowania tych umów, zaczęło przeprowadzać daleko idące reformy i krytykę dotychczasowego systemu sprawowania władzy, zdobyłoby zapewne pewien kredyt zaufania społecznego i byłoby w stanie kierować krajem. Teza o „kontrewolucji w Polsce” nie była jednak wymysłem Moskwy, ale cichym przekonaniem władz partyjnych w Polsce, uparcie i wieloma kanałami przekazywanym Moskwie. Na tym właśnie polegał nasz dramat. W owych dwu przełomowych miesiącach nikt z wpływowych członków Biura Politycznego nie opowiedział się jednoznacznie za reformami i nikt nie zaczął ich zdecydowanie przeprowadzać. Kierownictwo partii jako całość starało się wręcz je hamować, ustępowało pod naciskiem mas tylko wtedy, gdy już nie mogło przeciwstawić się otwarciu takiemu lub innemu żądaniu. Przykładem mogą być jętrzące targi o zarejestrowanie „Solidarności” i boje o „Solidarność Wiejską”. To właśnie Kania wielokrotnie stwierdzał, że „Solidarność Wiejska” nie może zostać zarejestrowana i że jest wręcz niepotrzebna, bo istnieją przecież już inne organizacje rolników, jak Związek Kółek Rolniczych. A przecież wiadomo było, że jest to organizacja typu administracyjnego, niewiele mająca wspólnego z chłopami, że cała struktura władz szczebla gminnego, handlu, skupu, obsługi rolnictwa działają fatalnie, i było jasne, że nie da się łatwo rozproszyć organizacji liczącej już kilkadziesiąt tysięcy członków. Kania bronił jednak do końca tej straconej sprawy. I tak było właściwie ze wszystkim.

Rezultatem tej polityki była eskalacja żądań, narastający krytycyzm, a nawet wrogość wobec władz i ich pogłębiająca się

izolacja społeczna. Organizacje zaś, które powstawały wbrew ich woli, po długiej i zaciekłej walce o swe istnienie siłą rzeczy nabierały charakteru opozycyjnego wobec reżimu. Przywództwo w nich obejmowali ludzie nastawieni mniej lub bardziej antykomunistycznie, nie zaś rzecznicy dialogu i lojalnej współpracy z władzami. Dla takich po prostu nie było miejsca, bo władze nie chciały dialogu ani współpracy, nie chciały dzielić władzy, odpowiedzialności, szukania dróg wyjścia z kryzysu z powstającymi organizacjami i ciałami społecznymi. W tej sytuacji nawet sejm dworskich klakierów, dobrany przecież przez ekipę Gierka, stał się ciałem na poły opozycyjnym i próbował przejąć inicjatywę polityczną. Władza — rozumiana jako inicjatywa polityczna — rzeczywiście „leżała na ulicy”.

Nie chodziło przy tym o bierność partii jako całości. Wręcz przeciwnie, wiele było inicjatyw oddolnych, „porozumień poziomych”, wręcz całe instancje wojewódzkie stanęły zdecydowanie po stronie reform. Kierownictwo partii broniło istniejącego systemu rządzenia i przeciwstawiało się nie tylko inicjatywom społecznym „Solidarności”, ale także własnej partii, w której od jesieni 1979 narastał ruch krytyczny. To właśnie pod naporem wewnątrzpartyjnej krytyki musiano podjąć decyzję o odsunięciu Jaroszewicza. A była to decyzja niezwykle trudna dla tej ekipy; był on głównym mężem zaufania Moskwy, gwarantem obrony jej interesów, miał ją zabezpieczać przed „prozachodnimi” i patriotycznymi ciągami Gierka. Przypomnijmy, że to Gierek właśnie chciał uniezależnić Polskę od potencjalnego szantażu surowcowego Moskwy, próbował przestawić polskie zakupy w tej dziedzinie, 50 % ropy chciał kupować na Zachodzie, dla tego właśnie celu zbudował Port Północny. Bez urządzeń przeładunkowych w porcie „trudności techniczne” rurociągów sowieckich i „zakręcenie kurka ropy” (choćby na tydzień) stawiałoby Polskę od razu na przegranych pozycjach. Polityka gospodarcza Gierka służyła zwiększaniu samodzielności politycznej. Inna rzecz, że realizowana była wadliwie i poniekąd bojkotowana przez Jaroszewicza.

We wrześniu i październiku w partii żądano zwołania nadzwyczajnego zjazdu na grudzień. Było wiele inicjatyw nieoficjalnych. Istniały też w wojsku i milicji siły, gotowe poprzeć reformy. Mogły one wesprzeć ośrodek kierowniczy partii, który podjąłby się ich realizacji. Jednak kierownictwo nie chciało reform. Wizja zjazdu partii, na którym około 50 % członków KC musiałoby utracić swe pozycje i po którym wielu z członków kierownictwa musiałoby odejść spędzała sen z oczu. Dlatego postanowiono go odłożyć do „lepszych czasów” i to stało się bodajże najbardziej fatalną decyzją. Został on ostatecznie zwołany po długotrwałych bojach w łonie partii, gdy kierownictwo nie było już w stanie przeciwstawić się żądaniom. Starano się jedynie stępić ostrze krytyki i ograniczać proponowane zmiany. Niekörtózy z przywódców do końca byli zjazdowi przeciwni. List kierownictwa sowieckiego do polskiego KC tuż przed zjazdem, gdzie wprost deklarowano „votum nieufności” dla Kani i Jaruzelskiego, był swoistą manipulacją mającą umocnić ich pozycje

na zjeździe. Temu też służyło ostentacyjne powstrzymywanie się od całowania podczas transmitowanych przez telewizję spotkań Breżniewa z polskimi przywódcami. List ten i groźby interwencji miały wpłynąć na zjazd i na chwiejnych członków kierownictwa, zapobiec radykalizacji zjazdu.

Kierownictwa polskie i sowieckie są systemem naczyń połączonych. Nie jest chyba przypadkiem, że kolejne terminy interwencji sowieckiej były powiązane z walkami w partii i za każdym razem poprzedzały planowane zwołanie zjazdu: dlatego pojawił się termin początków grudnia i wiosny. Kukliński nie wspomina jeszcze o czerwcu 1981. Być może był to humbug, ale w kręgach kierowniczych w początkach czerwca rozeszła się wiadomość, że właśnie w najbliższych dniach wojsko przejmie władzę, aresztuje opozycjonistów itp. I tego „czarnego piątku” oczekiwano. Odwołanie operacji w ostatniej chwili wywołało westchnienie ulgi.

Dodać tu trzeba, że kierownictwo partii obawiało się własnej partii jeszcze bardziej niż „Solidarności”. Bo to nie „Solidarności” miała wybierać KC, ale zjazd partii, którym w istniejącej sytuacji nie dałoby się manipulować. Zneutralizowanie sił demokratycznych w partii było więc główną troską kierownictwa, choć o tym, rzecz jasna, nie pisano w prasie.

W gruncie rzeczy kierownictwo partii stojące w obliczu dwu zagrożeń, oporu społeczeństwa i reformatorskich dążeń wewnątrz partii, od początku postawiło na „kartę sowiecką”. Występowało wobec własnej partii i wobec społeczeństwa jako reprezentant i obrońca interesów sowieckich. Czyż można się zatem dziwić, że nie broniła Polski przed interwencją? Niektóre z wpływowych osób, z całą pewnością Milewski, potężna „szara eminencja”, wręcz dążyły do interwencji i starały się ją sprowokować, inscenizowały incydenty antysowieckie, prowokowały strajki i konflikty. Były one potrzebne, by przełamać opory kierownictwa partyjnego w Moskwie i zapewne były uzgadniane z KGB. Ambasadę sowiecką w Warszawie zasypywano wrogimi listami, których otrzymywała ona po kilka tysięcy dziennie! Można wątpić, czy pisali je spontanicznie obywatele. Zapewne wysyłali je z różnych miast specjalnie delegowani emisariusze SB. Gdybyśmy mogli zajrzeć do archiwów tej służby, zapewne znaleźlibyśmy na listach płacy wielu najbardziej radykalnych i antysowieckich działaczy opozycji. To w Polsce tworzono świadomie, lub tylko przez prywatę i konserwatyzm, wyobrażenie o „szalejącej kontrrewolucji”, którym straszono Moskwę, apelując do jej obrony.

Zapewne ma rację Kukliński, gdy pisze o negatywnych reakcjach wobec perspektywy bezpośredniej i wyłącznej interwencji sowiecko-czesko-enerdowskiej. Część wojskowych w Sztacie Generalnym odnosiła się do niej negatywnie z pobudek patriotycznych, ale czy wszyscy? Milczy on właściwie o stanowisku Głównego Zarządu Politycznego, który ją popierał, podobnie jak MSW. Trzeba tu przecież dopowiedzieć, że interwencja taka byłaby równie katastrofalna dla kierownictwa partyjnego jak demokratyczny zjazd partii. Jej rezultatem musiałoby być odsunięcie

ówczesnego kierownictwa, a być może nawet jego internowanie. Byłaby to bowiem, obiektywnie, interwencja skierowana przeciwko niemu. Dlatego Jaruzelski i Kania byli tak przygnębieni tą perspektywą; nie tylko o ich miłość Polski chodziło, ale i o nich samych. Udział, chociażby symboliczny, Wojska Polskiego zmieniałby polityczne konsekwencje interwencji w sposób radykalny: był to dla przywódców problem „być albo nie być”. Nie powinniśmy też nadmiernie upraszczać sprawy, nie tylko o prymitywne „zachowanie stołków” chodziło. Każdy polityk jest poniekąd aktorem, działa na arenie społecznej i opinia o nim, możliwość dalszego grania — jest dlań kwestią życiową. I jak każdy człowiek wierzy on, że działa „słusznie”, że broni „słuszných interesów narodowych”. Potępienie przez Moskwę, przez innych przywódców obozu komunistycznego, jest życiową tragedią dla ludzi, którzy tej służbie oddali swe życie.

Kukliński zaledwie wspomina o liście grupy działaczy partyjnych z jesieni 1981, żądającym rozprawy z opozycją. Był to jednak tylko szczyt góry lodowej. Jesienią 1981 rozpoczęto tworzenie bojówek, zaczęto rozdawać im broń. Powstawała struktura mogąca rozpocząć działania bez oglądania się na kierownictwo partii i licząca na wsparcie sowieckie, zapewne przyobiecane. Trudno ocenić, na ile była to zręczna manipulacja, a na ile realne zagrożenie. Dla przywódców było jednak jasne, że ludzie kierujący tworzeniem bojówek zajęliby oczywiście eksponowane pozycje w nowym marionetkowym reżimie opartym na sowieckich bagnetach. Odcinanie się od aktualnego kierownictwa było elementem w grze o przyszłą władzę. Kania i Jaruzelski musieli sobie zdawać sprawę z powagi sytuacji. Eleganckie wyłączenie się Kani z tej gry i próba zachowania dobrego imienia w społeczeństwie przynosi mu z pewnością chlubę, choć kulisów jego odejścia nie znamy.

Do tego trzeba jeszcze dodać, że Kukliński i jego polscy szefowie ze Sztabu Generalnego nie byli zapewne informowani o wszystkich szczegółach planów sowieckich. On pisze o samej interwencji, ale przecież jeszcze ważniejsze od niej było to, jaki reżim zaprowadzony zostanie po niej. O tym na pewno także myśłano w Moskwie. Jak z różnych przecieków można wnosić, padały tam różne propozycje. Na ile miała być zachowana samodzielność państwa polskiego? Czy byłaby to samodzielność Babraka Karmala, czy Husaka? Czy byłaby zachowana administracja czysto polska, czy wprowadzono by na wiele lat administrację wojsk okupacyjnych?

Doświadczenie czeskie pokazało, że najtrudniejsza do przeprowadzenia jest nie sama interwencja zbrojna i okupacja kraju, ale jego późniejsza „pacyfikacja”, stworzenie nowego zespołu kierowniczego i wiernej administracji. A było oczywiście, że „polska zaraza” wywarła o wiele głębszy wpływ na społeczeństwo i struktury administracyjne niż krótkotrwała i odgórnie sterowana „praska wiosna”. Tam była to głównie rozprawa z „hereetykiem”, ale przecież nadal wiernym Moskwie kierownictwem partii. W Polsce był to ruch masowy, a utworzenie niezależnego

związku zawodowego nawet w milicji pokazywało jasno, jak głębokiej erozji uległ istniejący system. Było jasne, że interwencja połączona byłaby z o wiele większymi stratami, a i późniejsza okupacja musiałaby być o wiele trudniejsza, choć zapewne niektórzy z dowódców sowieckich uważali ją za rozwiązanie najłepsze.

Nie chodziło więc w tej „grze o Polskę” prowadzonej przez Kanię i Jaruzelskiego wyłącznie o pewną dwulicowość wobec kierownictwa sowieckiego — jak można by to wnosić z wywiadu Kuklińskiego — ale o sprawy znacznie poważniejsze.

Kilka słów jeszcze o pewnym drobiazgu, o stosunku Kania-Kulikow. Z tekstu można wnosić, że Kania był traktowany przez sowieckich wojskowych z lekceważeniem, że to właśnie oni z nim bezpośrednio pertraktowali, nie zaś Breżniew, jak by wymagał prestiż jego stanowiska.

To może się łączyć z faktem znacznego usamodzielnienia armii, o czym wspominałem. Działała ona poniekąd autonomicznie i dlatego Kania musiał właśnie z nią prowadzić rozmowy. Ona bowiem odgrywała w sprawie polskiej rolę przewodnią. Ale był też czynnik inny. Otóż Kania przez całe lata (w ramach podziału obowiązków w Biurze Politycznym) nadzorował armię i MSW. Z tego tytułu musiał utrzymywać od dawna dość bliskie kontakty z kierownictwem tych resortów w ZSSR i z Kulikowem wypił na pewno niejedną butelkę wódki. Startował więc do rozgrywki o los Polski z niewygodnej roli „kumpla”, zupełnie innej niż kiedyś Ochab, a tym bardziej Gomułka. Zapewne też właśnie ze względu na zaufanie, jakim cieszył się w Moskwie, został wysunięty na pierwszego sekretarza w okresie kryzysu, będąc związany z sowieckimi służbami, które w uregulowaniu spraw polskich miały odegrać rolę kluczową. Być może więc już od samego początku był związany w Moskwie z siłami, które w ruchu reformatorskim w Polsce chciały widzieć tylko kontrrewolucję, która dawałaby im pole do popisu, a później jedynie starał się poszerzyć pole manewru przez dodatkowe kontakty z Breżniewem, już jako pierwszy sekretarz, i stąd wynikało jego lawirowanie? Może konserwatywna orientacja posierpniowego kierownictwa była od razu zaprogramowana w Moskwie, a niekonsekwencje i lawirowanie były tylko rezultatem zmieniających się na Kremlu układów sił i koncepcji? A może, jak też bywa w historii, zabrakło po prostu w polskiej elicie władzy w tym przełomowym okresie osoby, która miałaby format meża stanu? Taki potrafiłby zapewne wypłynąć w partii na fali wielkich reform i dyskusji, jak Wałęsa w „Solidarności”, i przejąć inicjatywę, zmieniając w ten sposób układ sił i sytuację. Tymczasem kryzysem starali się kierować mali biurokraci, którzy nie dorosli do roli wyznaczonej im przez historię. Kania przegrał, nie mając predyspozycji Gomułki czy de Gaulle'a, oparłszy się w ostatnim okresie na grupie Breżniewa, która po prostu jesienią zaczęła tracić wpływy, może przezeń przeceniane? Pytania te pozostają bez odpowiedzi. To po części wyjaśniałoby różnice między jego stanowiskiem a stanowiskiem Jaruzelskiego w sierpniu 1981;

każdy z nich miał swoich mocodawców w Moskwie i reprezentował nie tylko swoje poglądy. Nadto każdy z nich i w Polsce był włączony w odrębne struktury: Kania musiał i zapewne chciał bardziej się liczyć z wolą partii niż Jaruzelski, który nawet będąc premierem otoczył się swoimi generałami. Baza organizacyjna jest zawsze ważnym czynnikiem dla polityka i wpływać musi na jego poglądy i działania.

Liczne elementy tej skomplikowanej sytuacji nie były jasno widoczne z perspektywy Sztabu Generalnego, dlatego Kukliński mógł nie zdawać sobie z nich sprawy, ale warto, abyśmy wiedzieli o nich my wszyscy. Cieszyłbym się, gdyby ten list sprowokował osoby z ówczesnej elity kierowniczej do przedstawienia sprostowań, uzupełnień, czy może nawet do zaprzeczenia moim opiniom.

Zet

List 63-ch

Grono osób zaproszonych przez Lecha Wałęsę, przewodniczącego NSZZ „Solidarność”, zebrane w dniu 31 maja 1987 roku w Warszawie, postanowiło przedstawić opinii publicznej następujące oświadczenie:

W przekonaniu, że trzecia pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny będzie wydarzeniem o doniosłym znaczeniu i daleko sięgnych skutkach, oczekując że społeczeństwo nasze wyjadzie na spotkanie swego Papieża w poczuciu powagi, zespolone jak i poprzednimi razy wokół podstawowych wartości moralnych i społecznych, pragniemy dać wyraz naszemu wspólnemu, następującemu stanowisku:

Obecna sytuacja społeczna, gospodarcza i cywilizacyjna kraju budzi najwyższy niepokój. Podstawowe problemy, które wciąż powodują wybuchy kryzysów społecznych i politycznych, nie zostały dotąd rozwiązane. Konflikt między władzą a szerokimi kręgami społeczeństwa trwa nadal. Rozwijają się kolejne, rodzące się nadzieje na dialog, porozumienie, reformy. Dystans dzielący naszą gospodarkę od czołówki światowej powiększa się. Życie codzienne staje się coraz trudniejsze. Wiele rodzin polskich dotyka nędza. W nastrojach społecznych pogłębia się zwątpienie, poczucie bezsilności i lęk. Wierzimy, że trzecia pielgrzymka polskiego Papieża do Ojczyzny otworzy nowe horyzonty. Nie czas dzisiaj, w obliczu katastrofalnej sytuacji kraju, rozważać rachunek win, krzywd i błędów. Jesteśmy przekonani, że udział społeczeństwa, zwłaszcza młodego pokolenia, w ponoszeniu odpowiedzialności za losy kraju, zależy od odważnego i rozważnego

dążenia do realizacji następujących spraw naczelnych, bez których nie można mówić o normalnym rozwoju kraju:

Po pierwsze — Polacy, jak każdy naród świata, mają prawo do niepodległości. „Nie może być sprawiedliwej Europy bez niepodległej Polski na jej mapie”. Zasady Karty Narodów Zjednoczonych, Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka i Aktu Końcowego w Helsinkach muszą zostać w pełni zrealizowane. Żadnego z problemów polskich nie da się rozwiązać bez zapewnienia Polsce niezbędnej suwerenności państwowej, przez co rozumiemy swobodę co najmniej w zakresie urządzeń wewnętrznych, wolności od ingerencji zewnętrznej i równoprawne stosunki z innymi państwami. Musimy też mieć prawo swobodnego utrzymywania stosunków rodzinnych, kulturalnych i społecznych z naszymi rodakami, tak na Zachodzie jak i na Wschodzie. Mamy prawo wraz z nimi do kształtowania wspólnego losu naszego narodu. Wyprowadzenie kraju z dramatycznej sytuacji wymaga, aby Polacy byli gospodarzami swojej własnej ojczyzny.

Po drugie — Polacy, jak każdy naród świata, mają prawo do życia w demokracji, wolności, w prawdzie, w poszanowaniu prawa. Żadna władza nie potrafi, jak dowiodła historia, skutecznie kierować życiem państwowym nowoczesnych społeczeństw cywilizowanych, bez szerokiej akceptacji społecznej, wyrażonej w sposób nieskrępowany i otwarty. Niezbędne jest zapewnienie rzeczywistej równości wobec prawa, eliminacja kastowych przywilejów społecznych, realizacja podstawowych ideałów społecznych uznawanych zarówno przez polską tradycję historyczną jak przez naukę społeczną Kościoła. Bez wcielenia w życie wyższych ideałów, takich jak wolność, co najmniej przekonania, swoboda zrzeszania się w związki zawodowe, organizacje społeczne i kulturalne, wolność słowa, trudno mówić o normalnym funkcjonowaniu państwa, gospodarki i kultury. Wymaga to uznania zasady pluralizmu w życiu społecznym i politycznym. Nie ma współczesnej cywilizacji bez rzetelnego, godnego szacunku prawa, wiążącego nie tylko rządzących ale i rządzonych, bez rzeczywistej niezależności sądów, swobody rozwoju oświaty i kultury. Usunięcie barier w obiegu myśli i informacji, stworzenie możliwości istnienia niezależnych od władz pism i domów wydawniczych są niezbędnym warunkiem utrzymania naszej tożsamości.

Po trzecie — Polacy, jak każdy naród świata, mają prawo do samodzielnie kształtowanego ładu gospodarczego, który nadaje sens pracy, zapewnia skuteczność inicjatyw ludzkich, pozwala uczestniczyć w pożytkach rozwoju cywilizacyjnego, gwarantuje godziwe warunki życia, podtrzymuje właściwe relacje między człowiekiem a środowiskiem naturalnym. Już teraz należy usunąć przeszkody ograniczające lub uniemożliwiające rozwój tak indywidualnej jak społecznej, niezależnej od państwa działalności gospodarczej.

Z tych spraw naczelnych Polacy zrezygnować nie mogą. One określają nasze działania i nasze nadzieje. Tkwi w tych prawach wielka siła twórcza. Tylko Polska, w której realizuje się te naczelną prawa, może być aktywnym i stabilnym członkiem wspól-

noty wszystkich krajów europejskich. Zasadą naszych działań na rzecz tych praw jest wyrzeczenie się przemocy. Taki jest sens doświadczenia „Solidarności”. Te zasady pragniemy uczynić częścią składową filozofii pracy dla kraju. Przesłanie „złoto dobrem zwyciężaj” dało Polsce mądry i bogaty posiew. Naszym głębokim pragnieniem jest, aby czerwcowy pielgrzymka Jana Pawła II stała się impulsem do uregulowania najtrudniejszych problemów Polski w imię wspólnego dobra. Wymaga to po obu stronach odwagi i wyobraźni. Jesteśmy pewni, że obecność Ojca Świętego umocni polskie aspiracje i urealni polskie nadzieje.

31 maja 1987

Janusz Beksiak — ekonomista, Jacek Bocheński — pisarz, Stefan Bratkowski — publicysta, Ryszard Bugaj — ekonomista, Zbigniew Bujak — robotnik i działacz związkowy, Andrzej Celiński — socjolog i działacz związkowy, Wiesław Chrzanowski — prawnik, Paweł Czartoryski — ekonomista, Roman Duda — matematyk, Kazimierz Dziwanowski — publicysta, Marek Edelman — lekarz, Bronisław Geremek — historyk, Władysław Goldfinger-Kunicki — biolog, Aleksander Hall — publicysta, Gabriel Janowski — rolnik i działacz związkowy, Tadeusz Jedynek — robotnik i działacz związkowy, Ryszard Kapuściński — pisarz, Maja Komorowska — aktorka, Krzysztof Kozłowski — dziennikarz, Wojciech Lamentowicz — prawnik, Andrzej Łapicki — aktor, Jacek Merkel — inżynier i działacz związkowy, Adam Michnik — historyk, Jan Olszewski — prawnik, Janusz Onyszkiewicz — matematyk i działacz związkowy, Edmund Osmańczyk — publicysta, Joanna Penonowa — lekarz, Jerzy Puciata — artysta malarz, Ryszard Reiff — publicysta, Henryk Samsonowicz — historyk, ks. Jacek Salij — teolog, Adam Stanowski — socjolog, Andrzej Stelmachowski — prawnik, Jan Strzelecki — socjolog, Klemens Szaniawski — filozof, Andrzej Szczepkowski — aktor, Józef Ślisz — rolnik i działacz związkowy, Krzysztof Sliwiński — publicysta, Jerzy Turowicz — publicysta, Lech Wałęsa — robotnik i działacz związkowy, Andrzej Wielowieyski — ekonomista, Wiktor Woroszyński — pisarz, Janusz Ziółkowski — socjolog, Tadeusz Zieliński — prawnik, Mieczysław Zlat — historyk sztuki, Juliusz Żuławski — pisarz.

Następujące osoby, które nie mogły wziąć udziału w spotkaniu, wyraziły swoją solidarność z powyższym oświadczeniem: Władysław Bartoszewski — historyk, Marian Brandys — pisarz, Władysław Frasyniuk — robotnik i działacz związkowy, Stanisław Janisz — rolnik i działacz związkowy, Jacek Kuroń — publicysta, Jan Józef Lipski — historyk literatury, Tadeusz Mazowiecki — publicysta, Halina Mikołajska — aktorka, Maria Joanna Radomska — biolog, Jan Rozner — prawnik, Jan Józef Szczepański — pisarz, ks. Józef Tischner — filozof, Karol Taylor — biolog, Witold Trzeciakowski — ekonomista, Andrzej Wajda — reżyser, Halina Winiarska — aktorka, Krystyna Zachwatowicz — scenograf.

REM

Santa Barbara, Kalifornia, 15 maja 1987.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Autor podpisanej inicjałami K.A. notatki w warszawskiej *Polityce* (28 marca 1987) zastanawia się nad etymologią nazwy „Rem”, wyprowadzając ją żartobliwie z łaciny lub anglosaskiej terminologii naukowej. Hmm... Imię Rem było rzeczywiście w dość powszechnym użyciu w pewnych środowiskach, ale akurat nie w starożytnym Rzymie czy w Oxfordzie. Cytuję z książki Marka Azbela „Refusenik” (Houghton Mifflin Company, Boston 1981), przypis na stronie 85.

„Vladlen”, skrócone Vladimir Lenin, było jednym z tych wielu absurdalnych imion nadawanych dzieciom urodzonym w Rosji w latach dwudziestych i trzydziestych. Dziewczynki nazywano „Ninel” — Lenin wspaniał!

Najbardziej chyba niewiarygodnym pomysłem tej kategorii było imię „Rem” — skrót od znanego sloganu zawierającego obietnicę Lenina Rewolucja i Elektryfikacja Mira. Koniec cytatu.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrawiam

Marek ABRAMOWICZ

DEKLARACJA OPOZYCJI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Opozycja niepodległościowa wita Ojca Świętego na Ziemi Polskiej. Jesteśmy przedstawicielami wielu nurtów politycznych. Różnicują nas poglądy odnośnie przeszłości, odmiennie widzimy teraźniejszość. Jednoczy nas walka ze złem, którego uosobieniem jest totalitaryzm komunistyczny. Zrujnowana gospodarka, skażona ziemia, woda i powietrze, postępujący proces deprawacji społeczeństwa, upadek kultury i nauki — oto wyniki rządów komunistycznych, narzuconych nam przemocą. Jest to władza nielegalna, antypolska. Od pierwszej chwili istnienia tej władzy na naszych ziemiach jej naczelnym dążeniem jest podporządkowanie Polski interesom komunistycznym, reprezentowanym przez Związek Radziecki. Służą temu stanowione prawa, terror, szantaż i niszczenie każdej niezależnej inicjatywy. Z bólem stwierdzamy, że w wielu przypadkach sowietyzacja okazała się skuteczna. Biernie poddaje się jej znaczna część społeczeństwa. Wielu, nie bacząc na polski interes, służy komunistom, biorąc czynny udział w zniewalaniu rodaków.

Świadomi degradacji Polski podjęliśmy walkę o niepodległość, wolność i demokrację.

Praktycznym wyrazem tej walki dzisiaj jest praca na rzecz podniesienia świadomości narodowej Polaków oraz staranie nad zjednoczeniem naszych sił we wspólnym froncie niepodległościowym. Nie zapominamy przy tym o dążeniach wyzwoleniczych innych narodów bloku wschodniego i uznajemy ich prawo do samostanowienia. W walce naszej nie ustaniemy!

Polska nie chce i nie może płacić niewolą za spokój i wolność innych narodów. Europa i świat muszą wkalkulować to w swoje rachuby polityczne. O swoje niezbywalne prawo do niepodległości dopominamy się głośno i wyraźnie!

Składając nasze troski przed Papieżem Polakiem, prosimy Cię, Ojciec Święty o zrozumienie, błogosławieństwo i modlitwę.

FEDERACJA „WOLNOŚĆ — SPRAWIEDLIWOŚĆ — NIEPODLEGŁOŚĆ” — RUCH POLITYCZNY „WYZWOLENIE”,

KLUB MYŚLI ROBOTNICZEJ „BAZA”,

LIBERALNO-DEMOKRATYCZNA PARTIA „NIEPODLEGŁOŚĆ”,

WYDAWNICTWO „ABC”,

„SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA” — za Organizację Franciszek PORYCKI,

POROZUMIENIE PRASOWE „SOLIDARNOŚĆ ZWYCIĘŻY”

Jedyna w Bawarii **POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA**

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 · D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

wykonuje:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, plakaty,
odezwy, prospekty, karty świąteczne, ulotki, blankiety
oraz wszelkie inne

organizacyjne, społeczne, przemysłowe i prywatne druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W czwartek 28 maja oczom spacerujących wieczorem po Placu Czerwonym moskwičan ukazał się niewiarygodny widok: mały samolot, pokrążywszy chwilę nad Kremlm, wylądował na środku placu. Zdumiewający był nie tylko fakt, że nad centrum stolicy ukazał się samolot (od dwudziestu lat loty nad Moskwą są zakazane), ale i to, że pilotem okazał się cudzoziemiec, jak się wyjaśniło Niemiec. Gdyby śmiech mógł zabijać, to pod koniec maja 1987 roku powinni byli zejść z tego świata wszyscy ludzie, odpowiedzialni za obronę powietrzną ZSSR. Młody pilot przeleciał 640 kilometrów od Helsinek do Moskwy i pies z kulawą nogą nie zwrócił na niego uwagi. Eksperci wojskowi zaczęli badać, jak do tego doszło, kto jest winien, na ile skuteczna jest sowiecka obrona przeciwlotnicza itd. Lud zna odpowiedź i bez ekspertów: samolot spokojnie przeleciał nad całym terytorium sowieckim aż do Moskwy, bo akurat był Dzień Wojsk Ochrony Pogranicza i całe pół miliona sowieckich żołnierzy ochrony pogranicza było pijanych w sztok.

To humorystyczne wydarzenie pozwoliło Gorbaczowowi raz jeszcze pokazać, że jest sprytnym politykiem. W sobotę zwołał nadzwyczajne posiedzenie Biura Politycznego. Ogłoszony po posiedzeniu komunikat stwierdza, że sowiecka obrona przeciwlotnicza nie stanęła na wysokości zadania, wobec czego „postanowiono wzmocnić kierownictwo Ministerstwa Obrony ZSSR”. Równocześnie TASS doniósł, że zdymisjonowano ministra Obrony, marszałka Sokołowa oraz dowódcę Obrony Przeciwlotniczej, marszałka Kołdunowa. Nowym ministrem Obrony został generał armii Dmitrij Jazow. Godny uwagi fakt: marszałka Kołdunowa zdymisjonowało Biuro Polityczne, wbrew istniejącym ustawom i obyczajom politycznym.

Gorbaczow okazał nie tylko zdecydowanie, natychmiast karząc winnych, ale przy okazji przypominał wszystkim, którzy mieliby co do tego wątpliwości, kto tu rządzi: rządzi partia, tzn. jej ge-

neralny sekretarz. Za jednym zamachem pozbył się też starego Sokołowa i powołał na jego miejsce swojego człowieka. Generał Jazow był zaledwie czwartym wiceministrem Obrony, i to mianowanym dopiero w kwietniu 1987 roku.

Zgodnie z przyjętymi zasadami do stanowiska ministra Obrony mogli pretendować szef sztabu generalnego, marszałek Achromiejew, albo naczelny dowódca wojsk Paktu Warszawskiego, marszałek Kulikow, ewentualnie wiceminister Obrony, marszałek Łuszew. Ale, jak wiadomo, wola generalnego sekretarza jest prawem.

Ciekawe, co zdecyduje partia jeśli chodzi o los młodego pilota, który spadł jej jak z nieba na Plac Czerwony. Precedens istnieje. W listopadzie 1938 roku młody Anglik (młodość doprawdy ma skrzydła!) wylądował na swym samolocie we wsi Głuchowo, 200 kilometrów od Moskwy. Młody Anglik był zakochany i przyleciał do swojej lubej. Aresztowano go i wsadzono do tego samego więzienia, w którym dziś przebywa młody Niemiec. W 1938 roku generalnym sekretarzem był — jak niektórzy ludzie jeszcze pamiętają — towarzysz Stalin, człowiek o gołęmbim sercu. Wzruszony żarliwą miłością młodego Brytyjczyka, kazał go wypuścić. Bez ukochanej.

Inne wydarzenie, choć ważne, wzbudziło znacznie mniejsze zainteresowanie, przynajmniej za granicą. Opisane jest ono w *Moskowskich nowostiach* nr 20 z 17 maja 1987. Korespondencja zaczyna się tymi słowami: „Owego dnia około 6-tej wieczorem pośrodku Placu 50-lecia Października zaczęli gromadzić się ludzie. Kiedy liczba ich sięgnęła czterech setek, ruszyli w kierunku Placu Sowietów, niosąc nad głowami transparenty z napisami: «Chcemy spotkania z M. S. Gorbaczowem i B. N. Jelcynem!», «Przerwać roboty na Pokłonnej Górze!», «Żądamy statusu prawnego dla historyczno-patriotycznego stowarzyszenia Pamięć!», «Precz z sabotażystami *pieriestrojki*!». Dalej gazeta pisała: „Demonstrantów zaproszono do Rady Miejskiej Moskwy, gdzie wyszli im naprzeciw pierwszy sekretarz moskiewskiej organizacji partyjnej Borys Jelcyn i przewodniczący Rady Miejskiej Walerij Sajkin. Zebrani powitali gospodarzy Moskwy oklaskami. Borys Jelcyn wypowiedział znamienne słowa: «Znowu oklaski! Pora oduczyć się kultu wodzów. Prosiłście o spotkanie, więc przyjechałem porozmawiać jak równy z równymi. Jakie macie pytania?».

Wydarzenie to uważam za ważniejsze aniżeli wylądowanie małego samolotu na Placu Czerwonym. Samolot to przypadek, wynik odwagi młodego człowieka i nieuwagi wojsk ochrony pogranicza. Natomiast 6 maja w centrum Moskwy zebrała się demonstracja czterystu ludzi, podeszła pod gmach Rady Miejskiej, zażądała spotkania z „kierownictwem” i sekretarz moskiewskiej organizacji partyjnej natychmiast przyjechał porozmawiać „jak równy z równymi”.

Wśród trzech postulatów demonstrujących najważniejszy dotyczy prawnego statusu stowarzyszenia „Pamięć”. To właśnie jego członkowie zorganizowali demonstrację. Jelcyn odpowie-

dział na ich żądanie: „O rejestracji 'Pamięci' należy pomyśleć”. Drugie żądanie — przerwanie robót na Pokłonnej Górze — zostało zaspokojone: prace nad budową pomnika zwycięstwa, którego projekt nie podoba się demonstrantom, zdecydowano przerwać. Jeśli zaś chodzi o walkę z „sabotażystami *pieriestrojki*”, to Borys Jelcyn oczywiście w pełni solidaryzował się z demonstrantami.

Stowarzyszenie „Pamięć” jest zjawiskiem ściśle związanym z *pieriestrojką* i odzwierciedleniem problemów, które pojawiają się przy każdym kolejnym okresie „burzy i zamętu”, jaki towarzyszy zmianie na stanowisku generalnego sekretarza. Te stałe, podskórnie zżerające system problemy spontanicznie wychodzą na jaw, kiedy centralna władza trochę słabnie. Wykorzystywane są jednak po to, aby „wypuścić parę z kotła” i odwrócić uwagę od chwilowej słabości władzy.

Czym jest stowarzyszenie „Pamięć”? Zwracając się do uczestników spotkania, Borys Jelcyn powiedział, że „liczne ich pytania są uzasadnione, a ludzie, którzy je zadali kierują się uczuciem patriotyzmu, miłości ojczyzny. Jednak nie wszystkie przesłanki ich rozumowania i wnioski jakie z nich wyciągają są słuszne”.

Powiedzmy wprost, że jest to trafna charakterystyka. „Nie wszystkie ich wnioski są słuszne...”. Tylko partia komunistyczna wyciąga zawsze i ze wszystkiego słuszne wnioski, bowiem władza jedyną słuszną nauką. Członkowie „Pamięci” mogą mieć rację tylko czasami. Za to na pewno są szlachetnymi ludźmi.

Nie wszyscy są tego zdania. Dwadzieścia lat temu utworzono dobrowolne Wszechrosyjskie Towarzystwo Ochrony Zabytków Historii i Kultury (WOOPIK). Od tego czasu Towarzystwo uchroniło bardzo mało zabytków (sam pomysł obrony zabytków — przed kim? — wydaje się dziwny, choć jest w ZSSR bardzo uzasadniony), natomiast liczba jego członków rosła w oszałamiającym tempie. W samej Moskwie WOOPIK liczy dziś 800 tysięcy członków. Stosunkowo niedawno w szeregach Towarzystwa Ochrony Zabytków zrodziło się stowarzyszenie „Pamięć”. Należą do niego najenergiczniejsi, najbardziej dynamiczni i najbardziej patriotyczni obrońcy historii i kultury. Rosyjskiej historii i kultury.

Zacytowałem przed chwilą *Moskowskie nowosti* z 17 maja. 22 maja *Komsomolskaja prawda* opublikowała duży artykuł dziennikarki E. Łosoto, zatytułowany „W mrokach niepamięci”. Podtytuł: „Dokąd zmierzają przywódcy tzw. stowarzyszenia 'Pamięć'”. Bez znaku zapytania, ponieważ artykuł wyjaśnia, dokąd zmierzają. E. Łosoto zaczyna od demonstracyjnej „patriotyczności” stowarzyszenia: „Na zebraniach 'Pamięci' mówców przedstawia się następująco: głos ma architekt patriota X”. Dalej autorka prosto i lakonicznie charakteryzuje ich patriotyzm: „Zbliźcie doń zapaloną iskrę antysemityzmu, a zobaczycie, czym jest 'Pamięć’”. Przemówienia tych patriotów, powiada E. Łosoto, odznaczają się „bezwstydnym pomieszaniem klerykalizmu, mistycyzmu i 'leninizmu’”.

Po tym wstępie, zaznajamiając czytelnika z „nieformalnym stowarzyszeniem 'Pamięć’”, E. Łosoto opisuje jedno z zebrzań,

które odbyło się w gmachu rejonowego komitetu partii w Moskwie. „Z pewnych powodów — pisze E. Łosoto bez bliższych wyjaśnień — komitet rejonowy został zmuszony do udostępnienia 'Pamięci' lokalu”. Powiedzmy *en passant*, że moskiewski komitet partyjny może zostać do czegośkolwiek „zmuszony” tylko przez sekretarza miejskiego komitetu partyjnego, Jelcyna. Najciekawsze były przemówienia.

Na zebraniu o którym pisze E. Łosoto mowa była o przeszłości: Żydzi Kaganowicz i Gubelman-Jarosławski zburzyli Moskwę, jej stare pałace, prawosławne cerkwie. Mowa też była o teraźniejszości: „imperializm i syjonizm nasyłają nam wrogów, którzy szerzą biurokrację. Wróg ten zagnieździł się wszędzie i doprowadził nas do katastrofy. Wśród obecnych na tej sali co trzeci jest geniuszem, ale wróg sprawił, że nie mógł dać temu wyrazu”. Mowa była wreszcie o przyszłości: „Trzeba zewrzeć szeregi dla urzeczywistnienia nowego politycznego kursu i wypowiedzieć ostatni, decydujący bój biurokracji — tej hydrze międzynarodowej masonerii, syjonizmu i imperializmu”.

Majowe zebranie „Pamięci” w gmachu rejonowego komitetu partii podobne jest jak dwie krople wody do marcowego posiedzenia w Centralnym Domu Artystów (stenogram przemówień w *Russkiej mysli* z 15 maja 1987). Ta sama mieszkanka komunizmu z czarnosecinnym szowinizmem, mistycyzmu z leninizmem. Wrogowie „prowadzą 'wojnę gwiazdną' przeciw Moskwie, stolicy naszej ojczyzny i światowego ruchu komunistycznego”. Tymi „gwiazdnymi wrogami” są w obu przypadkach syjoniści i masoni. W odpowiedzi na pisemne pytanie: „Rzeczywiście wierzyście w spisek żydowski przeciw zabytkom architektury czy tylko chcecie zrobić wrażenie na antysemickim audytorium?” mówca odpowiedział: „Nie jesteśmy antysemitami. Jesteśmy wrogami rasizmu. Nie mówiłem o spisku żydowskim, mówiłem o spisku 'martwych dusz'”. Przewodniczący zebrania dorzucił: „Autor pytania używa obcej nam terminologii. Walczymy nie z Żydami, a z wpływami faszystowsko-syjonistycznymi”.

„Pamięć” jest stowarzyszeniem nieformalnym¹. Natomiast stuprocentowo „formalny” i oficjalny dodatek do rządowej gazety *Izwestia*, zatytułowany *Niedziela*, ogłosił w nrze 20 z 26 maja 1987 sensacyjny artykuł pt. „Aryjska ścieżka masonów”, którego autor dowodzi, że to masoni są twórcami ideologii hitlerowskiej. Tyle co do przeszłości. Dziś natomiast „masoneria nadal zapuszcza korzenie w wielu krajach Europy Zachodniej i Ameryki”, bo „doktryny masonskie są niezmiennie i niezmiennie są ich metody”. Kandydat nauk historycznych A. Augus opisuje w litewskiej *Komsomolskiej Prawdzie* (12 maja 1987), jak masoni obalili dynastię Romanowów dzięki zorganizowanej przez nich rewolucji lutowej. *Prawda* nie pozostaje w tyle za pozostałymi organami pra-

sowymi: 17 maja ukazał się na jej łamach wywiad z zażartym przeciwnikiem masonów i innych wrogów narodu rosyjskiego, Walentynem Pikulem, najpopularniejszym autorem powieści historycznych. Należy w tym miejscu przypomnieć, że kiedy w 1979 roku pismo *Nasz sowietnik* opublikowało powieść Pikula „U posledniej czerty”, książkę o Żydach, którzy przy pomocy Rasputina obalili samodzierżawie, *Prawda* musiała skrytykować autora za antysemityzm i pociąg do erotyki. Dziś centralny organ KPZS drukuje wywiad z Pikulem, zatytułowany „Lubię silne osobowości”.

Trzecie wydarzenie minionego miesiąca, licznymi niemi powiązane z drugim, to walne zebranie zarządu Związku Pisarzy Sowieckich. Skrócony stenogram przemówień pisarzy zajął dziesięć stron *Literaturnoj gazety* (nr 19 z 6 maja 1987). Jak mi napisał przyjaciel z Warszawy, „to prawdziwa powieść, charaktery, temperamenty”. Zgadza się z tym. Mogę tylko dorzucić, że jest to powieść dokumentalna o dzisiejszej sowieckiej rzeczywistości, której skądinąd nikt jeszcze nie napisał. Dokument ten jest tym ciekawszy, że jego autorzy i zarazem bohaterowie są pisarzami, którym pozwolono dziś mówić to, co myślą. Pozwolenie to naturalnie warunkowe, nikt przecież nie wie, co będzie jutro i co wypomną dzisiejszym gadułom. Aleksander Borszczagowski, jedna z ofiar walki z kosmopolityzmem w 1948 roku, nie bez racji przypominał, jak zapłacił A. Jaszyn za opowiadanie „Ryczagi” z 1956 roku. Po czym zacytował fragment tego opowiadania, które i dziś pasuje jak ulał do rządzących i rządzonych.

Walne zebranie Związku Pisarzy odbywało się po VIII zjeździe pisarzy. Ubiegłe miesiące rozwiały wiele złudzeń, w tym i nadzieje na to, że nowo wybrany liczny sekretariat i zarząd związku, do którego weszło sześciu szanowanych pisarzy, pozwolą zmienić charakter związku. Wszystko pozostało po staremu. Wielu pisarzy pyta: co zmieniła *pieriestrojka*? Dlaczego się za trzymała? Oba pytania rozdzieliły pisarzy na dwie zdecydowanie wrogie grupy. Jedna uważa, że *pieriestrojka* stanęła w miejscu, bo i tak zaszła za daleko, druga — że stanęła wskutek sprzeciwu wrogów, przede wszystkim sławnych pisarzy zajmujących naczelne stanowiska w związku, czemu właśnie zawdzięczają swoją sławę.

Pierwszą grupę można nazwać „patriotyczną”: porównując przemówienia działaczy „Pamięci” i licznych pisarzy na walnym zebraniu, stwierdza się zaskakującą zbieżność haseł, sformułowań i definicji. Szczególną nienawiść „patriotów” budzą muzyczne zespoły rockowe oraz „nekrofilia”, jak nazywają wydawanie książek nieżyjących pisarzy, np. Gumilowa, Achmatowej, Nabokowa. Ale rock doprowadza ich do prawdziwej wściekłości. Jurij Siergiejew krzyczał: „Będziemy czujni. Należy walczyć z oglupianiem młodzieży 'kulturą masową’. Jest to dziś najważniejsza sprawa. 'Metal-rock’ z całą symboliką średniowiecznego zakonu morderców, ze swym rozbijackim programem burzenia kultury i wprowadzenia 'Kościoła szatana’ to nie żadna muzyka, ale ruch burżuazyjnej psychologii”. Żałuję, że nie znam twórczości Siergie-

1. Wyrażenie „nieformalny” pojawiło się w słownictwie sowieckim stosunkowo niedawno. Po raz pierwszy zetknąłem się z nim w stenogramach przesłuchań komisji Grabskiego, kiedy Grabski proponował, by zastąpić wyrażenie „mafia” terminem „grupa nieformalna”.

jewa, którego fantazja i temperament są bardzo obiecujące. Zastanawia mnie tylko, że jakiś mówca na sabacie „Pamięci” powiedział to samo: „Zespoły rockowe to satanizm, oni składają przysięgę na szatana!” (*Komsomolskaja prawda* z 22 maja 1987). Władimir Krupin, pisarz bardziej znany niż Siergiejew, zgadza się z przedmową: „Rockowcy to ludzie straceni, a rock nie jest tak prosty jakby się zdawało. Dużo się tym zajmowałem...”. Wreszcie najbardziej znany z tej plejady pisarz, autor słynnego poematu dla dzieci *Diadia Stiopa* i hymnu Związku Radzieckiego, Siergiej Michajłow, ostrzega: „Towarzysze, jestem głęboko przekonany, że nie są to po prostu niegroźne tańce młodzieżowe, lecz zaraza, na razie niestety nieuleczalna. Jest to moralny *aids* (sida), na który w żaden sposób nie udaje się znaleźć lekarstwa”. Jest warte uwagi, że zarówno na zebraniu „Pamięci” jak podczas marcowego posiedzenia w Centralnym Domu Artystów stwierdzano, że „obca zachodnia ideologia jest groźniejsza od *aids*”. Za ośrodek „patriotów” i ich ostoję powszechnie uchodzi pismo *Nasz sowremiennik*.

Drugą grupę trudno określić, bo jej przedstawiciele wyrażają się nieśmiało i niejasno, szermując ładnie brzmiącymi ogólnikami o wiecznych wartościach pięknej duszy ludzkiej. Bastionami „pięknoduchów” są dwa pisma, *Nowyj mir* i *Znamia*.

Na dziesięciu ogromnych stronicach *Literaturnoj gazety* w ogóle nie było mowy o literaturze. Dyskusja dotyczyła losów kraju. Jest to znak czasów. Aleksander Prochanow, jeden z najgłośniejszych „patriotów”, który jednak przedstawia odrębną pozycję „imperialną”, słusznie powiedział: „Dzisiejsze położenie pisarzy w społeczeństwie jest czymś unikalnym. Okazali się najaktywniejszym, najmniej skostniałym w starych monolitach środowiskiem, zdolnym do niezależnego wypowiadania poglądów w taki sposób, żeby usłyszał ich naród i struktury”. Pisarzom pozwolono mówić, a Gorbaczow zamierza wykorzystywać ich jako taran przeciwko „strukturom”.

Decyzja taka jest brzemienna w niebezpieczeństwa: „jawność” może wystąpić z brzegów. Przemówienia na walnym zebraniu pisarzy pokazały, jaki kierunek „jawności” jest szczególnie ryzykowny. Po raz pierwszy może obok wielkorosyjskich szowinistycznych manifestów rozległy się skargi, jeszcze niezdeterminowane i nieśmiałe, ale jednak skargi pisarzy z republik nierosyjskich. Skarżyli się oni na dwie katastrofy, jakie spadły na ich narody: obumieranie języków narodowych przy równoległej słabej znajomości języka rosyjskiego, np. w republikach środkowo-azjatyckich, oraz wyniszczenie przyrody. Białorusin Nil Gilewicz opisał, że w Mińsku nie ma ani jednej szkoły z białoruskim językiem wykładowym. Jurij Surowcew dorzucił, że na całej Białorusi istniało w 1981 dziewięć białoruskich szkół, a w obecnym roku pozostało ich pięć. Ukraińiec Borys Olijnyk powiadomił zebranych, że „w niektórych miastach obwodowych liczba szkół ukraińskich zbliża się do zera”. Ukraiński pisarz ośmielił się wspomnieć, że należałoby koniecznie wydać pisma Władimira Wyny-

czunki i akademika Jawornickiego. Ukraińiec Jurij Muszkietyk dorzucił, że w jego rodzinnym mieście Czernihowie nie ma ani jednej ukraińskiej szkoły. Mowa była o tym, że w Baszkirii i wielu innych autonomicznych republikach rośnie pokolenie nie władające ojczystym językiem. Ci sami młodzi ludzie nie znają też dobrze rosyjskiego, zwłaszcza w republikach środkowo-azjatyckich. Siergiej Michajłow zaproponował, aby „podjąć zdecydowane kroki w dziedzinie nauczania w szkole dwóch języków: rosyjskiego i ojczystego. Począwszy od pierwszej klasy”.

Inna katastrofa, o której mówili pisarze, dotyczy ekologii. Rosyjskim pisarzom udało się skorzystać ze zmian „na szczycie” dla wymuszenia decyzji, która być może ocali jezioro Bajkał — odłożenia realizacji projektu zmiany biegu rzek Północy. Pisarze z innych republik usiłują bić na trwogę. Na walnym zebraniu mowa była o ekologicznej katastrofie w Azji Środkowej. Przytaczano wstrząsające przykłady. „Ludzkość nie zna przykładu — powiedział Karakałpak Tulenbergen Kaipbergenow — żeby przez ćwierć wieku na oczach jednego pokolenia zniknęło z powierzchni ziemi morze o powierzchni ponad 6 mln hektarów i głębokości do 69 metrów. Morze to w połowie już wyschło”. Turkmeniec Chudabierdy Durdyjew opisał, że Morze Kaspijskie pokryte jest warstwą ropy na przestrzeni 800 kilometrów, a zagrożone są rzeka Ural i słynny zalew Kara-Bogaz. Na skażenie ziemi, morza i powietrza uskarżali się pisarze Nadbałtyki i Białorusi. Jeśli by ktoś szukał dowodów na niszczycielski charakter planowego systemu socjalistycznego, znajdzie je w przemówieniach pisarzy na walnym zebraniu, z których można sporządzić straszny akt oskarżenia.

Sądząc po wystąpieniach pisarzy, sytuacja jest bez wyjścia. Wokoło sami wrogowie. Jedni wietrzą we wszystkim „spisek masonów i syjonistów”, którzy wymyślili biurokrację dla złamania Rosji, drudzy widzą katastrofę ekologiczną i zamieranie języków narodowych, trzeci szowinizm. Wszyscy zaklinają się na wierność Gorbaczowowi i żądają *pieriestrojki* oraz „jawności”.

Tymczasem „jawność” zdaje po raz pierwszy od „kwietniowej wiosny” prawdziwy egzamin. Pod koniec maja grupa niedawno zwolnionych więźniów politycznych powiadomiła, że zaczyna wydawać niezależny biuletyn informacyjny pod tytułem „Jawność”. Naczelny redaktor pisma, Siergiej Grigorijan oświadczył, że ma już materiał na piętnaście numerów. Na początku czerwca Aleksander Podrabinek, przebywający na zesłaniu po wieloletnim pobycie w obozie, wysłał do „przywódców ZSSR” list otwarty z prośbą o zgodę na wydawanie na zasadach spółdzielczych wolnego, niezależnego tygodnika. Podrabinek powołuje się na art. 17 gorbaczowskiej uchwały o indywidualnej pracy zarobkowej. Z Moskwy nadeszła wiadomość o stworzeniu nieoficjalnego stowarzyszenia „Demokracja i humanizm”. Członkowie tego stowarzyszenia chcieliby — jak piszą w liście do rządu — spotkać się z władzami i porozmawiać o zwolnieniu pozostałych w łagrach i więzieniach więźniów politycznych.

Gdyby Borys Jelcyń, który natychmiast przybiegł rozmawiać z demonstrantami ze stowarzyszenia „Pamięć”, zaprosił z kolei członków stowarzyszenia „Demokracja i humanizm”, można by powiedzieć, że „jawność” przestała być hasłem reklamowym.

Adam KRUCZEK

10 czerwca 1987

Kronika ukraińska

Z łagrów lub zesłania zwolniono następujących ukraińskich więźniów politycznych i działaczy religijnych: A. Łupynosa, P. Skoczka, D. Mazura, J. Melnyka, W. Ostrenka, W. Włoskonosa, W. Pohorił, Z. Popadiuka, K. Semeniuka, N. Semencowa, W. Szewczenka, J. Terelię, H. Barac-Kochan, M. Słobodiana, W. Andruszko, W. Anenka, M. Ihnatenko, W. Chaiłę, W. Dilidiwkę, W. Kawaciwa. Danyło Szumukowi pozwolono opuścić zesłanie i wyemigrować do Kanady. Szumuk był najstarszym więźniem ukraińskim: w 1935 roku został skazany w Polsce na 8 lat za działalność w Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, w latach 40-tych walczył w UPA, za co skazano go w 1945 roku na 15 lat łagru. W 1953 roku Szumuk był jednym z organizatorów powstania w Norylsku; zwolniony w 1956 roku i aresztowany ponownie w 1957, został skazany wówczas na 10 lat, a w 1973 roku na kolejne 10 lat obozu i 5 zsyłki. Zezwolono na opuszczenie zesłania przywódcy ukraińskiej Grupy Helsińskiej Mykole Rudence, skazanemu w 1977 roku na 7 lat obozu i 5 lat zsyłki. Spośród członków Grupy zwolniono jeszcze Wasyla Kuryłę i Myrosława Marynowycza, pozostali przebywają nadal w Kuczino — obozie dla „szczególnie niebezpiecznych więźniów politycznych”. ■ W niewyjaśnionych okolicznościach zginęli: Zinowij Szastkiw, syn krewnego Ołeny Antoniw-Krasiwskiej i Jewhen Antonenko-Dawydowycz, syn wybitnego pisarza ukraińskiego Borysa Antonenka-Dawydowycza. Jewhen urodzony w 1952 roku zdążył już odsiedzieć 11 lat życia w sowieckich łagrach. ■ 21 lutego 1987 roku zmarł na emigracji w USA generał Petro Hryhorenko, jeden z pierwszych dysydentów ukraińskich czynny w ruchu obrony praw człowieka od 1956 roku. ■ Ihor Heraszczenko, mąż Iriny Ratuszyńskiej, oświadczył, że na podstawie dokonanych przez niego obliczeń w wyniku katastrofy czarnobylskiej zginęło ponad 15 tys. ludzi. Heraszczenko powoływał się na swoje znajomości wśród kijowskich lekarzy. ■ Wydawca biuletynu informacyjnego *Więści iz SSSR*, Kronid Lubarski, i Władimir Malinkowicz, redaktor rosyjskojęzycznego czasopisma *Forum*, publikowanego przez ukraińską „Sučasnist”, stwierdzili, iż oświadczenie Heraszczenkii jest „nieodpowiedzialne” i „nie ma nic wspólnego z rzeczywistością”. ■ Lina Kostenko, wybitna poetka ukraińska, która we wczesnych latach 60-tych popadła w niełaskę, otrzymała tegoroczną nagrodę państwową im. Tarasa Szewczenki. Zapowiedziano także opublikowanie wierszy Wasyla Hołoborodka, innego wybitnego przedstawiciela wyklętego pokolenia *szist/diesiatnikiw*. ■ Iwan Dracz, nazwany przez Wasyla Stusa „kapitulantom poezji”, opublikował na łamach *Literaturnoji Ukrainy* artykuł proponujący powołanie przy Związku Pisarzy specjalnej

komisji, która miałaby dbać o nauczanie języka ukraińskiego w szkołach. Wspomniana gazeta wydaje się być ośrodkiem odwilży na Ukrainie, podobnie jak *Literatura i Mastactwa* na Białorusi czy *Moskowskije Nowosti* w Rosji. Pisarz Serhej Płaczynka skrytykował w *Literaturnji Ukraini* stosunki językowe panujące na Ukrainie, zaś czterech innych przedstawicieli oficjalnego życia kulturalnego domagało się w tej samej gazecie wprowadzenia obowiązku nauczania języka ukraińskiego w szkołach z rosyjskim językiem wykładowym. Jeszcze dwadzieścia lat temu do tych ostatnich uczęszczało około 25 % uczniów, podczas gdy obecnie wskaźnik ten przekroczył już 52 %. ■ *Moskowskije Nowosti* zamieściły (z kłamliwym komentarzem) informację „Głosu Ameryki” o Bałysie Bajauskasie, który przesiedział już 35 lat w obozie i Petro Rubanie, rzeźbiarzu skazanym w 1976 r. na 6 lat łagru oraz 3 lata zsyłki i aresztowanym ponownie w 1985 roku. Jego „winą” było wyrażenie amerykańskiej Statuty Wolności z okazji 200-nej rocznicy niepodległości USA. ■ Na Zachód dotarł 16-ty numer *Kroniki Cerkwi Katolickiej na Ukrainie* (poprzednie pięć numerów pozostaje nadal nieznanne), zredagowany na początku 1987 roku i wydany we Lwowie oraz Użhorodzie. *Kronika* liczy 86 stron powielaczowych. Jej najciekawszą częścią są wspomnienia księdza unickiego Michała Hawryłowa (ur. w 1949 roku), który przeszedł na katolicyzm w czasie nauki w seminarium prawosławnym w Leningradzie na początku lat 70-tych. Poznał on wówczas Metropolite Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Nikodema (Rotowa), znanego z serwilizmu wobec KGB i państwa sowieckiego. Hawryłow twierdzi, że Nikodem, zwolennik poglądów Sołowiowa, był tajnym biskupem katolickim i w imieniu Rzymu sprawował najwyższą władzę duchową nad katolikami Rosji. Nikodem wyświęcił też Hawryłowa na księdza katolickiego. ■ Metropolita Myrosław Iwan Lubaczewskij stwierdził w wywiadzie dla *Il Sabato*: „W obecnych warunkach politycznych... wizyta (Papieża w ZSSR — J.D.) byłaby całkowicie niewskazana i miałaby negatywne konsekwencje, gdyż wykorzystalby ją rząd sowiecki wyłącznie dla swoich celów propagandowych. Spotkanie zaś Ojca Świętego z Patriarchą Pimenem przyniosłoby poważny uszczerbek moralnemu autorytetowi Papieża w oczach wszystkich wierzących w ZSSR, którzy dobrze wiedzą, jak Patriarcha Moskiewski kompromitował się przed bezbożnym rządem komunistycznym”. ■ Jak podała gazeta *Ukrajina*, w Winnicy istniała przez przeszło rok tajna sieć video. Pokazy organizowało sześciu młodych, wykształconych ludzi. W Czerkasach aresztowano Fiodora Kobelkowa i skazano go na 5 lat obozu. Kobelkow kopiował kasety video, a zamówienia otrzymywał nie tylko z Kijowa czy Lwowa, ale również z Leningradu, Władywostoku i Jakucji. Największym powodzeniem cieszyły się w obu wypadkach amerykańskie antykomunistyczne produkcje: niaki: „Rambo”, „Rocky” oraz filmy w rodzaju „Star War”, „Love Story” czy „Return from the Dead”. *Ukrajina* pisała wręcz o „rambomanii”, która opanowała młodzież. ■ We Lwowie ma być otwarty konsulat PRL. Według oficjalnych danych na Ukrainie mieszka 258.300 Polaków, z tego 32.980 w *oblasti lwowskiej*, a w samym mieście 10.000. ■ Z okazji świąt Wielkiej Nocy Prymas Polski kardynał Józef Glemp skierował w języku ukraińskim pisanie „Do wierzących obrządku grekokatolickiego”. Prymas Polski ma dwu wikariuszy generalnych dla wiernych obrządku grekokatolickiego, którzy zawiadują wikariatem północnym i południowym. Każdy z wikariatów dzieli się na dwa dekanaty. Grekokatolicy dysponują 20 kościołami przejętymi po protestantach i dwiema cerkwiemi, w Komańczy i Ustrzykach Dolnych. W Polsce jest 55 księży grekokatolickich, trzy żeńskie zgromadzenia zakonne (bazylianki, słuźebnice i józefitki) liczące razem 130 siostr oraz jeden zakon męski — bazylianie (23 zakonników). W bież. roku siedmiu bazylianów uczęszcza do warszawskiego seminarium metropolitalnego, a w seminarium lubelskim studiuje 15 kleryków. Około 350 tys. obywateli PRL należy do obrządku grekokatolickiego. Jak stwierdził jeden

z wikariuszy, ojciec Jozafat Romanyk, w wywiadzie udzielonym białostockim *Kontrastom*: „W Polsce obrządek grekokatolicki posługuje się językiem starosłowiańskim z wymową ukraińską. Jednakże niektóre części, jak tzw. Apostoł, Ewangelia, 'Credo', modlitwa przed komunią i 'Ojcze nasz' są po ukraińsku. Ale języka starosłowiańskiego nie usuwamy. Na emigracji, w kościele grekokatolickim, cała liturgia jest w języku ukraińskim. My, w Polsce, kazania wygłaszamy po ukraińsku”. W tym samym wywiadzie przyznano, że biskup Józef Kocyłowski został „wywieziony” ze swej diecezji przemyskiej i „niedługo potem zmarł”, zaś jego następcy „nie można był powołać”. W rzeczywistości bp J. Kocyłowski został aresztowany przez UB i wydany NKWD. ■ Wierni wydają w Polsce niezależne pismo pt. *Łystok Myrian*, w którym publikują wiadomości z życia parafialnego, dokumenty historyczne i modlitwy. Chcieliby jednak wydawać oficjalnie czasopismo religijne. ■ Do liceum ukraińskiego w Legnicy uczęszcza 120-130 uczniów. Po ukraińsku jest tam jednak wykładany jedynie język ukraiński. W całej Polsce w kilkudziesięciu klasach szkół podstawowych, w liceach i w jedenastu grupach klubowych uczy się języka ukraińskiego około 1.300 dzieci i młodzieży. ■ Ruch „Wolność i Pokój” w 40-tą rocznicę Akcji Wisła opublikował oświadczenie, w którym żąda przyznania Łemkom i Ukraińcom deportowanym na Ziemię Odzyskane prawa do powrotu w ojczyźne strony, zwrotu gospodarstw lub wypłacenia odszkodowań oraz wprowadzenia przynajmniej na poziomie podstawowym szkolnictwa ukraińskiego. WiP potępił także same wysiedlenia oraz przejawy antyukraińskiego szowinizmu, które zdarzają się wśród Polaków. ■ KOS opublikował oświadczenie popierające żądanie stworzonego w Anglii Ukraińskiego Komitetu Pokojowego, by przekształcić Ukrainę w strefę bezatomową. ■ Andrij Birczan stwierdza w *Sučasnosti*: „Nic nie wskazuje, żeby Ukraińcy w Polsce 40 lat po wojnie doczekali się politycznego, religijnego lub choćby symbolicznego uznania”. ■ Myroslaw Truchan w 5-tym numerze *Widnowy* opisuje dwie koncepcje działania polskich Ukraińców; jedni zdecydowani są próbować odgrywać rolę pomostu między Zachodem a Ukrainą, podczas gdy drudzy, na ogół starsze pokolenie, uważają, iż głównym celem powinno być samo przetrwanie i doczekanie „lepszego czasu”. ■ W Monachium przebywa obecnie około 100 ukraińskich uciekinierów z Polski, oczekujących na azyl lub wyjazd do Kanady i USA. Rocznie do stolicy Bawarii przybywa około 50-60 emigrantów. Opiekuje się nimi Ukraiński Wolny Uniwersytet i Kanadyjska Ukraińska Służba Emigracyjna. Dotychczas Ukraińców z Sowietów praktycznie nie wypuszczano, a więc polscy Ukraińcy stanowili podstawowe źródło nowej emigracji. ■ Wydawane w Paryżu melnykowskie *Ukraińskie Słowo* ostro skrytykowało enuncjacje ministra rządu RP na wychodźstwie, Szkipiaka, wymierzone przeciwko uznaniu obecnych granic i wypowiedziało się przeciw współpracy z reprezentowanymi przez kręgi, podkreślając jednocześnie potrzebę zacieśnienia więzów z polskim podziemiem niepodległościowym: „W naszej koncepcji politycznej widzimy czworokąt Ukrainy — Polski — Litwy i Białorusi, oparty na wspólnej walce przeciw wspólnemu wrogowi oraz porozumieniu w kwestii granic, które ją umożliwiają... dlatego współpracę z polskimi niepodległościowcami stojącymi na takich pozycjach należy rozszerzać i pogłębiać”. W tymże *Ukraińskim Słowie* W. Małynowycz pisze, iż nie ma sensu, by Polacy i Ukraińcy licytowali się wzajemnymi krzywdami w przeszłości, nastąpi bowiem czas zbliżenia: „Czas przebaczenia i przyjacielskiej współpracy — 'Przebaczymy i prosimy Was o przebaczenie', jak wypowiedziało się już polskie podziemie"... „Jesteśmy sobie nieodzowni... Stanowi to kwestię naszego narodowego bytu albo nie bytu, ratunku dla obu narodów. Naród polski dokonał pierwszego wielkiego kroku w tym kierunku, wypowiadając się głosem patriotycznego podziemia za współpracą i wspólnymi obecnymi granicami... Ukraina i Polska powinny stać się główną siłą w walce o niezależ-

nienie się narodów europejskiego Wschodu”. ■ W. Goćkyj znów ostrzega: tym razem na łamach banderowskiego *Szlachu Peremohy* zastanawia się, czy wśród Polaków nastąpiła zmiana nastrojów z antyukraińskich na przychylne Ukraińcom, czy też jest to tylko „zmiana taktyki”. Na wstępie autor stwierdza ogólnikowo, że „młodzi polscy naukowcy” (nie podaje jednak kto, kiedy i gdzie) oceniają teraz bardziej obiektywnie przeszłość Ukraińców, ale „...powstaje obawa o naszą reakcję” — dodaje. „Jedni uważają to za zmianę taktyczną, a inni zachwycają się... wyciągniętą ręką do zgody, do wspólnego działania przeciw wspólnemu śmiertelnemu wrogowi”. Następnie Goćkyj wyjaśnia, iż w tym wypadku „nie można mówić o zamaskowanym celu, gdyż to nie elita polityczna formułuje pozytywne myśli... Do wyciągniętej ręki jest jednak jeszcze daleko, ponieważ są to tylko pojedyncze głosy”. Zgodnie z tą logiką, gdy „pojedyncze głosy” staną się tak masowe, że nie dadzą Boże powtórzy je „elita polityczna”, wówczas otrzymamy ostateczny dowód na zdradzieckie knowania Polaków. ■ Mjr W. Janiw, odznaczony m.in. Krzyżem *Virtuti Militari*, ocenia, iż w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie walczyło od 12 do 15 tys. Ukraińców. „Polacy postępowali z nami — wspomina Janiw w *Szlachu Peremohy* — tak samo jak w Berezie Kartuskiej... nawet w Palestynie... stworzyli więzienie dla Ukraińców”. W tymże *Szlachu Peremohy* O. Pytlar zwraca się „Do polskiego przyjaciela”: „Od Polaków chcielibyśmy tylko jednego — wzajemnego poznania i współpracy, zwłaszcza tam, gdzie dotąd też 'panują' nad choć niewielką częścią narodu ukraińskiego — w 'ludowej' Polsce. Naszym braciom żyje się tam obecnie jeszcze gorzej niż pod czerwoną Moskwą (we Lwowie teraz przynajmniej nikt nie boi się rozmawiać na ulicy po ukraińsku lub po polsku)”. Pytlar żarzuca Polakom „tradycyjny stosunek do Ukraińców — ślepy szowinizm i imperializm”. Dotychczas jakoś jednak nie słychać, by polscy Ukraińcy uciekali przed krwiożerczymi Polakami do Lwowa. ■ *Szlach Peremohy* pochwalił natomiast publicystkę piszącą w *Biuletynie Dolnośląskim* Jaromira Bileta, przeciwstawiając go „100-procentowemu moskalowi” Zdzisławowi Rurarzowi, który na konferencji zorganizowanej przez rosyjski miesięcznik *Posiew* otwarcie powątpiewał w prawo Ukrainy do niepodległości. ■ 4 lutego br. odbyło się w Londynie spotkanie przywódcy KPN Leszka Moczułskiego z wybranym aktywnym OUN(b). Młodszych banderowców na salę nie wpuszczono, prawdopodobnie w obawie, że widok Polaka bez noża w zębach i ukraińskich skalpów u pasa będzie demoralizujący. Jak stwierdził później *Szlach Peremohy*, Moczułski wypowiedział się za „budowę ukraińskiego państwa na zasadach etnograficznych”. „Dyskutanci wyrazili uznanie, ... że wśród polskich kół politycznych jest siła, która poważnie podchodzi do stosunków polsko-ukraińskich, występuje na rzecz polsko-ukraińskiej współpracy i uznaje zasadę etnograficzną w wykładni granic między oboma narodami. To jest platforma nadająca się do przyjęcia dla Ukraińców, na podstawie której możliwa jest współpraca z Polakami”. Aby L. Moczułski nie miał wątpliwości, dokąd sięgają „etnograficzne granice Ukrainy”, w kolejnym numerze *Szlachu Peremohy* możemy przeczytać wyrazy oburzenia na myśl, że niepodległa Ukraina miałaby nie obejmować Łemkowszczyzny, Chełmszczyzny i Podlasia, zaś w każdym numerze wydawanego przez banderowców w USA *The Ukrainian Quarterly* L. Moczułski może sobie obejrzeć odpowiednią mapę. Dodajmy, że w radzie wydawniczej wspomnianego kwartalnika zasiada prof. Jan Karski. KPN jest więc chyba jedną partią kierunku narodowego, która rezygnuje dobrowolnie i z góry z części własnego kraju, by porozumieć się z sąsiednimi nacjonalistami. Czyż mogą być jeszcze aktualne w tej sytuacji wysuwane niegdyś pod adresem KPN zarzuty o nacjonalizm? KPN w Polsce wydał serię trzech znaczków z podobizną śp. Jarosława Steckiego, przywódcy OUN(b) i Antybolszewickiego Bloku Narodów oraz zwolennika koncepcji dwu wrogów Ukrainy — Rosji i Polski. ■ 27 marca br. na spotkaniu paryskiego Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego

J. Darski wygłosił w języku ukraińskim referat pt. „Warunki współpracy polsko-ukraińskiej i jej perspektywy”, zaś 13 maja Konstanty Zelenko wygłosił w języku polskim wykład pt. „Stosunki polsko-ukraińskie w międzywojennej Polsce”. ■ W dniach 1-4 maja br. Stowarzyszenie Polskich Studentów i Absolwentów w Wielkiej Brytanii zorganizowało wyjazd do Crickwell w Południowej Walii, na który zaproszono ukraińskich kolegów. Nikt z gości nie przybył. Na weekendzie omawiano stosunki między Polakami i narodami ościennymi. Do wygłoszenia dwu wykładów zaproszono J. Darskiego. ■ *Szlach Peremohy* zamieścił artykuł T. Mianowicza, uprzednio drukowany już w rosyjskim *Kontynencie* pt. „Z notatnika ekstremisty”. ■ Wydawany przez banderowców w Anglii *Wyzwolnyj Szlach* opublikował w swoich pierwszych czterech tegorocznych numerach duży artykuł Pawła Szewczuka poświęcony mordowi katyńskiemu i porównujący go do masakr dokonywanych przez NKWD na Ukraińcach w Winnicy w 1938 roku. ■ *The Ukrainian Quarterly* nr 3/4 za 1985 rok zamieścił bez komentarza i podania źródła artykuł Janusza Sobczaka i Piotra Lewickiego pt. „Wschód”, zaczerpnięty z *Krytyki* nr 15/1983 r. ■ A. Hłodynowicz omówił na łamach *Hominu Ukrajiny*, tygodnika wydawanego przez banderowców w Kanadzie, książkę Andrzeja Chciuka „Wizyta w Izraelu” (Instytut Literacki, Paryż 1972). Recenzenta interesowały przede wszystkim opisane w książce przypadki ratowania Żydów przez Ukraińców w czasie okupacji hitlerowskiej. Jego zdaniem relacje przytoczone przez Chciuka „w przekładzie na inne języki mogą stać się... przydatne w walce ze zniesławianiem imienia ukraińskiego”. ■ W 1984 roku Szymon Wiesenthal przekazał generalnemu prokuratorowi Kanady listę 217 oficerów Dywizji Waffen-SS „Hałyczyna”, których oskarżył o dokonanie zbrodni wojennych. W rzeczywistości była to lista jednego z kursów oficerskich. W 1985 roku powołano komisję Deschênesa, która miała zbadać zarzuty i odpowiedzialnych za zbrodnie pociągnąć do odpowiedzialności sądowej. Obecnie komisja opublikowała wyniki swych prac. Spośród 217 oficerów oskarżonych przez Wiesenthala 187 nigdy nie było w Kanadzie, 11 już zmarło, 2 wyjechało do innych krajów, jednego nie odnaleziono, a w wypadku 16 nie zebrano żadnych dowodów obciążających. „Oskarżenie o zbrodnie wojenne członków Dywizji „Hałyczyna” nigdy nie zostało udowodnione, ani w roku 1950, kiedy po raz pierwszy wstrzymano ich emigrację do Kanady, ani w 1984 roku, kiedy oskarżenia te zostały ponowione przed Komisją. W wypadku braku dowodów odnośnie uczestnictwa albo znajomości konkretnych zbrodni wojennych sama przynależność do Dywizji „Hałyczyna” nie wystarczy, by postawić przed sądem”. W sumie koła żydowskie w Kanadzie zgłosiły do Komisji 883 nazwiska osób podejrzanych o dokonanie zbrodni wojennych. Obecnie ustalono, że „poważne oskarżenia” dotyczą 20 osób. Przy okazji wyszło na jaw, że 707 nazwisk podała Josyf Riwasz, b. oficer KGB. W 1986 roku Szymon Wiesenthal twierdził, iż w Kanadzie żyje 6 tys. zbrodniarzy wojennych, głównie Ukraińców i Białych. ■ Od 16 lutego br. toczy się w Jerozolimie proces Iwana Demianiuka, oskarżonego o mordowanie Żydów w Treblince. I. Demianiuk nadal zaprzecza, jakoby był „Iwanem Groźnym” odpowiedzialnym za te czyny i twierdzi, że po dostaniu się do niemieckiej niewoli latem 1942 roku przebywał półtora roku w obozie, a następnie wcielony został do Roskiej Oswobodzicielnej Armii generała Własowa. Eliah Rosenberg, który w 1947 roku zeznał, iż „Iwana Groźnego” zabili więźniowie, obecnie rozpoznał go w osobie Demianiuka. W sumie Demianiuka rozpoznało obecnie pięciu świadków. Zeznania przeciwnie świadków, którzy już nie żyją, mają mniejszą wartość. William Turczyn znalazł w archiwach USA dwie listy, z 1945 i 1947 roku, na których zbrodniarz wojenny zwany „Iwanem Groźnym” jest zidentyfikowany jako Alfred Billitz narodowości niemieckiej. Były komendant obozu szkoleniowego w Trawnikach Kurt Streibel jeszcze w 1983 roku zeznał, iż legitymacja Demianiuka dostarczona

przez KGB (obecnie Sowieci przekazali wreszcie jej oryginał) i jego podpis na niej są sfałszowane. Eksperti nie są zgodni co do autentyczności legitymacji. Sam Demianiuk twierdzi, że wklejone na niej zdjęcie zostało mu zrobione w czasie służby w Armii Czerwonej. Nadal trwa debata na temat autentyczności legitymacji. Na procesie mają też podobno zeznawać trzej świadkowie z Polski. Zagadkowa pozostaje nadal sprawa Sobiboru, bowiem wcześniejsza dokumentacja wskazywała, że Demianiuk miał służyć w tym obozie, ale byli więźniowie z Sobiboru nie rozpoznawali go na zdjęciach.

Józef DARSKI

Kronika niemiecka

W Hamburgu, w dzielnicy Barmbek, istnieje Polska Parafia Prawosławna Obrządku Zachodniego kierowana przez ks. Klaudiusza Perendyka, która liczy ok. 400 parafian — przedstawicieli starej i nowej emigracji. Nabożeństwa odbywają się w kościele ewangelickim *St. Gabriel*. Parafianie z Barmbek utrzymują stałe kontakty z gromadami Związku Polaków ZGODA, z Towarzystwem Niemiecko-Polskim i Związkiem Polskich Inwalidów Wojennych. Wszystkie trzy wymienione organizacje cieszą się poparciem reżymu PRL. ■ Trzy polskie filmy otrzymały trzy główne nagrody XXXIII Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Oberhausen (Północna Nadrenia-Westfalia): *Przypadek Hermana Palacza* reż. Leszka Woisiewicza; 1 — 1 reż. Natalii Korynkiej oraz *Parada* reż. Jerzego Kuci. Równocześnie film *Przypadek Hermana Palacza* otrzymał nagrodę ministra kultury Północnej Nadrenii-Westfalii, a film 1 — 1 nagrody jury międzynarodowej krytyki filmowej *FIPRESCI* i jury Międzynarodowej Federacji Klubów Filmowych *FICT*. ■ Według wschodnio-niemieckich źródeł kościelnych w NRD jest ok. 1,2 mln katolików, co stanowi 8 % ogółu ludności. Kościół katolicki prowadzi działalność w rozproszeniu. Jedyne zwarte skupiska katolickie znajdują się na południowym zachodzie kraju, głównie w okęgach Erfurtu i Halle, a także na terenach zamieszkałych przez mniejszość łużycką, w okolicach Budziszyna. Działalność religijną prowadzi ok. 1.300 księży i diakonów katolickich w 1.050 parafiach i ośrodkach duszpasterskich, oraz 32 studenckich punktach katechetycznych. ■ Rektorat Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego wyróżnił Karla Dedeciusa godnością *honoris causa* w dziedzinie twórczości kulturalnej. W uroczystości udział wzięli m.in. przedstawiciele *Episkopatu Polski* z metropolitą wrocławskim ks. kard. Henrykiem Gulbinowiczem oraz ambasador RFN Franz Pfeffer. ■ Przewodniczący Komisji Charytatywnej, ks. bp Czesław Domin, sufragan diecezji katowickiej, stwierdził w wystanym do krajów zachodnich apelu, że zaopatrzenie społeczeństwa polskiego w leki i sprzęt medyczny stale się pogarsza. W liście opublikowanym w hamburskim tygodniku *Stern* bp Domin dziękuje jednocześnie Niemcom za dotychczasową pomoc. ■ *Misja Wojskowa PRL* w Berlinie Zachodnim nie udzieliła wiz wjazdowych kilku obywatelom RFN, członkom Koła Stupczan Ziomekstwa Pomorzan, którzy zamierzali zawieźć do Stupsk leki, sprzęt medyczny i żywność o łącznej wartości ok. 500 tys. marek. Dla Kurta Gertha, przewodniczącego Koła, decyzyja władz PRL jest wielkim zaskoczeniem, zważywszy że członkowie tej organizacji

niosą pomoc zakładom leczniczym w Słupsku od czterech lat (listy brakuje-
cych leków były zestawiane przez dyrekcję miejscowego szpitala). ■ *Spół-
dzielnia Inwalidów PRZYJAŹN* w Stupcy, w woj. konińskim, wysłała do
RFN ok. 5 tys. trumien. W zamian do Polski sprowadzono kawę. *Minister-
stwo Handlu Zagranicznego* zatrzymało dalszy eksport; „aby tacy drobni
producenci, jak słucka spółdzielnia, nie psuli cen na rynku”. ■ Po-
dobno pewna firma w Mönchengladbach koło Düsseldorfu wyprodukowała
na zamówienie gdańskiej *KW MO* tysiąc hełmów, pałek i tarcz plastikowych.
Fabryka zatrudnia Polaków „na czarno”... ■ W miejscowości Kleinsassen
w Hesji działa Jürgen Blum-Kwiatkowski, który założył tam przed ośmiu
laty *Stację Sztuki*. Obecnie przygotowuje wystawę pt. *Wolne miejsce*;
4 generacje konstruktywistycznego nurtu sztuki polskiej. Od Malewicz-
skiego — po najmłodszych przedstawicieli tej orientacji. Otworzył ją prof.
Ryszard Stanisławski. ■ Edmund Męclewski dokonuje ekwilibryzki w
stylu Urbana na sesji *Stowarzyszenia Wisła-Odra*: „Nieprzerwanie od 1956
roku istnieje w Polsce *Niemieckie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne*, które
w 1975 roku miało jeszcze ok. 200 członków, a obecnie już nie ma ani
jednego. Nie zostało ono jednak rozwiązane, a nawet posiada komisarycz-
nego przewodniczącego po to, by nie wysuwano pod naszym adresem oskar-
żeń o administracyjne zlikwidowanie problemu tej byłej mniejszości”
(*Standard Młodych*). ■ Zachodniobrzeński *Teatr „Klecks”* wystawił
Emigrantów Sławomira Mrożka. ■ Ilość wniosków o azyl złożonych w
I kwartale bież. roku przez przybyłych do RFN uchodźców wyniosła 11.733,
tj. prawie połowę mniej niż w tym samym okresie ub. roku (20.131). ■
Frankfurter Allgemeine Zeitung ogłosiła esej Andrzeja Szczypiorskiego pt.
Polnischer Pluralismus. Die Generäle, die Intellektuellen und der Rest
(*Polski pluralizm. Generacja, intelektualiści i reszta*). Na niemiecki prze-
łożył Klaus Staemmler. ■ *Krajowe Muzeum Westfalii* w Münster urzą-
dziło wystawę — *Polnische Karikaturisten der Gegenwart (Polscy karykatu-
rzyści współcześni)*. ■ W niewielkiej miejscinie Iserloh w Westfalii pań-
stwo Neccy prowadzi polską *Galerie d'Art* od 1980 roku. W okresie zaled-
wie sześciu lat zorganizowali 46 wystaw sztuki polskiej, m.in. 50-lecie
Szpilek, prace 25 malarzy krakowskich, rysunki Andrzeja Mleczki i wiele
innych. ■ Dr Jerzy Prokopiuk (Warszawa), tłumacz dzieł Freuda,
Goethego, Herdera, Junga, Lessinga i C. F. von Weizsäckera otrzymał na-
grode *Fundacji im. Roberta Boscha*. Uroczystość wręczenia nagrody odbyła
się w *Niemieckim Instytucie Literatury Polskiej* w Darmstadtzie. ■ W akcji
wysiedleńczej, tuż po wojnie, wyjechało z terenów zajętych przez Polaków
ok. 2,5 mln Niemców, a z Polski centralnej ok. 700-750 tys. (ok. 80 tys.
z polskich ziem wschodnich zajętych przez Sowiety). Od końca lat 50-tych
fale wyjazdów objęły ok. 650 tys. osób narodowości niemieckiej. Najnowsza
społeczność polska w RFN (z uregulowanym lub bez uregulowanego poby-
tu) liczy ok. 130 tys. osób. „Stara emigracja” (sprzed drugiej wojny świa-
towej) i jej potomkowie liczą ok. 80-85 tys. Do tego dochodzi blisko
50 tys. Polaków, którzy po 1945 roku odmówili powrotu do kraju, bądź
w pierwszych latach powojennych uciekli z Polski. Wyżej wymienione sz-
cunkowe dane obrazują w przybliżeniu znaczny procent znajomości języka
polskiego wśród mieszkańców RFN. ■ Z bazyliki katedralnej w Szczeci-
nie skradziono cenny relikwiarz św. Ottona z Bambergu. Relikwiarz został
podarowany diecezji Szczecin-Kamień przez *Konferencję Biskupów Niemiec*
w latach 70-tych, na prośbę ówczesnego abp. Jerzego Stroby. ■ Na
XX Konferencji d/s NRD w Bonn-Röttgen interesujący referat wygłosił
Klaus Ziemer (Heidelberg) pt. *Die DDR — Polens ungeliebter, aber not-
wendiger Partner (NRD — nie lubiany, lecz konieczny partner Polski)*. ■
Polska TV pn. *Magazyn Wyspa* w Berlinie Zachodnim emituje nadal swój
program (Ewa Maria Ślaska i Grzegorz Ziętkiewicz). W wydaniu kwietnio-

wym zaprezentowano miejscowy *Polski Teatr Lalki i Maski* z przedsta-
wieniem pt. *Shewczyk dratewka* wraz z rozmową z reżyserką i kierowniczką
teatru — Haliną Trambą. W *Magazynie* majowym zajęto się trzema tema-
tami: *Haus am Checkpoint Charlie*, z wizytą w berlińskim *Muzeum Muru*;
przedstawiono sylwetkę Heleny Szackiej-Bohle, artystki-grafiki; nadano
1-szą część reportażu o dzielnicy Kreuzberg. W tej części Berlina Za-
chodniego miały miejsce *Polskie Dni Kultury*, w których udział wzięły m.in.
Teatr Ósmego Dnia (ta część, która przebywa na Zachodzie) i działający
nad Szprewą teatr długoletniej aktorki Grotowskiego Teresy Nawrot —
Theater Nawrot. ■ Wolfgang Vollmer, sekretarz stanu w *Ministerstwie*
Gospodarki Północnej Nadrenii-Westfalii prowadził w Polsce rozmowy na
temat ewentualnej współpracy małych i średnich przedsiębiorstw obu krajów
w najbliższych latach. ■ Marek Orzechowski (Bad Essen) zawiesił wyda-
wanie kwartalnika *Dialog* (wyszły cztery numery), ale zapowiedział nową
publikację *Die Polen-Post*. Ma to być miesięczny serwis informacyjny w
języku niemieckim o nakładzie 1.000 egzemplarzy. Redakcja: Linden-
strasse 55, D-4515 Bad Essen 1. ■ W *Bibliotece Jagiellońskiej* otwarto
wystawę poświęconą działalności naukowej Ernsta Kaeckela (1834-1919),
wybitnego biologa i popularyzatora darwinizmu. ■ Półtoragodzinny dys-
kusję prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera z grupą młodzieży pol-
skiej i zachodnioniemieckiej nadała *TV (ZDF)*. Inicjatorem spotkania był
dyrektor *Niemieckiego Instytutu Literatury Polskiej* — dr Karl Decedius
z siedzibą w Darmstadt. Tam też, w salonie zamku księżnej Hesji, odbyło
się spotkanie. Zaproszono grupę polskich studentów (15), którzy przyjechali
do RFN w ramach wymiany albo którym przyznano stypendia. Zwracała
uwagę ich świetna znajomość języka niemieckiego. Byli też młodzi Niemcy,
którzy studiowali w Polsce lub odwiedzali często nasz kraj. Dyskusja była
interesująca i z biegiem czasu coraz luźniejsza. Poruszano tematy trudne,
wynikające z historycznych doświadczeń naszego sąsiedztwa. Prezydent oka-
zał się sympatycznym i otwartym partnerem. Polscy studenci robili znako-
mite wrażenie. Program dobry i potrzebny (*Radio Wolna Europa*). ■
Poseł Kułski w imieniu władz PRL złożył 11 grudnia 1986 roku w bońskim
Auswärtiges Amt tajne pismo (tzw. *non paper*, bez daty i pieczęci), w któ-
rym reżym domaga się odszkodowań za przymusową pracę Polaków w Trze-
ciej Rzeszy podczas ostatniej wojny. Pół roku później (8 maja br.) min.
Spraw Zagranicznych Marian Orzechowski w *Sejmie*: „Wobec braku odpo-
wiedzi rządu RFN na notę z grudnia 1986 roku w toku konsultacji politycz-
nych Ministerstw Spraw Zagranicznych Polski i RFN (...), zwróciliśmy
kolejny raz uwagę na nadal nie rozwiązany problem odszkodowań, doma-
gając się zajęcia przez rząd RFN stanowiska zgodnego z prawem między-
narodowym”. Rzecznik rządu RFN Schmulling oświadczył 11 maja bież. roku,
że nota ta „sprowadza się do żądania wypłacenia reparacji wojennych, z
których Polska zrezygnowała 23 sierpnia 1953 roku, co prawnie zostało
potwierdzone w *Układzie z 7 grudnia 1970 roku*”. Rząd PRL otrzymał
z Bonn w 1975 roku ogromną sumę 1,3 mld marek i niskoprocentową po-
życzkę w wysokości 1 mld marek. Miała to być rekompensata za renty
i emerytury dla więźniów i przymusowych robotników. Stefan Olszowski
mówił wyraźnie o „ostatecznym załatwieniu sprawy” (w *Raporcie Komisji*
Grabskiego jest mowa o tym, a także że wytargowano od Niemców za mało).
Wcześniej, w latach 60-tych i na początku lat 70-tych, rząd RFN przekazał
władzom PRL w sumie 140 mln marek dla ofiar pseudoeksperymentów me-
dycznych (w końcu lat 50-tych znaczne sumy wpłynęły z *IG Farben*).
Pieniądze te nigdy nie dotarły do poszkodowanych, wypłacono im zaledwie
niewielkie sumy w złotychkach. Setki milionów marek po prostu roztrwo-
niono w czasie kadencji Cyrankiewicza i Jaroszewicza. Nowe roszczenia od-
szkodowawcze są wynikiem olbrzymiego zadłużenia PRL wobec Bonn. Na-
wet bardzo prowschodnio nastawiony Egon Bahr (*SPD*) oświadczył, że

nowe żądania Warszawy „rzucą cień na wzajemne stosunki obu państw i w ogóle nie pasują do politycznego krajobrazu”. ■ Stefi Jersch-Wenzel wydała historię stosunków niemiecko-polsko-żydowskich do początków XX wieku (*Deutsche — Polen — Juden. Colloquium Verlag*, Berlin Zachodni 1986). ■ W Warszawie obradowała VII sesja mieszanej komisji gospodarczej PRL-RFN. Z Bonn przybył minister *Gospodarki* Martin Bangemann. W 1986 roku nastąpiło pogorszenie dwustronnych stosunków gospodarczych i handlowych. Polski eksport do RFN spadł o 16 %, a import o 20 %. Strona polska starała się o wznowienie rządowych gwarancji na ewentualne nowe kredyty, ale na przeszkodzie stoi ustawodawstwo RFN, zabraniające rządowi udzielania gwarancji kredytowych krajom, które mają poważne zaległości w spłacaniu swych długów. Pomimo to RFN zgodziła się na takie gwarancje w ub. roku do wysokości 100 mln marek. Po wykorzystaniu 13 mln przez Warszawę rząd bński zablokował gwarancje, ponieważ PRL nie spłacała uzgodnionych rat zadłużenia. Rozmowy Bangemanna właściwie nie nowego nie wniosły. Tylko koncern Kruppa jest wspaniałomyślny; Berthold Beitz doprowadził do podpisania umowy z ministerstwem *Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego* PRL o wartości 200 mln marek (modernizacja polskiego hutnictwa), która jest właściwie formą doraźnej pomocy. W sumie zadłużenie PRL wobec Niemiec Zachodnich wynosi 12,4 mld marek. ■ Fragment komunikatu nadanego w programie polskim *Radia Wolna Europa*: „W sobotę (30 maja 1987 r. — A.J.Ch.) odbyło się w Monachium spotkanie członków zespołu RP RWE z wybitnymi przedstawicielami polskiej emigracji. Było ono wyrazem uznania roli naszego radia i poparcia udzielanego mu przez różne odłamy emigracji politycznej, a z naszej strony wyrazem poczucia związku z reprezentacją polskiego uchodźstwa na Zachodzie. Dało też okazję do omówienia różnych problemów naszej rozgłośni, oceny programu i zastanowienia się nad jego uatrakcyjnieniem. Wśród naszych gości byli: prezydent RP na uchodźstwie Kazimierz Sabbat, redaktor paryskiej *Kultury* Jerzy Giedroyc, prezes Polskiej Partii Socjalistycznej pani Lidia Ciołkoszowa, prezes stronnictwa Niepodległość i Demokracja Rowmund Piłsudski, redaktor naczelny nowojorskiego *Nowego Dziennika* Bolesław Wierzbiański, znany dziennikarz, współpracownik kilku czołowych dzienników zachodnioeuropejskich Leopold Unger, ekonomista i wydawca pisma *Aneks* Aleksander Smolar, publicysta Jakub Karpiński, historyk Krzysztof Pomian i ekonomista Waldemar Kuczyński. Rozgłosznie reprezentował dyrektor Radia Wolna Europa Grzegorz Wierzyński, dyrektor rozgłośni polskiej Marek Łatyński i liczni członkowie zespołu. (...)”.

Andrzej J. CHILECKI

LEKARSTWA

BONY DOLAROWE

dewizowe konta bankowe A

HASKOBA Ltd

81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919



Endowment for Democracy

PROGRAM POMOCY DLA KRAJÓW EUROPEJSKICH ZA ROK 1986

(w dolarach amerykańskich)

- American Friends of Free Speech Abroad* — dotacja dla *Sintaxis*, rosyjskiego kwartalnika wydawanego w Paryżu przez Andrieja Siniawskiego \$ 25.000.
- Aurora Foundation* — na pomoc dla polskiego funduszu obrony praworządności oraz dotacje dla kwartalnika *Zeszyty Literackie*, wychodzącego w Paryżu \$ 92.400.
- Center for Democracy* — na finansowanie niezależnego programu wymiany z obywatelami ZSSR (zbiórka i opracowywanie informacji uzyskanych przez niezależną wymianę celem sporządzenia banku informacji) oraz na zorganizowanie Fundacji Wolności (*Fund for Freedom*) \$ 175.000.
- Center for Democracy* — na pionierski program rozwoju kanałów, transmitujących zachodnie kasety video do Związku Sowieckiego \$ 25.000.
- Center for International Private Enterprise* — Grecja: na organizację specjalistycznych kursów szkoleniowych w Związku Prywatnych przedsiębiorców oraz na szkolny program nauczania prywatnej przedsiębiorczości ... \$ 80.103.
- The Committee for the Absorption of Soviet Emigres (C.A.S.E.)* — na wspieranie wolnej wymiany informacji z ZSSR \$ 50.000.
- The Cremona Foundation, Inc.* — na produkcję kaset video z wywiadami sowieckich pisarzy emigracyjnych \$ 38.550.
- Czechoslovak Society for Arts and Sciences* — na pomoc dla Documentation Center for the Promotion of Independent Czechoslovak Literature w Hanowerze, RFA; na Jan Hus Educational Foundation w Londynie; na Jan Palach Information Research Trust w Londynie oraz na produkcję 500 kaset z nagraniami czeskich i słowackich pieśni politycznych \$ 112.750.
- Czechoslovak Society of Arts and Sciences* — na produkcję i kolportaż w Czechosłowacji serii kaset video z nagraniami dyskusji z wybitnymi czeskimi i słowackimi emigrantami, dyskusji sprzyjających utrzymaniu przy życiu narodowych tradycji demokratycznych oraz propagowaniu kultury zachodniej \$ 20.000.
- Free Trade Union Institute (AFL-CIO)*
- Portugalia: na pomoc dla Uniao General de Trabalhadores ... \$ 316.750.

Sprawy i troski

— Wymiana między związkami zawodowymi Stanów Zjednoczonych i Europy	\$ 14.000
— Program Edukacji Demokratycznej ELA/STV (Baskijskiej Federacji Robotniczej)	\$ 86.149.
— Pomoc dla polskiego niezależnego ruchu związkowego	\$ 304.163.
— Institut d'Histoire Sociale, Paryż	\$ 21.562.
— <i>Pravo Lidu</i> , wyd. POL-Verlag, czeski dom wydawniczy w RFN	\$ 22.500.
— <i>QUE ME</i> , wydawany w Paryżu miesięcznik informacyjny o Wietnamie	\$ 20.000.
— <i>Soviet Labour Review</i> , dwutygodnik wydawany w Londynie	\$ 15.000.

Freedom House — na pomoc dla niezależnych wydawnictw w języku węgierskim oraz demokratycznych sił na Węgrzech

\$ 55.000.

Freedom House — dotacje dla czterech czasopism kolportowanych w Europie Wschodniej (kwartalnik *Aneks*, Londyn; *Uncensored Poland News Bulletin*, Londyn; *Internal Contradictions in the USSR*, USA; *Pamięć*, Paryż) oraz różnych publikacji Independent Polish Agency w Lund, Szwecja

\$ 180.400.

Institute for Democracy in Eastern Europe, na polskie wydawnictwa podziemne, prasę niezależną, oświatę niezależną i grupy obrony praw człowieka w Polsce

\$ 123.000.

International Parliamentary Group for Human Rights in the Soviet Union, na zorganizowanie w Zachodniej Europie konferencji celem ustalenia międzynarodowego systemu kontroli poszanowania praw człowieka w ZSSR i reakcji na ich gwałcenie

\$ 50.000.

Joint Baltic American National Committee (JBANC), na wspieranie działalności Relief Center for Estonian Prisoners of Conscience in the USSR

\$ 27.500.

Keston College USA, na pomoc dla Keston College w Anglii, który prowadzi badania nad wolnością religijną w ZSSR i Europie Wschodniej

\$ 50.000.

National Democratic Institute for International Affairs — Portugalia, dotacje na drugą fazę długofalowych badań Associacio para a Cooperacao e Desenvolvimento (ACDS)

\$ 97.500.

The Polish-American Congress Charitable Foundation, Inc., na umożliwienie niezależnym filmowcom w Polsce produkcji filmów oraz na produkcję kaset video dla niezależnej sieci video w Polsce

\$ 50.000.

The Polish-American Congress Charitable Foundation, Inc., na pomoc materialną dla polskich więźniów politycznych i ich rodzin, oraz na pomoc dla Niezależnego Komitetu Oświaty, Kultury i Nauki (OKN-o) i polskiego Komitetu Helsińskiego

\$ 213.000.

Polish Institute of Arts and Sciences in America, Inc., na publikację trzech książek po polsku oraz na rozwój demokracji w Polsce

\$ 25.000.

„*Problems of Eastern Europe*”, na pomoc w działalności wydawniczej tego kwartalnika w języku rosyjskim oraz na rozwój dodatkowych kanałów kolportażu w ZSSR i Europie Wschodniej dla publikacji propagujących demokrację

\$ 5.850.

The Andrei Sakharov Institute na zorganizowanie wolnego uniwersytetu w ZSSR

\$ 75.000.

„*Time and We*” Publishing House, dotacje dla rosyjskojęzycznego dwutygodnika *Wremia i my*

\$ 25.000.

NOWE FUNDUSZE DLA OPOZYCJI

Waszyngton, 8 czerwca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Myślę, że czytelników *Kultury*, zwłaszcza w Polsce, zainteresuje wiadomość o tym, że w Senacie amerykańskim dyskutowana jest obecnie sprawa przyznania „Solidarności” miliona dolarów w najbliższym roku budżetowym.

Inicjatywa jest godna poparcia. Widać już wyraźnie, że na obecnym etapie walki ze społeczeństwem, celem władzy jest pauperyzacja opozycji. W sytuacji, w której co miesiąc władza zdiera z ludzi haracz w wysokości co najmniej kilku milionów złotych w postaci grzywien wymierzanych za posiadanie gazetki, czy chodzenie z transparentem z napisem „Pluralizm” — w Polsce potrzebne są pieniądze. Potrzebna jest gotówka, potrzebne są maszyny drukarskie, farba, sito. To chyba jest dla wszystkich oczywiste.

Istnieje jednak kilka spraw kłopotliwych. O to, by ten milion dolarów przeszedł koniecznie w całości przez „Biuro Brukselskie” upomina się w Waszyngtonie przedstawiciel zagraniczny NSZZ „Solidarności” i jego amerykańska przedstawicielka. W propozycji budżetu, przedstawionej w Senacie, napisano, że 20 % z sumy miliona byłoby przeznaczone dla wydawnictw niezależnych oraz organizacji i grup niezależnych od „Solidarności”.

Powstaje zatem problem pierwszy, nie nowy w dodatku. Czy wszystkie pieniądze, na wszystkie inicjatywy niezależne w Polsce muszą i powinny przechodzić przez jeden tylko „kanał” — Biuro Brukselskie? Czy pieniądze te powinny być skierowane do jednego tylko odbiorcy w Polsce i być przezeń rozdzielane? Po niesłychanej wpadce w Świnoujściu w listopadzie 1986 roku, kiedy transport Biura Brukselskiego wartości kilkuset tysięcy dolarów, zapakowany do jednej ciężarówki został bez trudu przejęty przez celników, znajomi Amerykanie pytali, czy po polsku nie ma przysłowia *do not put all of your eggs in one basket* (nie wkładaj wszystkich jaj do tego samego kosza). To jest sprawa techniczna. O sprawie politycznej pisał w kwietniowej *Kulturze* Wiktor Kulski. Czy wolą TKK, TRS, Przewodniczącego, Komisji Regionalnych i Zakładowych, pism związkowych i niezwiązkowych, wydawców niezależnych, struktur niezależnych i wszelkich inicjatyw niezależnych jest, by pieniądze szły jedną tylko drogą, czy różnymi drogami? Czy na przykład „Solidarność Walcząca”, „Niepodległość”, KPN, pisma *Arka* czy *Obecność* chcą centralizacji i rozdzielania funduszy dla nich poprzez Brukselę?

Jakakolwiek jest ta wola, powinna zostać wyrażona i to w sposób bardziej jednoznaczny niż w oświadczeniu nie-oświadczeniu podpisanym i nie-podpisanym przez TKK z 4 października 1986, o którym pisał Wiktor Kulski.

Jednoznacznie nie znaczy jednomyślnie. Różne struktury i organizacje mogą mieć na ten temat odmienne zdania, ale lepiej jest je znać niż być narażonym na krętactwa jak w przypadku oświadczenia TKK, które nie było oświadczeniem TKK, ale które jako takie było rozsyłane przez zagranicznego przedstawiciela TKK.

Trzeci problem polega na tym, że w przypadku, jeśli Kongres Stanów

Zjednoczonych rzeczywiście przyzna milion dolarów, i to na tak szerokie cele, obejmujące działalność związkową, wydawniczą, kulturalno-oświatową i polityczną, jak i zakup sprzętu poligraficznego (ćwierć miliona w budżecie), jest mało prawdopodobne, by różne fundacje i organizacje przyznawały pieniądze na działalność niezależną w Polsce. Jeśli więc ten milion dolarów zostanie przyznany, a prawdopodobieństwo przyznania go jest duże, należy go uważać, zgodnie z projektem budżetu, za własność społeczną w tej samej mierze, w jakiej „Solidarność” jest własnością społeczną. Należy się zastanowić, przedyskutować publicznie i wyrazić swoje zdanie publicznie na temat sposobów podzielenia i zużytkowania tej sumy. Należy przypilnować, by jak najmniej poszło na konto „zarządzania” tym milionem, zwłaszcza za granicą, gdzie wszystko kosztuje wielokrotnie więcej, by pieniądze te nie wylądowały znowu w rękach bezpieki, by nie kupowano za nie drogich i niechcianych w Polsce offsetów marki ABDick, czy bezużytecznej aparatury radiowej. Należy przypilnować, by za wspaniałomyślnie podarowane pieniądze podatników amerykańskich nie sprowadzać do Polski komputerów, których rząd amerykański nie pozwala wwozić do krajów bloku sowieckiego.

Wielu w Waszyngtonie, jak na przykład senator Bill Bradley, uważa że po to, by ten milion dolarów był dobrze zarządzany, powinien on przejść przez centralę związkową AFL-CIO, która od sierpnia 1980 wspiera „Solidarność”. Nie wszyscy są tego zdania. W swej pogoni za milionem dolarów przedstawiciel TKK i jego przedstawicielka udali się po pomoc do różnych polityków nie słynących ze swych sympatii dla jakiegokolwiek związkowców. Senator Symms powiedział więc, że milion dolarów powinien przejść przez Kongres Polonii Amerykańskiej, a jeszcze lepiej przez Północnoamerykańskie Studium Spraw Polskich. Ludzie znający te dwie organizacje, zarówno Polacy jak i Amerykanie, uważają ten pomysł za niewłaściwy. Mówi się też w Waszyngtonie, że porozumienie zawierane w sprawie tego miliona dolarów między przedstawicielem „Solidarności” a antyzwiązkowym lobby w Senacie USA jest równie nie na miejscu, jak gdyby AFL-CIO dyskutowało z Jaruzelskim na temat znoszenia sankcji amerykańskich wobec PRL.

Oczywiście Kongres Stanów Zjednoczonych może, z różnych powodów, nie przyznać tego miliona dolarów, póki jednak istnieje taka szansa warto już teraz zastanowić się nad najlepszym wykorzystaniem tej sumy.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Irena LASOTA

Opozycja w Kraju a emigracja

Czy emigracyjni dziennikarze i publicyści mają moralne prawo krytykować postępowanie i koncepcje legalnej i nielegalnej opozycji w Polsce?

Myszę, że tak, ale wypada to wesprzeć pewnymi odwróconymi analogiami z niezbyt odległej przeszłości. Trudno w to uwierzyć, ale w późnych latach czterdziestych Amerykanie, którzy ostatnio

z takim zamiłowaniem wylewają kubły pomyj na swoją ojczyznę, zachwycali się swoim krajem. Zachwycali się, powiedziałbym, nadmiernie. Gdy ktoś z cudzoziemców próbował to i owo skrytykować, słyszał zwykle tę samą stereotypową odpowiedź: *Love or leave* — czyli kochaj ten kraj lub się wynoś... W nieco podobny sposób niektórzy publicyści z PRL rozmawiają z dziennikarzami polskimi na emigracji: nie podoba ci się to, co proponują działacze solidarnościowi, publicyści i dziennikarze wierzący w konstruktywny dialog z władzami i reformę gospodarczą? Nie podobają ci się koncepcje Bujaka, Wałęsy, Kuronia lub, broń Boże, samego Michnika? Wracaj do Polski i tam krytykuj, a nie z bezpiecznego miejsca w Nowym Jorku lub w Paryżu. Propozycje takie implikują — choć nie mówią tego wprost — że mieszkający z daleka od Polski i preparujący diagnozy o tym, co się w Polsce dzieje nie mają prawa zabierać głosu. Czy dotyczy to wszystkich głosów krytycznych? Chyba nie. Gdyby polonijny dziennikarz uznał na przykład, że „rózańcowa” polityka Lecha Wałęsy nadmiernie prowokuje władze, że trzeba być bardziej ostrożnym, to wątpię, czy kazano by mu wracać do Polski. Zniecierpliwienie dotyczy tylko pewnej krytyki. Wiadomo, że chodzi tu o tę krytykę, która w interpretacji przedstawicieli polskiej opozycji zalatuje nadmiernym ryzykiem konfrontacji z władzami. Wobec tego może tutejsi polonijni publicyści powinni się ograniczyć do tego, by wszelkie odmiany polskiej opozycji chwalić albo milczeć? Otóż sądzę, że dziennikarze piszący o Polsce tu, w Nowym Jorku lub w Paryżu, nie powinni dawać rad Polakom, a w szczególności tym opozycyjnym lub zgoła nieopozycyjnym działaczom w kraju, co mają robić. Tym niemniej zupełnie nie zgadzam się z opinią, że moje rozeznanie sytuacji musi być koniecznie błędne — bo żyję z dala od Polski, a działacze post-solidarnościowych i współpracujących z nimi dziennikarzy i publicystów trafne — bo mieszkają w Warszawie lub Krakowie. Pod warunkiem oczywiście, że jestem nie gorzej od tamtych poinformowany, co się w Polsce dzieje. W tym, jak sądzę, dzielący nas ocean nie jest przeszkodą. O położeniu Polski można być poinformowanym żyjąc z dala od niej. Odwrotnie — można żyć w obłokach złudzeń i w świecie mitów mieszkając w Warszawie lub w Krakowie. To prawda, że mity czasami ułatwiają życie, ale prawdą jest także, że działacze niepodległościowi — mimo bardzo licznych wyjazdów za granicę i odwiedzania ambasad zachodnich w Warszawie — przejawiają kompletną nieznajomość polityki zachodniej i często ulegają różnym inspiracjom, jak to miało np. miejsce w sprawie sankcji. W sumie ich działalność na Zachodzie sprowadza się tylko do wołania o pieniądze i pomoce. Gdy jednak tę pomoc otrzymują, w większości wypadków nie tylko nie informują ofiarodawców, jak została wykorzystana, ale nawet nie potwierdzają odbioru.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 20 kwietnia 1987 r.

Konflikt w "Kontakcie"

WYJAŚNIENIE

W *Nowym Dzienniku* tudzież w *Narodowcu* ukazało się podziękowanie mi za pięcioletnią pracę w *Kontakcie* wraz z informacją, że *asocjacja* zdecydowała, iż przestałem być redaktorem naczelnym. Podziękowania zwykle cieszą, to jednak ucieszyło mnie mniej, szczególnie, że o jego wystosowaniu nie mogłem dowiedzieć się inaczej niż za pośrednictwem wymienionych gazet, chociaż normalnie podziękowania skierowane są przede wszystkim do adresata.

Rezygnując jednak z dalszych wstępów chciałem, korzystając z uprzejmości redaktora Giedroycia, pożegnać się z czytelnikami *Kontaktu* i wyjaśnić im dlaczego rozstaję się z przedsięwzięciem, które współtworzyłem i prowadziłem przez pięć lat. Otóż przestałem być redaktorem *Kontaktu* bo tak się, podobno dyrektorowi Chojeckiemu.

Aby jednak wyjaśnić dlaczego tak się stało cofnąć muszę się do początku. Instytucja *Kontakt* powstała wokół miesięcznika o tej nazwie. Pierwotnie współpraca między mną jako redaktorem naczelnym a Chojeckim jako mianadżerem, układała się w miarę zgodnie. Cele pisma i jego szeroka orientacja polityczna wydawały się oczywiste. Oczywiście zdawał się również podział kompetencji i ich świadomość dla obu zainteresowanych. Podział ten zagwarantowany był ustną umową, nie wydawało się wówczas potrzebne nic więcej.

Jednak z czasem pojawiły się konflikty, które zaczęły przybierać na sile. Z jednej strony związane były one z próbami arbitralnych interwencji w kształt pisma, z drugiej — z metodami rozbudowy instytucji *Kontakt*.

Nie mogę zająć się tu analizą całości tego przedsięwzięcia, co byłoby konieczne dla zrozumienia sytuacji, w każdym razie muszę zaznaczyć, że pismo było tam jedną niezależną inicjatywą a więc ciążem obcym.

Z numeru 1-2/1987 Mirosław Chojecki usunął bez mojej wiedzy artykuł. W odpowiedzi na zablokowanie przeze mnie numeru, telefonicznie poinformowałem mnie, że zostaje natychmiastowo usunięty z pracy. Wydało się, że zrozumiał później niestosowność swojego zachowania przepraszając mnie wobec Kolegium Redakcyjnego.

Aby uniknąć kolejnych tego typu problemów podpisaliśmy „Zasady i sposób funkcjonowania miesięcznika *Kontakt*”, gdzie w sposób jednoznaczny określona została rola redaktora naczelnego. Oto odnośny fragment: „Redaktor naczelny podejmuje ostateczną decyzję w prawie kształtu pisma, doboru i publikacji materiałów oraz ponosi za nie całkowitą odpowiedzialność”.

Niestety okazało się, że podpisana przez nas umowa była dla Mirosława Chojeckiego rozwiązaniem wyłącznie taktycznym.

W atmosferze nacisków i napaści redagowanie pisma zostało poważnie utrudnione. Żądania dyrektora Chojeckiego były jednoznaczne: domagał się on pełnej kontroli nad pismem.

Dla funkcjonowania gazety jaką jest *Kontakt* zaistnieć musi wobec prawa francuskiego *asocjacja* o niedochodowym celu. Powołaliśmy ją wyłącznie w celu uprawomocnienia pisma. Nikomu — przypuszczam — nie przychodziło wówczas do głowy aby pojawiły się konflikty dotyczące prawa własności. Jednak po wspomnianych konfliktach, w styczniu bieżącego roku Mirosław

Chojecki postanowił animować *asocjację*. Od tego momentu dyrektor może wycofać się w cień i przywołać widmo *asocjacji*. Oczywiście nadal pozostaje ona ciążem czysto formalnym. Znamienne, że do zarządu nie weszła żadna osoba z Kolegium Redakcyjnego (oczywiście z wyjątkiem dyrektora). O stosunku dyrektora do zarządu świadczy fakt, że o wszystkich decyzjach wobec pisma zarząd zostawał „zawiadomiony”.

23 kwietnia otrzymałem od Mirosława Chojeckiego „Upomnienie”, z którego dowiedziałem się, że „kompromituje pismo a wraz z nim całą instytucję *Kontakt*”, w *Kontakcie* „ukazują się materiały szkodliwe”, etc. Jedyne wyjście widzi dyrektor w cenzurze prewencyjnej sprawowanej przez niego osobiście.

W odpowiedzi na mój list przedstawiony również do wiadomości kilku autorytetom polskiej emigracji, w którym analizuję funkcjonowanie instytucji *Kontakt* i apeluję o powołanie Rady Nadzorczej złożonej z osób obdarzonych autorytetem społecznym, otrzymałem natychmiastowe wypowiedzenie od dyrektora Chojeckiego.

Dla mnie najważniejszą sprawą w całym tym układzie jest samo istnienie pisma. Czytelnicy zdają sobie najprawdopodobniej sprawę jak trudno jest stworzyć i utrzymać przy życiu na emigracji pismo z prawdziwego zdarzenia i jak bardzo jest ono potrzebne. Nie moją sprawą jest oceniać *Kontakt*, biorąc jednak pod uwagę zainteresowanie nim w kraju (ilość przedruków, wybór z *Kontaktu* wydany przez Przedświt, kolejne wybory przygotowywane przez inne oficyny), przedruki w prasie emigracyjnej oraz regularne wykorzystywanie materiałów w nim zamieszczonych przez radiostacje takie jak Wolna Europa czy polska sekcja BBC, sądzę, iż miesięcznik ten wszedł w obieg świadomości społecznej i stał się dobrem publicznym. Potwierdzają ten fakt liczne listy, które otrzymywałem tak od współpracowników pisma jak i obserwujących z dystansu *Kontakt* znanych przedstawicieli środowisk emigracyjnych, wyrażające żal i zdziwienie, iż przedsięwzięcie to prowadzą do załamania kaprysy wybujałej ambicji dyrektora publikacji, jaki to tytuł przyjął Mirosław Chojecki. Większość współpracowników i autorów pisma odmówiła współpracy na nowych warunkach. Wydaje się to równie oczywiste co nieuniknioną konsekwencją metod działania dyrektora publikacji. Jest to tym bardziej nieprzyjemne, że odbywa się pod szyldem solidarności i walki o wolność prasy.

Sądzę, że opisana tu sprawa jest przykładem na zjawisko znacznie szersze i dotyczące nie tylko emigracji. Może służyć ona na przykład przypomnieniu raz jeszcze banalnej prawdy na temat tego jak środki dominują cele i jak postawy nawet najbardziej zasłużonych ludzi w specyficznych okolicznościach przekształcać mogą się w swoje przeciwieństwo.

Bronisław WILDSTEIN

Vanves, 20 czerwca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przykro, że Bronisław Wildstein żegna się z Czytelnikami na łamach *Kultury* a nie *Kontaktu*. Jego „Wyjaśnienie” zostanie w tej samej formie opublikowane w *Kontakcie* jeżeli Autor wyrazi na to zgodę.

Oczywistym pozostaje fakt, że redaktor naczelny podejmuje ostateczną decyzję w sprawie kształtu pisma. Jednak aby podjąć decyzję „ostateczną” niezbędna jest wymiana zdań, dyskusja, muszą istnieć opinie różnych członków redakcji. W roku 1987 odbyło się tylko jedno zebranie Kolegium Redakcyjnego, a opublikowanych zostało 5 numerów miesięcznika. Członkowie redakcji, przed opublikowaniem, znali tylko te materiały, które dostarczali

sami (z nielicznymi wyjątkami). Resztę czytaliśmy w wydrukowanym numerze.

W „Wyjaśnieniu” Bronisław Wildstein przytacza przykład usunięcia przeze mnie tekstu. To prawda. Ale prawdą jest także, iż domagałem się przesunięcia tego tekstu do następnego numeru i opublikowania go wraz z odpowiedzią. Był to bowiem paszkwil atakujący VIDEO-KONTAKT. Elementarne zasady koleżeńskie nakazywały umożliwienie przygotowania odpowiedzi w tym samym numerze. Owego tekstu redaktor naczelny nie przedstawił osobom redagującym *Kontakt*. Nie przedstawił go też żadnej z osób, których ten paszkwil dotyczył. O innym tekście, atakującym mnie bezpośrednio, dowiedziałem się w fazie druku. Cenzurą redaktor naczelny nazywa mój udział jako członka zespołu redakcyjnego w przygotowywaniu pisma.

Bronisław Wildstein został zwolniony z pracy w Stowarzyszeniu *Kontakt* w chwili gdy nie przyjął propozycji porozumienia i znalezienia wyjścia z konfliktowej sytuacji, trwającej od dłuższego czasu, wybierając drogę rozsyłania listów — przynajmniej w dwóch językach — do osób nie zorientowanych w wewnętrznych sprawach *Kontaktu*. Nie uznał nawet za stosowne przekazać tych listów zarządowi stowarzyszenia, ani osobom, których jego listy bezpośrednio dotyczyły.

W „Wyjaśnieniu” Bronisław Wildstein pisze, że większość współpracowników i autorów pisma odmówiła dalszej współpracy. Ale jednak większość zespołu redakcyjnego pozostała. Gdybym był oddalonym od redakcji autorem *Kontaktu* po otrzymaniu takiej serii listów, które rozsyłał Bronisław Wildstein — byłbym zdezorientowany. Listy te zawierały fałszywe oskarżenia, wynikające często z braku wiedzy, zawierały pół- i ćwierćprawdy. Szkoda, że Bronisław Wildstein nie rozsyłał także odpowiedzi na owe listy, którą mu przekazałem.

Kontakt jest stowarzyszeniem. Wybory do zarządu przeprowadzane są raz do roku. Biorą w nich udział członkowie stowarzyszenia, osoby uczestniczące w jego pracach. Podczas ostatnich wyborów do zarządu wybrano dwie osoby pracujące stale w miesięczniku: redaktora od kilku lat przygotowującego „Miesięc w kraju” oraz mnie. Nie wybrano nikogo np. z Video-Kontaktu. Miesięcznik ma w pięcioosobowym zarządzie najsilniejszą reprezentację.

Bronisław Wildstein odmówił współpracy z zarządem, nie uznał go, mimo że brał udział w jego wybieraniu. Jedyną więc możliwością pozostało podejmowanie wszystkich decyzji dotyczących miesięcznika przez prezesa stowarzyszenia.

Z Bronkiem Wildsteinem pracowałem od dziesięciu lat. Sporo razem przeżyliśmy. Od krakowskich demonstracji po śmierci Staszka Pyjasa w 1977 roku przez aresztowanie nas razem, gdy opuściliśmy nieopatrzenie Stocznnię Gdańską w czasie strajku, w sierpniu 1980 roku, aż po wspólną pracę na emigracji.

Początkowo *Kontakt* miał nadruk: „Miesięcznik redagowany przez członków i współpracowników NSZZ 'Solidarność'”. W pewnym momencie ów nadruk znikł. Wcześniej znikły nazwiska osób redagujących, przygotowujących miesięcznik.

Są różne sposoby redagowania pism: jednoosobowo, lub w zespole. Broniek Wildstein jest silną osobowością. Wybitne jednostki lubią chodzić własnymi drogami. Boleję nad tym, że Broniek odmówił prób znalezienia wspólnej drogi z zespołem *Kontaktu*. Tym bardziej że, jak sam pisze, miesięcznik stał się dobrem publicznym.

Łączę wyrazy szacunku

Mirosław CHOJECKI

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 420 — IGOR NEWERLY

ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW

Igor Newerly — autor wielu książek w tym 2-ch o Januszu Korczaku w latach 60-tych napisał swoje wspomnienia z okresu 1914-1923 w Rosji i na Ukrainie. Wspomnienia te są autentycznym tłem okresu burzy i naporu w Rosji obejmując okres pierwszej wojny światowej, rewolucji i lat porewolucyjnych.

Str. 322.

Cena F. 120,00.

TOM 422 — JACEK TRZNADEL

HAŃBA DOMOWA

Książka Jacka Trznadla prezentuje czytelnikowi szereg jego rozmów ze znanymi polskimi pisarzami, kiedyś komunistami, którzy starają się opowiedzieć o swoim romansie i zerwaniu z partią. Te rozmowy mają ogromne znaczenie dla zrozumienia procesów, jakie zaszły wśród ludzi pióra w Polsce od powstania PRL do dziś. Trznadel opracował rozmowy z nadzwyczajną skrupulatnością i znanstwem przedmiotu i, co cenne, nie ograniczył się wyłącznie do pisarzy eks-komunistów, ale włączył do książki, tytułem przykładu, rozmowy z pisarzami, którzy przeszli przez komunizm z podniesionym czołem. Ozdobą książki jest rozmowa Trznadla ze Zbigniewem Herbertem.

Str. 320.

Cena F. 120,00.

TOM 428 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY

zawiera m.in. opracowania: M. Giedroyc: *Chryścianizacja Litwy*; T. Wyrwa: *Polska i Europa Środkowa w prasie francuskiej 1941-1944*; A. Kowalska: *Folklor tamtych lat*; T. Pawłowicz: *Pierwszy rok wojny (I)*; Wł. Minkiewicz: *Wspomnienia 1939-1954 (I)*; Dr Roman Born-Bornstein: *Powstanie Warszawskie* oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 70,00.

TOM 430 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

zawiera m.in. opracowania: A. Tuszyńska: *W oczach Polaków. Polacy i Rosjanie w Warszawie w latach 1865-1905*; E. Halicz: *Kraje skandynawskie wobec powstania styczniowego*; WSPOMNIENIA — Marii Bartłowej, T. Pawłowicza (II), Wł. Minkiewicza (dok.); P. Wandycz: *Nowe książki* oraz duże działy: OKRUCHY HISTORII i DOKUMENTY.

Str. 240.

Cena F. 70,00.

Kronika kulturalna

Przygodne uwagi o mowie

O WANDACH, KRAKACH I LECHACH

Podania o Wandzie i Kraku, które zostały zapisane w XIII wieku, opowiadają o wydarzeniach co najmniej o pięćset lat wcześniejszych. Były one zatem przekazywane żywą mową poprzez łańcuch piętnastu albo i więcej pokoleń opowiadaczy, zawodowych dziedzicznych bardów i gędców. Opowiadania były naturalnie podawane w różnych redakcjach. Dostosowywane do zmieniającego się stylu sztuki deklamacyjnej, ozdabiane wstawkami pobudzającymi zainteresowanie słuchaczy i podnoszącymi natężenie emocji, nierzadko przez wplatanie dodatkowych wątków związanych opowiadane dzieje z aktualnymi wydarzeniami.

Tym sposobem powstają różne wersje podania przekazywanego w poszczególnych, dziedzicznych liniach opowiadaczy. Różne wersje podań mogą być także wynikiem różnych, choć podobnych wydarzeń, jakie miały miejsce w różnych czasach i dotyczy osób pełniących podobne funkcje, a noszących takie samo imię. Imiona były bowiem zwyczajowo zastępcze, przybierane przy obejmowaniu pewnych stanowisk społecznych. Ślady takiego obyczaju jeszcze do dziś tu i ówdzie się zachowały (np. u królów, głów hierarchii kultów religijnych, zakonników różnych wyznań itd.).

Pierwsze teksty podań o Wandzie i Kraku zapisał Wincenty Kadłubek, biskup krakowski za panowania pryncypsa Piastowiczów, Leszka Białego. Jego pisana po łacinie kronika doszła do naszych czasów tylko w dwóch późnych kopiach, które, przepisane nie wiadomo kiedy i gdzie z wcześniejszych kopii, zawierają tekst różniący się w wielu szczegółach.

Częściowo niezależnie od kroniki Kadłubka, podania o Wandzie i Kraku zapisał w XV wieku Jan Długosz, kanonik, sekretarz Zbigniewa Oleśnickiego, magnata i biskupa krakowskiego,

ponadto nauczyciel i wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka.

Przekazy obu tych kronikarzy, zwłaszcza dotyczące pierwszych przedhistorycznych okresów, oparte na jakoby wcześniejszych, a zaginionych zapisach oraz informacjach zbieranych od ludowych opowiadaczy przez mnichów z podległych im klasztorów, były na ogół przez późniejszych historyków traktowane jako dane o wartości wątpliwej, często wyssane z fantazji, niejednokrotnie stylizowane na wzór mitologii klasycznych. Ostatnio jednak, wśród dwustu kilkudziesięciu informacji czerpanych przez Długosza z nieznanego źródła i dlatego traktowanych co najmniej nieufnie, znajdują się (np. przez Labudę) źródła zaginionych tekstów, potwierdzające wiadomości o pozornie nieprawdopodobnych wydarzeniach.

O możliwości istnienia wcześniejszych, a od dawna zaginionych zapisów podań o Wandzie i Kraku może świadczyć wzmianka Stanisława Sarnickiego (XVI wiek), pisarza wysoko cenionego za rzetelność i dokładność, którego powoływano do „porządnego opracowania” i zredagowania Statutów Królestwa. Pisząc o pierwotnych dziejach narodu, Sarnicki powołuje się m.in. na informacje z kroniki „Mercina Gallika” w owym czasie jeszcze tak łatwo dostępnej, że „każdy może je łatwo przeczytać”. Informacji tych nie znajdujemy w zachowanych odpisach „Kroniki Gallusa”, zwanej także „Kroniką Anonima”. Wskazówkę Sarnickiego trudno jest całkowicie zignorować. Jest więc możliwe, że „Anonim” (o którym istnieją poszlaki, że mógł nim być benedyktyn frankońskiego klasztoru Petrus Pictaviensis) poza utworem nazywanym przez nas „Kroniką” napisał także, całkowicie dziś zaginiony, ale jeszcze w XVI stuleciu znany tekst, który sam autor traktował jak prawdziwą kronikę. Ten bowiem, który znamy jako „Kronikę”, nie był przez niego uważany za kronikę. Był pisany jako panegiryczny poemat ozdobną prozą, komponowany według mody frankońskiej panującej w owym czasie, a reprezentowanej w licznych przykładach. Albo też mógł istnieć tekst kroniki pisany przez innego mnicha frankońskiego (a więc „Gallika”) jakich było w tym okresie w Polsce co najmniej kilkunastu, sprowadzanych kilkakrotnie już od czasów Chrobrego. Ten mnich mógł mieć dość rozpowszechnione wtedy imię Marcin, a jego kronika zaginęła już po XVI stuleciu. Nie byłby to jedyny ważny dokument, jaki u nas zaginął. Wiele zarówno rękopiśmiennych jak i drukowanych materiałów ginęło w naszym kraju nie tylko z powodu zniszczeń wojennych i rabunków, jak np. w czasie wojny szwedzkiej w XVII stuleciu („Potop”), lub podczas rozbiorów Rzeczypospolitej i późniejszych powstań. W muzeach szwedzkich, rosyjskich, pruskich, saskich, austriackich, a nawet francuskich istnieje wiele dokumentów, nie zawsze

nawet zakatalogowanych, które prawem „zdobyczy” lub konfiskat zostały zabrane z naszego kraju. Ale ważne akta i materiały ginęły także wskutek niedbalstwa. S. B. Linde zbierając materiały do swego monumentalnego Słownika Języka Polskiego (koniec XVIII wieku) przeszukiwał różne archiwa i księgozbiory w klasztorach i prywatnych dworach. Opisuje on stan skrajnego zaniedbania, jaki znajdował w wielu z nich. Nieuporządkowane, nie skatalogowane, cenne rękopisy i druki, złożone w ciemnych i wilgotnych lochach, gniły i rozsypywały się w proch. Linde wiele podobnych materiałów potrzebnych do jego pracy, jak sam pisze, po prostu bezceremonialnie zabierał i nikt się o nie nigdy nie upominał ani ich brakiem nie frasował.

Podania przedstawiają Wandę i Kraka jako postacie równocześnie przebywające w Grodzie na wzgórzu wawelskim, ale nie występujące w roli przywódczej w tym samym czasie. Są to jakby opowiadania o oddzielnych wydarzeniach i innych okresach czasu. Krytyczna postawa wobec tych podań, traktująca je jak wytwory fantazji poetyckiej, jak „opowiadania z tysiąca i jednej nocy” nie jest całkowicie przekonywująca. Trzeba inaczej podchodzić do relacji o charakterze tradycji rodzinnych, czy plemiennych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie i do relacji o odległych, geograficznie czy chronologicznie niedostępnych krajach, ludach i wydarzeniach relacjonowanych przez takich autorów jak Herodot, Tacyt, obaj Pliniusz, Ptolemeusz, nie mówiąc już o różnych pisarzach bizantyjskich i arabskich. Są to bowiem powtarzane „własnymi słowami” udziwnione, lub wręcz zmyślane opowiadania różnych podróżników, jakimi bywali awanturnicy kupcy, zabłąkani marynarze lub rozbitkowie, albo zbiegli jeńcy i niewolnicy, którzy osiągalni zyski materialne lub moralne tym łatwiej i tym obficie, im ich relacje były bardziej zdumiewające i niezwykle.

Potępienie w czambuł naiwności i bezkrytyczności (często bardziej rzekomej niż faktycznej) naszych kronikarzy może przypominać wylewanie dziecka razem z kąpielą.

Może warto spróbować innego podejścia. Mianowicie zestawienia wydarzeń relacjonowanych w tych podaniach i legendach z niezależnymi od nich wiadomościami dotyczącymi tych samych terenów i okresów, a uzyskanymi z odkryć archeologicznych i antropologicznych, oraz innych zakresów wiedzy dotyczących dziejów przedhistorycznych.

Miejsce wydarzeń z podań o Wandzie i Kraku, Gród na szczycie wzgórza Wawel, było ośrodkiem kultowym i administracyjnym obszernego terenu z licznymi osadami plemion wspólnoty celtycko-słowiańskiej, które wskutek naporu Rzymian i służących im szczepów germańskich wycofały się na północ z Panno-

nii; gdzie wspólnota celtycko-słowiańska osiedlona była co najmniej od drugiego tysiąclecia przed Chr. O znaczeniu gospodarczym terenu poza wałem Karpatów mogą świadczyć znalezione w wykopaliskach pod Krakowem (w 1976 roku w Zakrzewie) części urządzenia mennicy wyrabiającej monety z elektronu, tj. stopu złota i srebra, tego samego typu co i znane z innych stanowisk celtyckie monety, statery, bite z odlewanych krążków metalowych, a wzorowane na monetach bizantyjskich.

Teren ten, silnie zalesiony, obejmujący ponad 20 tys. km², znajduje się pomiędzy łańcuchem Beskidów Zachodnich od południa i pasmem Gór Świętokrzyskich od północy, oraz między dolinami rzek Sanu i Wisły, od wschodu, oraz Olzy i Odry od zachodu. Ludność rozsianych tu osad rolniczo-hodowlanych i przemysłowych, leśnych i górniczo-hutniczych stanowiły różne plemiona pra-słowiańskie. Jedne z nich należały do szczepów nazwanych Chorowates (w greckim napisie w Tanais). W czasach historycznych nazywano ich Biało-Chorwatami. Najliczniejszą grupę pra-Słowian tworzyły plemiona o nieznanych, nigdzie nie zapisanych nazwach, które później utworzyły lud nazywany Wiślanami. Plemiona pra-celtyckie, najmniej liczne, stanowiły grupy kierownicze osad przemysłowych, kolegów kapłańskich i zespołów administracyjnych i handlowych.

Przedstawiciele grup „intelektualnych”, a więc kolegów kapłańskich, których później Rzymianie nazywali druidami, oraz grup bardów, zachowywali dawną tradycję przekazywania wiadomości kultowych i historycznych wyłącznie w formie żywej mowy. Tradycja taka zmieniała się stopniowo, gdy społeczność, której kapłani przewodzili, wchodziła w stadium cywilizacji urbanistycznej z wytwarzającym się ośrodkiem „laickiej” władzy gospodarczo-militarnej („imperialnej”). Na różnych geograficznie terenach następowało to w różnych chronologicznie okresach. Na terytorium Grodu Wawelskiego taki system laickiej władzy nie zdążył się rozwinąć i utworzyć nowego systemu kultury „państwowej” (w przeciwieństwie do plemiennie-szczepowej) aż do czasu kiedy kolegia kapłańska została zmieciona z powierzchni przez rewolucję filozoficzno-religijną chrześcijaństwa, a rody bardów schroniły się w „podziemie” społeczne.

Na tym terenie poszczególne plemiona posługiwały się różnymi dialektami proto-słowiańskimi, a językiem grup przywódczych był, dla większości zrozumiały, język pra-celtycki. Stąd też wiele nazw zachowanych na tym terenie wywodzi się z pierwiastków celtyckich. Nazwy rzek takie jak Wisła, Wisłok, Wisłocz, Wiślica, Świsłocz pochodzą zapewne od celtyckiego wys = „woda bieżąca”. Pierwiastek celtycki san, sen, od którego wywodzi się nazwa rzeki San (tak samo jak i Sekwany)

oznacza miejsce dla sieci rybackiej (stawianej w poprzek rzeki). Wśród rzek w tej części kraju celtycki źródłosłów mają Odra, Olza, Opawa, Nida, Raba, Dunajec, Pilica. Poza różnymi nazwami topograficznymi, celtyckiego pochodzenia są takie elementy życia społecznego jak liczne melodie śpiewów i tańców, instrument muzyczny kobza, taniec mężczyzn z laskami (zachowany w autentycznej formie u górali jeszcze na początku bieżącego stulecia), lajkonik, turoń i obrzędowe maszkary, obchody świąt w dniach porównań i przesilen w cyklu słonecznym itd.

Proces różnicowania języków rozpoczynał się na tym terenie prawdopodobnie około IV stulecia naszej ery i przebiegał powoli, tak że dopiero około VI stulecia ukształtował się odrębny język staro-słowiański. Należy użyć określenia „prawdopodobnie”, gdyż język ten nie zostawił żadnych tekstów pisanych, a nawet pojedyncze wyrazy (głosy) zapisywane w tekstach łacińskich pojawiają się najwcześniej w XIII stuleciu. Język staro-słowiański może być tylko rekonstruowany taką samą metodą, jaką zrekonstruowany został język pra-indoeuropejski, również nigdy i nigdzie nie zapisany.

Język staro-słowiański uległ pewnym wpływom krótkotrwałej, bo zaledwie dwudziestoparoletniej działalności prozelitycznej ośrodka misjonarskiego założonego przez Konstantego i Metodego na Morawach, ale w wielu istotnych szczegółach różni się on od języka cerkiewno-słowiańskiego, na poły sztucznie (syntetycznie) skonstruowanego przez zespół klasztorny Metodego z pierwszotków słowiańskich dialektów Macedończyków, Wenedów i Bułgarów, tak aby mógł być łatwo rozumiany wśród innych szczepów i plemion słowiańskich. W języku tym z okresu działalności na Morawach pozostały niezbyt liczne teksty religijne pisane alfabetem stworzonym przez Metodego na wzór alfabetu greckiego, rozszerzonego dla głosek w grece nieistniejących i mającego kształt znaków liter, przypominający litery alfabetu koptyjskiego i ormiańskiego. Ten alfabet, zwany głągolicim, po przeniesieniu ośrodka misjonarskiego do Bułgarii po zgonie Metodego i uproszczony przez Konstantego (nazwanego teraz Cyrylem) bardziej zbliżony do kształtu liter greckich i znany jako cyrylicy, posłużył do spisania licznych przekładów bizantyjskich tekstów liturgicznych, pism religijnych oraz kronik.

Nazwa Wawel (która może na wzór grecki ma w piśmie cerkiewno-słowiańskim także formę Babel) jest pochodną od morfemu IE *BhEL = „wzgórze”. Pochodny wyraz „babel” w Babilonii oznaczał „góra z wejściem do boków”. Pierwotnie każdy babel-wawel (a było ich więcej) to była świątynia wraz z zabudowaniami pomieszczeń kapłanów i obsługi wzniesiona na szczycie odosobnionej góry. Obronne ufortyfikowanie było póź-

niejszym dodatkiem. Tylko w tradycji hebrajskiej, datującej się z okresu „babilońskiej niewoli Żydów”, a rozpowszechnionej przez chrześcijański użytek Biblii, „Babel” zaczął oznaczać budowę bałwochwalczej wieży niedokończonej z powodu pomieszania języków.

W niektórych wersjach podania Wanda jest przedstawiana jako siostra albo żona Kraka. Oczywiście tylko rytualna, gdyż jest dziewicą, natomiast Krak ma potomstwo — dwóch synów, z których starszy ma mieć również imię Krak (albo Krakus) a młodszy Lech (albo Lestek). Ale jeżeli Wanda, jak można sądzić jest kapłanką bogini księżycy, a Krak kapłanem boga słońca, to w tradycji pra-indoeuropejskiej takie pary kapłańskie były uważane za połączone formalno-rytualnym związkiem rodzinnym, ale władza przywódcza nigdy nie była sprawowana wspólnie.

Wydarzenia z podań o Wandzie są zapewne chronologicznie wcześniejsze niż podania o Kraku, bo poza innymi wskazówkami wiemy, że pierwotne systemy plemienne są typu matriarchalnego i naczelną władzę spełnia kapłanka Wielkiej Białej Bogini (księżycowej). Dopiero po „rewolucji” patriarchalnej władzę przejmuje kapłan „Ojca Bogów” (słonecznego).

Imię Wanda, tj. Wan-da, pochodzi od IE wyrazu *Wan = „jasny, biały”, który w języku staro-celtyckim przyjęty był jako imię Białej Bogini w jej aspekcie matki-opiekunki i bogini urodzaju. Celtycką formę tego wyrazu Gwen = Biała, Rzymianie pisali „Gwener” utożsamiając Białą Boginię z Wenerą. Każda naczelną kapłanką tej bogini, obejmując swoje stanowisko przybierała jej imię jako jej przedstawicielka. Końcówka -da w tym imieniu jest gramatycznym odpowiednikiem końcówki -dan w męskim imieniu Bogdan.

W jednej z wersji podania, Wanda jako przywódca Grodu organizuje jego obronę przed napastnikami (niewymienionymi z nazwy) oblegającymi Wawel, a tak licznymi i groźnymi, że ludność traci nadzieję obrony. Wanda urządza uroczystość publicznego wezwania pomocy Bogini. Jej odpowiedź przychodzi tej samej nocy. Magiczna moc sprawia gwałtowną śmierć wielu napastników, reszta ucieka w popłochu. Gród jest ocalony. Jakież to cud bogini zadał tak nagłą klęskę tłumom żadnych rabunku wojowników? Zdaje się że w treści podania jest ukryty klucz do rozwiązania tej zagadki. Nagły przybór wody w Wiśle, jaki zdarza się niekiedy latem w rzekach zasilanych góorskimi strumieniami, zalewa powodzią teren dokoła Grodu i topi śpiących przed porannym atakiem napastników. W solennej uroczystości dziękczynnej Wanda składa bogini największą ofiarę — tradycyjną od czasów pra-indoeuropejskich, powtarzaną niejednokrotnie w niezwykłych okolicznościach — popełnia rytualne samobójstwo topiąc się w wezbranych wodach Wisły.

Można by spróbować umiejscowić to zdarzenie w przestrzeni czwartego wymiaru, tj. czasu. Wzdłuż doliny Wisły wędrował z północy na południe szczep wojowniczych Bastarnów (zwanych też Galatami), których bandy czyniły po drodze napady grabieżcze. Liwiusz opowiada, że do Macedonii przybyli oni w połowie II stulecia przed Chr., razem z Macedończykami brali udział w walkach z Rzymianami i ponieśli klęskę w wojnie z 168 roku przed Chr. Może to właśnie jakiś szczep Bastarnów próbował ograbić Gród Wawelski w czasie wędrówki do Macedonii?

Pamięć o takim wydarzeniu cudownego ocalenia Grodu była oczywiście długo przechowywana i opiewana przez gęślarzy. Może fragmentem takiej ich pieśni jest cytata z Kroniki Kadłubka: „Wanda morzu, Wanda powietrzu, Wanda ziemi niech króluje”. Władztwo nieba (powietrza), ziemi i wody, to był tradycyjny atrybut Białej Bogini Wan.

Niewątpliwie było wiele Wand, naczelnich kapłanek, których okresy przywództwa w Grodzie Wawelskim miały bez szczególnych wydarzeń, które miałyby utrwać się w pamięci plemiennej. Upłynęło wiele pokoleń, zanim powstała druga wersja podania o Wandzie. I tym razem naczelną kapłanką musiała bronić Grodu przed napastnikami. Teraz podanie wyraźnie wymienia ich jako szczep germański. Jego wódz, którego imię podawane jest różnie, jako Rugard, albo Rydgierd, albo Ritogar żąda, aby Wanda została jego żoną, w zamian za co obiecuje sojusz i obronę Grodu, ale grozi że w przeciwnym razie zburzy Gród i siłą porwie Wandę, w której jest zakochany. Wanda odmawia żądaniu „niemca”, to znaczy „niemego” — nie mówiącego naszym językiem, i aby uchronić Gród przed napaścią, topi się w Wiśle. Ritogar z rozpaczny przebija się mieczem, a jego wojska odступują od murów obronnych Grodu.

Być może, iż w tej wersji opowiadacze, albo mnisi, którzy to opowiadanie zapisywali dla Długosza, poplątali niektóre wątki z poprzedniej wersji podania, a także włączyli jakieś stereotypowe wątki romantyczne. Wiemy bowiem, jak ci sekretarze pracowali. Fragmenty opowiadań stanowiące pewną całość przepisywali w paru kopiach, które układali w pudełkach przeznaczonych na poszczególne tematy, osobowości, daty itp. Przy pisaniu Kroniki Długosz brał odpowiednie kartki z właściwych pudeł i redagował tekst danego ustępu opowiadania. Ten pomysłowy system organizowania pracy sekretarzy prowadził jednak do wielu błędów. W kronice jego jest sporo miejsc, gdzie ten sam wątek czy wydarzenie włączone jest do opowiadań o paru różnych wydarzeniach w innych okolicznościach i okresach czasu. W innym bowiem tekście tej samej wersji podania Wanda bynajmniej nie topi się w Wiśle, wysłani przez nią wojownicy odpędzają

bandę napastników, przy czym ich przywódca mógł zostać ranny. Kilka lat później Wanda umiera śmiercią naturalną.

W tej wersji podania mamy wyraźną wskazówkę chronologiczną. W okresie drugiego wieku naszej ery odbywała się wędrówka plemion Gotów od wybrzeży Bałtyku do Morza Czarnego. Wędrówka różnych szczepów gockich odbywała się wzdłuż dolin Wisły, Sanu i Dniestru oraz Bugu, Prypeci i Dniepru. W czasie migracji, która trwała około stu lat — a więc trzy pokolenia — Goci robili po drodze dłuższe postoje, obławy myśliwskie, przygotowywanie zapasów żywności itd. oraz wyprawy rabunkowe. Już wtedy rozpoczęło się różnicowanie się plemion gockich. Po przybyciu nad morze Czarne Goci szybko rozpadli się na dwie oddzielne grupy: Ostrogotów i Wizygotów (tj. Gotów Wschodnich i Zachodnich).

Jest zatem zupełnie prawdopodobne, że gdzieś przed III wiekiem po Chr. jakaś banda Gotów napadła i grabiła osiedla między Sanem i Wisłą oraz próbowała złupić Gród Wawelski, a może nawet ich przywódca zamierzał zostać królem przez małżeństwo z władczynią Grodu. Jordanes, historyk Gotów w VI wieku (którego dzieło „Pochodzenie i dzieje Gotów” jest właściwie streszczeniem dwunastotomowej kroniki Cassiodorusa, syryjskiego historyka, męża stanu i zakonnika) nie wspomina o jakichś romantyczno-wojennych przygodach ani o rzekomym samobójstwie Ermanryka, wodza jednego ze szczepów Gotów wędrujących zachodnim szlakiem migracji, ale pisze o jego walkach ze Słowianami.

Istnieje jeszcze trzecia, ułamkowa wersja podania o Wandzie, w której również ginie ona utopiona w Wiśle, ale nie ma tu mowy o samobójstwie i nie wiadomo z opowiadania czy był to wypadek, czy może skutek przewrotu przy zmianie systemu władzy z matriarchalnego na patriarchalny, a więc wtedy gdy klan kapłanów boga Słońca odbierał władzę kapłankom bogini Księżyca. Potem już dzieje Grodu Wawelskiego zawierają tylko podanie o Kraku, który jako naczelną kapłan nosi rytualne imię boga słonecznego.

Imię Krak wywodzi się bezpośrednio z IE *KwR, nie zaś ze rdzenia celtyckiego, który dla tego samego bóstwa ma imię Bron albo Wron. Nie tylko naczelną kapłan, ale także święty ptak boga nosi w dialektach pra-celtyckich tę samą nazwę Wron, a w dialektach pra-słowiańskich nazwę Krak albo Kruk.

Jednym z atrybutów boga Bron-Wron jest ziarno zboża. Jest to więc, tak samo jak Biała Bogini, bóg urodzaju. Ale ponadto jest on także dawcą życiodajnych promieni słonecznych i promieni-strzał zabójczych. Jest on zatem jakby odpowiednikiem Apolla.

Bóg Bron-Wron i jego siostra Bron-Wen (Biała Wrona) są dziećmi boga o imieniu Bel albo Beles, który jest bogiem Światła czczonym pod tym samym imieniem jeszcze w Chaldei, gdzie jednym z jego atrybutów jest Złoty Cielec (wspominany nawet w Biblii). Beles-Welas to słowiański Wołos, o którym dawni pisarze sądzili, że jest opiekunem bydła rogatego.

Naturalnie mogło być więcej niż jeden Krak, naczelný kapłan boga Bron-Wron (który w słowiańskim panteonie nosił prawdopodobnie także zastępcze imię Swarożyc). Ale podanie opowiada dzieje ostatniego z Kraków, który staje się prekursorem rozdziału władzy na kapłańską i „państwową”, wzorowaną na imperialnym systemie bizantyjskim, rzymskim czy frankońskim, może kreując swego syna na przywódcę „laickiego”.

Można sądzić, że w relacjach zanotowanych w XIII-XIV stuleciu powstał pewien błąd, czy to z winy autorów kronik, czy ich współpracowników-sekretarzy zapisujących fragmenty podań z opowiadań ludowych. Błąd polega na tym, że zasadniczy punkt podania, zabicie smoka wawelskiego, przypisane jest w jednej wersji Krakowi, a w innej jego starszemu synowi o tym samym imieniu (w niektórych zapisach, dla odróżnienia wydłużonym na Krakus). Otóż imię Krak jest w istocie tytułem przybieranym przy obejmowaniu pozycji naczelnego kapłana. Ponieważ zaś członkostwo kolegium kapłańskiego jest dziedziczne, to najstarszy syn naczelnego kapłana może być na tę pozycję obrany po zgonie ojca, stając się w ten sposób nowym Krakiem.

Wątek smoka wawelskiego i jego zabicia przez Kraka, czy to samodzielnie, czy z pomocą miejscowego mistrza szewskiego, był jednym z głównych powodów, dla których późniejsi historycy traktowali autorów zapisów podań — Wincentego, a zwłaszcza Długosza — jako bajkopisarzy „ozdabiających” opowiadanie kłamliwymi fantazjami na wzór klasycznych baśni mitologicznych. Nie ma istotnego usprawiedliwienia dla takich oskarżeń (w jakich celował Brückner). Jeżeli nawet kronikarze ci mogli bezkrytycznie powtarzać relacjonowane im ludowe opowiadania, to trzeba pamiętać, że mitologie wszystkich ludów pochodzenia indoeuropejskiego są w istocie tą samą mitologią, odziedziczoną z prądów, a różne imiona pod którymi figurują te same bóstwa są zastępczymi nazwami imion „niewymawialnych”. Ale czyny bohaterów szczepowych, pół-bogów, choć wyrażane w symboliczno-hieratycznej formie kultowej o stereotypowych wątkach, są oparte na rzeczywistych wydarzeniach. Zawsze bohater plemienny przed objęciem władzy królewskiej (odebranej czy to klanowi kapłańskiemu, czy też „uzurpatorowi”) uwalnia społeczność od jakiegoś kryzysu czy plagi, przedstawianej symbolicznie w postaci węży, smoka, lub innego potwora. Sam pierwowzór — Apollo

zabija Pythona, Marduk zabija Tiamat itd. Herkules, Jazon, Perseusz, Tezeusz i wielu innych — każdy musi pokonać jakiegoś potwora.

Nie mamy żadnych danych lub wskazówek, jaką rzeczywistość przedstawia tradycyjnie zmitologizowana opowieść o zabiciu smoka, ale na podstawie ogólnych wiadomości o dziejach danej epoki można zaryzykować hipotezę, że „smokiem wawelskim” był rezydujący tam wysłannik chana Awarów (Obrzych), który pilnował gromadzenia przez władze Grodu wyznaczonego im stałego haracz w postaci dóbr rolnych i wyrobów przemysłowych z osiedli podległych władzy Grodu, a zapewne także kontyngentu niewolników obojga płci. Po haracz ten sporadycznie przybywały na Wawel oddziały Awarów.

Mieszkańcy Grodu i administrowanych przez niego osiedli rolnych i przemysłowych, którzy już od dwóch pokoleń płacili ten dokuczliwy i haniebny haracz, mieli przez Awarów surowo wzbronione wszelkie próby organizowania grup wyćwiczonych wojowników. Ale młody Krak postanowił obmyślić plan wyrwania swego ludu z tej ciężkiej niewoli. Może nawet istotnie z pomocą, choć nie szewca, bo w tym okresie przemysł szewski jeszcze się nie wydzielił z dziedzicznej grupy rzemieślników przemysłu skórzano-futrzanego. Mistrzowie tego przemysłu nie tylko sporządzali przedmioty do użytku gospodarczego i różne części narzędzi przemysłowych, a także odzież, począwszy od czapek i okryć po obuwiu i ozdoby, ale także produkowali materiał do tych wyrobów, a więc wyprawiali surowe skóry, futra i sierści. (Według podania doradca Kraka miał mieć na imię Skuba. Jest to stary wyraz, który wywodzi się z IE *KSeUB o znaczeniu „zdzieranie sierści ze skóry”). W związku z tym owi „skórnicy” mieli od wieków nagromadzoną znajomość różnych procesów chemicznych i substancji, wśród których były środki trujące. Poza tym i w kolegiach kapłańskich znano i czyniono użytek z narkotycznych i trujących grzybów oraz roślin jak chmiel, konopie, mak, szalej itd.

Przybyły po haracz, niewielki jak zwykle oddział Awarów, po wieczornej uczcie przygotowanej przez domowników Kraka a odbywającej się w obejściu rezydującego w Grodzie przedstawiciela Chana, szybko zapadli w ciężki, narkotyczny sen. Wtedy kapłańska drużyna Kraka (w kronice Kadłubka nazwana „krucętami”) może z pomocą grupy „skórników” powiązała nieprzytomnych Awarów i każdego z przymocowanym do nóg mieszkciem napęnlionym kamieniami wrzucili do rzeki, gdzie ci szybko „opili się wody do rozpuku”.

Jeżeli to zabicie „smoka” miało miejsce przy końcu VIII stulecia, to czyn Kraka mógł nie być po prostu odruchem buntu

przeciwko przemocy rabusiów, ale działaniem zaplanowanym na podstawie wiadomości przychodzących przez linie komunikacyjne druidów o gromadzeniu się potężnej armii pod wodzą frankońskiego władcy Karola dla decydującej rozprawy z Awarami. Klany kapłanów utrzymywały zawsze łączność informacyjną. W sąsiedztwie Grodu Wawelskiego, na wzgórzu w dolinie rzeki Wag (w pobliżu dzisiejszej Bratysławy) znajdowała się osada prowadzona przez celtycki szczep Kotynów, którzy mieli tam stosunkowo łatwy punkt do obserwowania ośrodka władzy Awarów. Większa jeszcze siedziba celtycko-słowiańska nad rzeką Wełtawą miała stałe kontakty z druidami i bardami ukrytymi w rzeszach wędrownych jarmarcznych straganiarzy, akrobatów, aktorów i śpiewaków z terenu chrześcijańskiego już imperium Franków.

Tu, nad Wełtawą, równocześnie z okresem młodego Kraka Wawelskiego, przywódcą kolegium kapłanów był dużo starszy wiekiem wódz również o rytualnym imieniu Krak, który był ojcem trzech córek, zwanych Kazi, Tetka i Lubosza. Podanie przedstawia je jako kapłanki i wróżki, może o charakterze podobnym do greckich Eumenid, a Lubosza utrwaliła się w pamięci pokoleń jako bohaterka akcji prowadzącej do zorganizowania się osady w państwo czeskie.

Mimo pomyślnego wyniku uwolnienia osady z jarzma Awarów, młody Krak nie objął władzy królewskiej. Zamordował go jego młodszy brat Lech, aby zagarnąć spadek władzy, a zbrodnię upozorował jako wypadek na polowaniu. Podanie zapewnia, że nie ominęła go kara bogów, bo umarł bezpotomnie. Państwo Wiślan przez niego uformowane było w następnych stuleciach terenem, o który walczyli i kilkakrotnie sobie wyrwali władcy Czechów i Polan, zanim Kraków stał się ostatecznie stolicą Polski.

Lech z podania o powstaniu państwa Polan był postacią dużo wcześniejszą od Lecha Wawelskiego. Był to jeden z braci, którzy zagarnęli władzę przywódczą w wielotysięcznej grupie wspólnoty celtycko-słowiańskiej osiadłej na wybrzeżu Morza Adriatyckiego. Sądząc z ich imion — Lech, Czech i Rus — które nie wywodzą się od imion bóstw, żaden z nich nie pełnił władzy i funkcji naczelnego kapłana. Imię Lech jest skrótem dwóch różnych przymiotników, z których każdy mógł być (i bywał) używany jako przezwisko. Jednym jest wyraz „lestny” który znaczy „piękny”. (Z tego źródłosłowu pochodzi cerkiewno-słowiański wyraz „prelastny”, piękny albo wspaniały). Drugim przymiotnikiem jest wyraz „leśny” o znaczeniu podstępny albo obłudny. Nie jest to wyjątkowy skrót nazwy imienia o dwóch różnych znaczeniach. I dziś jeszcze znamy skrót imienny „Stach”, który oznacza albo imię Stanisław, albo Eustachy.

Imię Czech wywodzi się zapewne od staro-słowiańskiego

przymiotnika „czechliwy”, co znaczy „cierpliwy” albo „czekający na spełnienie nadziei”. Imię Rus pochodzi od pierwiastka, który znaczy „rudy”, mający włosy ciemno czerwone. (*Nota bene* plemiona celtyckie wyróżniają się wielkim procentem ludzi o rudych włosach). Zaś imię Kij znaczy buława, maczuga, albo młot (drewniany).

Po zabiciu siostry, która zapewne była przywódczynią w matriarchalnym systemie władzy kapłańskiej (pod satelitarną opieką Rzymian, zgodnie ze wzmianką podania o walce braci z Rzymianami), bracia zagarnęli podzieloną między siebie władzę nad oddzielnymi grupami plemion jako wodzowie militarni. Imię tej siostry-kapłanki nie przechowało się ani w tradycjach Polan lub Czechów, ani też nie zostało zanotowane w języku cerkiewno-słowiańskim w kronice Nestora. Można przypuszczać, że jej imię było również Wanda i nazwa Wenecji pochodzi od tego właśnie imienia Białej Bogini i jej naczelnej kapłanki.

W kronice Nestora owi trzej bracia noszą imiona o nieco innym brzmieniu (czy pisowni?) i wymienione są w innej kolejności. Mają to być: Kij (założyciel Kijowa), Szczech i Choriw. Z tekstu zapisanego przez Nestora można wnosić, że Kij-Rus prowadził swoją grupę plemion wzdłuż doliny Dunaju na wschód, do Morza Czarnego, po czym wędrował wybrzeżem morza aż do doliny Dniepru.

Natomiast Lech (Lech-oriw, ze znaczeniem „oriw” = rozdzielający, podstępnie rozbijający jedność) i Czech (Szczech) kierowali wędrowkę swoich grup dwiema równoległymi trasami „szlaków bursztynowych” na północ poprzez Pannonię i Noricum, co musiało mieć miejsce przed końcem IV wieku po Chr., kiedy owe tereny zostały zajęte przez Hunów. Grupa plemion prowadzona przez Czecha wędrowała wzdłuż podgórze Sudetów, zostawiając szereg drobnych osad w dolinach Łaby i Izery. Reszta przekroczyła Sudety i utworzyła większe skupiska osad wzdłuż dolin Nysy, Orawy i Odry aż po teren dzisiejszego Wrocławia. Największa, parotysięczna grupa plemion prowadzona przez Lecha przeszła przełęcz (bramę) Morawską i wędrując na północ wzdłuż zachodniej granicy osad należących do Grodu Wawelskiego a potem wzdłuż doliny Warty utworzyła szereg skupisk na terenie pomiędzy Wartą, Notecią i Wisłą o powierzchni ponad 3 tys. km². Ośrodek administracyjny utworzony w Gnieźnie nie znajdował się pod władzą celtycko-słowiańskiego kolegium kapłańskiego, które umieściło się w Kruszwicy nad Gopłem, gdzie powstał ośrodek kultowy. Dzieje tego szczepu pra-polskiego należą do oddzielnego cyklu podań.

Przekraczając granice

Jeśli sztuka jest wieczną przygodą, ryzykiem i grą z niewiadomym, to niewiele polskich teatrów współczesnych lepiej obrazuje tę tezę niż Teatr Ósmego Dnia. Jest to zarazem jedyny teatr proveniencji studenckiej, którego losy odzwierciedlają narastającą — po raz kolejny od lat 1970-tych — dramatyczną sytuację kultury polskiej.

W obecnym składzie zespół istnieje od ponad piętnastu lat, acz jego początki sięgają roku 1964. Lata 1964-1971 są o tyle istotne, że w nich tkwią korzenie pierwotnej inspiracji, wielokrotnie potem przekształcanej. Tą inspiracją był Grotowski i jego zasada budowania widowiska na kontrapunkcie: święte — świeckie, wysokie — niskie, tragiczne — śmieszne. O ile jednak Grotowski tworzył w swoich spektaklach wspólnotę oderwaną od realiów rzeczywistości, Teatr 8 Dnia pójdzie drogą najściślejszych z nią związków. Nigdy jednak nie podda się wymogom łatwej aktualności czy aluzyjności politycznej, tak częstej w polskim teatrze zawodowym. Będzie to źródłem jego siły oraz jego dzisiejszego dramatu.

Pokrótko o historii do 13 grudnia 1981. Rok 1971 — spektakl „Jednym tchem” według Barańczaka. Poetycki portret „szarego człowieka”, poniżonego oficjalnym kłamstwem, portret narysowany suchą kreską, rzeczowy jak język gazet, teatr konfrontuje z niedawnymi wydarzeniami na Wybrzeżu. Anonimowy X, szary robociarz z gazetowych sloganów, optymistyczny propagandowy monolit, rozlatuje się w krwawiące strzępy.

„Aktor ogołocony” w Teatrze 8 Dnia zaczyna znaczyć co innego niż w praktyce Grotowskiego. Staje się czułą membraną rzeczywistości pozateatralnej. Poprzez spektakl „Jednym tchem” młodzi poznaniacy tworzą — *avant la lettre* — początki kultury niezależnej, która rozkwitnie na większą skalę dopiero po roku 1976, a w teatrze po 13 grudnia 1981.

Aktora Teatru 8 Dnia można określić za Camusem jako „człowieka zbuntowanego”. Jego bunt nie ma wszakże charakteru wyłącznie politycznego, jest zawsze tyleż aktem skierowanym przeciwko kłamstwu, złu i „gotowym światom” rzeczywistości, co aktem kontroli świadomości aktora, jej blokad i stereotypów, powstających także na skutek określonego sposobu funkcjonowania zespołu w polskiej kulturze.

Najlepiej wyjaśnić to na przykładzie. Od roku 1977, od spektaklu „Przecena dla wszystkich” — dramatycznej rejestracji wypadków radomsko-ursuskich, a w ogólniejszym planie obrazu postępującego ubezwłasnowolnienia społeczeństwa — zespół miał wszelkie podstawy do poza-artystycznego zadowolenia z siebie. Znalazł się po „właściwej stronie” i występował „w słusznej

sprawie” (dzieje kultury niezależnej po 1981 roku pokazały, że w wielu wypadkach był to podstawowy mechanizm dowartościowywania się środowisk twórczych). Od 1977 roku został przez reżym zaliczony do opozycji *tout court* z określonymi tego konsekwencjami. Sprowokowana przez ubecję awantura w warszawskim autobusie i wynikły z niej groteskowy proces sądowy, w którym usiłuje się przedstawić aktorów Teatru 8 Dnia jako chuliganerie są szeroko opisywane przez oficjalną prasę. Proces poznański o rzekome nadużycia w Spółkach Wodnych ma im przykleić etykietkę malwersantów. Rewizje, aresztowania i inwigilacja stają się chlebem powszednim. Zaczynają się kłopoty z oficjalnym mecenasem — SZSP — do zakazu występów włącznie. Pamiętajmy, że jest rok 1977, społeczeństwo jeszcze śpi, a przynajmniej milczy. Któżby w tych warunkach nie uległ czarowi własnego heroicznego wizerunku i nie zadowolili się nim? Nic z tego nie ma w postawie i pracy poznaniaków. Gdy patrzy się na ich kolejne przed-solidarnościowe spektakle z perspektywy lat, widać, że są proroczą zapowiedzią filozofii człowieka, którą przyniesie „Solidarność”. Ale są też wierne własnemu „buntowi permanentnemu”, własnemu widzeniu natury ludzkiej jako niejednorodnej, targanej sprzecznościami. Spektakl „Ach, jakże godnie żyliśmy” był konfrontacją rzeczywistości orwellowskich ludzi-ków ze świętym, rewolucyjnym mitem „nowego człowieka”. Był to czarny kabaret, czarna msza historii, wpisana w misteryjny układ nieba, piekła i ziemi. Na ołtarzu — estradzie kabaretu — spełniała się Ofiara-Przeistoczenie: wisząca na haku jak poćnięty żywego mięsa nowoczesna Nemezis, bogini materialnych przeznaczeń, rodziła różowe plastikowe świnki — symbol spełnionych marzeń o równości, wolności i obfitości. Na bocznych skrzydłach „anioły rewolucji” — klubiści 1789, komunardzi 1870, marynarze Kronsztadu — heroicznie szturmowały niebo. Na poziomie najniższym, w ziemskim piekle, kłębił się wir opętanych tanich graczy, handlarzy idei. Z tego dna „zgiełku i furii” wznosiła się ku widowni sentencja Hölderlina (jeden z obłąkanych proroków recytował ją po niemiecku):

Ku różnym stronom linie życia wiodą
Jak gór granice są i jak kierunek dróg
To czym jesteś ty, może dopełnić Bóg
Harmonią i spokojem i wieczną nagrodą.

Podobną syntezą historii „szalonej jak sen wariata” był ostatni „przedwojenny” spektakl Teatru 8 Dnia, „Więcej niż jedno życie” (1980). Na dansingu z „programem artystycznym” szansonistka śpiewała „Walca” Miłosza. Ale śpiew wciąż się rwał i coraz to nowa postać wdierała się na „bal historii” ze swoją własną historią, wielką lub małą. Krnąbrny uczeń, Jan M., który podciął sobie żyły w ustępie internatu prowincjonalnego technikum, bo nie mógł zgłębić optymistycznej nauki dziejów, jego rodzina i pewien zakłócony nagłym aresztowaniem wigilijny wieczór, dekabryści w dniu swej egzekucji, Grupa Helsińska w beznadziej-

nym pochodzie łagierników przez mróz Syberii — i raz jeszcze rodzina Jana M., żegnająca syna, wyjeżdżającego „do szkół”, w scenie, która spektakl otwierała. Wieczny kołowrot dziejów. W somnambulicznym szaleństwie ludzkiej zbiorowej pamięci, w obłędzie historii jest przecież nadzieja ocalenia, stały punkt, prawda człowieka. Świadectwo pamięci, które płynie ze strofami miłoszowego „Walca”.

Nastał rok 1980. Własna droga czyniła z Teatru 8 Dnia sojusznika „Solidarności”. W czerwcu 1981, w 25-tą rocznicę krwawych wypadków poznańskich, aktorzy Teatru 8 Dnia wykonali z okazji odsłonięcia pomnika ofiar poznańskiego czerwca 1956 specjalny program własnego autorstwa. Rzadko kiedy sztuka spotyka się z życiem społecznym w sposób tak uwierzytelniony własnym doświadczeniem artystów.

13 grudnia 1981 zastał zespół na gościnnych występach w Krakowie. Wszyscy aktorzy, „zgarnięci” spod biur „Solidarności Małopolski”, wylądowali na kilkanaście godzin w areszcie. Zaczął się ponury rozdział niszczenia wszystkiego, co wartościowe i niezależne w kulturze polskiej. Ale zaczął się także, po raz pierwszy na taką skalę w dziejach PRL, społeczny proces rewizji wartości. Tej lekcji aktorzy Teatru 8 Dnia przerabiać już nie musieli — mieli ją za sobą. W sześć miesięcy po ogłoszeniu stanu wojennego na małej scenie w Poznaniu odbyła się premiera spektaklu według „Przypowieści” Faulknera. Temat — bunt przeciwko wojnie, zbieżny na pozór z oczekiwaniami społecznymi. Ale ten zespół nie poddaje się żadnej presji, także presji aktualności. W celi faulknereków skazanych na śmierć buntowników widać rekwizyt z polskich cel więziennych roku 1982 — grzałkę z żyłetek. Przewija się przez tę scenę historia żołdateski, ale jakże groteskowa, pokraczna, jak niepodobna do tej, którą na ulicy Warszawy czy Poznania odczuwa się jako złowrogie *fatum*. Spektakl przywracał zakłócone proporcje widzeniu świata, ujmował we właściwej skali straszliwy banał powtarzającego się scenariusza. Nie nobilitował wroga, ale nie fetyszyzował także cierpienia „w słusznej sprawie”. Ofiara Kaprała i jego dwunastu „apostołów” z powieści Faulknera, ofiara życia, jest równocześnie afirmacją życia w jego spokojnej powszedniości — zwyczajnej zabawy w gospodzie, dziewczęcej piosenki w upalny letni dzień.

Kolejne przedstawienie, zrealizowane w grudniu 1982, to „Wzlot”, hołd pamięci Osipa Mandelsztama, który zginął w anonimowym stalinowskim łagrze. Ta prosta, rapsodyczna prawie opowieść oparta na wspomnieniach Nadieжды Mandelsztam i wierszach poety, odbiega od dotychczasowej tradycji inscenizacyjnej zespołu, charakteryzującej się bogatą, polifoniczną ekspresyjnością. Jak żadna inna, premiera tego spektaklu wpisuje się w polski pejzaż. W grudniowy wieczór wokół stołu, który w przedstawieniu będzie stołem poety — „zwierzczenia ofiarnego” — siedzą widzowie i uczestnicy polskiego dramatu, zwolnieni z „internatów” i karnej służby wojskowej. Stara figura losu historycznego, stół „Wieczery zesłańców” Jacka Malczewskiego, ożywa nowym znaczeniem, staje się etapem podróży w nieznane,

pytaniem o ciąg dalszy. Czterowiersz Mandelsztama brzmi jak przesłanie spektaklu:

*Pozbawiając mnie mórz, rozmachu i rozbiegu,
Dając pod stopę ziemi przymusowej akr,
Jakiście osiągnęli zysk? Niewiele tego:
Nie odbierzecie mi poruszeń moich warg.*

Trudne lata 1980-te przyniosą trzy nowe spektakle: „Raport z oblężonego miasta” (1983), „Cuda i mięso” (1984) i „Piołun” (1985). Dwa pierwsze wystawione zostały podczas kolejnych Jeleniogórskich Międzynarodowych Festiwali Teatralnych. To знаmienne, że właśnie teraz, pokazując widzowi poetycką metaforę jego niedawnej Apokalipsy, teatr otwiera się ku szerokim kręgom publiczności.

„Raport z oblężonego miasta” toczy się przez cały dzień na ulicach prowincjonalnej Jeleniej Góry. Materia literacka spektaklu to poezja Barańczaka i Herberta (poemat tytułowy i wiersze z tomu „Pan Cogito”). Tworzywo teatralne — poetyka gabinetu osobliwości, cyrku. Sprzedawca pamiątek i handlarz śmierci pobiera miarę na trumny od chętnych przechodniów, wręczając im na koniec plastikowe worki. Anonimowa, upokorzona śmierć, jaką dobrze znają polskie powojenne cmentarze. Ulicą biegnie dziewczyna ze sztandarem i pada na bruk. Konwój pokracznych policjantów na małych hałaśliwych wózkach przelatuje ulicą obok. Każda z tych scenek jest kwintesencją przemocy, okrucieństwa i osaczenia. Atmosfera osaczenia i śmierci kulminuje w ostatnim wieczornym obrazie oblężonego miasta. Na plac wkraczą nadnaturalnej wielkości (aktorzy na szczudłach) triumfatorzy, barbarzyńcy, sędziowie pokonanych. Jeźdźcy Apokalipsy. Czyjaś niestrudzona ręka jeszcze wypisuje hasło na murze. Ktoś miota się rozpaczliwie, szukając zaginionego dziecka. Ale oto już pierwszy trup na latarni. Już płonie żywym ogniem wszystko, co posiadali obrońcy. Wszystko oprócz pamięci i wierności, której przesłanie niesie głos ostatniego obrońcy, słowami poematu Herberta:

*I jeśli miasto padnie a ocaleje jeden
on będzie niósł miasto w sobie po drogach wygnania
on będzie miasto.*

„Raport z oblężonego miasta” obejrzało wielu widzów w różnych miastach — w Poznaniu, Krakowie, Warszawie. Swoista druga część tryptyku o polskiej Apokalipsie pt. „Cuda i mięso” grana była tylko tam, gdzie powstała — w małym miasteczku koło Jeleniej Góry. Temat: życie codzienne po upadku miasta. Kolejki po mięso i żarliwe oczekiwanie na cud, który odmieni los. Aktualność? Zapewne, stąd siła tych przedstawień, ale zawsze jest to aktualność podniesiona do rangi symbolu. Biorąc z atmosfery czasu wszystko, czym żyje społeczeństwo, Teatr 8 Dnia nie oszczędza tego społeczeństwa, nie funduje mu tanich laurek.

Szczególnie ostro widać to w ostatniej, trzeciej części tryptyku pt. „Piołun” (od „gwiazdy piołun” z Apokalipsy św. Jana). Jest to znowu opowieść o życiu po upadku miasta. Spektakl mógłby także nazywać się „Polskie drogi”, bo motyw pielgrzymki, podróży i drogi organizuje całą jego kompozycję.

Podróże powszednie — koleją, tramwajem, z tortem w ręce, na imieniny. Podróże wyśnione, w marzeniu, jak najdalej od rzeczywistości. Z małym, zazdrośnie strzeżonym modelem żaglowca w ręku. Nocne podróże w snach, w zapatrzeniach w gwiazdy. Straszne polskie pielgrzymki w mroki pijaństwa, z obowiązkową pieśnią na ustach: „Dzisiaj rezerwa w szeregi staje...”. Polska ulicy, Polska opozycji, Polska „blokowska”. Wielka poczekalnia. Nad tym groteskowo-lirycznym obrazem jego sędziowie i władcy, wykrzykujący w takt defiladowego rytmu i z defiladowym stuporem: „Nasz dom nigdy nie będzie burdelem!”, „Wyczyścimy go ługiem, kwasem, a jak się nie da inaczej — to paragrafem”, „Musimy zabijać, bo jak my ich nie zabijemy to oni zabiją nas”. I znów Polska rozmodlona. Jakaś kobieta szepcze: „Nie umieraj, nie umieraj, przecież będzie jeszcze lato”. „Spraw, żebym miał okno, które można otwierać, kiedy się chce” — modli się mężczyzna. „Nie śpij, kiedy obok Ciebie zabijają” — mówi w przestrzeń ktoś trzeci. Sekwencję tę kończy wielki sen zbiorowy — symbol niezniszczalności nadziei. Cała scena staje się pokładem uskrzydłonego żaglowca, domem wszystkich strudzonych pielgrzymów. Ale w ciemności nocy pojawiają się „czarne anioły”. Pościg i śmierć ściganego, zatłuczonego kopniakami w „studzienice melioracyjnej”. Upamiętnienie rzeczywistego faktu i konfrontacja marzeń bohatera z rzeczywistością. Ludzie z „blokowska” powracają na ziemię, ustawiają się w kolejkach na pociąg, w kolejkach po wizę. Ten dom, to „blokowsko”, ten dryfujący statek leżą z dala od Europy. Ale dopóki będą tu żyli ludzie — wizja szczęśliwej podróży będzie się unosiła nad tym smutnym pejzażem. Padając co krok i znów się podnosząc, aktorzy idą przez podest w stronę, gdzie kiedyś zabłysnął żagiel Statku Marzeń. U kresu tej drogi, zanim znikną z pola widzenia widowni, kobieta pyta człowieka z modelem żaglowca: „Dokąd bierzesz ten okręt?”. „Nad morze, wysłać go z wiadomością, że żyjemy” — pada odpowiedź.

„Piołun”, ostatni jak dotąd spektakl całej trupy, jest jednym z najpiękniejszych w całym jej dorobku, choć powstawał w warunkach dalekich od jakiegokolwiek komfortu. Od roku 1984 szkanowany i prześladowany (permanentne odmowy paszportów przy zaproszeniach na zagraniczne *tourneés*, ukrywanie tych zaproszeń przez ministerstwo kultury) zespół egzystował jednak oficjalnie pod egidą poznańskiej Estrady. W roku 1984, na niewątpliwie zlecenie wyższych władz, Estrada rozwiązała wszystkie umowy z Teatrem 8 Dnia, pozbawiając go w ten sposób statusu oficjalnej instytucji. Powód? Minister Bajdor podał go bez osłonek Lechowi Raczakowi, kierownikowi trupy: „Zaszkodziła wam przyjaźń i listy pisane do Michnika do więzienia”.

Do premiery „Piołunu” w Poznaniu nie doszło — władze zmu-

siły teatr do odwołania jej w ostatniej chwili. Teatrowi wypadło przekroczyć kolejny próg — przetrwać poza oficjalnym obiegiem kultury. Widownią stały mu się kościoły w całej Polsce, otwierające swe podwoje dla kultury niezależnej. Jezuici w Łodzi, Kraków i zasłużony kościół w Mistrzejowicach (gdzie odbyła się ostatecznie premiera „Piołunu”), dominikanie w Poznaniu i franciszkanie we Wrocławiu, warszawski kościół przy ul. Żytniej, św. Brygidy w Gdańsku, Toruń, Lublin, Świdnik, Białystok. Czasem udawało się zagrać w jakimś mniej nadzorowanym klubie studenckim. Publiczności tak licznej, o tak różnorodnym przekroju społecznym nie miał, jak sądzę, żaden teatr w powojennej Polsce. Z przymusu aktorzy Teatru 8 Dnia umieli stworzyć prawdziwy teatr ludowy, teatr wędrowny. Żyli z tego, co naprawdę zarobili spektaklami — zjawisko od dawna w żadnym teatrze nieznane.

Mniej różowo przedstawiały się możliwości dalszej pracy. Jak zrobić nowy spektakl bez sali prób? Były i inne pytania, zgoda odmiennej natury: jak nie ulec presji oczekiwań tej nowej publiczności, a także nieuchronnych oczekiwań kościelnego mecenasu, jak uchronić to, co — wbrew wszelkim wysiłkom władzy — uchronić się udało: suwerenność własnej drogi, niezależność myśli?

Agnieszka WÓJCIK

Teatr 8-go Dnia zagranicą

W czerwcu 1985 roku, po dziesięciu miesiącach występów „w drugim obiegu”, zespół Teatru Ósmego Dnia zdecydował rozdzielić się na dwie grupy: część pozostała w Polsce (Ewa Wójciak, Marcin Kęszycki, Roman Radomski i do stycznia 1986 — Lech Raczek) grając „Małą Apokalipsę”, przedstawienie oparte na motywach znanej powieści Tadeusza Konwickiego, natomiast czterej aktorzy (Adam Borowski, Tadeusz Janiszewski, Tomasz Stachowski i Leszek Sczaniecki), którzy wcześniej otrzymali paszporty, wyjechali na Zachód z przedstawieniem „Auto-da-fé”.

Europejskie *tourneé* drugiej części zespołu rozpoczęło się we Francji, od międzynarodowych festiwali teatralnych w Blois i Grenoble. Potem grupa występowała na południu Włoch i na Sardynii. W sierpniu zespół grał w Wielkiej Brytanii: Londyn, Cardiff, Oxford i in., tu też sukces teatru wobec publiczności zyskał oficjalne potwierdzenie — nagrodę na festiwalu w Edynburgu (zapewne największym festiwalu teatralnym w Europie) w konkurencji kilkuset (!) przedstawień. Jesienią 1985 „Auto-da-fé” obejrzała jeszcze publiczność w Szwecji (Sztokholm, Gö-

teborg i inne miasta), w RFN (Brema, Hanower, Monastyr, Bielefeld i in.) o powtórnie we Włoszech (Werona).

Wiosną 1986 we Włoszech zespół — w składzie poszerzonym o trzy aktorki z różnych krajów zachodnich — przygotował nową premierę pt. „Jeśli pewnego dnia w mieście szczęśliwym...”. Od maja 1986 Teatr Ósmego Dnia kontynuował występy na Zachodzie z dwoma już przedstawieniami.

Od początku bieżącego roku Teatr Ósmego Dnia dysponuje salą z niezbędnym zapleczem (biuro, magazyn, warsztaty) we Włoszech (Ferrara, via Quartieri 8). Tam przygotowano kolejną premierę — „Powietrzny spacer” — którą pokazywano wiosną tego roku w Toskanii i na Sycylii.

Europejskie *tournee* Teatru Ósmego Dnia potrwa przynajmniej do końca roku: zespół zawarł umowy na przedstawienia we Włoszech, Szwajcarii, Francji, RFN i Hiszpanii.

Występom Teatru Ósmego Dnia towarzyszą recenzje, z reguły dobre i bardzo pochlebne, czasem entuzjastyczne.

W Polsce na temat Teatru Ósmego Dnia panuje milczenie. Nie pisze się rzecz jasna o „podziemnych” występach, prasa nie wspomina o sukcesach zagranicznych (przemilczano nawet edynburską nagrodę Teatru Ósmego Dnia robiąc jednocześnie propagandowy hałas wokół równorzędnej nagrody Teatru Nowego z Poznania). Nie słabnie jednak policyjna czujność wobec aktorów, którzy pozostają w Polsce: Ewa Wójciak i Marcin Kęszycki po raz kolejny nie otrzymali paszportów, co zdaje się świadczyć, że zagraniczna aktywność zespołu budzi jednak pewne niepokoje w PRL.

Lech RACZAK

Wschodnie kresy RP na Uniwersytecie w Lille

W dniach od 5 do 7 maja 1987 roku odbywała się na Uniwersytecie w Lille III międzynarodowa konferencja poświęcona dawnym Kresom Wschodnim Rzeczypospolitej¹. Konferencję przygotował i zorganizował profesor Daniel Beauvois, najwybitniej-

1. Les Confins Orientaux de l'Ancienne Pologne. Contacts interculturels en Europe de l'Est aux XIX^e et XX^e siècles. Colloque international 5-7 mai 1987, Université de Lille III. Centre d'Etude de la Culture Polonaise.

szy obecnie polonista francuski, autor wielu prac historycznych dotyczących Polski, między innymi dwutomowej rozprawy o Uniwersytecie Wileńskim oraz książki pt. *Polacy na Ukrainie 1831-1863*². Zaprosił on na konferencję wybitnych znawców przedmiotu z Polski, Francji, Niemiec Zachodnich, Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Konferencję otworzył Czesław Miłosz, który uczestniczył także aktywnie w jej pracach. W swoim wystąpieniu wstępnym Czesław Miłosz stwierdził, że zdaje sobie sprawę z dwoistej natury swojej obecności na konferencji. Jest jednocześnie przedmiotem dociekań i własnym komentatorem oraz słuchaczem sądów o napisanych przez siebie tekstach i stronach rodzinnych. Rzeczywiście, jego nazwisko — co zrozumiałe — pojawiało się w rozmaitych ujęciach w wielu wystąpieniach.

W pracach konferencji uczestniczył również profesor Bohdan Osadczuk, którego wiedza o stosunkach polsko-ukraińskich odgrywała bardzo ważną rolę w trakcie dyskusji.

W Lille wygłosił również referat Norman Davies, zwracając uwagę na pewien ważny aspekt przedmiotu: na dawnych wschodnich terenach Polski nastąpiły w ciągu ostatnich dwustu lat tak znaczące przemiany demograficzne na skutek wysiedleń i eksterminacji ludności białoruskiej, litewskiej, ukraińskiej, żydowskiej i polskiej przez Rosję, Związek Sowiecki i hitlerowskie Niemcy, że obecnie mamy do czynienia ze zmieszaniem narodowościowym bardzo trudnym do rozpoznania i opisu.

Trzydniowe obrady były bardzo pracowite i owocne. Pierwszego dnia dominowały referaty o tematyce historycznej: Ludwika Ślęk (Uniwersytet Wrocławski) przedstawiła pojęcie Kresów w literaturze polskiej XVI i XVII wieku; Przemysława Matuszewska (Uniwersytet Wrocławski) poświęciła swoje wystąpienie obrazowi ziem wschodnich w poezji polskiej drugiej połowy XVIII wieku; Nina Taylor z Londynu w pięknym eseju przedstawiła genezę mitu literackiego Litwy w poezji Adama Mickiewicza oraz filozoficzne konsekwencje „zadomowienia” na Kresach polskiej poezji romantycznej.

Wystąpienie Stanisława Makowskiego (Uniwersytet Warszawski), poświęcone historycznej postaci Wernyhyora oraz jej wyobrażeniu artystycznym, ujawniło bogactwo symboliki oraz żywotność tego motywu w literaturze polskiej.

Drugi dzień obrad również stał pod znakiem problematyki historycznej oglądanej oczyma zawodowych historyków. Sławomir Kalembka (Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika w Toruniu) przedstawił różne kierunki polskiej myśli politycznej na emigracji w stosunku do dawnych Ziem Wschodnich. Referat Kalembki obejmował okres między Powstaniem Listopadowym i wojną francusko-pruską, ujawniając złożoność idei politycznych i wielość propozycji rozwiązania konfliktów narodowościowych w ma-

2. Polskie wydanie Instytut Literacki, 1987, w przekładzie E. i K. Rutkowskich. Str. 300, cena F. 120.

nifestach i dokumentach różnych stronnictw politycznych. Również Leszek Kuk (Toruń) poświęcił swoje wystąpienie polskiej myśli politycznej dotyczącej współżycia Rosjan, Rusinów i Polaków.

Referat Jean-Marie Delmaire'a (Uniwersytet Lille III) w sposób bardzo interesujący prezentował mało znane fakty dotyczące procesów asymilacyjnych zachodzących wśród żydowskiej burżuazji na Kresach, ich ograniczenia oraz trudności wynikające zarówno z opozycji w łonie społeczeństwa żydowskiego, jak i oporów innych grup narodowościowych.

Michel Koszul opisał stosunki panujące w drugiej połowie wieku XIX między katolikami, prawosławnymi i protestantami zamieszkującymi Kresy na tle działalności reformatorskiej Mihajło Dragomanova.

Drugiego dnia obrad uczestnicy konferencji wysłuchali ponadto dwóch ważnych i inspirujących wystąpień o charakterze historyczno-literackim: Ewa Kobylińska (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu) poświęciła swój esej sprawie podwójnego wyobcowania Żydów kresowych w powieściach Juliana Strykowski; Marta Wyka (Uniwersytet Jagielloński) analizowała obraz Kresów w powieści Stanisława Brzozowskiego pt. *Sam wśród ludzi*.

W trzecim i ostatnim dniu obrad dominowała polska literatura współczesna i utrwalał w niej, złożony, symboliczny, wielowarstwowy obraz Kresów. W wystąpieniach: Jerzego Jarzębskiego (Uniwersytet Jagielloński), Jacka Łukasiewicza (Uniwersytet Wrocławski), Maryli Laurent (Uniwersytet Lille III), Marka Tomaszewskiego (Uniwersytet Lille III) oraz Marka Zaleskiego twórczość Czesława Miłosza, Józefa Mackiewicza, Włodzimierza Odojewskiego, Tadeusza Konwickiego, Zygmunta Haupta oraz wielu innych pisarzy ujawniała całą złożoność problematyki kresowej w ich dziełach literackich.

Litwa i Ukraina nie stanowią dla tych twórców czegoś w rodzaju raju utraconego, Arkadii dzieciństwa, symbolu nostalgii za ziemią odebraną lub wydaną na zatrącenie. W każdym razie nie tęsknota jest najważniejsza.

Kresy w polskiej literaturze współczesnej mają bardzo często wartość symbolu, a nie alegorii — symbolu zmuszającego do myślenia i zarazem pełnego myśli. Dotyczy to niegdyśszego bogactwa kulturowego tamtych ziem, wzajemnego przenikania wartości, języków, religii, magii, obrzędów, znaków i pojęć, trudnej sztuki współistnienia.

Problematyka kresowa w polskiej literaturze współczesnej ma w dużym stopniu charakter paradoksalny — zwrócił na to uwagę profesor Jan Błński w swoim świetnym wystąpieniu oraz w uwagach zgłaszanych podczas dyskusji — musimy zdać sobie sprawę, że od wielu lat najwybitniejsi polscy twórcy starają się osaczyć i zrozumieć „polskość” właśnie poprzez „kresowość”; docierają do źródeł swojej własnej tożsamości przez to, co — przy najmniej z nazwy — peryferyjne. Czy chodzi o rewindykację te-

rytorialne lub chęć kulturowej ekspansji? Przeciwnie. Chodzi raczej o pewien typ struktury „polskiej duszy kulturalnej” — jakby powiedział Stanisław Brzozowski. Silnej wielością, strzegącej prawa do różnicy, która gwarantuje właśnie możliwość bycia sobą w trudnej sztuce szacunku i tolerancji wobec innego.

Wygłoszone w Lille referaty oraz dyskusja ukażą się w osobnej publikacji. Gratulując organizatorom zakończonej imprezy, czekamy niecierpliwie na książkę zbierającą jej dorobek.

Krzysztof RUTKOWSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Téléfon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Książki

Rymkiewicz, Mickiewicz i Żmut

Jaka to świetna książka, ten *Żmut**! Dociekliwa, gęsta od faktów i hipotez, a zarazem pasjonująca. Cioran w jednym ze swoich esejów wyznał, że pisze stale w stanie wewnętrznego wrzenia, dosłownie w gorączce. Jarosław Marek Rymkiewicz nie dostarcza informacji o stanie swego organizmu w trakcie pisania *Żmuta*, ale z tonu książki można wywnioskować, że i jego puls był przyspieszony. Dlatego monografia poświęcona młodemu Mickiewiczowi jest dziełem o podwyższonej temperaturze intelektualnej i emocjonalnej, a jej autor odwołuje się w niej równie często do „szkiełka i oka” co „czucia i wiary”. Co więcej, ten stan udziela się czytelnikowi.

Literatura o literaturze jest często czystym popisem erudycji, ale nie w tym wypadku. Książka Rymkiewicza, choć wyrosła z masy wszelakich świadectw pisanych, również i takich, do których nikt przed autorem nie zadawał sobie trudu sięgnąć, jest zaprzeczeniem suchej rozprawy. Autor daje w niej świadectwo zamiłowania do konkretności, który nie hamuje, a wręcz odwrotnie — pobudza wyobraźnię. Ze szczegółów i okrucich, z akcydensów życia nie dostrzeżonych lub pominiętych przez mickiewiczologów odtwarza na nowo świat, którego punktami centralnymi są Kowno i Wilno. Pod jego piórem staje się on na powrót niemal realny, dotykany. Imponujący zasób wiedzy został przepuszczony przez filtr autorskiego „ja”, które nie ukrywa swoich fascynacji i idiosynkrazji oraz wdaje się w rozliczne polemiki, dygresje, medytacje, nie trzymając się ściśle chronologii, wykraczając poza ramy czasowe i geograficzne. Rymkiewicz w roli

przewodnika po maceczniku polskiej literatury romantycznej kluczy, podąża różnymi tropami, wyprzedza bieg wydarzeń, zawraca. Momentami przypomina fotografa, który z podróży w przeszłość wraca z plikiem zdjęć — utrwalonych chwil. Wie, że nie zdoła z nich ułożyć pełnego albumu, że fotografie są tylko odbitkami życia. W jego książce jest wiele takich imaginacyjnych zdjęć, z powtarzającą się w różnych wariantach sceną zbiorową, gdy grupa domowników dworu tuhanowickiego lub bolciennickiego zastyga na ganku witając gości. Miga biała suknia Maryli, ciemną plamą odznacza się surdut Adama. I inna scena: czerwona podwiązka Karoliny Kowalskiej odbija się na tle soczystej zieleni doliny kowieńskiej. Oglądamy ją w zbliżeniu, jakby przez soczewkę teleobiektywu. Ale ta fotograficzna wręcz zdolność opisu nie służy Rymkiewiczowi do uzurpowania sobie perspektywy wszytkowiedzącego. Na koniec książki, gdy — wydawałoby się — przedstawił już tak wiele faktów z życia młodego Mickiewicza i jego otoczenia, gdy śledził go zaciekle w skromnym pokoiku i w buduarze, pozostaje on postacią nieprzeniknioną. Wraz z autorem wiemy o nim więcej, ale czy mamy uznać, że naprawdę go znamy?

Żmut jest konsekwentnym rozwinięciem metody twórczej zastosowanej przez Jarosława Marka Rymkiewicza we wcześniejszej o dziesięć lat monografii *Pan Fredro jest w złym humorze*. Rymkiewicz od dawna poszukiwał formy adekwatnej dla swego umysłu badacza i wrażliwości oraz wyobraźni poety. Ponura dyspozycja psychiczna Fredry zaciążyła jednak na tonie tamtej jego książki, a jej tytuł, pojawiający się jak refren na wielu stronicach, stał się na koniec męczący. Inaczej ma się sprawa ze *Żmutem*. Postacie w nim zrekonstruowane zdecydowały o polskiej świadomości romantycznej, więcej — o naszej współczesnej świadomości przez romantyzm ukształtowanej. To jedno. Ponadto *Żmut* jest w tym samym stopniu książką o młodym Mickiewiczu, co i o Jarosławie Marku Rymkiewiczzie postrzegającym Mickiewicza i jego środowisko, medytującym nad Formą Romantyczną. Autor, zanurzony w tradycji literatury polskiej i zarazem wnikliwy tej substancji badacz, podejmuje na nowo w *Żmutcie* kluczowy dla swojej twórczości temat: zderzenie trywialności ze wzniosłością, strona wierzchnia i podszywka mitów, póz, legend.

Tytuł książki, w warstwie czysto brzmieniowej, może kojarzyć się ze słowem „Żmudzin”; podobieństwo to pozorne, lecz zapewne nie bez znaczenia. Co oznacza ten regionalizm litewski, wyjaśnia od razu sam autor, a że ma pociąg do słów zapomnianych, nie należących do kanonu, jest wyraźnie zadowolony z odnalezienia „żmuta” w XIX-wiecznym poradniku językoznawczym, gdzie figuruje jako słowo bez prawa obywatelstwa w poprawnej

* Jarosław Marek Rymkiewicz, *Żmut*. Instytut Literacki, Paryż 1987. Str. 287.

polszczyźnie. Oznacza bezładnie splątane włosy albo sznurki lub tasiemki, można by powiedzieć kołtun, gdyby słowo to nie budziło pewnej odrazy. Ale żmut nie ma żadnego odpowiednika i podejrzewam nawet, że dzięki Rymkiewiczowi wejście nie tylko do kanonu, ale i mówionej polszczyzny. Tym świetnie wybranym tytułem autor od razu wskazał czytelnikowi kierunek swojej eksploracji. Słowo „żmut” odnosi się też do splątanej konstrukcji literackiej książki, wreszcie daje również wyobrażenie o tym, czym dla autora jest i pojedyncze życie, i przeszłość. „Żmut — tłumaczy J.M.R. — nie ma ani końca ani początku. Opowieść może więc zacząć się w jakiegokolwiek chwili. Wystarczy pociągnąć jedną z poplątanych nitek”. Dla Rymkiewicza przeszłość jest takim właśnie żywym żmudem. Dodatek w postaci epitetu „żywy” jest ważny. Skłębiona przeszłość emanuje dla niego ciepłem milionów istnień ludzkich. Wystarczy wymówić ich dawno nie wypowiedziane imiona, a już się garną na powrót do życia, czepiają się pamięci potomnych. Głównym tematem rozważań Jarosława Marka Rymkiewicza jest w istocie pamięć, zawsze niedoskonała i pełna luk, albo — jeszcze dokładniej — próba zrekonstruowania przeszłości, czyli uporządkowania chaosu, w oparciu o zachowane świadectwo pamięci. W tym celu jednak pamięć należy stale ćwiczyć, nie dopuszczać do jej atrofii. Rymkiewicz jest oczywiście świadom, że nie zdoła odtworzyć jak *naprawdę* było, bo jest to zadanie niewykonalne. To mu jednak nie przeszkadza. Opowiada się za pluralizmem obrazów czy też ujęć przeszłości, bo sama ich różnorodność jest pokarmem dla pamięci. Obalając jedne mity, autor *Żmuta* celowo lub mimowolnie tworzy inne. Interesuje go nie tyle rezultat końcowy rozważań, przedstawienie dowodu nie do podważenia, co sam proces dochodzenia do prawdy, która na ostatek pozostaje często niewyjawiona, migotliwa. Jeśli taką wagę przywiązuje do szczegółu, to dlatego iż wie, że jest on dla wyobraźni niezastąpionym elementem. Podobnie jak imiona rzeczy i ludzi. W swej metodzie twórczej, czy raczej przekonaniu wewnętrznym, przypomina Czesława Miłosza, który także stale dąży do *restitutio* rzeczywistości jaka kiedyś była i nadal może istnieć dzięki zbiorowej pamięci pokoleń.

Najnowsza książka Jarosława Marka Rymkiewicza pod wieloma względami różni się od powszechnie znanej monografii *Mickiewicz* Mieczysława Jastruna, także badacza literatury i poety w jednej osobie. Jastrun, niezależnie od zarażenia socrealizmem, jaki ujawnia się zgrzytem na stronicach tej wrażliwej książki, wprowadził dwóch narratorów; jeden jest jakby cieniem wędrującym za bohaterem opowieści, wszystkowiedzącym okiem; drugi natomiast tę powieść o Mickiewiczu komentuje. Rymkiewicz nie stwarza iluzji literackiej, nie chowa się za narratorem.

Jastrun, jak się wydaje, zawierzył głównym świadectwom mickiewiczologów, Rymkiewicz poddaje je drobiazgowej weryfikacji. Wykazuje też daleko większą od Jastruna ciekawość realiów tamtej epoki, tamtych miejsc. Nic — zdawałoby się — nie uchodzi jego uwadze, na przykład: zarobki „preceptora kowieńskiego” i siła nabywca srebrnego rubla, ilość świec wchodzących na pud, stan, pożal się Boże, garderoby poety, koszt uszycia „majtek”, czyli wedle współczesnego nazewnictwa spodni, oraz surdutu, wygląd „murowanki” w majątku Wereszczaków, liczba lip okalających altanę w tuhanowickim parku, czas potrzebny do pokonania dystansu z Kowna do Wilna, a nawet użębienie Mickiewicza i jego współczesnych. Z tej listy wyraźnie wynika, jak drobiazgowym zbieraczem pozornie mało istotnych faktów jest Rymkiewicz. Pod tym względem jego książka przypomina niektóre prace strukturalistów, ale poeta zrobił z ich metody inny użytek. Życie codzienne na Litwie stanowi dlań plastyczne tło dla budzącej się wówczas postawy romantycznej. W komiczny niekiedy sposób zderza Rymkiewicz aspiracje ducha z materią go otaczającą. Wielkość ociera się o śmieszność. Jeżeli poeta wgląda przede wszystkim w biografię intymną Mickiewicza, to nie tylko dlatego, żeby podważyć mit „Gustawa i Dziwicy”, tak skwapliwie podsunęty nam przez jego otoczenie, a następnie upowszechniony przez polonistów. Rymkiewicz stara się dowieść, jak często życie nie przylega do wzoru literackiego, i zarazem jak wzór ten — w tym wypadku owa sławetna Forma Romantyczna — potrafi być silniejszy od życia i odciska się nawet na wielkiej indywidualności. Jednakże autor *Żmuta* nie idzie też tropem Boya-Zeleńskiego, który zarzucając w *Brązownikach* mickiewiczologom, że stworzyli całkowicie fałszywy wizerunek wieszca, popadł w drugą skrajność — strywalizował go i spłaszczył, przedstawiając jako gburę i prostaka w dziedzinie uczuć; znamy i to — niechlujny Żmudzin. Natomiast Mickiewicz w ujęciu Rymkiewicza jest już całkiem świadom Formy Romantycznej i do pewnego stopnia podporządkowuje się jej. Nie jest wcale „naturalnym dzikusem” i nie na darmo chce spolszczyć *Cierpienia młodego Wertera*, zresztą dobrych kilka dziesiątków lat po ich publikacji. Dla autora *Żmuta*, gra trochę Wertera, ale spod tego kostiumu prześwituje jego natura człowieka zbyt wrażliwego na wdzięki kobiet, wielu kobiet, by móc dokonać ofiary całopalenia.

Co u J.M.R. najbardziej wzbudza podziw, to jego umiejętność czytania tekstów, zdolność do rekonstrukcji niedomówień, analiza aluzji i szyfrów. Weźmy na przykład słynny bilecik Maryli do Adama, nie datowany, mówiący o dwóch wariantach schadzki nocnej. Większość mickiewiczologów, przyjmując za pewnik, że został on napisany przez Wereszczakównę, nie hrabine

Puttkamerową, uważa, że dotyczy on spotkania w Tuhanowiczach, nie Bolciennikach. Rymkiewicza zastanawia jednak w bileciku słowo „granica”. Ta wskazówka topograficzna dotyczyć może — jak dowodzi — tylko Bolciennik; koło tuhanowickiego dworu żadna granica nie przebiegała. Stałe porównując zebrane świadectwa, Rymkiewicz łapie przyjaciół poety na celowych przeinaczeniach, mających się przysłużyć jego legendzie. Można powiedzieć, że autor jakby przesłuchuje kolejnych świadków, prowadząc misterne śledztwo. Ale i śledczy wie, że literatury nie da się do końca oddzielić od życia.

Praca nad *Żmutom* — wspomina autor w pewnym miejscu — zajęła mu cztery lata. Z tej okazji Rymkiewicz przeczytał wszystko lub prawie wszystko o Mickiewiczu. Wierzy się temu stwierdzeniu bez zastrzeżeń. Ale z zebranych materiałów, z odczytanych na nowo lektur można by napisać książkę mdłą, letnią. Erudycja, choć niezbędna, nie jest więc wystarczająca. Chodzi jeszcze o ów indywidualny ton, siłę „ja”. J.M.R. w *Żmucie* nie tylko rewiduje utarte sądy, ale przyzywa też zapomniane istnienia ludzkie. Doszukując się losów młodzieńczych sympatii poety, owych Joas lub Joas i Antoś, nie zadowala się wyłącznie brzmieniem ich imion. Chce się dowiedzieć jak wyglądały, co się z nimi potem stało, gdy wypadły z kręgu światła wokół poety. To ważne, bo — jak przypomina — ballada „To lubię” była pierwotnie apostrofą do owej Joasi lub Johasi, szlachcianeczki zagonowej, wcale nie do Maryli. I na dodatek Maryla wiedziała o tej zmianie adresatki; niestałości owej nie pochwałała.

Nie jedna lecz dwie kobiety w monografii Mickiewicza wychodzą na plan pierwszy: Karolina Kowalska, zwana „kowieńską Wenerą”, żona miejscowego lekarza i matka czworga dzieci — zmysłowa, czuła i opiekuńcza kochanka młodego poety, któremu nawet do celi bazylińskiej zawoziła odzież i jedzenie, oraz oczywiście Maryla, ale w większym stopniu Puttkamerowa niż Wereszczakówna. Recenzentowi nie wypada zdradzić sensacyjnych wręcz dociekań i hipotez Rymkiewicza, rekonstruującego chronologię i przebieg najsłynniejszej miłości w literaturze polskiej. Najsłynniejszej, a zarazem tak zmitologizowanej, że dociekania J.M.R. czyta się ze zdumieniem: więc *tak* to było? Autor poddaje na przykład tak skrupulatnej analizie strzęp informacji z listu Maryli o laudanum, lekarstwie uśmierzającym ból, w dużej dawce śmiertelnym, że powstaje z tego oddzielne studium, w zasadniczy sposób zmieniające nasze wyobrażenie o kobiecie, która rzekomo wybrała tytuł i majątek, wzgardziwszy miłością ubogiego trubadura. W książce Jastruna Maryla jest jednoznacznie jaśniepańska. Z dwojga kochanków, jak wynika z lektury *Żmuta*, to ona została wydana na dużo większe cierpienia. Dla Rymkiewicza, kluczem do tego romansu nie jest wzór „Gus-

taw i Dziewica”, lecz „Poeta i Hrabina”. Czyli i w tym przypadku, w sferze uczuć, daje o sobie znać Forma Romantyczna. Obyczajowość tamtych lat pozostaje dla niego zagadkowa, choć dotyczy przecież nie tak odległej epoki. Co prowadzi go w ogóle do rozważań nad tajemnicą obyczajowości i niepojętymi prawami nią rządzącymi.

Rymkiewicz każe spojrzeć inaczej nie tylko na Marylę, lecz i na Karolinę Kowalską, której przywraca należne jej miejsce w biografii intymnej młodego poety. Darzy wyraźną sympatią tę kobietę, której ogół mickiewiczologów odebrał nawet imię, pisząc o niej najczęściej „pani Kowalska”, i ta prozaiczność nazwiska ma jakby dodatkowo podkreślać jej znikomą rolę chwilowej pociesicielki. Rymkiewicz wcale tak nie uważa. Jest raczej świadom istnienia trójkąta miłosnego. W jego mniemaniu, popartym materiałami dowodowymi, Karolina istniała równie mocno w życiu młodego Mickiewicza, co i w jego poezji, choć w bardziej od Maryli zakamuflowanej formie. Nie na darmo Rymkiewicz kończy książkę opisem sceny między nimi dwojgiem w dolinie kowieńskiej. Ale w końcu nie chodzi tylko o to, czy Mickiewicz wołał Marylę czy też Karolinę. J.M.R., podejmując studia nad biografią tak z pozoru powszechnie znaną, o której napisano całą bibliotekę, każe się też zamyślić nad zagadnieniem dużo szerszym: rozmiarami zniekształceń i przekłamań w pamięci zbiorowej, nad siłą mitu nawet w zderzeniu z niepodważalną logiką faktów. Co zatem w ogóle wiemy o historii, skoro nie możemy zaufać pamięci, ale zarazem nie możemy także odrzucać jej świadectwa? To jest pytanie, do którego tak często wraca w swojej poezji Miłosz, piszący o „strojnej pamięci”. Jak zatem naprawdę było?

Wypada na koniec dodać, że *Żmut* jest też mistrzowską emanacją Litwy, zarówno pod względem obrazowania, jak w warstwie językowej. J.M.R. powołuje się w pewnym miejscu na *Dykcyonarz wileńskich ulic* Miłosza, odtworzenie topografii zapamiętanej. On sam musi w swojej — i czytelnika — wyobraźni stworzyć tamten świat z zachowanych dokumentów. Czyny to z podziwu godną drobiazgowością. Poświęca studia drewnianym chodnikom, domom, sklepom, sztyldom. W Wilnie stale powraca na przykład do Zielonej Apteki. Na tle tak szczegółowo zrekonstruowanej topografii pojawiają się dziesiątki postaci; Wilno staje się epicentrum epoki romantycznej. Stamtąd, jak z mistycznego tygla, późniejsi wielcy i mniejsi wyruszają w świat. Andrzej Towiański szykuje się do odjazdu do Paryża i kątem oka dostrzeżga piękną dziewczynę idącą ulicą, córkę właściciela pensjonu Deybla. Wdowa Becu rozpacza po stracie męża rażonego piorunem. Ich losy, na razie w oddzieleniu, stopniowo coraz bardziej zaplątują się, zamieniają się w żmut. Ta tkanka ludzka odtworzona przez Rymkiewicza jest gęsta, a Wilno i Kowno wydają

się tak malutkie, że można by je zamknąć w dłoni, jak miniaturę. J.M.R. nie tylko te postacie opisuje, ale i wsłuchuje się w ich głosy. Wyczulony na litewską polszczyznę, wprowadza kapitalne dialogi — jeśli nawet wyimaginowane, to zarazem prawdopodobne, brzmiące prawdziwie, i nierzadko komicznie dla współczesnego ucha. Eksploracja w *Żmucie* tamtej Litwy, magicznej podwójnie, przez oddalenie i w przestrzeni, i w czasie, jest też rozwinięciem głównego tematu *Rozmów polskich latem 1983 roku*.

Jak się wydaje, *Żmut* będzie miał dalszy ciąg, bo Jarosław Marek Rymkiewicz napomknął, że zebrał wiele materiałów dotyczących Xawery Deybel, kochanki Mickiewicza z czasów Towiańszczyzny. Pozostaje zatem czekać na rezultat, tymczasem wczytując się w pierwszą część monografii.

Renata GORCZYŃSKA

“Odejście z dworskich salonów”

Niektórzy narzekają, że drugi obieg traci jakby oddech, że coraz mniej godnych uwagi książek, a wiodący ze zrozumiałych względów gatunek dokumentalno-demaskatorski zamienia się zwolna w coś, co dowiecnie określa mianem „politycznej pornografii”.

Tym wszystkim malkontentom wytrąca z rąk argumenty niezwyczajna zgoda pozycja. Oto Wydawnictwo „Most” opublikowało zbiór blisko trzydziestu zróżnicowanych w treści i formie tekstów dziennikarzy, którzy w dniach pogrudniowego pogromu — a niektórzy nieco wcześniej — zdecydowali się opuścić dworskie salony prominentnej prasy.

Tytuł tej publikacji, „Rubikon 81”, jest adekwatny do treści; dla autorów — w większości o nazwiskach znanych i popularnych — ten pamiętny rok stał się cezurą osobistego i zawodowego życia. Pozostawili za sobą kariery, zaszczyty, stosunkowo łatwy zarobek i pięknie rysującą się przyszłość. Słowem: wszystko to, co wiązało się z dobrymi układami z wszechwładnym *establishmentem*. I nikt już nie cofnął się z obranej drogi. Szczęśliwsi pozostali przy zawodzie; rozpoczęli pracę w pismach o minimalnych nakładach i nieznanym, dziwnie brzmiących tytułach. Dariusz Fikus stał się filarem miesięcznika „Niewidomy spółdzielca”, Magdalena Bajer, Ernest Skalski i jeszcze kilku innych związało się stałą współpracą z prasą katolicką; Andrzej Bober za-

mienił pióro na kierownicę taksówki, Jacek Maziarski — walcząc z tysiącem szykan i kłopotów — założył prywatny antykwariat, jeszcze inni przeszli na wcześniejsze emerytury, dorabiając dorywczo tu i ówdzie, przeważnie zresztą nie w dawnym zawodzie.

Czytając te skrajnie szczere wyznania usiłowałem w jakiś sposób uporządkować natłok refleksji.

Jest rzeczą charakterystyczną, że spora część autorów wywodzi się z kręgu *Polityki*. To pismo było przez długi czas dla wielu dziennikarzy szczytem marzeń, praca w tym tygodniku uważana była za zaszczyt i zawodową nobilitację. Stwierdzają to niemal zgodnie zarówno ci, którzy pracowali tam od dawna, jak Hanna Krall, Dariusz Fikus, A.K. Wróblewski, Maciej Iłowiecki, czy zastępca naczelnego redaktora Aleksander Paszyński, jak i ci, co dołączyli do zespołu później (Magdalena Bajer, Ernest Skalski, Wanda Falkowska). Podkreślają oni, mniej lub bardziej wyraźnie, prestiżowy charakter pisma, jego poczytność i wysoki dziennikarski poziom, a także dobrą atmosferę panującą w redakcji. Niektórzy mówią też bez ogródek, że była to w znacznej mierze zasługa M. F. Rakowskiego, który z niezwykłą zręcznością i wyczuciem potrafił przeprowadzić swój organ przez wszystkie polityczne burze, napory i etapy. Te cechy charakteru szefa, jego łatwość identyfikowania się z każdą kolejną ekipą doprowadziły go w końcu na szczyty politycznej drabiny, której wciąż trzyma się kurczowo, mimo, iż jego gwiazda na jaruzelskim firmamencie zdaje się wyraźnie błędnąć. No a jego podopieczni rozeszli się ostatecznie z chwilą wprowadzenia stanu wojennego, tym razem chyba jednak z rozczarowaniem do dawnego naczelnego, który z taką energią i zapałem pacyfikował „Solidarność”. Rozeszli się, jak wszędzie w kraju, we wszystkich grupach i zespołach, nie tylko przecież w dziennikarskiej profesji.

Ostateczna decyzja o zerwaniu z dotychczasowym życiem następowała u większości z chwilą wyznaczenia weryfikacji, która była niczym innym jak sprawdzianem przydatności poszczególnych dziennikarzy do pracy w nowych warunkach. Rozmowa pań i panów redaktorów z policyjno-wojskowymi zausznikami władzy była tą żabą, której przełknąć nie potrafili nawet ci najbardziej dotąd cierpliwi.

W tej sytuacji część zdecydowała w ogóle nie poddawać się temu praniu mózgow, inni zaś wykorzystywali weryfikację, żeby wygarnąć wysokie komisje co myślą o stanie wojennym i w ogóle o wszystkim, co dzieje się za oknami.

Andrzej Krzysztof Wróblewski, jeden z filarów *Polityki*, którego rezygnacja była dla wielu niespodzianką, zadaje w swoim tekście retoryczne skądinąd pytanie: „Jak dalece można się zanurzyć? Gdzie granica? Czy można sobie na łydce narysować kreskę i zaprzysiąc, że głębiej w błocie nie?”. Jego końcowy wniosek brzmi: „Co zatem należało zrobić? To co zrobić: wycofać się i czytać, jak sobie z tą kwadraturą koła radzą inni”.

Dla tych innych wszystko to razem nie było jednak kwadraturą koła. Od dłuższego już czasu nie mieli, jak się zdaje, wątpli-

wości, że ich piękny zawód służy wcale nie pięknym celom. Że pracują dla złej sprawy.

Janina Jankowska, gwiazda radiowego reportażu, laureatka „Prix Italia”, zwierza się ze swoich od dawna trwających zawodowych przepychanek. Walczy z naczelnym o każde śmielsze słowo, przełamując musi nieskończoną ilość przeszkód, aby móc podejmować tak zwane śliskie tematy. A do tych śliskich należało niemal wszystko, co zahaczało o prawdziwe nastroje społeczne, a więc o to, o czym w ogóle miało sens pisać.

Po którymś kolejnym ostrzeżeniu miała w styczniu 1980 roku otrzymać wypowiedzenie. „Nie wyobrażałam sobie życia poza radiem. To jakby życie bez powietrza, czyli praktycznie nieistnienie” — zwierza się w związku z wiszącym nad nią mieczem Damoklesa. — „Wkrótce minie pięć lat, a ja istnieję” — pisze nieco dalej ze smętną zadumą, stawiając jakby kropkę nad wydarzeniami, a także nad własnym życiem.

Relacje Jerzego Surdykowskiego, Stefana Bratkowskiego czy Macieja Szumowskiego są niejako uzupełnieniem ich losów i od dawna znanej postawy. W tym znaczeniu nie przynoszą żadnych rewelacji, choć jak zawsze czyta się teksty tych autorów z prawdziwym zainteresowaniem. Pozwalają raz jeszcze prześledzić poszczególne etapy wydarzeń, narastającą grozę i znaną aż do obrzydzenia technikę kłamstw i kręactw władzy, a także próbują, mniej lub bardziej realnie, otwierać jakieś nieśmiałe choćby perspektywy.

Godna najwyższej uwagi jest relacja Andrzeja Bobera, zatytułowana „Demontaż, sabotaż i realia”. Ten sprawny i kompetentny dziennikarz znany był przed Grudniem w całej Polsce ze znakomitych telewizyjnych „Listów o gospodarce”. Miło i straszno na przemian było wówczas patrzeć, jak różni dygnitarze prośzeni przez niego do studia wili się i pocili pod naporem pytań, na które nie potrafili znaleźć odpowiedzi. Teraz — zwierając się, że zabiera głos po raz pierwszy od czterech lat — Bober opisyje z werwą i czarnym humorem panikę swoich szefów, gdy latem 1980 roku w czasie trwającego napięcia po podpisaniu porozumień w Gdańsku i Szczecinie, pozbawieni zostali nagle instrukcji z Wydziału Prasy KC. Ów wydział, ulegając zapewne ogólnej dezorientacji, przestał nagle organizować nasiadówki i wydawać dyspozycje. A oni, owi szefowie, w pełnej panice i bezradności byli niejako zmuszeni zaufać paru dziennikarzom wyspecjalizowanym w tematyce ekonomicznej.

„Usiedliśmy we trzech — Jurek Redlich, Andrzej Zaporowski i ja — i po pół godzinie mieliśmy formułę programu. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że formuła ta nie jest niczym nowym, odkrywczym. Po prostu będą to odpowiedzi na listy” — wspomina Bober. Ale ta prosta formuła okazała się w praktyce niesłychanie nośna. Odpowiadała widocznie najlepiej nakazowi chwili. Fala korespondencji dosłownie zalała niemal redakcję. Każdego dnia od początku programu nadchodziło 260-300 listów. Pisali wszyscy: robotnicy i profesorowie, gospodynie domowe i rolnicy, rozmaite koła i zrzeszenia, a nawet komisariaty milicji.

Autor przytacza drobny ich wybór w swojej publikacji. I choć od dawna przestało nas już cokolwiek dziwić, ta niewprawna często twórczość epistolarna zdumiewa nieustanną aktualnością. Jeszcze jeden dowód, jak w istocie rzeczy mało się w PRL-u zmienia; wciąż aż do znudzenia tak samo.

Piszę to w przededniu kolejnego 1 Maja, więc może jako przykład taki oto fragmencik jednego z listów:

„...Wszystkie święta 1-majowe proponuję obchodzić bez kosmicznego marnotrawstwa materiałów: tkanin, drewna, metalu i robocizny. Polakom nie jest potrzebne ubieranie całych miast w szmaty. Jeśli to jest potrzebne dla splendoru tych, co stoją na trybunach, to trzeba ich od tego oduczyć. Obywatelom potrzebne są pieluchy, odzież, meble itp. artykuły produkowane z materiałów marnotrawionych w święta 1-majowe. Ponadto my wiemy, że właśnie ci stojący na trybunach we wszystkich miastach zaprzepaścili naszą gospodarkę i są sprawcami udręk społeczeństwa...”

A oto coś z innej beczki:

„...Przed drugą wojną światową było nas również 36 milionów. Rolnictwo było zaniedbane do granic możliwości. Nie mieliśmy ciągników, sztucznych nawozów, środków ochrony roślin, spółdzielni produkcyjnych, kółek rolniczych. Nie było dyrektyw, naukowcy nie radzili rolnikom, żołądki mieliśmy takie same. Żywności było jednak pod dostatkiem i nikomu nie przyszło do głowy wprowadzanie kartek żywnościowych. Bez maszyn i komputerów, bez pomocy bratnich narodów budowaliśmy Gdynię, Stalową Wolę i cały COP. Powstał Rożnów, Mościce itd. Ale byliśmy sami. Nie mieliśmy 'przyjaciół', którym nasze dobro leży na sercu, nie mieliśmy kierowniczej siły narodu — partii, no i oczywiście nie budowaliśmy socjalizmu”.

Nie trzeba chyba dodawać, że los Bobera i jego redakcyjnych kolegów był już na długo przed 13 grudnia przesądzony.

Danuta Pacyńska-Drzewińska, dziennikarka radiowa, zamieszcza fragmenty swojego dziennika z owych gorących dni 1980 i 1981 roku. Mnóstwo w nich informacji z pierwszej ręki, które mimo upływu lat wciąż jeszcze muszą bulwersować.

Oto w czasie jednej z porad ujawniony zostaje sposób zamawiania korespondencji dla ośrodków terenowych przez redakcję telewizyjnego dziennika. Wśród wielu innych takie na przykład zamówienie dla Wrocławia: „Dajcie na dziś coś o zbezczeszczeniu jakiegoś pomnika radzieckiego!”

Co tu komentować? I nic, że przecież o tym wiedzieliśmy, że metody prowokacji dawno zostały już zdekonspirowane, taka wiadomość wciąż od nowa wywoływać musi pianę na ustach.

Ten dużej wagi dokument czasu jest jeszcze jednym zapisem historii na gorąco. Wyszedł spod piór ludzi, którzy zeszli ze sceny, ale byli na niej dostatecznie długo, aby do końca zgłębić mechanizmy władzy i nie mieć już żadnych złudzeń. Gorzka to, ale szczerza prawda.

Tomasz ŁOMŻA

Skrawek czasu*

Chodzi o skrawek czasu, nieokreślony ale w świadomości ofiar zawsze bardzo krótki, jaki pozostawał Żydom do zadekretowanej przez Niemców śmierci. Ten czas był chyba gorszy niż sama śmierć, bo wypełniony beznadziejnością, strachem, widokiem śmierci sąsiadów, krewnych, ojców, matek i dzieci. Żydzi po wsiach i miasteczkach polskich kresów bardzo wcześniej byli świadomi zbiorowego wyroku, który na nich zapadł, bo widzieli od razu wykonywanie wyroku, nie w jakiejś odległej Treblince czy Oświęcimiu, ale w kolejnych „akcjach”, polegających na wywózce wprost z mieszkań lub spędzie na rynku do pobliskiego lasu. Wiadomo było, po co ofiarom dają łopaty, słysząc było odgłosy strzałów i niektórzy mieli okazję obserwować egzekucje z daleka. Dziś jeszcze nie ja, ale jutro może przyjść kolej na mnie, na całą moją rodzinę. Albo: oto stetryczała stara panna, nie-Żydówka, opowiada jak w swoim ogrodzie napatoczyła się na kochającą się parę. Jej uwaga skoncentrowała się na dziewczynie.

Leżała na ziemi na pół naga, jej uroda zraniła mnie w samo serce. Wąłła, delikatna, dopiero gdy uniosła oczy, spostrzegłam: dziecko.

— Wstyd! — krzyknęłam głośno — wstyd i hańba. W tym wieku! W cudzym ogrodzie...

Wstała szybko z ziemi i szybko w zmieszaniu okrywała swą nagość.

— Przepraszamy panią — szepnęła.

W oczach miała jeszcze ciepło miłości, w ruchach zmysłową ociepiałą tak dziwną i nienaturalną dla dziewczęcego ciała. Odchodzili już, a ja nie przestawałam krzyczeć o zepsuciu i rozpuszcieniu, jakiej oddaje się ledwo od ziemi odrosła młodzież.

— Wstyd — powtarzałam. — W tym wieku... Wstyd i hańba...

Powiedziała cicho, z goryczą: — Nam nie wolno, nawet kochać się nie wolno. Nam wolno tylko umierać. W tym wieku, pani mówi. Albo dożyjemy innego?

Okazją do wspomnienia jest relacja służącej o rozstrzelaniu dziewczyny w lesie. „Zamachała w powietrzu rączkami i upadła”.

Książka składa się z dwudziestu ośmiu krótkich opowiadań. Każde inne: o ojcu idącym na śmierć z zabitym dzieckiem na rękę (próba wrzucenia dziecka do odpustowego tłumy się nie udała); o wzburzeniu wśród ukraińskich chłopów, gdy konwój wiozący Żydów przejechał świnie; o upadającej zabawie, jaką złapani na aryjskich papierach wypełniają sobie czas w celi w ostatnich dniach przed śmiercią; o tygodniach i miesiącach spędzonych w kryjówce na strychu albo w szafie; o odważnym okrzyku kobiety za odjeżdżającymi w ciężarówkach „Saj gesind, tate, saj gesind”;

* Ida Fink, *Skrawek czasu*, „Aneks”, Londyn 1987, str. 104.

o łózkach zwalnianych w mieszkaniach i o wyludnionych miasteczkach, które już są *judenrein*. W opowiadaniach Idy Fink jakby zatarte są wielkie, historyczne perspektywy zagłady, nie ma ponurego majestatu Auschwitzu ani glorii powstania w getcie warszawskim, jest natomiast zwykła maomiasteczkowa codzienność naznaczona bólem i śmiercią bliskich. Są garnki w kuchni, zapach nędnego strawy, bety na łózkach, wrzask dzieci — i czekanie na to, co musi nastąpić. Jednostki mogą się skryć, rodzina się nie skryje ani nie ucieknie. Taki los. Poza tym są oczywiście nie-Żydzi, nie skazani automatycznie, którzy żyją jeszcze normalnie. Pomagają, owszem, na ile strach o własne życie pozwala. Większość to zresztą ukraińscy chłopcy, jest jakaś tam liczba więcej lub mniej pocziwych Polaków. Autorka jest wolna od lizmanowskiej obsesji. Urodziła się, jak mówi obwołana, w Zbarżu. Wyjechała z Polski w roku 1957 i mieszka obecnie w Izraelu. „Skrawek czasu” ukazał się najpierw po hebrajsku, potem po niemiecku i po holendersku (nagroda im. Anny Frank), teraz po polsku, w przygotowaniu jest wydanie amerykańskie. Ale napisany był chyba po polsku.

Straszna jest właśnie normalność tych „skrawków czasu”, współistnienie codzienności i zagłady. Ale jest ona również urzekająca. Całość książki ma charakter witrażu złożonego z różnych, lecz związanych tematycznie miniatur, ujętych w ramy zwartej kompozycji. Pierwsze opowiadanie nosi tytuł „Koniec” — subtelna relacja z nocnego nasłuchiwanie dwojga młodych ludzi, z których tylko jedno zdaje sobie sprawę, że od piętnastu minut trwa wojna i że nieuchronne nadchodzi. A w końcowych opowiadaniach miniatury pojedynczych ludzkich cierpień i śmierci są już widziane w historycznej perspektywie. Ale jest to perspektywa nie zbiorowa, lecz indywidualna — zbiorowa tylko o tyle, że dotyczy wszystkich Żydów, którzy przeżyli. Jak można dalej żyć z tym strasliwym urazem w duszy, z pamięcią o agonii najbliższych i najbardziej kochanych wyrżytą na zawsze w mózgu, z pamięcią własnego zwierzęcego strachu, faktycznego wyrzucenia poza mających prawo do życia — ze świadomością, że jak wtedy byliśmy inni, tak i teraz po wojnie jesteśmy nadal „inni”, bo jesteśmy Żydami. „Wesoła Zośka” (ładne imię sobie wybrałam, prawda?) przeżyła, bo przeleżała dwie zimy w stodole w absolutnym milczeniu. Była wtedy dzieckiem i teraz nie wie, kim jest. Niemców na oczy nie widziała, ale „to tak jakby mnie zabili, prawda?”. Wie jednak, że jest Żydówką. Ludzie mogą być bardzo sympatyczni, przychylni, dalecy od wszelkiego antysemityzmu, ale też wiedzą: „Jesteś Żydówką, jesteś Żydem”. Straszliwe znamię (czy garb) narodu wybranego (wybraństwo do ukrzyżowania?), który trwa od czterech tysięcy lat, znamię, którego nie sposób się pozbyć, choćbyś nie wiem jak chciał się asymilować. Inni mi przypomną, ja sam sobie przypomnę. Naród tak niezniszczalny, tak irytująco zarozumiały w swej niezniszczalności, że jak go tu nie posądzać, że chce zapanować nad światem? Metafizyczna tajemnica. Religijna?

Ida Fink na fotografii na okładce książki wygląda całkiem

zwyczajnie. Sympatyczna pani w okularach, z siwiejącymi chyba włosami. Jest nawet uśmiechnięta. Prawda, że nawet w tych opowiadaniach nie brak humoru i uśmiechu. Jak trudno to zrozumieć!

Antoni POSPIESZALSKI

Lęk przed światłem

Nad twórczością Jurija Trifonowa unosi się cień Nieobecnego. Jego skrywanym pragnieniem jest przymierzyć swoje dzieło piarskie do pustego miejsca po tamtym, wypełnić sobą formę, w której ukształtowała się i zadziwiła świat swoim bólem i boską goryczą rosyjska dusza. Ciężenie tego, którego nie ma, jest tak duże, że wydaje się, iż na strzepy rozerwie powieści Trifonowa. Tym bardziej, że w przeciwieństwie do autora „Oddziału chorych na raka”, Trifonow nie wyzbył się do końca sentymentalnego marzycielstwa, tak bardzo osadzonego w tradycji prozy rosyjskiej i po buninowsku modulowanego rozpaczą i melancholią. W jego powieściach wspomnieniom lat grozy towarzyszy przekonanie tak bardzo przecież rodzime — w gruncie rzeczy prawosławne — o nieuchronności takiego a nie innego biegu historii ludzkiej i bezsilie człowieka wpłatanego w zapasy wyższych potęg. Jakich, tego już autor „Domu nad rzeką Moskwą” nie wyjaśnia. Czas pędzi naprzód, a ludzie wpłatani w jego rytm, choćby nie wiem jak okrutny, poddają mu się bezwolnie, jeszcze go nawet popełniają, niezdolni do obejrzenia się w tył, niezdolni do ogarnięcia czegokolwiek poza tym, co jest aktualne, jakby im ktoś z mózgów wytarł możliwość innego życia, jakby wszystko co przeszłe byli zdolni zobaczyć poprzez dzisiejsze. Czasem marzą, ale i wówczas myśli ich — bezkształtne i nieforemne — nie nadają marnym wyrazistości i siły zdolnej do poprawy losu i odmiany czasu, który jest. Jeżeli czekają na cud, który ma przywrócić im to, co utracili — to i wówczas bez wiary w jego spełnienie, najwyżej w oczekiwaniu na coś lub kogoś. Są masą historii i może dlatego tak łatwo miażdży ich ona, tak bezlitośnie rzuca na stos, dobrze wiedząc, że nie zaprotestują, że po raz kolejny rzuca się nawzajem na siebie i będą gryźć aż do śmierci, skakać sobie do gardeł, w tym upatrując jedyną szansę, nieświadomi, iż

* Powyższy szkic, nigdzie dotąd niedrukowany (choć napisany został w 1960 roku) w całości skonfiskowała cenzura, nie pozwalając zarazem na zaznaczenie swojej ingerencji, z książki Marka Zielińskiego „Kilka niezwruszonych przekonań. Szkice literackie”, która ukaże się w tym roku nakładem Biblioteki „Więzi”.

jutro przyjdą następni i zniszczą ich samych. Bohaterów trifonowskich łączy ze sobą strach, patrzą na siebie wzajemnie z niepokojem, jakby w oczekiwaniu, kiedy nastąpi ostateczna klęska, który pierwszy doniesie, okaże się szybszy, słabszy i bardziej lichy od pozostałych. Sęk w tym, że wszyscy są sobie podobni i charakter żadnego nie przypomina hartownej stali. Tutaj nie ma wyjątków, już za życia nastąpiło zrównanie i roztopienie w grozie życia codziennego. Każdy się boi, ale i każdy jest równie winny. Rzeczywistość obdzieliła ich po równo cierpieniem, ale i zbrodniami, w których mieli swój współudział. Profesor Hańczuk, wybitny literaturoznawca wyrzucony bezlitośnie z uczelni i skazany na śmierć naukową, żałuje tylko tego, że w swoim czasie (podczas wojny domowej) był nazbyt miękki i nie zlikwidował do końca wszystkich ewentualnych przeciwników. Jedyny żal i poczucie winy, jakie towarzyszy temu wybitnemu humaniście, ogranicza się do westernowego westchnienia: „czemuż nie strzeliłem pierwszy”.

W latach dwudziestych Dorodnow [przeciwnik Hańczuka — M.Z.] nieraz dostawał po łbie, to był poputczyk, bezpartyjny, ma się rozumieć pisywał jakieś artykułiki w duchu „Smieny Wiech”, typowy lekko zakamuflowany drobnomieszczanin, jakich było tysiące w tamtych czasach, kiedy jak grzyby po deszczu wyrastały prywatne i spółdzielcze wydawnictwa przeróżnego autoramentu, grupki literackie, pisemka o mętnych platformach. Wtedy trzeba go było dobić! Ale on jak wielu podobnych wymigał się, zmienił zabawienie, znikł, żeby potem wytytnąć w nowej postaci. On mnie uczy marksizmu! Wolne żarty! Niedowarzony gimnazjalista z kadecką, jeżeli nie suworinowską duszyczką oskarża mnie o niedocenywanie roli walki klas... Niech lepiej dziękuje Bogu, że go nie dopadłem w dwudziestym roku. Już ja bym go rozmielił na drobne! Tak, nie rozprawiliśmy się do końca z żywiołem drobnomieszczańskim, i to był kardynalny błąd.

Bohaterów trifonowskich równie silnie łączy jeszcze irracjonalność. Niezależnie od stopni naukowych, zajmowanych stanowisk, otaczający świat wydaje im się identycznie niezrozumiały, nie do ogarnięcia. Nie tylko nie rozumieją jego w końcu zda się nieskomplikowanej struktury, ale i nie silą się na poznanie. Przywiązani atawistycznie do życia, bronią ze zwierzęcą siłą jego trwania, gotowi na największą hańbę byle by je przedłużyć, byle by przetrwać. Za wszelką cenę, bez względu na ofiary cudze i własne. Pozbawieni odniesień pozanaturalnych, opierający się tylko na jednym wymiarze zjawisk i rzeczy, w rezultacie nie potrafią obronić własnego człowieczeństwa, prawa do miłości, do spokoju. Gotowi są wszystko stracić, byle by jeszcze żyć i w rezultacie tracą to, co najważniejsze, to co miało być uzasadnieniem, tracą życie. Jeżeli nawet nie w sensie biologicznym, to przynajmniej ogólnoludzkim, moralnym, redukują siebie do wgetacji niemalże roślinnej, wcepieni wszystkimi odnogami w to, co jest życiem, a co staje się martwym czasem, którego nawet potem nie są zdolni zapamiętać. — Glebow zaś nie zdawał sobie sprawy, że nadejdzie czas, kiedy będzie się starał nie pamiętać

o wszystkim, co się z nim działo w owych chwilach, a zatem nie zdawał sobie sprawy, że żył życiem, którego nie było.

Ale niczego nie da się całkowicie wykreślić. Nawet jeżeli pamięć odsunie to poza świadomość, pozostają skutki, pozostają ci, których dotknął ów czas martwy szczególnie dotkliwie, którzy zapłacili za innych i pozostaje wyrwa we własnym losie i w historii zbiorowości, do której się należy. Coraz głębsza przepaść, która sprawiła, że nic w życiu zbiorowości nie może się zsumować, że niczym ciało porażone trądem rozpada się ona po kolei, a to co pozostaje, wcale nie jest zdrowsze od tego, co umarło.

Metaforą „Domu nad rzeką Moskwą” jest choroba. Wszyscy są chorzy i każdego należałoby leczyć, tyle że lekarzy nie widać. Różnica pomiędzy Trifonowem a Sołżenicynem także i na tym bowiem polega, że autor „Domu...” nie widzi możliwości ratunku i terapii, która chociażby na chwilę mogłaby przynieść ulgę. Wszystko jest podejrzone, a każda cnota może się przemienić w swoje zaprzeczenie. Rzeczywistość podszyta jest zbrodnią i z tego piekielnego kręgu nie ma wyjścia. Zniszczone zostały nie tylko wartości podstawowe, zniszczone zostały słowa. Ojciec młodego bohatera Lowy Szulepnikowa przekonuje kolegę swojego syna do zdrady słowami, które już u tych dzieci mają zniszczyć tożsamość moralną, resztki ładu etycznego: *Przyjaciele, bądźcie mężni, bardzo was proszę. Męstwo nie polega na tym, żeby coś zataić, ale na tym, żeby ujawnić...* Wchodzenie do świata dorosłych dokonuje się przez to niemalże niedostrzegalnie. Szkoła, rodzice, środowisko wspólnie troszczą się o ukształtowanie przyszłego dorosłego. Selekcja dokonywana niemalże automatycznie usuwa poza nawias społeczny każdą indywidualność, każdą jednostkę odbiegającą od standardów wymaganych w danym okresie. Ginią zarówno ci, których interesuje rzeczywistość w jej całym bogactwie, jak i ci co wyrwają się poprzez działania chuligańskie z jej nudy i bezbrzeżnej nijakości. Pozostają ci najlepiej dopasowani, co znaczy zupełnie bezbarwni i pozbawieni osobowości. Tacy jak Wadim Glebow, którzy przejmują pałeczkę i którzy uginają karku przed każdym podmuchem historii. Niezdolni do odpowiedzialności i za najbliższych, i za siebie samych. Pełni tragicznego lęku przed światem. Z tego lęku bierze się ich choroba i choroba otaczającego świata. Rzeczywistości, która zamyka oczy na prawdę, która zepchnęła ją poza swoją świadomość, oddała na przechowanie starym babuszkom i niespełna umysłu jurodiwym, co jako jedyni dostrzegają prawdziwy sens systemu.

Chudy koślawy mężczyzna w przykrótkiej kurtce i w dużym damskim berecie ceglastego koloru szedł szybko chodnikiem i rozmawiał sam ze sobą. Z jego wychudłych policzków i zapadniętych oczu wyzierała obłądna troska. Przeczytał mimochodem nazwę naszej szkoły, stanął raptem jak wryty i zawołał: — *To nie możliwe! To niezgodne z prawami natury! Styszyście? — Wołał nie do nas, nie do przestraszonej gromadki cisnącej się do balustrady nadbrzeżnej, lecz do kogoś niewidzialnego, kogo palił niena-*

wistnym wzrokiem. — *Szkoła średnia ŁONO! Co za ŁONO? Co za bzdura? O Boże, czy oni wiedzą, co czynią?*

Tylko oni umieją się upomnieć o zdradzoną rzeczywistość, o zdradzone jej prawa. Oni, którzy przecież tak naprawdę nie istnieją, usunięci poza ramy świata. Tylko oni pamiętają to, co było i wiedzą, że mogłoby być inaczej. Nie mówią płaczącym tonem profesora humanisty: — *Co za niedorzeczny, niepojęty świat! Sonia leży w grobie, jej kolega szkolny nie wpuszcza nas na cmentarz, a ja mam osiemdziesiąt sześć lat... Dlaczego? Któż to wytłumaczy?* — gdyż dobrze rozumieją przyczyny. Tylko dla nich przeszłość nie jest ciemną plamą, tylko oni nie podpiszą się pod westchnieniem narratora:

Wszystko odeszło w taką dół, tak się wypaczyło, zamazało i rozlało, jak rozłazi się przegniła tkanina. Nie sposób już teraz zrozumieć, co się tam naprawdę zdarzyło.

„Dom nad rzeką Moskwą” Jurija Trifonowa jest oparty na trzech metaforach. Metaforze choroby wyrosłej z lęku przed światłem, metaforze powszechnej winy, sprawiającej, że ludzie nie są zdolni do obrony własnych przekonań, gdyż sami je niegdyś niszczyli u innych i metaforze braku domu w każdej postaci. Braku domu rodzinnego, zbudowanego na piasku bez jakiegokolwiek trwałości, czego symbolem jest matka Lowy Szulepnikowa zmieniająca mężów, czy ojciec Glebowa, który zniszczył dwie rodziny. I braku domu ojczystego, zmienionego na frazes i zatraconego jak zatracona została przeszłość. Pozbawieni dwojakiego rodzaju korzeni trifonowowscy bohaterowie przenoszeni są z jednej części świata do innej, wszędzie obcy i wszystkiemu wrodzy niczym matka Soni Hańczuk, nie pamiętająca o swoim austriackim pochodzeniu, która żyje w kręgu proletariackiej mitologii.

Dom nad rzeką jest podzielony pionowo na lepsze i gorsze piętra, na lepszych i gorszych lokatorów, ale przy tym również niestabilny, uzależniony od kaprysów zewnętrznych, w niczym nie chroniący przed złem i grozą czasów. Nawet we wspomnieniu nie może do niego powrócić jako do symbolu ciepła, gdyż pamięć, poddana powszechnej entropii, nie jest zdolna uchwycić niczego na zawsze, nie jest zdolna do oparcia i do wiary w cokolwiek. Jeszcze babcia Niła pamięta swoją przeszłość, domy w których mieszkała, dawne prawa i normy, ale jej wnuk, skazany na teraźniejszość, wyrzekł się pamięci, która mogłaby być obciążeniem.

Tak jak i możliwości uratowania świata wyrzekł się Jurij Trifonow. Nigdzie w żadnym miejscu jego dzieła prozatorskiego nie pojawia się nawet cień nadziei. Opasał świat przedstawiony potężnym kręgiem piekielnym, zza którego nie ma wyjścia i nie ma ratunku dla nikogo. Jedyne pytanie, jakie zadają bohaterowie Trifonowa ograniczone zostało do gestu rozpacz: *Miasto było nieskończenie wielkie. Trudno jest bronić bezmiarów. I w dodatku ta rzeka, której nie sposób zamaskować. Połyskiwała w mroku, odbijając światło gwiazd, każde jej zakole oznaczało dziel-*

nicę. Myśleliśmy z bólem o mieście, niczym o żywej istocie, której potrzeba ratunku. Ale w jaki sposób mieliśmy je ratować?

Rosja opisana przez pisarza żyje w wielkim cieniu, w niebycie z którego nie ma wybawienia i powrotu do żywych. Jest to Rosja ciemności i choroby, lęku przed światłem, tego samego w którym się znalazła porzucona przez Glebowa Sonia. Ktoś z tych, co odwiedzali Sonię, opowiadał, że jedynymi objawami choroby było to, że Sonia lękała się światła i pragnęła stale przebywać w ciemnościach. Podobno nic poza tym. Tylko ten lęk przed światłem i pragnienie ciemności. Cień nieobecnego pisarza, który przytłacza powieści Jurija Trifonowa, jest tym samym cieniem, co kładzie się na ich ojczyznę. Tyle, że autor „Kręgu pierwszego” znajduje wyjście z ciemności i swoją goryczą przezwycięża zło i rozjaśnia życie budząc nadzieję, a autor „Domu nad rzeką Moskwą” własną goryczą utwierdza w niewolnictwie i cierpieniu. Ostatnią już bowiem metaforą prozy Trifonowa jest rozpacz. A od niej, jak słusznie twierdzi teologia chrześcijańska, nie ma gorszego grzechu.

Marek ZIELIŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

Edyta Stein, siostra Teresa Benedykta od Krzyża. Filozof i karmelitanka. Na podstawie wspomnień i listów opracowała s. Teresa Renata od Ducha świętego. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1987).

Jan PAWEŁ II. Encyklika Redemptoris Mater. O błogosławionej Maryi Dziewicy w życiu pielgrzymującego Kościoła. Str. 108 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1987).

MACKIEWICZ (Józef). Lewa wolna. Str. 458 i 6 nlb. (Wyd. III, Kontra, Londyn 1987).

TUROWICZ (Bolesław). W czasach dwu konspiracji, „Dworzec” i „Czarownia”. Str. 258. (Wyd. 12 numerowanych egzemplarzy na prawach rękopisu, Buenos Aires 1986).

ŁEPKOWSKI (Tadeusz). Rozważania o losach polskich. Str. 204 i 4 nlb. (Wyd. Puls w serii „Puls politicus”, Londyn 1987).

ASH (Timothy Garton). Polska rewolucja — Solidarność. Z angielskiego przełożył M.K. Str. 224 i 2 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1987).

(Wyd. Polonia, Londyn 1987).

PORADOWSKI (Michał, ks.). Wyzwolenie czy ujarznienie? Marksistowska rewolucja komunistyczna. Str. 197 i 5 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1987, cena £ 5).

Materiały do biografii, genealogii i heraldyki polskiej. Tom VII/VIII. Str. 593 i 3 nlb. (Wyd. nie podane, Rzym 1985).

BUKOWSKI (Jerzy). Zarys filozofii spotkania. Str. 317 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 450).

MIŁOSZ (Czesław). Empereur de la terre. Przełożyła z angielskiego i polskiego Laurence Dyèvre. Str. 314 i 6 nlb. (Wyd. Fayard, Paryż 1987, cena F. 120).

Journal philosophique (bulletin bimestriel du Centre de recherche philosophique Saint Thomas d'Aquin) nr 13, mars-avril 1987, Paryż).

WINIECKI (Jan). Economic Prospects East and West. A view from the East. Str. 136. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, London 1987).

Harvard Ukrainian Studies, special issue „The Political and Social Ideas of Vjaceslav Lypynskyj”. Vol. IX, nr 3/4, December 1985. Opr. Jarosław Pelenski i Uliana M. Pasicznyk. Str. 508. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge Mass., USA, 1987).

KUCZYŃSKI (Waldemar). Polen, 13. Dezember 1981. Tagebuchberichte eines Betroffenen. Przedmowa W. Bartoszewskiego. Str. 1-57 i 3 nlb. (Wyd. Herder Verlag w serii „Europäische Zeitzeugen” pod dyr. Wolfganga Leonharda, Breisgau 1987).

Alois Mertes zur Erinnerung. Ansprachen und Nachrufe. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Verlag Butzin und Bercker Kvelaer, 1986).

ROSSI (Jacques). Sprawocznik po GUŁagu. Istoriceskij słowar so-

wietskich penitencjarnych instytucij i terminow, swiazannyh s prinuditielnym trudom. Przedmowa Alain Besangon. Str. 546 i 2 nlb. (Wyd. OPI, London 1987).

Hotel Örnköld nr 4. Polsk dikt och debatt. Str. 112 (Wyd. Ordfront/Polisk-Svensk Kulturcentrum, Sztokholm 1987).

KLEBERG (Lars, red.). Att översätta polsk poesi. Bidrag till en diskussion. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. Stockholms Universitet, Institutionen för slaviska och baltiska språk, Sztokholm 1986).

Ottavogiorno nr 1, rok V, gennaimarzo 1987. Str. 138 i 6 nlb. (Wyd. Edizioni Lavoro, Roma).

Samizdat: I fiumi sotterranei della comunicazione. Polonia — dieci anni di stampa indipendente. Red. Jan A. Stepek. Str. 15 i 1 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1987).

ZIELIŃSKI (Adam). Um emissário polaco em Portugal em 1865. A insurreição da Polonia (1863) e o auxilio português aos refugiados. (Nadbitka z „Revista Portuguesa de Historia” tom XXII, wyd. Faculdade de Letras da Universidade de Coimbra, Coimbra 1987).

Pogląd

Dwutygodnik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność” e.V.
Ukazuje się
w Berlinie Zachodnim
od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE
■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W
KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z POD-
ZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM4,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”. Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd”, Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62, Telefon 030/782 93 84.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

8-5-87

Katolicki Uniwersytet Lubelski zorganizował w dniach 8-21 maja br. sesję naukową na temat „Ewangelia i kultura — doświadczenie środkowoeuropejskie”. Na tej sesji zostały wygłoszone następujące referaty: ks. prof. dr Stanisław Nagy SCJ (Lublin, KUL) — „Ewangelia i kultura w świetle *Slavorum Apostoli*”; prof. dr Czesław Zgorzelski (Lublin, KUL) — „Polski romantyzm w Rzeczypospolitej wielu narodów”; prof. Gieysztor — referat J.E. ks. abpa Ludwica Povilona (Kaunas, Litwa) — „600 lat obecności chrześcijaństwa na Litwie” (arcybiskup nie dostał wizy i nie mógł uczestniczyć w sesji osobiście); o. dr Richard Korzenszky OSB, dr Adam Somorjai OSB (Pannonhalma, Węgry) — „Chrześcijańskie wartości w kulturze węgierskiej”; prof. dr Nikolaus Lobkowicz (Eichstätt, RFN) — „Die katholische Kirche in Böhmen, Mähren und der Slowakei. Ein Blick in die Vergangenheit zum Verständnis der Gegenwart”; J.E. ks. kardynał Henryk Gulbinowicz, Metropolita wrocławski — „Ewangelia a kultura — doświadczenie białoruskie”; dr Karl Dedecius (Darmstadt, RFN) — „Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień? Karol Wojtyła — spojrzenie humanisty”; prof. dr Stefan Świeżawski (Lublin, KUL) — „Ethos polityczny polskich Jagiellonów”; Julian Strykowski (Warszawa) — Wiczcór autorski: „Juda Machabeusz”; o. prof. dr Feliks Litwa SJ (Rzym, Uniwersytet Gregoriański) — „Evangelizzazione nella Slovacchia: fondamento dello sviluppo umano e culturale”; prof. dr Ryszard Łużyński (Kraków, UJ — Lublin, KUL) — „Tysiąc lat symbiozy ewangelii i kultury ukraińskiej”; prof. dr Mieczysław A. Krąpiec OP (Lublin, KUL) — „Ludzki wymiar kultury chrześcijańskiej”.

27-5-87

Na konferencji prasowej Jerzy Urban podał, że „państwowa część kosztów bezpośrednich trzeciej wizyty Papieża jest szacowana na 6 do 7 mld złotych. Natomiast nie znam wysokości wydatków kościelnych ani szacunku kosztów. Jakże poniosą ogółem uczestnicy masowych spotkań z Papieżem. Te 6 do 7 mld złotych liczymy bez kosztów pośrednich, np. bez ubytków czasu pracy”.

1-6-87

W Białymstoku otwarto Międzynarodowe Targi Wymiany Przygranicznej, które trwały do 10 czerwca br. Oferty handlowe, przygotowane przez 10 przygranicznych województw, opiewają na ponad 9,3 mld złotych.

20-6-87

W *Le Monde* ukazała się z końcem maja wiadomość, że dr Marek Edelman, wybitny chirurg kardiolog, p.o. ordynatora szpitala im. M. Pirogowa w Łodzi, szef oddziału reanimacji, podczas wojny zastępca komendanta powstania w getcie warszawskim, działacz opozycji, osiągnął wiek emerytalny i został wbrew swojej woli i prawu — lekarze i naukowcy mają w Polsce prawo pracować do siedemdziesiątego roku życia — przeniesiony na emeryturę. Nie jest to wiadomość ścisła. Dr Marek Edelman został wyrzucony z pracy listem następującej treści: „Łódź, 25.5.1987. Z dniem 31.08.1987 rozwiązuję z Obywatelom umowę o pracę — za uprzednim wypowiedzeniem od dnia 1.06.1987. Od wypowiedzenia służy Obywatelowi w terminie 7 dni od doręczenia niniejszego pisma prawo wniesienia odwołania do Sądu Rejonowego lub do Zakładowej Komisji Pojednawczej. Podpisane: dyrektor szpitala im. M. Pirogowa Aleksander Leo”. Dnia 15.06.1987 Komisja

Pojednawcza złożona z czterech pielęgniarek, jednej kierowniczkii apteki oraz jednego urzędnika zatwierdziła po półtoragodzinnych deliberacjach z bezpieką wyrzucenie dr. Edelmana z pracy.

Jeżeli chodzi o wiek emerytalny, to dr Edelman został oskarżony o sfałszowanie metryki: zdaniem władz miałyby być o dwa lata starszy niż jest w rzeczywistości. Ponieważ dr Edelman wygrał wytoczoną mu sprawę we wszystkich instancjach, prokurator generalny wniosł rewizję nadzwyczajną — tym razem skutecznie. Argument ten władze trzymają w zanadru, aby w razie ewentualnych zarzutów o *Berufsverbot* móc się nim zasłonić.

ZACHÓD — EMIGRACJA

13-3-87

Prezesem Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku został wybrany Joseph E. Gore. Jest on członkiem Amerykańskiego Stowarzyszenia Prawników.

2-4-87

Jury Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie przyznało dwie doroczne nagrody: ks. Jerzemu Mirewiczowi T.J. (Londyn), autorowi kilkudziesięciu książek z zakresu filozofii i historii — za całokształt jego twórczości; Kazimierzowi Kaz Ostaszewiczowi (Kalifornia, USA), autorowi książki „Wielkie jabłko” — za najlepszą książkę polską wydaną poza krajem w 1986 roku.

15-4-87

W organie prasowym Rządu R.P. na uchodźstwie, *Rzeczpospolita Polska*, podano komunikat o pracach resortu wojskowego. Ministerstwo Spraw Wojskowych wydaje zaświadczenia o służbie w P.S.Z., które są potrzebne b. żołnierzom, którzy przechodzą na emeryturę. M.S.Wojsk. opracowuje i w tym roku zakończy pracę nad książką *Virtuti Militari* (lista wszystkich odznaczonych wraz z numerami krzyży). Wreszcie zaskakująca informacja: okazuje się, że na terenie USA są grupy Polaków w wieku około lat 30, którzy chcą walczyć z komunizmem z bronią w rękę; przysyłają listy do M.S.Wojsk. prosząc o zorganizowanie „legionu”; M.S.Wojsk. uważa, że ich żądania nie mogą być brane pod uwagę, natomiast przygotowuje sympozjum czy seminarium *Walki bez oręża* — centralnie, w Londynie, w oparciu o Polski Uniwersytet na Obczyźnie.

1-5-87

Zmarł w Toronto (Kanada) w wieku 87 lat Michał Nędza, jeden z założycieli Związku Narodowego w Kanadzie.

23-5-87

Wydział komparatystyki literackiej i teorii przekładu literackiego na Uniwersytecie w Warwick koło Coventry (Wielka Brytania) zorganizował jednodzienną konferencję poświęconą współczesnej poezji polskiej. Adam Czerniawski czytał swoje przekłady, własne tłumaczenia czytały także studentki z Oksfordu: Elizabeth Gorell, Izabella Trojanowska, Anna Zaranko. Referaty wygłosili: Teresa Halikowska-Smith (o Herbertie i Szymborskiej), Piotr Kuhiwczak (o recepcji poezji polskiej w Anglii), Alicja Moskalowa (o „autentyzmie”), Donald Pirie (o najnowszej poezji) i Nina Taylor (o twórczości lirycznej Tymoteusza Karpowicza). ■ W Buffalo (N.Y. USA) obradował XIII Walny Zjazd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Uchwala budżet w wysokości \$ 59.193,00 oraz wniosła w sprawie kontynuowania rozmów połączeniowych między S.P.K. a S.W.A.P. Prezesem został wybrany Janusz Krzyżanowski.

30-5-87

Zmarł w Paryżu w wieku 79 lat Edward Borowski, b. pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, redaktor audycji polskich radia francuskiego i długoletni współpracownik Biblioteki Polskiej w Paryżu. Był cenionym specjalistą z dziedziny genealogii i heraldyki.

1-6-87

Prezydent Izraela, Herzog, wręczył w Jerozolimie tegoroczne nagrody Wolfa dwunastu naukowcom oraz reprezentantom świata sztuki. Nagrody są przyznawane od roku 1976 za wybitne osiągnięcia w dziedzinie fizyki, chemii, rolnictwa, medycyny, matematyki a także sztuki. Nagrodę z dziedziny muzyki otrzymali polski kompozytor Krzysztof Penderecki oraz amerykański wiolonczelista Izaak Stern. ■ Alliance College w Cambridge Springs (Pennsylvania, USA) zostało zamknięte z powodu braku studentów i trudności finansowych. Upadek college'u trwa od lat 60-tych. ■ W Nowym Jorku obchodzono jubileusz 50-lecia dziennikarstwa Bolesława Wierzbianskiego, redaktora *Nowego Dziennika*. Z tej okazji wydano Księgę Pamiętkową.

5-6-87

W Instytucie Wschodnim „Reduta” w Londynie inż. Z. S. Siemaszko wygłosił odczyt pt. „Biskup Wileński (1918-1925) Matulewicz i ówczesne stosunki polsko-litewsko-białoruskie”. ■ *Prix de la Liberté* 1987 została przyznana Adamowi Zagajewskiemu, pisarzowi i esejście polskiemu, za „Coup de crayon” („Cienka kreska”) (A. Fayard) oraz Helenie Bonner, żonie Andrzeja Sacharowa, za „Exil partagé” (Ed. du Seuil).

5 do 7-6-87

W Londynie odbył się Centralny Zjazd delegatów Stronnictwa Narodowego, na który przybyli delegaci z USA, Kanady, Belgii, Francji, Holandii, Niemiec, Szwajcarii i Włoch oraz delegaci z Kraju. Prezesem Stronnictwa został wybrany Antoni Dargas. ■ Biuletyn instytucji O. Wenfrieda *Aide à l'Eglise en détresse* podaje, że w 1986 roku zebrano ogółem \$42.051.041. Z tej sumy Kościół polski otrzymał \$6.209.316. Jest to najwyższa z dotacji przyznanych w 1986 roku.

10-6-87

W Galerie Blum w Paryżu odbył się wernisaz Andrzeja Bąkowskiego (obrazy i gwasze). ■ W Bibliotece Polskiej w Paryżu Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało odczyt prof. Wienicysława Wagnera na temat „Historyczne korzenie 'Solidarności'”.

14-6-87

W Rydze odbyła się, za zgodą władz, demonstracja dla uczczenia ofiar terroru stalinowskiego na Łotwie. Zorganizowała ją Grupa „Helsinki 86”. Około tysiąca ludzi ruszyło w stronę centralnego Placu. Po drodze pochód wzrósł do około pięciu tysięcy. Niesiono transparenty z napisami „Za Ojczyznę i Wolność” oraz „Boże pobłogosław Łotwę”. Złożono je pod Pomnikiem Zwycięstwa na centralnym Placu miasta. Policja usiłowała zagłuszyć przemówienia nadawaną przez głośniki muzyką. Tłum odpowiadał pieśniami patriotycznymi z okresu niepodległości Łotwy.

17-6-87

Zmarła w Londynie Halina Żeleńska. W czasie wojny znalazła się w Bułgarii, gdzie organizowała przerzuty Polaków z Rumunii i Grecji do 2-go Korpusu. Aresztowana i torturowana, została uwolniona przy pomocy Angli-

ków, z którymi współpracowała przy przerzutach. Po wojnie pracowała w Londynie w biurze generała Andersa. Odnaczona Krzyżem Kawalerskim *Polonia Restituta* oraz Złotym Krzyżem Zasługi z mieczami.

19-6-87

Spotkania w Centre du Dialogue w Paryżu: 19 czerwca spotkanie z Tadeuszem Mazowieckim; 26 czerwca wieczór autorski Jarosława Marka Rymkiewicza; 3 lipca odczyt kardynała Henryka Gulbinowicza z okazji 600-lecia chrztu Litwy pt. „Wejście chrześcijaństwa w naród litewski”. 26 sierpnia br., w 7-mą rocznicę śmierci ks. Józefa Sadzika, zostanie odprawiona o godzinie 18.30 msza św. w sali Centre du Dialogue.

20-6-87

Prezydent Francji, François Mitterrand, nie przyjął listów uwierzytelniających nowego ambasadora Republiki Południowoafrykańskiej, protestując przeciwko uwiecznieniu i skazaniu obywatela francuskiego, oskarżonego o współpracę z nielegalnymi nacjonalistycznymi organizacjami murzyńskimi. Charakterystyczne, że podobnej reakcji nie wywołała sprawa zakładników francuskich na Środkowym Wschodzie.

24-6-87

W Rzymie odbyło się międzynarodowe kolokwium z okazji 600 lecia chrztu Litwy. Ze strony polskiej wzięli w nim udział Michał Giedroyc z Oxfordu, prof. Jerzy Kłoczowski i Marek Zahajkiewicz z KUL-u oraz dr Tadeusz Krahel z Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

25-6-87

Papież Jan Paweł II przyjął na audiencji prezydenta Austrii Kurta Waldheima. Jest to przełamanie bojkotu Waldheima, zapoczątkowanego przez USA i Kanadę, które zakazały mu pobytu na swym terytorium ze względu na oskarżenie go przez Światowy Kongres Żydowski o współpracę z hitlerowcami w czasie ostatniej wojny.

26-6-87

Tygodnik francuski *Le Point* (Nr 770 z 22-28 czerwca br.) ogłosił rezultaty sondażu na temat popularności 24-ch przywódców światowych i 41 krajów. Największą popularnością cieszy się papież Jan Paweł II (68 %), potem Ronald Reagan (47 %) i Cora Aquino (43 %). Jeśli idzie o osoby niepopularne, to rekord ma Kadafi (78 %), generał Jaruzelski (56 %) obok generała Pinocheta. Z poszczególnych krajów najbardziej popularna jest Belgia, potem Kanada, Luksemburg i Holandia. Polska zebrała 56 % głosów sympatii przy 11 % krytycznych.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Warszawa, 19 maja 1987.

Dopiero ostatnio mogłem przeczytać „Kronikę litewską” nieocenionego E. Żagiella (*Kultura* nr 4 z 1984 r., str. 85-86). Autor cytuje w niej m.in. opis starań o księdza dla parafii Gierwiaty na Białorusi (dawna Wileńszczyzna), prowadzonych przez litewskich katolików w 1979 roku, przedstawionych w nielegalnym litewskim periodyku *Aušra* (nr 32/72). W liście do Breżniewa w tej właśnie sprawie katolicy ci piszą o zmuszaniu ich do modlitwy w niezrozumiałym języku polskim i „pokornie proszą” o obronę „od nacjonal-szowinistów”, oczywiście polskich. Sprawa tego listu jest już przebrzmiała, ale ponieważ ostatnio nasila się w Wilnie i na Wileńszczyźnie podobna, nierzadko fanatyczna kampania antypolska (zapewne nie bez manipulacji sowieckiej) — chciałbym dorzucić krótkie wspomnienie związane z wyżej wspomnianą parafią.

Otóż tak się składa, że byłem w Gierwiatach na pogrzebie zmarłego tam w sierpniu 1978 roku ks. Chodyki. Długie parogodzinne nabożeństwo żałobne odprawiał ks. bp Stepanovicius, z którym zresztą mogłem później przez chwilę porozmawiać. Tytułem jego przyjazdu do Gierwiat był zapewne fakt, że, jak mówiono, pochodzi z tej właśnie parafii, na terenie której istnieje niespotykana w tej okolicy niewielka enklawa litewska. Litwini stanowią w niej liczną mniejszość.

Przebywając przez cały dzień w tej miejscowości, słyszałem tylko język polski. Długie nabożeństwo żałobne odbywało się, poza łaciną, wyłącznie w języku polskim, wszystkie śpiewy w kościele i podczas pochodu na odległy o ok. 1,5 km cmentarz były również polskie. Jeśli byli tam Litwini, to modlili się razem ze wszystkimi w tym języku. Przy kościele i podczas powrotu z cmentarza ludzie rozmawiali wyłącznie po polsku, choć nikt ich do tego na pewno nie zmuszał.

Piszę o tym dlatego, że autorzy pokornego listu do Breżniewa pisząc o przedwojennej „okupacji polskiej” mówią o zmuszaniu ich do modlitwy w języku polskim. Można się jednak obawiać, że jeśli nowy duszpasterz poszedłby za żądaniami autorów listu, to zmuszanie do modlitwy w nieznanym ogromnej większości parafii języku zaczęłoby się naprawdę.

Łączę wyrazy szacunku

P. LIDA

Szanowny Panie Redaktorze,

Londyn, 19 maja 1987.

W zakończeniu swego bardzo interesującego artykułu o przyszłości reformy w Chinach (K. Gawlikowski: „Studenci a przyszłość chińskiej reformy”, *Kultura* Nr 5/1987), p. Gawlikowski zwraca uwagę na międzynarodowy

wymiar tego zagadnienia. Jest to sprawa niezmiernie dużej wagi, więc chyba warta kilku dodatkowych uwag.

W pierwszym rzędzie chodzi o przyszłość rozwijającej się od lat współpracy wojskowej między USA a Chinami, w ostatnich latach również z „dykretynym” udziałem Japonii. Moje wiadomości w tej dziedzinie opierają się prawie wyłącznie na źródłach japońskich (np. analizy Instytutu Wojskowości w Tokio), więc trudno mi z całą pewnością twierdzić, że rzeczywiście jesteśmy świadkami stopniowego kształtowania się „osi Waszyngton-Pekin-Tokio”. Chodzi zresztą o termin ukuty przez strategów sowieckich, którym widmo takiego „trójkąta” nie przestaje spędzać snu z powiek. Według relacji japońskich ważnymi i przełomowymi punktami rozwoju w tym kierunku były poufne rozmowy chińskiej delegacji wojskowej ze sztabem japońskim w Tokio w marcu ub. roku oraz rozmowy Weinbergera w Pekinie w październiku tego samego roku, w trakcie których doszło do znacznego skomplikowania współpracy wojskowej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Wydarzenia w Chinach są naturalnie w Tokio uważnie śledzone, a z licznymi i szczegółowymi komentarzami japońskimi odnoszę wrażenie, że założenia obecnej strategii Pekinu w dalszym ciągu zdają się wykluczać możliwość rzeczywistego zbliżenia sowiecko-chińskiego, bez względu na obecny kryzys wewnątrzpolityczny.

Jest prawdą, iż przemiany wewnątrzpolityczne zwykle pociągają zmiany w polityce zagranicznej. Czy jednak odnosi się to w równej mierze do Chin? Zdaniem znanego sinologa australijskiego M. Yahudy (Michael Yahuda: „China's Foreign Policy after Mao”, 1983), w wypadku Chin „nawet największe starcia wewnątrzpolityczne, czy też radykalizacja społeczeństwa, niekoniecznie pociągają za sobą radykalizację polityki zagranicznej — z tej prostej przyczyny, że Chiny nie mogą sobie pozwolić na ignorowanie swego strategicznego otoczenia”. Innymi słowy, powierzchowne oscylacje polityki zagranicznej (np. stopień zbliżenia z Europą Zachodnią, chwilowe oziębienie w stosunkach z Japonią itd.) niekoniecznie oznaczają zasadnicze zmiany strategiczne w polityce bezpieczeństwa narodowego.

Pozostaje więc wielkim pytaniem, czy taki lub inny wynik „walki o reformę” może rzeczywiście spowodować zasadniczy, strategiczno-taktyczny zwrot w polityce zagranicznej Chin. Osobiście mam co do tego wątpliwości, chociaż nie neguję, iż taki obrót wydarzeń miałby rzeczywiste wielkie, nieobliczalny w skutkach wpływ na obecny układ sił w świecie.

Łączę wyrazy poważania

Janusz MONDRY

PROSZĘ O POMOC

Jestem Żydówką. W zeszłym roku wraz z mężem i 3-letnią córką postanowiliśmy emigrować do Izraela.

Czemu tę decyzję podjęliśmy w tej chwili? Trudno na to pytanie odpowiedzieć w kilku zdaniach. To sprawa bardzo osobista. Nie jest to wynik ani szczególnie trudnych warunków, ani presji. Jest to nasza wspólna, swobodna decyzja. Trudno jest opuścić kraj, w którym się urodziliśmy i przyciągało, z którymi wspólnie usiłowaliśmy budować wolne społeczeństwo. Zrozumiałam jednak, że moją ojczyzną jest Izrael, że tam będę u siebie, a moja córka Judyta nie będzie narażona na przeżycia, jakie ja, jako Żydówka, miałam w Polsce. Nie chcemy uciekać. Chcieliśmy jako wolni ludzie opuścić Polskę, by wyjechać do Izraela. Izrael wyraził zgodę na udzielenie nam obywatelstwa. Niestety, władze polskie od roku odmawiają nam paszportu.

Z odmową spotkało się nasze podanie, następnie odwołanie, a także podjęta w formie skargi interwencja u Ministra Spraw Wewnętrznych. Czym są podyktowane te odmowy, nie umiem wyjaśnić. Nie wiem, czy jest to odwet za to, że uczestniczyliśmy w podziemnym ruchu wydawniczym, czy antysemicka szykana urzędników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Lako-
niczne uzasadnienie decyzji odmownej: „Decyzja uzasadnienia nie wymaga”, nie w tej sprawie nie wyjaśnia. Na pewno w naszej pracy zawodowej nie poznaliśmy z mężem żadnych tajemnic państwowych.

Domagamy się, aby polskie władze respektowały zobowiązania między-
narodowe podjęte w ramach ratyfikowanego przez PRL Międzynarodowego
Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych (Dziennik Ustaw PRL Nr 38
z 1977 roku, załącznik), który w art. 12 p. 2 stanowi: „Każdy człowiek ma
prawo opuścić jakikolwiek kraj, włączając w to swój własny”.

**APELUJEMY O PODJĘCIE INTERWENCJI W SPRAWIE NASZEGO
WYJAZDU DO IZRAELA.**

Elżbieta NEKANDA-TREPKA

Elżbieta NEKANDA-TREPKA z mężem Michałem i córką Judytą,
ul. Capri 5/49, 02-762 Warszawa, telefon domowy: 42-29-99.

SZEF
WOJEWÓDZKIEGO URZĘDU
SPRAW WEWNĘTRZNYCH

w Warszawie
Nr akt EAGM-20980
WYJAZD STAŁY

Warszawa, dnia 08. 05. 1986 r.
opłata pocztowa zryczałtowana

Ob. NEKANDA-TREPKA MICHAŁ
ul. CAPRI 5 m. 49.
02-762 WARSZAWA

DECYZJA

W związku z podaniem z dnia 15. 04. 1986 r., na podstawie § 1 w
związku z § 21 rozporządzenia Ministrów Spraw Wewnętrznych i Spraw
Zagranicznych z dnia 21 maja 1976 r. w sprawie zasad i trybu postępo-
wania oraz właściwości organów w sprawach paszportowych (Dz. U. z 1976 r.
Nr 20, poz. 129 — z późn. zm.)

odmawia się
Obywatelowi (Obywatelce): wydania paszportu.

Uzasadnienie

Odmowa wydania paszportu, następuje ze względu na:
— NIE WYMAGA UZASADNIENIA

to jest z przyczyn określonych w art. 4 ust. 2 pkt 2 ustawy z dnia 17 czerwca
1959 r. o paszportach (Dz. U. z 1967 r. Nr 17, poz. 81; z 1976 r. Nr 29,
poz. 261 i z 1983 r. Nr 11, poz. 298).

W terminie czternastu dni od dnia doręczenia decyzji, przysługuje prawo
wniesienia odwołania do Ministra Spraw Wewnętrznych za pośrednictwem
Wydziału Paszportów w Warszawie-Mokotów.

Odwołanie podlega opłacie w wysokości 20 zł wnoszonej w formie znaczków
opłaty paszportowej.

(—) Podpis nieczytelny

NACZELNIK WYDZIAŁU PASZPORTÓW
WOJEWÓDZKIEGO URZĘDU SPRAW WEWNĘTRZNYCH

UZUPEŁNIENIE „OŚWIADCZENIA” OMELIANA KOWAŁA I BORYSA WITOSZYŃSKIEGO

W poczytnym czasopiśmie *Kultura* nr 12/471 z grudnia 1986 roku
mgr Omelian Kowal i dr Borys Witoszyński, rzekomi współnicy mordu,
jakiego miałem dokonać na braciach Stepana Bandery w KZ „Oświęcim”,
złożyli oświadczenie odnoszące się do prowokacyjnej i wydumanej „prawdy”,
którą polski „pracownik naukowy” Edward Prus stara się karmić czytelniki
swej „naukowej” pracy pt.: „Herosi spod znaku tryzuba”.

Nie ulega wątpliwości, iż „profesor historii” E. Prus otrzymał zlecenie
od KGB, by „wykazać się w nauce socjalistycznej i wykonać zgrabnie
zadanie dla Ojczyzny”.

E. Prus w swych insynuacjach dotyczących członków OUN nie stanął
jednak na wysokości powierzonego mu zadania, gdyż braci Stepana Bandery
zamordowano w Oświęcimiu w 1942 roku (lipiec-sierpień), kiedy przeby-
wałem jeszcze w więzieniu gestapo przy ulicy Łąckiego we Lwowie. Do
Oświęcimia przewieziono nas, jako drugą grupę członków „Bandera-Bewe-
gung”, dopiero 1 października roku 1943. Oczywiście jest więc fakt, że
mocodawcy i nauczyciele polskiej Służby Bezpieczeństwa nie zdołali ustalić
czasu i osób. Należy też przypuszczać, iż kagebiści z lenistwa wykorzystali
zdjęcie z pogrzebu Stepana Bandery w Monachium w 1959 roku, na którym
widniejemy wszyscy trzej, jak niesiemy w żałobnej procesji przed trumną
Zamordowanego urny z symbolem Ukrainy i ziemią z mogiły w Rotterdamie.

Imiona zgadzają się, jednak „dowody” E. Prusa, jak też praca moco-
dawców z KGB są śmiechu warte. Jest to przykład bardzo taniej dezinforma-
cji, zaś sfałszowane dowody jedynie kompromitują ich autorów. Czy
Moskwa na nią pozwoli? To przecież sabotaż i fuszerka w pracy dla socjaliz-
mu i partii, a to jest już karalne.

Pawło SZEWCZUK

U w a g a :

Autor pisze raz, że więzienie we Lwowie było przy ul. Łąckiego, a raz,
że przy ul. Lonckiego. Niestety nie znam Lwowa i nie wiem, która nazwa
jest prawidłowa.

Roquebrune-C.M., Francja(5 czerwca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Prof. Zbigniew Brzeziński, który ćwierć wieku temu ostrzegał w *Kulturze*
przed zamianą Ziemi Odzyskanych na Ziemię Odstąpione dokonana za zgodą
zarówno Moskwy jak i Waszyngtonu, opowiada się obecnie w *Polityce* za
współpracą amerykańsko-sowiecką i namawia Polaków, żeby przez „współ-
nie dzielone narodowe wyrzeczenia” i rezygnację z „przemysłowej infrastruk-
tury”, umożliwili „współpracę Europy Wschodniej z Zachodnią”, tj. przede
wszystkim Polski z Niemcami. Równocześnie prof. Brzeziński stawia Jaruz-
elskiemu za wzór „wielkiego męża stanu” Gorbaczowa, który zdobył się
na telefon do Sacharowa w Gorki.

Na tę rozmowę w redakcji *Polityki* prof. Brzeziński został zaproszony
przez Czyrka, który w tym celu pojechał do Waszyngtonu, a po powrocie
do Przemyśla, by odszukać groby antenatów Brzezińskiego, które następnie

związków znakomity Przemysławin. Tym razem jednak powstrzymał się od grożenia zamianą Ziemi Odzyskanych na Ziemię Odstąpioną. Postęp czy podstęp?

Wydarzenie to zasługuje na uwagę nie tylko Wałęsy i „betonu”, ale także Kultury, a może i jej czytelników.

Łączę wyrazy poważania,

Jan ULATOWSKI

Saint-Rémy, Francja, 1 czerwca 1987.

Drogi Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie na łamach Kultury niniejszego listu. Byłem dzisiaj w Bibliotece Polskiej w Paryżu, żeby zobaczyć, czy w znajdującym się tam archiwum Aleksandra Kawałkowskiego są jakies dokumenty, które mógłbym wykorzystać do przygotowywanego obecnie przeze mnie tematu. Na razie chodziło mi o rzucenie okiem dla ogólnego zorientowania się. Zwróciłem się w tej sprawie do p. M. Prokopa, odpowiedzialnego za zbiory archiwalne. P. Prokop usiłował mnie przekonać, że archiwum Kawałkowskiego w Bibliotece nie ma. Po moim kilkakrotnym zwróceniu mu uwagi, iż mija się to z prawdą, gdyż archiwum Kawałkowskiego było dawniej porządkowane przez p. S.L., p. Prokop wreszcie przyznał, że owszem, archiwum takie znajduje się w Bibliotece, ale nie jest zinwentaryzowane; mogą je otrzymać jedynie pod warunkiem, że zrobię inwentarz. Takich metod nie spotyka się chyba w żadnym państwie komunistycznym. Jak się później dowiedziałem, nie był to odosobniony wypadek tupetu p. Prokopa, narzucającego czytelnikom podobne prace, które umieszcza później w swoim raporcie. Przykład idzie z góry: fabrykuje się — wybrzuszono wzajemnymi pochwałami — sprawozdania, sporządzane na eksport, dla „historii”, licząc na to, że w przyszłości nikt się nie dowie, jak wyglądała rzeczywistość — bo skąd? Czy np. zabrał ktoś głos na temat tego, że przedstawiciel Biblioteki Polskiej w Paryżu, na sesjach Konferencji bibliotek i muzeów polskich na Zachodzie (jeszcze jedna impreza turystyczna emigracji), wygłasza — dla własnej „chwały”, bo to ładnie brzmi i zostanie opublikowane — co należy robić, ale czego właśnie nie robi się w bibliotece, którą reprezentuje i w której nie ma żadnej osoby z autorytetem, niezbędnym dzisiaj, w okresie naglącej potrzeby przejęcia przez nowe fale uchodźców, spuścizny po emigracji wojennej? Czy naprawdę nas już na nic więcej nie stać?

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

Paryż, 26 marca 1987.

Drogi Panie Redaktorze,

Pozwoli Pan, że w uzupełnieniu recenzji M. Brońskiego w nr. 3/474 Kultury z książki Jacka Trznadla *Hariba domowa* wprowadzę kilka istotnych sprostowań do opisu postawy Boya-Zeleńskiego we Lwowie pod okupacją sowiecką 1939-1941.

Zarówno Jacek Trznadel jak i zabierający w tej sprawie głos J. M. Rymkiewicz zdają się nie znać świadectw, już dawno zebranych o Boyu po tej stronie kurtyny, gdy w Polsce Ludowej obowiązywało albo zupełne tabu, albo okrojenie prawdy. Nieznane im są zapewne wypowiedzi bezpośrednich świadków: Michała Borwica, Wandy Ładniewskiej i Wiktora Turka w

nr. 3, 4 i 5 Zeszytów Historycznych z roku 1963. A także dokumentacja, którą zebrałem w londyńskich *Wiadomościach**.

Jestem pewny, że gdyby te świadectwa znali, J. M. Rymkiewicz nie byłby powtórzył opowieści, którą „gdzieś wyczytał”, za której prawdziwość sam nie ręczy, a którą jednak nie tylko przytoczył, ale i opatrzył bardzo brzydkim komentarzem. Oto ona: „Sowieci chcieli wywieźć Boya do Moskwy, aby go uratować przed Niemcami. Przyjechał samochód z oficerem NKWD, który miał go zaprosić z walizkami do samochodu (...). Boy wskoczył przez okno do ogrodu, uciekł. Ze strachu. Domyślając się — błędnie — po co do niego przyjechali”. I za Trznadlem dodaje: „Czy strach wszystko wyjaśnia?”. To jedno słowo „wszystko” ileż mieści aluzji...

Zacznijmy od topografii. Sprawdziłem ją w rodzinie Marii Grekowej, a także u Ładniewskiej, która to mieszkanie знаła, i na tej podstawie stwierdzam: 1) dom, gdzie Boy Żeleński u swych szwagrow, prof. Greków mieszkał, nie ma żadnego ogrodu, ani z przodu ani z tyłu; 2) mieszkanie, o którym mowa, jest na 1-szym piętrze, czyżby Boy w wieku lat 67 mógł ważyć się na taki skok? A nadto 3) Boy widząc się parokrotnie po owym rzekomym wydarzeniu ze swą powierniczką i przewodniczką po Lwowie, Wandą Ładniewską już po wejściu Niemców nigdy jej o tym nie wspominał, a byłby z pewnością to zrobił, gdyby wypadek ten miał miejsce. Jest więc oczywiste, że całą tę opowieść trzeba zaliczyć do tych różnych zmyśleń, którymi oczerniano Boya zarówno w Warszawie jak i na miejscu, rozgłaszając np., że pisał o Stalinie, że napisał do Stalina, itp.

Odrzucając kategorycznie opowieść Rymkiewicza, przypominam przebieg faktyczny. Od Ładniewskiej wiemy, że Boyowi istotnie zaofiarowano miejsce w samochodzie mającym ewakuować paru pisarzy i profesorów. Boy sam oznajmił Ładniewskiej, że z propozycji tej nie skorzystał, dodając, co wiele mówi: „Takie nazwisko zostawię synowi?”. Oddał Ładniewskiej pożyczone przedmioty. Miał złe przecucia, ale odmówił zaofiarowanego mu przez oboje Ładniewskich ukrycia. Inne, niezależne świadectwo, zawarte w książce Karola Estreichera o Leonie Chwistku (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Kraków 1971, str. 342) to potwierdza: zaprzyjaźniony z Boyem prof. Chwistek namawiał Boya na wyjazd, wskazując na los profesorów krakowskich. Boy odmówił. Chwistek wyjechał.

Czy znając tę prawdziwą relację, Rymkiewicz byłby zestawiał — tak jak to uczynił — rzekomą ucieczkę Boya z... fotografią Sartre'a, po wojnie, arcyprosowieckiego, uśmiechającego się do Chruszczowa „jak taki lizus w klasie, co chce się przypodobać pani nauczycielce”. Powinszować skojarzenia!

Jacek Trznadel przyjmuje bez protestu ten zdumiewający obraz. Zresztą to on zagał, zadając pytanie, co sprawiło, że Boy wchodził w skład redakcji wydawanych we Lwowie *Nowych widnokręgów* obok Heleny Usijewicz, Zofii Dzierżyńskiej, Wandy Wasilewskiej tudzież Juliana Przybosia. I też stawia pytanie: czy był to tylko wielki strach?

Pytanie retoryczne, Boy nie żyje. Otóż to: poddając analizie teksty różnych żyjących pisarzy, którzy ugięli się — po wojnie — w Polsce i pisali rzeczy prosowieckie, prokomunistyczne, Trznadel zwraca się do tych autorów i wspólnie, w spokojnym dialogu bada, pyta, wyjaśnia. Na tym polega wartość jego książki: odtworzenie minionych warunków obiektywnych i stanów subiektywnych. Cytowane teksty są zarzutem, odpowiedzi wyjaśnieniem, nieraz obroną. Przyznaniem, ale i próbą wytłumaczenia. Słowem konfrontacja na prawach równości, jak się godzi.

A w wypadku Boya (i to jego jedynego)? Tu dialog się urywa. Drużej strony brak. Chyba więc tym bardziej obowiązywało sprawdzenie i rzetelne przedstawienie. Tego jednak Trznadel nie robi. Poprzestaje na wy-

* Nr 1335/1971, nry 1350, 1352, 1374/1973, 1523 i 1542/1975.

mienieniu Boya na liście redakcji *Nowych Widnokręgów*, które świeżo „miał w rękę”, po czym ani słowem nie zaznacza, że artykuły Boya w tym piśmie to tylko eseje literackie o pisarzach francuskich, teksty o Mickiewiczu i recenzje teatralne z przedstawień we Lwowie. I że nie ma w tych artykułach nic, czego Boy mógłby się wstydzić i z nich się tłumaczyć. (Są przedrukowane w *Boya Pismach*, t. 18 i 28). Niezaznaczenie tego niepolitycznego charakteru, zwłaszcza wobec włączenia Boya do zbioru tekstów spod znaku *Hańby domowej* — czyż nie wprowadza czytelnika w błąd? Czy nie sugeruje, że Boy dopasował się do reszty pisma? Więc i tu pośpieszam ze sprostowaniem: ani w *Nowych widnokręgach* ani w *Czerwonym sztandarze* — jedynych pismach, wówczas wydawanych we Lwowie, innych nie było — Boy tekstów politycznych pod okupacją sowiecką nie pisał, nie mieścił się więc w tym wspólnym mianowniku z przeszukanymi „winnymi”.

Nie wiemy, jak wymuszono wpisanie nazwiska Boya jako członka redakcji *Nowych widnokręgów*. Dla mnie osobiście jest to szczególnie bolesne. Jestem przekonany, że Boy żadnej roli w redagowaniu nie pełnił, bo nigdy w życiu zadania takiego się nie podjął i żadnego echa takich zajęć u Ładniewskiej w jego rozmowach się nie znajduje. Przeciwnie, jest wzmianka, że wzdrażał się przed sąsiedztwem z Dzierżyńską i że z Usijewiczową rozmawiał z żądłem i ironią zaczepną. Tak czy tak, podpis był wymuszonym haraczem, którym okupywał spełnianie misji, którą sobie wyznaczył. Wiemy z przekazu M. B. Gliksona, że postanowił bronić obecności kultury polskiej „przed zapomnieniem i przed zalewem pierwiastków obcych”. A działał się to pod brutalną okupacją NKWD w oderwanym od Polski Lwowie, a nie w powojennej Warszawie, czego Trznadel zdaje się nie rozróżniać.

Być może, że tworząc w roku 1941 *Nowe widnokregi* partia umyślnie, na rzecz nowego pisma, ograniczyła mu miejsce na szpaltach *Czerwonego Sztandaru*. Tak czy tak, od początku nazwiskiem swym stwarzał może wrażenie „żyrowania”, jak mu to wymawia Trznadel (str. 21), ale przecież treścią swych wypowiedzi wnosił przeciwwagę — taką, jaka w tych warunkach była tylko możliwa. A Lwów z zachowanym, choć przezwanym uniwersytetem i z polskim teatrem, trwał przecież przy polskiej kulturze i Boy swym piórem dawał temu wyraz! Nie on jeden zresztą, byli na szczęście i inni.

Ale znów odmiennie od pisarzy, rozpytywanych przez Trznadla za późniejszy, jakże różny okres, nie identyfikował się z reżymem. Od początku, publicznie dał sobie określenie liberała. W zasadzie ostrożny, wstrzemięźliwy w rozmowach, z czasem (ale już w kwietniu 1940 oraz później) wybuchnął ostrą krytyką Sowietów i potępieniem ich metod (dr Turek, prof. Loria). Interweniował w obronie deportowanych: Turka i rodziny Lucjana Rydla; już wtedy powiedział, że nie ma nic do stracenia.

Jednakże wobec wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej przyszedł do redakcji *Czerwonego sztandaru*, aby się podpisać na liście protestów przeciw tej agresji — czym wypowiedział się analogicznie do nieznanej jeszcze we Lwowie deklaracji radiowej generała Sikorskiego z Londynu. Doprawdy, czy tym jawnym aktem, w przededniu wkroczenia hitlerowców, też dał Trznadłowi dowód „wielkiego strachu”?

Był więc całkiem inny, niż go widzi zwiedziony plotkami Rymkiewicz, ośmieszający go za rzekomą ucieczkę przed rzekomą groźbą aresztowania. Tragicznie samotny, wytrwały, obojętny na opinię, szedł tylko za głosem swego sumienia.

Władysław ŻELEŃSKI

Jestem pełen szacunku do uporu z jakim Władysław Żeleński od lat broni pamięci Boya. Niemniej jest zbyt dużo znaków zapytania co do jego zachowania się w okresie okupacji sowieckiej we Lwowie w latach 1939-1941. Jesteśmy tu skazani jedynie na hipotezy. Dlatego też zamykam dyskusję na temat Boya na łamach *Kultury* — *Redaktor*.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.F.-M., USA; R.B., USA; I.U., RFN; R.D., RFN; J.O., RFN; M.O.-B. w Kraju; J.L., RFN; Z.Rz. w Kraju; L.F.-F., USA; M.K., Kanada; W.D., Austria; G.C., Australia; E.R., Australia; Z.J.P., Austria. — Z wierszy nie skorzystamy.

L.R., Australia. — Wie Pani o Erenburgu mało, tyle co sam o sobie napisał w swoich wspomnieniach. Powierzchny także wydaje nam się Pani szkic o powieści Marqueza.

J.W., Południowa Afryka. — Opowiadania są niestety słabe. Nie możemy podjąć się szukania reżysera czy producenta filmowego dla Pana scenariuszy.

T.W., USA. — Nic te „miniatury” nie mówią, nielepsze od nich jest opowiadanie.

R.B., Izrael. — To raczej dziennikarski felieton, niż opowiadanie; nie nadaje się do miesięcznika.

B.M.-H., RFN. — O stanie lecznictwa w Polsce pisała w *Kulturze* obszernie dr Zofia Kuratowska.

B.Sz., USA. — Temat *Matki* jest dobrze wybrany, mógłby posłużyć do ciekawego opowiadania o współczesnej wsi polskiej. Ale Pan ten temat potraktował za dużo szkieletowo, bez próby rozbudowania zdarzeń i postaci.

KSIĄŻKI

NOWE, WYCZERPANE, ANTYKWARYCZNE

KATALOG 48 zawiera ponad 200 tytułów z działów: Historia i teoria literatury — Literatura piękna — Historia Polski — Druga wojna światowa — walka, martyrologia — Różne.

KATALOG 49. Działy: Bibliografia — Językoznawstwo — Judaica — Varsaviana — Wspomnienia — inne.

Katalogi wysyłamy na żądanie (bezpłatnie).

Prosimy o (ewentualne) określenie zainteresowania.

KSIEGARNIA POLSKA

A i E. Neustein, Tel-Aviv, P.O.B. 29443, Izrael

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Ryszard Figurniak, Itasca, IL (USA) — na „Solidarność” podziemną — \$ 20,00	F. 120,00
Jan Harasiuk, Stevens Point, WI (USA) — \$ 10,00	F. 60,00
Antoni Nowicki, Stevens Point, WI (USA) — \$ 10,00	F. 60,00
Stowarzyszenie Niepodległa Polska, Dallas, TX (USA) — dla „Solidarności Walczącej” we Wrocławiu, na potrzeby Regionu Śląsko-Dąbrowskiego — \$ 185,00	F.1.110,00
Emigranci polityczni z Bazylei celem uczczenia kolejnej rocznicy sierpniowych strajków na Wybrzeżu, część dochodu zebranego w Dniu Uchodźcy przekazują na „Solidarność Walczącą”. (Nadesłał Stanisław Komorski) — F.szw.150,00	F. 615,00

M.A., Perth, WA (Australia) — dla uczczenia pamięci Tadeusza Andrzejczaka:	
— na NSZZ „Solidarność” — \$ A. 200,00	F. 856,40
— na Pomoc dla walczących w Kraju — Żeby Polska była Polską — \$ A. 300,00	F.1.284,60
— na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ A. 200,00	F. 856,40
— na Fundusz Kultury — \$ A. 100,00	F. 428,20

Towarzystwo Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity Assn.) z Vancouveru, BC (Kanada) przekazuje:	
— sumę zebraną na koncertach Jacka Kaczmarskiego i Stanisława Żałuskiego w Vancouverze — na „Solidarność” w Polsce — \$ c. 430,42	F.1.896,15
— sumę pochodzącą ze zbiórki na koncertach Jacka Kaczmarskiego i Stanisława Żałuskiego w Vancouverze, Calgary i Toronto (Kanada) oraz w Seattle i Detroit (USA), połączonej z rozdawaniem paszkwilu na Jacka Kaczmarskiego pt. „Inna kołysanka” (opublikowanego w Żołnierzu Polskim w Warszawie, autor Krzysztof Maria Sieniewski) — na Kulturę niezależną w Polsce — \$ c. 558,96	F.2.462,35
(obie sumy nadesłał Krzysztof Korczak, wiceprzewodniczący Towarzystwa).	

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3^e trimestre 1987.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 8418.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181

ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires

AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248

AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel.: 0222/93 87 222.

BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »

BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »

DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..

FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu

HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.

IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311

KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. Donald M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C.; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8

NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.

NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.

SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.

SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.

U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziwanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492

WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210

WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna

roczna

Ceny na rok 1986

F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
\$ can. 8,50	\$ can. 47,00	\$ can. 92,00
DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 426 — JAN JÓZEF LIPSKI

SZKICE O POEZJI

O twórczości poetyckiej w Polsce w ostatnich latach
Str. 200.

Cena F. 95,00.



TOM 427 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ŻMUT

„... Co to jest żmut? Żmut to beładnie poplątane włosy, sznurki, tasiemki. Historycy literatury napisali na temat miłości Adama Mickiewicza i Marii z Wereszczaków Puttkamerowej... niezliczoną ilość głupstw. Sam nie wiem jak to było naprawdę, co naprawdę wydarzyło się w Wilnie, Kownie, Bolcienikach. Ale postaram się niczego nie zmyślać, a jeśli coś zmyślę, to zaraz powiem że to jest zmyślone...”

Str. 288.

Cena F. 110,00.



TOM 429 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

HISTORIA “CUDOWNEJ MELINY”

Dla licznych Czytelników „Cudownej meliny”, jednej z ciekawszych powieści krajowych ostatniego 15-lecia, nowa książka Orłósia stanowi konieczne i pasjonujące uzupełnienie. Orłoś wpadł na oryginalny i doskonały pomysł: opisuje dzieje swej powieści, zablokowanej przez cenzurę w kraju i wydanej z woli autora za granicą w „Bibliotece Kultury”. To jest główny wątek książki, który rzuca dużo nowego światła na sytuację polskich pisarzy nonkonformistycznych; wątek zbliżony do pewnego stopnia do tak poczytnej dziś w kraju książki J. J. Szczepańskiego „Kadencja”. Orłoś przeplata to opisami polskiej rzeczywistości w oczach pisarza skazanego na „nieistnienie”.

Str. 160.

Cena F. 70,00.